

Najlepszy norweski kryminał 2012

„Nowy Jo Nesbø”
(Dagbladet)

JØRN LIER HORST

JASKINIOWIEC

lesiojot

smak
słowa

**JØRN LIER
HORST**

JASKINIOWIEC

Przekład:
Milena Skoczko

smak  słowa

Sopot

Zmarły mężczyzna był całkowicie zasuszony. Siedział w fotelu, lekko odchyłony do tyłu, z popękkanymi wargami i żółtoczarnymi odsłoniętymi zębami. Kępkę zakurzonych, wyschniętych włosów zwisały z czaszki. Błede, świecące kości prześwitywały przez skórę twarzy. Palce były czarne, skurczone i popękane.

William Wisting przejrzał pozostałe zdjęcia wykonane przez technika kryminalistyki. Zmarły musiał być dość niski, a jeszcze tkanki ciała po śmierci wysuszyły się i skurczyły, wskutek czego mężczyzna wydawał się jeszcze niższy, niż był za życia.

Akta sprawy były podpisane nazwiskiem Viggo Hansen. Fotografie zostały zrobione pod różnym kątem. Wisting uważnie przyglądał się kilkunastu ujęciom niemal zmumifikowanych zwłok. Zapoznając się z dokumentacją zdjęciową, zwykle pozostawał niewzruszony. Przywykł do obcowania ze śmiercią i wykształcił w sobie umiejętność dystansowania się od wrażeń zmysłowych. W ciągu ponad trzydziestu lat służby w policji widział tyle martwych ciał, że już dawno stracił rachubę. Tym razem jednak było inaczej. Nie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego, lecz również dlatego, że znał mężczyznę siedzącego w fotelu. Praktycznie rzecz biorąc, byli sąsiadami. Viggo Hansen mieszkał trzy domy dalej i siedział martwy od czterech miesięcy, a jego nieobecność nikogo nie zaniepokoiła: ani Wistinga, ani pozostałych sąsiadów.

Zatrzymał się na zdjęciu pogładowym, wykonanym od strony kuchni w głąb salonu. Mężczyzna siedział przed telewizorem, zwrócony plecami do fotografa. Telewizor był włączony, tak jak wtedy, gdy patrol policji dostał się do jego mieszkania.

Pokój był skromnie umeblowany. Poza stolikiem RTV

i fotelem, w którym siedział zmarły, widać było jeszcze podłużną ławę, bliźniaczy fotel i kanapę ozdobioną poduszkami i kocami. Przy jednej ze ścian stała meblościanka z zamykanymi szafkami. Po przeciwnej stronie pokoju znajdowało się okno z zaciągniętymi szarymi zasłonami. Na prawo od telewizora stała lampa z abażurem z frędzlami i brązowymi śladami przypaleń. Na ścianach wisiały trzy krajobrazy. Na ławie przed mężczyzną leżał tygodnik i pilot do telewizora, a obok stała szklanka i talerz z bliżej nieokreślonymi resztkami jedzenia. Poza tym w pokoju panował porządek.

Nie było widać żadnych śladów walki. Nic, co wskazywałoby na to, że tuż przed śmiercią samotnego mężczyznę odwiedził nieproszony gość. Żadnych podstaw, by podejrzewać, że zgon nastąpił w wyniku przestępstwa. Jednak okoliczności zdarzenia wymagały tego, by policja zbadała sprawę, i dlatego Espen Mortensen wykonał swoją pracę gruntownie, choć nieco rutynowo.

Kolejne zdjęcie było zbliżeniem tygodnika, który leżał na ławie w salonie. Był otwarty na programie telewizyjnym na czwartek, jedenastego sierpnia.

Wisting podniósł wzrok i wyjrzał przez okno gabinetu na padający śnieg, mokry i ciężki. Kalendarz pokazywał piątek, dziewiątego grudnia. Viggo Hansen mógł leżeć martwy jeszcze dłużej, gdyby nie zalegał z opłatą za energię elektryczną. Dostawca energii wysyłał ponaglenia i wezwania do zapłaty, grożąc odcięciem prądu. W końcu wysłali swojego pracownika pod wskazany adres. Przypadek sprawił, że mężczyzna zadał sobie trud, żeby sprawdzić dokładnie, czy nic się nie stało, i zauważył Viggo Hansena przez szparę w zasłonach.

Godziny emisji programów, które Viggo Hansen zamierzał obejrzeć, były zakreślone lub odhaczone na marginesie. Jeden z nich był nadawany przez Discovery Channel i nosił tytuł „Z archiwum FBI”. Wisting znał ten program. Prezentowali w nim rekonstrukcje najgłośniejszych spraw prowadzonych przez amerykańskie Federalne Biuro Śledcze.

Spojrzał na kolejne zdjęcie, które przedstawiało zbliżenie

twarży denata. Była ciemna i opuchnięta, z widocznymi pęknięciami w miejscach, w których skóra została wyżarta. Uzębienie było kompletne, widać było nawet tylne zęby trzonowe. Resztki języka przypominały niebieskoczarną grudę. Duże puste oczodoły patrzyły prosto przed siebie.

Włożył zdjęcia z powrotem do teczki, wstał i podszedł do okna. Zapadał zmierzch. Ołowianoszary zimowy zmierzch. Powinien jechać do domu, ale prawdę mówiąc, nie miał do czego wracać. Nic tam na niego nie czekało, nic poza telewizorem.

Z garażu na tyłach budynku wyjeżdżał właśnie jeden z radiowozów. Koła buksowały na śniegu, zanim odzyskały przyczepność. Niebieskie światło trafiało w płatki śniegu i odbijało się od nich, przypominając małe niebieskie iskry.

Podszedł powoli do biurka i utkwił wzrok w cienkich aktach sprawy. Viggo Hansen nie miał żadnej rodziny, żadnych przyjaciół ani dalszych krewnych. Żył i umarł w całkowitej samotności.

Chciał odłożyć teczkę na stos akt, które miały trafić do archiwum, ale coś go powstrzymało. Nie wiedział co. Doświadczenie i intuicja podpowiadały mu, że sprawę można uznać za zamkniętą. Najważniejszym zadaniem, przed którym stanęli śledczy, było ustalenie tożsamości zmarłego. Nie mogli porównać profilu DNA denata z kodem genetycznym któregoś z członków jego rodziny, ponieważ takowi nie istnieli. Jednakże materiał zabezpieczony na szczoteczce do zębów i grzebieniu, który znajdował się w tylnej kieszeni spodni wiszących na krześle w sypialni, pokrywał się z próbką pobraną ze zwłok. Oznaczało to, że ciało znalezione w domu przy Wildenveys gate jest ciałem osoby, która w nim mieszkała – Viggo Hansena, lat sześćdziesiąt jeden.

Patomorfolog był zaskoczony nad wyraz dobrym stanem zachowania zwłok. Połączenie niskiej wilgotności z niewysoką temperaturą otoczenia, przy zahamowanej cyrkulacji powietrza w pomieszczeniu, w którym wszystkie drzwi, okna i kanały wentylacyjne pozostawały zamknięte – to wszystko razem sprawiło, że ciało Viggo Hansena z czasem uległo mumifikacji,

a tylko w niewielkim stopniu procesom gnilnym. Ustalenie przyczyny śmierci okazało się jednak niemożliwe. W akcie zgonu wpisano jedynie *mors subita*. Nagła śmierć.

Komputer wydał z siebie dźwięk i na ekranie monitora pojawił się czerwony kwadrat. Pilna wiadomość z centrali operacyjnej. Wisting zmrużył oczy i odczytał cztery słowa: W Halle odkryto zwłoki.

Położył akta sprawy Hansena na stosie teczek, które miały trafić do archiwum, i kliknął na wiadomość.

W redakcji było cicho. Mokry śnieg przyklejał się do okien, tłumiąc dźwięki z zewnątrz. Biuro było już przystrojone na święta. Ekran telewizorów, na których wyświetlały się nieme wiadomości napływające z międzynarodowych kanałów informacyjnych, udekorowano srebrnymi girlandami i czerwonymi bombkami. Logo „VG” zdobiły białe anioły, a wzdłuż ścian oddzielających stanowiska pracy migały kolorowe lampki.

Szef działu informacyjnego nazywał się Knut A. Sandersen. Jego gabinet odgradzały od reszty redakcji szklane ściany. Line widziała, jak Sandersen przytrzymuje telefon komórkowy ramieniem, nie odrywając palców od klawiatury. Prawdę powiedziawszy, powinien już dawno iść do domu. Dochodziła siódma, więc siedział w pracy o trzy godziny dłużej, niż powinien. A przecież dwa i pół miesiąca temu został po raz kolejny tata.

Sandersen zakończył rozmowę, wypił łyk kawy i odchylił głowę do tyłu. Tuż nad nim zwisała z lampy gałązka jemioli.

Line wstała. Zamierzała iść do niego, żeby przedstawić mu swoją propozycję. W tej samej chwili znowu zadzwonił telefon i Sandersen zajął się rozmową.

Odszukała swój kubek i czekając, aż szef będzie wolny, zaczęła rozmyślać o świętach. Zastanawiała się, jak je spędzi. Jeszcze nie rozmawiała o tym z ojcem, ale zakładała, że pojedą do dziadka do Stavern. Kto wie, może Thomas do nich dołączy? Był jej bratem bliźniakiem i pracował jako pilot śmigłowca w trzysta trzydziestej eskadrze. Ostatni raz dostał wolne na święta, gdy jeszcze żyła mama. Line poczuła niespodziewane ukłucie tęsknoty. Od jej śmierci minęło pięć i pół roku. Na początku tęsknota była trudna do zniesienia. Zdarzało jej się, że nie miała siły wstać rano z łóżka, potrafiła nagle wybuchnąć

placzem na spotkaniu i na okrągło martwiła się, jak ojciec poradzi sobie sam. Z czasem tęsknota stała się mniej dojmująca, mniej rozpaczliwa, ale Line wiedziała, że nie bez powodu pracuje od rana do nocy. Zdążyła się od tego trochę uzależnić – lubiła być maksymalnie skoncentrowana na sprawie.

Szef działu zakończył rozmowę, ale tym razem jego telefon zadzwonił, zanim Line zdążyła podnieść się z krzesła. Od czasu gdy po raz pierwszy została zatrudniona w gazecie na zastępstwo, skronie Knuta A. Sandersena wyraźnie posiwiły. Teraz Line pracowała w redakcji na stałe i należała do sekcji kryminalnej. Sprawa, którą chciała się zająć, wykraczała poza zakres jej obowiązków, ale jako zespół mogli pozwolić sobie na to, żeby Line przez kilka dni pracowała nad materiałem do magazynu weekendowego.

Sandersen wstał i skubnął jemiółę. Line podejrzewała, że to on sam ją tam powiesił. Zmierzając w stronę automatu z napojami, wciąż rozmawiał przez telefon, ale gdy wracał do gabinetu z garścią pierniczków w jednej ręce i pełnym kubkiem kawy w drugiej, telefon miał schowany w kieszeni. Usiadł za biurkiem, odchylił się do tyłu na krześle i przez chwilę się nie ruszał.

Line wiedziała, że musi działać szybko. Na sprzedanie szefowi swojej propozycji miała czas na góra trzy zdania. Wstała, wzięła ze sobą kubek z kawą, żeby wzbudzić większe zaufanie, i weszła do jego gabinetu. Sandersen przyglądał się jemiółę, zanim przeniósł wzrok na nią.

– Chciałabym napisać o Viggo Hansenie – powiedziała.

Sandersen zaczął sprzątać zawałone papierami biurko.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł, układając dokumenty.

– Czym się zajmuje?

– Nie żyje.

– Zabójstwo?

Potrząsnęła głową.

– Siedział martwy przed telewizorem przez cztery miesiące, zanim ktoś go znalazł.

– To znaczy, że całkiem konkretnie nie żyje.

– Chciałabym napisać o tym, jak mogło do tego dojść – wyjaśniła. – Jak to jest możliwe, żeby być aż tak samotnym i zapomnianym przez wszystkich, że dopiero po czterech miesiącach ktoś przez przypadek odkrywa, że nie żyjesz.

Sandersen otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Line go ubiegła:

– Myślę, że to byłby dobry materiał na święta – mówiła dalej.
– Właśnie zostaliśmy wybrani przez ONZ jako kraj, w którym żyje się najlepiej na świecie. Natomiast w badaniach dotyczących poziomu odczuwanego szczęścia mieszkańcy Norwegii uplasowali się dopiero na sto dwunastym miejscu. Wygrało jakieś państwo na Oceanie Spokojnym, małe społeczeństwo wyspiarskie, w którym ludzie okazują sobie zainteresowanie i mają dla siebie czas.

Widziała, że Sandersenowi spodobał się jej pomysł. Temat, który zaproponowała, pasowałby do świątecznego dodatku. Jako przeciwwaga dla bożonarodzeniowej radości, kuracji odchudzających i reportaży o wymianie świątecznych prezentów. A jednak szef siedział zamyślony.

– Przecież nie możemy w kółko pisać o pogodzie – dodała przekonującym tonem i skinęła głową na pierwszą stronę gazety, która informowała czytelników, że „nadchodzą syberyjskie mrozy”.

W końcu zrozumiała, że zmarszczki na czole szefa nie były spowodowane jej propozycją, lecz stosunkami panującymi w redakcji. Piętro wyżej dwudziestu pięciu członków kolegium redakcyjnego przygotowywało świąteczne wydanie gazety. Powinni być w stanie wypełnić numer swoimi tekstami. Sandersen nic by nie zyskał, oddając im swojego dziennikarza. Wręcz przeciwnie. Dla niego oznaczało to o jedną głowę mniej w dziale informacyjnym.

– Potrzebuję trzy, cztery dni – powiedziała, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie będzie potrzebowała więcej czasu.

– We wtorek odbędzie się jego pogrzeb.

Sandersen wziął do ręki długopis i wsunął go do ust.

– Co oglądał?

– Co masz na myśli?

- Jaki program oglądał, gdy umarł?
- Nie mam pojęcia – odparła Line i wypła łyk kawy. – Ale dowiesz się o tym z gazety.
- Sandersen skinął głową.
- Umowa stoi – powiedział, rzucając okiem na schody prowadzące na piętro. – Zaproponuję im temat i powiem, że wypożyczam cię na trzy dni.
- Trzy dni – potwierdziła, po czym przechyliła się i pocałowała go w policzek.

Jadący z naprzeciwka pług śnieżny wzbil w powietrze białą chmurę, która osiadła na przedniej szybie samochodu. Wisting zmniejszył prędkość. Jechał powoli, dopóki nie odzyskał widoczności.

Oznakowany radiowóz i policjant ze śniegiem na otoku czapki stali na poboczu drogi w miejscu, w którym znajdował się zjazd do gospodarstwa, skąd otrzymali zgłoszenie. Duży czerwony napis na szyldzie brzmiał: „Samodzielna wycinka choinek”.

Skinął głową w stronę policjanta i wjechał na drogę prowadzącą do gospodarstwa. W oddali zobaczył światła samochodów i ludzi krążących po otwartym terenie.

Zwłoki zostały znalezione na plantacji jodły. Pierwszy patrol wysłał informację, że ciało jest w stanie daleko posuniętego rozkładu. Wisting wiedział, co to oznacza. Jak niewiele zostaje z ciała człowieka wystawionego na działanie czasu i przyrody.

Skręcił na parking, wysiadł z samochodu i poczuł, jak cienko był ubrany.

Przed wejściem na plantację stało dwóch umundurowanych policjantów. Napis na tablicy mówił, że cena jodły wynosi trzysta osiemdziesiąt koron, natomiast zwykły norweski świerk kosztuje dwieście dwadzieścia koron.

– Wiemy coś więcej? – spytał Wisting.

Starszy funkcjonariusz przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i z powrotem.

– Nie – odparł, chuchając na zmarznięte dłonie. – Mortensen jeszcze tam jest – dodał, kiwając głową w kierunku plantacji choinek. – Ale nie sądzę, żeby udało mu się coś więcej ustalić. Buty i ubranie wskazują, że chodzi o mężczyznę, ale bez sekcji tego nie potwierdzimy.

Wisting zajrzał w głąb rzędu choinek. Pięćdziesiąt metrów

dalej ustawiono reflektor. Policyjny technik stał pochylony nad czymś bliżej nieokreślonym.

– Kto znalazł ciało?

– Ośmioletni chłopiec, który przyszedł tu ze swoim ojcem po choinkę. Zwłoki leżą pod gałęziami tuż przy pniu, jakby ktoś chciał wepchnąć je jak najdalej.

Do rozmowy włączył się drugi policjant:

– Odgarnęli śnieg, żeby dostać się tam z siekierą i w pierwszej chwili nie rozumieli, co to jest.

Wisting skinął głową. Już widział te nagłówki w gazetach: „Ośmiolatek znajduje zwłoki pod choinką”.

– Gdzie teraz są? – spytał. – Syn i ojciec?

– Odesłaliśmy ich do domu.

Wisting podziękował i wszedł między drzewa. Śnieg skrzypiał pod butami.

Mortensen podniósł się i przywitał go ruchem głowy. Mokre płatki śniegu osiadły na jego włosach.

Wisting przyglądał się zwłokom z odległości jednego metra. Musiał ukucnąć, żeby móc zajrzeć pod gałęzie jodły. Zgięty tułów w zamarznętej na kość marynarce nieokreślonego koloru, jasne spodnie i brązowe skórzane buty ze sznurówkami i płaską podeszwą. Z tyłu głowy widoczne były pojedyncze kępkę włosów, na karku ślady po ptakach lub niewielkich gryzoniach, które urządziły sobie ucztę.

– Co o tym myślisz? – spytał, podnosząc się z kucek.

Espen Mortensen wzruszył ramionami.

– Wyciągniemy go i przekazemy patomorfologom. Potem postawimy namiot nad miejscem znalezienia zwłok i odgarniemy śnieg. Może wyszukamy tutaj coś jeszcze.

– Czyli pełen pakiet? – skwitował Wisting. – Nie wierzysz w zgon z przyczyn naturalnych?

Mortensen pokręcił głową.

– Gdyby to było gdzieś na odludziu, moglibyśmy założyć, że położył się pod drzewem w poszukiwaniu schronienia, ale do drogi jest góra pięćdziesiąt metrów, a do najbliższych zabudowań zaledwie kilkaset metrów.

Wisting znowu ukucnął. Mortensen miał rację.

O nieszczęśliwym wypadku też raczej nie mogło być mowy. W grę wchodziło samobójstwo. Może obok ciała znajdą pustą fiolkę po lekach? To zdecydowanie uprościłoby sprawę, ale intuicja podpowiadała mu, że nic takiego się nie zdarzy.

– Jak myślisz, jak długo tu leży?

– Od lata.

Odpowiedź zaskoczyła Wistinga. Milczał, czekając na uzasadnienie.

– Ubranie – wyjaśnił Mortensen. – Ma na sobie letnie ubranie.

Wisting podniósł się i zrobił krok do tyłu.

– Nie mamy nikogo takiego na liście – odezwał się w końcu.

– Żadnych zaginionych.

Line myślała o Viggo Hansenie. Wychowała się trzy domy dalej i dobrze go pamiętała. Zawsze było w nim coś tajemniczego. Wszystkie dzieciaki w okolicy bały się go, chociaż nie miały ku temu żadnego szczególnego powodu. Rzadko spotykano go w ciągu dnia, za to często widywano nocą. Zawsze ilekroć miała spędzić wieczór poza domem, mama upominała ją, żeby wróciła, zanim Viggo Hansen wyjdzie na spacer. Czasem stawali z Thomasem w oknie i obserwowali, jak ich sąsiad wraca do domu tuż po północy. Szedł przygarbiony, ubrany w czarny, trochę za duży płaszcz, zawsze po tej stronie ulicy, gdzie nie stały latarnie.

Mówiono, że jego matka leczyła się w psychiatryku, a ojciec siedział w więzieniu, ale Line nie wiedziała, czy w tych plotkach tkwiło ziarno prawdy.

Nie mogła się doczekać, kiedy rzuci się w wir pracy. Zanim jeszcze dostała zgodę od Sandersena, utworzyła w komputerze folder, który zatytułowała „Viggo Hansen”.

Praca nad reportażem miała zupełnie inny charakter niż ta, do której przywykła, zarówno pod względem samej tematyki czy metody zbierania materiału i jego analizy, jak też środków wyrazu. Reportaż oznaczał całkowicie odmienny sposób opisywania rzeczywistości.

Redagując informacje prasowe, używała prostego, funkcjonalnego języka. Sam przekaz również był prosty i bezpośredni. W reportażu język pełnił inną funkcję. Mogła odrobinę poeksperymentować. I chociaż nie pisała poezji, mogła siedzieć i układać zdania całymi godzinami. Mogła także poświęcić więcej czasu samej strukturze tekstu. Zawsze starała się uzyskać narracyjną płynność i nadać ludziom, o których pisała, treść i fakturę. Reportaż był takim rodzajem dziennikarstwa, który dawał możliwość głębszego ujęcia

tematu i nadania mu bardziej osobistego charakteru. Poza tym fascynowało ją to, że mogła poruszać ważne tematy społeczne i ukazywać je przez pryzmat ludzkich losów, opisów sytuacji i innych znaczących szczegółów, które same w sobie miały wielką siłę nośną.

Czuła również, że artykuły, które pisała do magazynu weekendowego, cieszyły się większym uznaniem, i to zarówno czytelników, jak i redaktora naczelnego. Dostawała pochwały od Sandersena i szefów działu informacyjnego za materiały, które dostarczała ich redakcji, ale nic nie dorównywało pełnym zachwytem komentarzom, które przysyłał jej redaktor odpowiedzialny za weekendowe wydanie gazety. Często opatrywał je uśmiechniętymi buźkami i rzędem wykrzykników. Jak dotąd nie napisała jeszcze reportażu, który nie wywołałby odzewu czytelników. Najczęściej dostawała od nich maile, ale do redakcji „VG” przychodziły również ręcznie napisane listy, z prawdziwymi znaczkami i zaadresowane na jej nazwisko. Zachowywała je wszystkie.

Napisała już wcześniej kilka portretów-wywiadów, w których starała się zrozumieć i przekazać poglądy oraz sposób myślenia innych ludzi. Co prawda wywiady przeprowadzała z żywymi osobami, ale zasada była ta sama. Chodziło o to, żeby dowiedzieć się, kim tak naprawdę byli jej rozmówcy.

Chwilowo folder „Viggo Hansen” nie zawierał zbyt wiele treści. Był tam wycinek z lokalnej gazety, w którym informowano o znalezieniu ciała mężczyzny, ale wiadomość ta nie wywołała żadnej reakcji. Nie napłynęły żadne listy od czytelników z głosami krytyki pod adresem służby zdrowia czy systemu opieki nad ludźmi w podeszłym wieku. Sprawą nie zainteresowały się ani agencje prasowe, ani duże, poczytne gazety.

Znała dziennikarza, który sporządził notatkę prasową. Nazywał się Garm Søbakken. Pracowali razem, gdy była zatrudniona na zastępstwo w lokalnej gazecie. Sprawę prawdopodobnie podchwyciłyby inne media, gdyby Garm zawarł w artykule więcej szczegółów. Krótki materiał podawał jedynie informację o tym, że zmarły mężczyzna mieszkał sam

i że leżał martwy przez długi czas, zanim znaleziono jego ciało. Można było odnieść wrażenie, że Garma najbardziej zbulwersowała postawa policji, która zdawała się wykluczać, że śmierć mężczyzny nastąpiła w wyniku przestępstwa. Dziennikarz tłumaczył, że policja zawsze podejmuje rutynowe czynności wyjaśniające w sytuacji, gdy ktoś umiera nagłą śmiercią i nie można ustalić przyczyny zgonu.

W tej samej gazecie ukazał się artykuł Søbakkena na temat kłopotów mieszkaniowych miejscowych studentów i jeszcze jeden kontynuujący sprawę gwałtu. Wyglądało na to, że miał co robić.

W okolicznościach śmierci Viggo Hansena najbardziej zainteresowało ją to, że chodziło o osobę z jej najbliższego sąsiedztwa. Widziała jego nazwisko na skrzynce pocztowej w drodze do szkoły i z powrotem, zrywała jabłka z jego ogrodu i sprzedawała mu losy na loterię na rzecz lokalnej drużyny piłki ręcznej. A jednak nie mogła dokładnie przypomnieć sobie, jak wyglądał. Pamiętała go jak przez mgłę: niskiego mężczyznę ze sterczącymi włosami i mocno zarysowaną dolną szczęką.

O śmierci Viggo Hansena dowiedziała się od ojca. Wspomnił o tym mimochodem pewnego wieczoru, gdy do niego zadzwoniła. Zadała mu pytania, których kolega dziennikarz nie zadał, i dzięki temu poznała szczegóły, które mogły uczynić z tajemniczej śmierci sprawę budzącą kontrowersje. Po pierwsze: Viggo Hansen siedział martwy w fotelu przed telewizorem od zeszłego lata. Po drugie: gdy policja dostała się do mieszkania, telewizor wciąż był włączony. To były fakty, które mogła wytluścić w główce artykułu.

Od ojca dowiedziała się również, jak to możliwe, że ciało odnaleziono dopiero po czterech miesiącach. Viggo Hansen żył w całkowitej izolacji. Nie miał żadnej rodziny, kolegów z pracy ani przyjaciół, nie prenumerował gazet i rzadko otrzymywał pocztę. Na jego koncie bankowym regularnie dokonywano transakcji. Co miesiąc wpływała emerytura, a większość rachunków była opłacana na podstawie stałego zlecenia zapłaty. Hansen był człowiekiem, który nie istniał dla otoczenia. Człowiekiem, którego wszyscy traktowali jak

powietrze.

Nagle dotarło do niej, że nie może napisać artykułu, który dotyczyłby wyłącznie zewnętrznych okoliczności jego śmierci, samotności i życia w całkowitym odosobnieniu. Czuliła, że musi napisać reportaż o prawdziwym Viggo Hansenie. Dzięki temu ludzie mogliby dowiedzieć się, kim był, skoro nie mieli okazji poznać go za życia.

Zaczynanie takiego projektu przypomina zagłądanie przez dziurkę od klucza, pomyślała. Na początku widać tylko tę część pokoju, która znajduje się w zasięgu wzroku, chociaż wiadomo, że pomieszczenie zawiera nieskończenie więcej elementów.

W czasie pracy nad tą sprawą zamierzała mieszkać u ojca. Musiała wyciągnąć od niego dodatkowe informacje. Co prawda ojciec był o osiem lat młodszy od Viggo Hansena, ale mógł znać osoby, które miały z nim bliższy kontakt. Poza tym mógłby potwierdzić, czy matka Hansena leczyła się w szpitalu psychiatrycznym i czy jego ojciec siedział w więzieniu.

Otworzyła nowy dokument i odnalazła szablon listu z logo „VG”. Jeśli miało się jej udać, potrzebowała również informacji z oficjalnego źródła. W nagłówku napisała: „Prośba o wgląd w akta sprawy karnej”. Już wcześniej pisała tego rodzaju pisma i dawała któremuś z szefów działu do podpisu. Spojrzała na tytuł i usunęła słowo „karnej”. To była zupełnie inna sprawa niż te, nad którymi zwykle pracowała. Tym razem nie prowadziła dziennikarskiego śledztwa.

Przedstawiła ideę artykułu, argumentując, że reportaż ma uwidocznić zanikanie poczucia wspólnoty w społeczeństwie i narastanie znieczulicy. Na końcu poprosiła również o zgodę na wejście do domu Viggo Hansena. Policja prawdopodobnie odeśle ją do władz gminy, która w takich wypadkach formalnie zarządzała masą spadkową, ale wiedziała, że łatwiej jej będzie otrzymać takie pozwolenie, jeśli policja nie wniesie zastrzeżeń.

Gdy pismo było gotowe, odchyliła się wygodnie w fotelu i założyła ręce za głowę. Za oknem padał gęsty śnieg. Odkąd wyjechała do pracy, musiało spaść prawie pół metra. Sandersen na pewno już zlecił któremuś z dziennikarzy napisanie artykułu na temat chaosu spowodowanego śnieżycą.

Wyprostowała plecy i wzięła do ręki telefon komórkowy. Wybrała numer ojca. Chciała mu powiedzieć, że przez kilka dni będzie u niego mieszkać, ale ojciec nie odbierał. Zerknęła na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej. Zapewne zdążył już zasnąć na kanapie, pomyślała.

Wisting stał przy oknie w sali konferencyjnej znajdującej się na pierwszym piętrze komendy policji i spoglądał w dół. Latarnie rzucały blade kręgi światła. Przysypane śniegiem miasto wydawało się przytulniejsze niż zwykle.

Pierwszy zjawił się Nils Hammer. Usiadł w milczeniu na swoim stałym miejscu na rogu długiego stołu, chwycił plastikowy kubek i wyciągnął silną dłoń po dzbanek z kawą. Hammer był nieustraszonym oficerem śledczym. Można było na nim polegać, poza tym był uczciwy i pracowity, a do tego stoicko cierpliwy i łagodny. Od czasu do czasu w porze lunchu wywoływał gorące dyskusje. Był z całą pewnością najmniej poprawnym politycznie członkiem zespołu i Wisting podejrzewał, że Hammer czerpie jakąś dziwną radość z drażnienia współpracowników.

Pozostali przyszli razem. Torunn Borg, Christine Thiis i Benjamin Fjeld. To byli wszyscy.

Zaledwie kilka lat temu zawiadomienie o tak poważnym zdarzeniu, jak zabójstwo, brutalny napad, uszkodzenie ciała czy jak w tym wypadku – odnalezienie zwłok, sprawiało, że z łatwością można było utworzyć zespół dochodzeniowy złożony z co najmniej dziesięciu policjantów. Dzisiaj śledczych zebranych wokół stołu można było policzyć na palcach jednej ręki.

Benjamin Fjeld był najmłodszy i najmniej doświadczony. Ten niebieskooki, krótko ostrzyżony blondyn jako świeżo upieczony policjant miał doskonale wyćwiczone ciało. Odbył szkolenie w wydziale i od jakiegoś czasu należał do stałych członków zespołu. Był zdolny i zaangażowany, miał dobre oko do szczegółów i nie bał się ciężkiej pracy.

Torunn Borg miała tak samo długie doświadczenie zawodowe jak Wisting. Była najbardziej skrupulatna

i systematyczna z nich wszystkich, odznaczała się niezwykłą zdolnością logicznego myślenia i dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych, co często miało decydujące znaczenie dla wyniku śledztwa.

Christine Thiis była prawniczką z zaledwie rocznym stażem w wydziale, jednak Wisting zdążył się przekonać, że Thiis ma przenikliwy umysł i potrafi właściwie ocenić sytuację. Być może jej wiedza z zakresu psychologii i nauki o człowieku przewyższała znajomość technik śledczych, ale tak czy inaczej była zdolnym adwokatem policyjnym.

Wisting zajął miejsce na końcu stołu i położył przed sobą notes.

– Cieszę się, że udało wam się przyjść mimo późnej pory – zaczął. – Nie wiemy jeszcze dokładnie, z czym mamy do czynienia, ale ważne, żebyśmy już się tym zajęli.

– Co już wiemy? – spytał Hammer, przygryzając brzeg plastikowego kubka.

Wisting rozłożył mapę i pochylił się nad stołem, żeby wskazać kolegom miejsce znalezienia zwłok. Powiódł palcem wzdłuż Brunlanesveien w kierunku Helgeroa. Przy Hallevannet odszukał właściwy zjazd i jasnozielony zakresowany obszar. Sięgnął po długopis i postawił krzyżyk w miejscu, w którym znaleziono ciało.

– Sądząc po obuwiu i ubraniu, mamy podstawy sądzić, że są to zwłoki mężczyzny – odpowiedział, siadając. – I że leżały tam od lata.

– I nie mamy żadnych zgłoszeń o zaginionych, którzy spełnialiby te warunki? – upewniła się Christine Thiis.

Wisting przytaknął.

– Latem przyjeżdża tu około czterdziestu tysięcy turystów – przypomniał Hammer. – Może powinniśmy rozszerzyć zakres poszukiwań?

– Już to zrobiliśmy – wyjaśniła Torunn Borg i z pliku dokumentów leżących przed nią na stole wyciągnęła wydruk z komputera. – Dużo nam to jednak nie dało. W połowie lipca dwóch niemieckich turystów zaginęło podczas wyprawy na ryby w Vestlandet, odnaleziono tylko jednego z nich. Poza tym

zgłoszono zaginięcie pieszego turysty z Holandii, który przemierzał Hardangervidda.

Wisting spojrzął na zegarek.

– Mortensen wróci niedługo z miejsca zdarzenia – powiedział i zapisał w notesie skrót „ID”. Identyfikacja zwłok. Bez ustalenia tożsamości ofiary trudno byłoby im dalej prowadzić sprawę. – Może dowiemy się od niego czegoś więcej.

– Jak się czuje chłopiec, który znalazł ciało? – spytała Christine Thiis.

– Ojciec się nim zajął – odparł Wisting. – Zdaje się, że jest wykładowcą akademickim. W każdym razie odmówił przyjęcia profesjonalnej pomocy. Mam nadzieję, że chłopcu nic nie będzie.

– Czy media już wiedzą? – spytał Hammer.

Christine Thiis skinęła głową. To ona decydowała o wniesieniu aktu oskarżenia i zapytania od mediów były kierowane głównie do niej.

– Dopóki nie mamy pewności, że jest sprawa, przyjmują postawę wyczekującą – wyjaśniła. – W końcu wiele wskazuje na to, że może chodzić o samobójstwo.

Hammer zgodził się z nią.

– Już to przerabialiśmy. Zdarza się, że zabierają ze sobą fiołki z lekami i idą do lasu.

Pozostali przytaknęli.

– Poza tym to raczej dziwne miejsce na ukrycie zwłok – stwierdził Benjamin Fjeld, przyciągając do siebie mapę. Odległość od krzyżyka, który postawił Wisting, do zabudowań gospodarskich wynosiła zaledwie kilkaset metrów.

– Zwłoki nie były całkowicie ukryte, więc prędzej czy później zostałyby znalezione.

– Kto mieszka w tym gospodarstwie? – spytała Thiis.

Wisting zajął się notatek.

– Per i Supattra Halle.

– Supattra?

– Jego żona pochodzi z Tajlandii. To ona odpowiada za choinki.

Hammer wywrócił oczy do nieba, ale nic nie powiedział.

– Policjanci już z nimi rozmawiali, ale to nic nie dało – wyjaśnił Wisting. – Mają zgłosić się jutro na komendę, żeby złożyć wyjaśnienia, ale podobno nie pamiętają, żeby latem wydarzyło się coś szczególnego, co mogłoby mieć związek ze znalezieniem ciała.

– Kiedy sekcja?

– Jutro przed południem. Przy odrobinie szczęścia nowy system kamer zadziała i będziemy mogli stąd przyglądać się sekcji.

Hammer sięgnął po dzbanek i dołał sobie kawy.

– To dziwne – powiedział. – Że nie mamy go na liście zaginionych. Skoro leżał tam od lata, to chyba ktoś powinien zgłosić jego zaginięcie?

Wisting wziął do ręki czysty kubek, nie mówiąc ani słowa. Jego to już nie dziwiło. Istnieli ludzie niewidoczni dla otoczenia. Tylko jedno się nie zgadzało: dlaczego ktoś miałby życzyć im śmierci?

Zostawił telefon komórkowy w pracy. Miał jedno nieodebrane połączenie od Line i dwa od Espena Mortensena. Młody technik kryminalistyki przysłał mu także esemesa z wiadomością, że ciało zostało przewiezione do prosektorium i że coś przy nim znalazł. Napisał, że zjawi się w komendzie przed wpół do dziesiątej. A więc zostało jeszcze trzydzieści minut.

Wistinga kusilo, żeby zadzwonić i zapytać, o co chodzi. Może po podniesieniu zwłok znaleźli fiolkę z lekami albo może nawet portfel z dowodem tożsamości?

Postanowił, że do Line oddzwoni później. Zwykle telefonowała do niego wtedy, gdy w redakcji panował spokój, żeby spytać, jak się czuje i co robi. Tym razem wołał nie poruszać tego tematu. Sprawa znalezienia zwłok jeszcze nie przedostała się do mediów, z czego był zadowolony. I tak nie mogliby udzielić im żadnej odpowiedzi.

Ziewnął. Czuł się zmęczony. To pewnie przez te opady śniegu, pomyślał. Duże włochate płatki tańczyły za oknem.

Za dziesięć dziesiąta Espen Mortensen wszedł do gabinetu. Godziny spędzone na dworze sprawiły, że jego twarz nabrała zdrowego wyglądu. Na włosach leżał roztopiony śnieg. W jednej dłoni trzymał filiżankę gorącej kawy, w drugiej małe pudełko, a przez ramię miał przewieszony aparat fotograficzny.

– Odesłaliśmy ciało – powiedział, siadając w fotelu dla gości.
– Sekcja jutro przed południem.
– Co znaleźliście? – niecierpliwiał się Wisting.

Mortensen położył na biurku pudełko.

– Zanim go zabrali, przejrzelismy jego kieszenie – zaczął.

– Portfel? – spytał Wisting, mając nadzieję, że zaraz pozna nazwisko zmarłego.

Mortensen potrząsnął głową.

– Klucze? – próbował zgadnąć Wisting. Wiedział z doświadczenia, że klucze systemowe wystarczą, żeby poznać adres.

– Nie.

Mortensen otworzył wieko pudełka, wyjął torebkę z przezroczystego plastiku i położył ją na biurku. Wisting pochylił się nad blatem. Wewnątrz znajdowała się druga przezroczysta torebka, a w niej wymięte kartki połyskującego papieru. Folder reklamowy. Na przedniej stronie widniało zdjęcie statku z dużymi żaglami, a pod nim wydrukowany napis „Elida” i „Sailing for Jesus”.

Wisting ostrożnie uniósł plastikową torebkę.

– Co to jest? – spytał. – „Zapraszamy do Hamnen na cztery nabożeństwa z «Elidą!»” – przeczytał na odwrocie. – „Gwarantujemy muzykę na żywo i opowieści o życiu prosto z pokładu statku”.

– To jest reklamówka szwedzkiej grupy neokatechumenalnej – wyjaśnił Mortensen. – Przedstawiają „Elidę” jako pływający kościół. Podróżują po świecie i nauczają o Jezusie.

– Przeglądałeś ją? – spytał Wisting, machając torebką z broszurą reklamową.

– Sprawdziłem w Internecie – wyjaśnił Mortensen. – Byli w Norwegii na letnim tournée w pierwszej połowie sierpnia. Pierwszy przystanek mieli w Stavern. Statek był tam zacumowany dziewiątego sierpnia, zanim popłynęli dalej, do Stavanger.

Wisting próbował pozbierać myśli. Nie sądził, aby zmarły mężczyzna mógł być członkiem załogi pływającego kościoła. Zgłoszenie zaginięcia obywatela Szwecji na pewno zostałyby zarejestrowane w norweskim systemie, gdyby mężczyzna rzeczywiście zaginął z pokładu zagranicznej jednostki cumującej w norweskim porcie.

Odłożył opakowanie z materiałem dowodowym i przełożył cztery kartki do tyłu w kalendarzu stojącym na biurku. Minął dni, kiedy zawieszony w czynnościach służbowych szukał rozwiązania zagadki zaginięcia sprzed siedemnastu lat, i spojrzął na dni późnego lata, gdy jeszcze był z Suzanne.

Pracował, ale nie miał zbyt wielu umówionych spotkań. W rubryce na samym dole środy, dziesiątego sierpnia, miał zanotowane „Letni koncert”. Pamiętał, że był ciepły wieczór i że razem z Suzanne wybrali się na koncert jazzowy w Bøkeskogen. Od tamtej pory minęły już cztery miesiące, w czasie których znowu został singlem. I przez te cztery miesiące nieznaną mężczyzna leżał pod jodłą na terenie gospodarstwa w Halle.

Folder reklamowy dawał im punkt zaczepienia i określał ramy czasowe. Mężczyzna najprawdopodobniej wszedł w jego posiadanie po dziewiątym sierpnia, gdy statek zacumował w Stavern. To była pierwsza namacalna rzecz, jaką mieli – i pierwszy postęp w śledztwie.

Jeszcze raz podniósł torebkę i dokładnie przyjrzał się jej zawartości. Wewnętrzna plastikowa torebka przypominała opakowanie na materiał dowodowy, których sami używali, ale była wyblakła i mocno zniszczona.

– Znaleźliśmy ją w wewnętrznej kieszeni marynarki – wyjaśnił Mortensen.

Wisting chciał się upewnić, że dobrze go rozumiał:

– Reklamówka „Elidy” leżała w plastikowej torebce w wewnętrznej kieszeni jego marynarki? – powtórzył.

Mortensen skinął głową.

– Nie pytaj mnie dlaczego. Ale to pozwala mieć nadzieję, że na folii są odciski palców.

Wisting przyglądał się przez chwilę torebce. Powoli kielkowało w nim pytanie, dlaczego zmarły mężczyzna zatrzymał ulotkę reklamową, ale nie zadał go na głos.

– Coś jeszcze? – spytał, odkładając torebkę.

Espen Mortensen schylił się po aparat fotograficzny, który po wejściu do gabinetu odłożył na podłogę obok krzesła.

– Na razie trudno powiedzieć, jakie to może mieć znaczenie – zaczął – ale zrobiłem trochę zdjęć.

Nacisnął kilka przycisków, chwycił obiektyw i skierował wyświetlacz w stronę Wistinga.

Mężczyzna został obrócony i leżał teraz na plecach. Większa część twarzy była pozbawiona skóry i tkanki. W miejscach, w których kiedyś znajdowały się oczy, nos i usta, teraz zionęły

czarne dziury. Za to część lewego policzka i część ucha, które leżały zwrócone do ziemi, pozostały nietknięte.

Nie do rozpoznania, pomyślał Wisting. A jednak były to bez wątpienia szczątki ludzkie.

Mortensen pominął kilka zdjęć i zatrzymał się na zbliżeniu prawej dłoni zmarłego. Dłoń leżała schowana pod klatką piersiową i była stosunkowo dobrze zachowana, chociaż nie na tyle, żeby można było pobrać odciski z opuszków palców. Łykowate, wysuszone fragmenty skóry leżały wokół kawałków kości. Żadnych pierścionków ani zegarka, zauważył Wisting. Czarne palce pozbawione paznokci były zaciśnięte w pięść, jakby dłoń zeszywniała wokół czegoś, czego nawet w chwili śmierci nie chciała wypuścić.

Wisting nachylił się i mrużąc oczy, przyjrzał się uważnie zdjęciu. Spomiędzy zaciśniętych palców coś wystawało. Podniósł wzrok na technika, szukając potwierdzenia.

– Włosy – przytaknął Mortensen.

Na kolejnym zdjęciu widać to było jeszcze wyraźniej. W pięści zmarłego mężczyzny tkwiło kilka jasnych włosów.

Wisting odchylił się do tyłu na krześle. Wiedział, że Mortensen doszedł do tego samego wniosku, co on. Mężczyzna na zdjęciu rozegrał walkę na śmierć i życie. Przegrał, ale przed śmiercią stawiał zabójcy opór.

Line budziła się powoli. Leżąc, wsłuchiwała się w przytłumione dźwięki dobiegające od strony ulicy. W końcu odsunęła kołdrę i spuściła nogi z łóżka. Podłoga była zimna. Zanim powlokła się do kuchni, walcząc z resztkami snu, włożyła skarpety z grubej wełny.

Na białej skórze pojawiła się gęsia skórka. Zasłoniła piersi lewym ramieniem i podeszła do okna, żeby zobaczyć, ile śniegu napadało w ciągu nocy. Musiało przestać śnieżyć kilka godzin po tym, jak położyła się spać, ale i tak spadło dobrze ponad pół metra. Ledwo mogła dostrzec swój samochód stojący przy krawędzi chodnika. Pracujące w nocy pługi zamieniły go w śnieżny pakunek. Jedna z mniejszych maszyn odgarniała właśnie śnieg z chodnika. Jakiś mężczyzna z psem odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. Line stała przy oknie i przyglądała się migającej lampce na dachu minipługa, która rzucała żółte kręgi światła na ściany domów. Nawet nie zauważyła, kiedy szyba zaparowała od jej oddechu.

Szare chmury wisiały nisko nad ziemią. Termometr za oknem pokazywał jeden stopień mrozu. To oznaczało, że śnieg jest ciężki i mokry. Nastawiła ekspres do kawy. Miała nadzieję, że któryś z sąsiadów parkujących przed jej autem lub za nim wyjedzie do pracy wcześniej niż ona. Po namyśle doszła do wniosku, że nie ma sensu brać prysznic, zanim nie odśnieży samochodu. Czekając na kawę, włożyła grubego sweter. Właściwie to był sweter Tommy'ego. Zostawił go tutaj ponad rok temu, gdy się od niej wyprowadzał. Od tamtej pory spotkali się wiele razy, więc miała mnóstwo okazji, żeby mu go zwrócić, ale coś ją powstrzymywało. Chociaż Tommy miał go na sobie wieki temu, wciąż jej się wydawało, że czuje jego zapach. Gdy tęsknota stawała się trudna do zniesienia, wkładała jego sweter, co i tak było o wiele lepsze, niż gdyby miała do niego

dzwonić. Sweter sprawiał, że jej uczucie do niego nie gasło, ale nie miało to wpływu na decyzję, którą podjęła: Tommy Kvanter nie był mężczyzną, z którym chciała dzielić życie. Zależało jej na założeniu rodziny, potrzebowała kogoś, na kim mogłaby polegać, kogoś odpowiedzialnego i budzącego zaufanie. Tommy nie spełniał żadnego z tych kryteriów. Był czarujący i beztrocki. Wiedziała, że nie był tym, kogo szukała. Sweter miał dla niej wartość sentymentalną. Postanowiła, że go zatrzyma, dopóki w jej życiu nie pojawi się ktoś inny. Dopiero wtedy się go pozbędzie.

Ekspres do kawy mruczał cicho, wyrzucając z siebie kłęby pary. Postawiła pełną filiżankę na stole kuchennym, usiadła na krześle i objęła ją obiema dłońmi. W mieszkaniu było chłodno.

Otworzyła laptop i rzuciła okiem na pierwszą stronę internetowego wydania gazety. „Dalsze opady śniegu”, brzmiał tytuł głównego artykułu. Nie była w stanie czytać kolejny raz o pogodzie, więc zamiast tego sprawdziła pocztę.

Otrzymała odpowiedź na pytanie, które zadała jednemu z dziennikarzy działu faktu. Informacje uzyskane z urzędu do spraw ewidencji ludności potwierdzały to, o czym mówił ojciec, że Viggo Hansen nie miał żadnej rodziny. Urodził się w Stavern w lutym 1950 roku i mieszkał na Herman Wildenveys gate od 1964, to jest od roku, w którym wybudowano dom. W rejestrze odnotowano, że ojciec Viggo Hansena zmarł w 1969, matka zaś zmarła, gdy Viggo miał dwadzieścia cztery lata. Nikt inny nie był tam nigdy zameldowany. Gdzie mieszkał przez pierwszych czternaście lat życia, tego nie udało się ustalić. Line wiedziała, że starsze dane osobowe nie są przechowywane w formie elektronicznej, lecz tylko w papierowej, i dlatego jeśli chciała je zdobyć, musiała przeszukać archiwum. Ale skoro Viggo Hansen przyszedł na świat w Stavern, można było przypuszczać, że mieszkał w tej okolicy od urodzenia.

Z doświadczenia wiedziała, że to ludzie są najlepszym źródłem informacji. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie zrobiła poprzedniego wieczoru, było przejrzenie list podatkowych. Wyszukała mieszkańców Stavern, którzy byli w wieku Viggo Hansena. Lista zawierała więcej znanych nazwisk, ludzi, którzy

mieszkali w Stavern od zawsze i musieli wiedzieć coś na temat Hansena. Jednym z nich był artysta, z którym przeprowadzała wywiad w związku z wystawą w czasach, gdy pracowała w lokalnej gazecie. Poza tym na liście znajdowało się nazwisko adwokata Realfsena i emerytowanej nauczycielki.

Artysta nazywał się Eivind Aske. Wpisała nazwisko do przeglądarki i odnalazła jego stronę internetową. Był rysownikiem, malarzem i grafikiem i posiadał własną galerię, atelier i drukarnię w Stavern. Rozpoznała rysunki, które pojawiły się na ekranie, charakterystyczną dla niego miękka i delikatną kreskę. Były to głównie portrety dzieci wykonane ciemną kredką.

U dołu strony znajdował się numer telefonu i adres mailowy. Zadzwoiła. Odebrał niemal natychmiast.

Line przedstawiła się i wyjaśniła, że kilka lat temu przeprowadzała z nim wywiad, a teraz pracuje w „VG”. Eivind Aske zapewnił, że pamięta tamten wywiad, i zapytał, w czym może jej pomóc.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań dotyczących Viggo Hansena.

– Kogo?

– Viggo Hansena – powtórzyła. – On już nie żyje, ale był w pana wieku, więc zastanawiałam się, czy przypadkiem nie chodziliście razem do szkoły.

Zapadła cisza. Mężczyzna po drugiej stronie zamilkł. W tym czasie Line próbowała odpowiedzieć sobie w myślach na pytanie, czy pamięta wszystkich swoich kolegów z klasy, z którymi chodziła do szkoły podstawowej i gimnazjum przez dziewięć lat. Było ich w klasie ponad dwadzieścioro. Gdyby poproszono ją o sporządzenie z pamięci listy nazwisk, prawdopodobnie zapomniałaby wymienić niektórych uczniów, ale przypominałaby ich sobie, gdyby usłyszała ich nazwiska. Przynajmniej większość z nich.

– Viggo Hansen – odezwał się głos w słuchawce. Mężczyzna powtórzył to nazwisko, jakby się nim delektował. – Tak, pamiętam go. Mały wątył chłopiec. Zdaje się, że często chorował. W każdym razie opuszczał dużo lekcji. Obawiam się,

że to chyba wszystko, co pamiętam.

– Czy mogłabym mimo wszystko spotkać się z panem dziś po południu? – zaproponowała Line.

– Dzisiaj aż do wieczora nie będzie mnie w domu, ale może pani odwiedzić mnie jutro po szesnastej.

– W takim razie umówmy się na czwartą, dobrze?

– Godzina czwarta – potwierdził Eivind Aske. – Była tu pani już kiedyś, więc zna pani drogę.

Line zakończyła rozmowę. Chwilowo musiała zadowolić się tym jednym umówionym spotkaniem. Miała nadzieję, że Eivind Aske poda jej nazwiska osób, które mogły znać Viggo Hansena lepiej niż on sam. Wolała poczekać do jutra, niż marnować czas na spotkania, które być może nie wniosłyby niczego nowego do sprawy.

Wyjęła czystą kartkę i narysowała tę część ulicy, gdzie kiedyś mieszkała. Ulica wiodła w dół od dawnego zbiornika wodnego. Pod koniec robiła łuk i stykała się z Tyrihansveien, która biegła równoległe do niej po stronie północnej. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślała, ale te dwie ulice tworzyły coś w rodzaju wydłużonej podkowy. Do domów po obu stronach przylegały duże zalesione działki, które graniczyły z terenami rekreacyjnymi.

Umieściła dom ojca na Herman Wildenveys gate pod numerem siódmym, po czym narysowała dom Viggo Hansena nieco niżej, na łukowatym zakręcie po drugiej stronie ulicy, pod numerem czwartym.

Następnie naszkicowała pozostałe domy, wpisując do nich nazwiska osób, które w nich mieszkały, potem zaś zaznaczyła strzałkami, którzy z sąsiadów wyprowadzili się stamtąd, a którzy się tam wprowadzili.

Zacznę od tych, którzy mieszkają najbliżej, pomyślała, i po kolei sprawdzę wszystkich.

Najbliższą sąsiadką była Greta Tisler spod dwójki. Była wdową i nie miała dzieci. W domu naprzeciwko wychowali się Silje Brunvall i jej brat Steinar. Steinar chodził z Line do tej samej klasy, a Silje była o trzy lata młodsza. Ich rodzice nazywali się Tor i Marianne. Zdaje się, że Steinar przejął dom

po rodzicach, przypomniała sobie. Sprawdziła w książce telefonicznej. Zgadza się. Steinar mieszkał z kobietą o imieniu Ida. Nie znalazła jednak żadnej informacji na temat jego rodziców.

Dziwnie będzie spotkać Steinara po tylu latach, pomyślała. W szkole byli parą, głównie dlatego, że Steinar był jedynym chłopcem w jej wieku mieszkającym na tej samej ulicy co ona. Był pierwszym chłopcem, z którym się całowała, i pierwszym, który dotykał jej piersi. To się wydarzyło na górze w pobliżu autostrady, zanim zaczęła nosić stanik. Była tam mała chatka ukryta między drzewami, tak ciasna, że dwie osoby z trudem mogły się w niej pomieścić. Leżeli tuż obok siebie i niby przypadkiem musnęli się wargami. Steinar położył rękę na jej piersi, na swetrze, a potem zaczął podciągać go do góry, aż w końcu mógł je zobaczyć. Miała wtedy dwanaście albo trzynaście lat i nie wiadomo, co jeszcze mogłoby się wydarzyć, gdyby nie zjawiała się jego siostra.

Błądziła myślami dalej. Gdzie Viggo Hansen był tamtego dnia? Czy kiedykolwiek dotykał w ten sposób jakiejś dziewczyny albo kobiety? Trudno było wyobrazić sobie, że można iść przez życie, nie dzieląc go z nikim w jakikolwiek sposób.

Dopiła resztkę kawy, wstała i podeszła z telefonem komórkowym do okna. Jeden z sąsiadów właśnie odśnieżał samochód, który stał zaparkowany przed jej autem.

Wybrała numer do ojca i przyłożyła dłoń do zimnej szyby, czekając, aż odbierze telefon.

– Cześć – odpowiedział. – Jadę właśnie na spotkanie.

Line odwróciła się, oparła plecami o parapet i spojrzała na notatki leżące na kuchennym stole.

– Dzwonię tylko po to, żeby ci powiedzieć, że dzisiaj przyjeżdżam – wyjaśniła. – Pomieszkać w domu przez kilka dni.

– Tak? – zdziwił się ojciec. – Dlaczego?

– Nie pasuje ci?

– Oczywiście, że pasuje. Po prostu nie spodziewałem się widzieć cię przed świętami.

– Piszę artykuł o Viggo Hansenie – wyjaśniła.

– Dla „VG”? Z jakiego powodu?

Line nie odpowiedziała.

– Znałeś go? – spytała zamiast tego.

– Kłanialiśmy się sobie.

– Tak, ale czy wiesz coś o nim?

Cisza.

– Jadę na spotkanie – powtórzył ojciec.

– Zdaje się, że tak naprawdę nikt go nie znał – powiedziała.

– I dlatego chcę o nim napisać. O tym, jak to jest możliwe, żeby przez całe życie być aż tak samotnym.

Znowu zapadła cisza. Wyglądało na to, że ojciec zrozumiał, do czego zmierzała.

– To może być interesujący temat – powiedział po namyśle.

– Ale czy to nie jest zbyt osobista sprawa?

– Jak to?

– W końcu chodzi o naszego sąsiada. Ty też byłaś jedną z osób, które mieszkały tuż obok, a jednak go nie znały.

Line usiadła przy stole w kuchni. Już o tym myślała. O tym, że również przez nią Viggo Hansen był samotny. Czowała, że może być jej trudno zachować obiektywizm, ale nie widziała w tym nic złego. Wiedziała, że czeka ją prawdziwe wyzwanie. Zupełnie tak, jakby znowu pracowała dla lokalnej gazety i znała osobiście lub choćby ze słyszenia ludzi, o których pisze.

– Zwróciłam się do Christine Thiis z prośbą o wgląd w dokumentację sprawy – wyjaśniła i odszukała kopię wiadomości. – Możesz ją zapytać, czy dostała mój mail? Jak chcesz, mogę ci przesłać kopię.

– To nie jest sprawa karna – zaprotestował ojciec. Słyszała, że rozmawia z nią, idąc.

– Wiem o tym – odparła. – Próbuję tylko ustalić, kim był. Zapytasz ją?

– Zrobię to, ale teraz nie mogę już dłużej z tobą rozmawiać. Do zobaczenia wieczorem.

Wisting wszedł do sali konferencyjnej i odłożył telefon na stół. Zdążył zapomnieć o Viggo Hansenie. Dokumenty leżały na biurku w jego gabinecie. Wolał, żeby Line nie oglądała niektórych zdjęć, ale znał ją i wiedział, że nie ustąpi, dopóki nie dostanie całej teczki.

Espen Mortensen był już na miejscu i właśnie łączył się z salą prosektoryjną zakładu medycyny sądowej w Oslo. Wisting wpatrywał się pustym wzrokiem w obraz kontrolny.

Jego myśli zaczęły krążyć wokół Viggo Hansena. To właśnie takie mało znaczące zbiegi okoliczności często nie dawały mu spokoju. NN i Viggo Hansen leżeli martwi tak samo długo. Nikt za nimi nie tęsknił. Na pierwszy rzut oka nic tych spraw nie łączyło, ale zawodowa podejrzliwość nie pozwalała Wistingowi na tym poprzestać. Nils Hammer wszedł do środka, zajął swoje stałe miejsce i powiedział, że nienawidzi śniegu, po czym zażył odrobinę snusu.

Ostatnią osobą, która miała obserwować sekcję zwłok za pomocą wideokonferencji, była Christine Thiis. Przyniosła okazały plik dokumentów, które rozłożyła przed sobą na stole.

– Już wiedzą – powiedziała, siadając na krześle. – Właśnie rozmawiałam z lokalną gazetą.

– I dobrze – skomentował Wisting. – Będziemy ich potrzebować.

– Co im powiedziałaś? – chciał się dowiedzieć Hammer.

– Niewiele – odparła Thiis. – W końcu sami niewiele wiemy. W lesie w pobliżu gospodarstwa Halle znaleziono zwłoki, które leżały tam przed długi czas. Chwilowo nie jesteśmy w stanie określić ani płci, ani wieku zmarłej osoby. Myślą tak jak my, że chodzi o czyjąś osobistą tragedię.

Wisting skinął głową. To oznaczało, że dziennikarze zachowają spokój, tak jak w wypadku śmierci Viggo Hansena.

– Dobrze byłoby porozmawiać z nimi teraz – skomentował Hammer, wskazując na duży płaski ekran. – Za godzinę prawdopodobnie będziemy wiedzieli dużo więcej.

– Na pewno niedługo znowu się odezwą.

Wisting również zajął miejsce. Na ekranie telewizyjnym pojawiły się obrazy z sali prosektoryjnej. Silne światło sufitowe odbijało się w białych kafelkach, którymi wyłożone były ściany, i w sterylnych metalowych ławach.

Wciąż nie przyzwyczał się do tej formy przekazu telewizyjnego. Telewizja kojarzyła mu się z rozrywką, więc czuł się dziwnie, siedząc i patrząc, jak lekarze medycyny sądowej rozcinają ciało człowieka – i to w dodatku na żywo. Ale taka forma komunikacji była bardzo praktyczna. Wcześniej musieli zadowolić się rozmową telefoniczną i lakonicznym protokołem posekcyjnym przesyłanym faksem. Dzięki nowym wytycznym mogli zadawać pytania bezpośrednio lekarzowi przeprowadzającemu sekcję i od razu otrzymywali odpowiedź.

W sali, z której dokonywano transmisji telewizyjnej, znajdowały się trzy osoby: lekarz medycyny sądowej i jego asystent, obaj w zielonych kitlach, maseczkach na twarzy, rękawiczkach i żółtych plastikowych fartuchach, oraz technik kryminalistyki z Kripos¹ w swoim tradycyjnym białym kombinezonie. Z papierów wynikało, że biegły z Kripos nazywał się Jon Berge. Wisting znał jego nazwisko z niezliczonych raportów, ale nigdy go nie widział.

Czwarty mężczyzna wszedł do sali, wioząc na wózku coś, co kształtem przypominało ludzkie ciało i było zapakowane w biały plastikowy worek. Słyszeli echo jego kroków, gdy dojeżdżał na miejsce.

– Jesteście gotowi? – spytał Jon Berge i zerknął na kamerę.

– Jesteśmy gotowi – potwierdził Wisting.

Komunikacja dźwiękowa była możliwa w obie strony, ale obraz był przesyłany tylko w jednym kierunku.

¹ Kripos – do 1 stycznia 2005 roku Centrala Policji Kryminalnej, obecnie Centralna Jednostka ds. Przestępczości Zorganizowanej i Przestępstw o Dużej Szkodliwości Społecznej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Asystent przysunął stół z instrumentami i przykleił etykiety do pustych probówek. Lekarz rozpiął zamek błyskawiczny w worku do przewozu zwłok i rozchylił go na boki. Usunął kilka poplamionych prześcieradeł i skierował jaskrawe światło lampy na zmasakrowane ciało.

Wisting widział, jak obecni na sali zareagowali na zapach, który musiał być wyjątkowo intensywny po tym, jak zamrożone ciało zaczęło tajać.

Do prawej ręki zmarłego przyczepiona była plastikowa torebka w celu zaznaczenia dłoni, która zacisnęła się wokół kilku włosów. Do wielu fragmentów ubrania Mortensen przykleił szeroką przezroczystą taśmę, żeby zabezpieczyć ewentualne ślady zostawione przez sprawcę. Włosy, włókna materiału, naskórek, pot, krew i łyzy.

Lekarz podał czas i miejsce nagrania oraz wymienił nazwiska osób uczestniczących w sekcji.

– Niezidentyfikowane zwłoki zostały dostarczone do zakładu medycyny sądowej przy Instytucie Zdrowia Publicznego, ubrane w brązową marynarkę, koszulę, jasne spodnie i brązowe skórzane buty – mówił dalej. – Dokładniejsze oględziny odzieży pozostawia się technikom kryminalistyki.

Jon Berge wykonał zdjęcie sytuacyjne.

– Ciało jest w stanie daleko posuniętego rozkładu, ale nie osiągnęło końcowego stadium gnicia – stwierdził lekarz. – Resztki naskórka są brązowo-czarne. Stwierdza się również obecność licznych krateropodobnych lezji wielkości łebka od szpilki, które najprawdopodobniej są wynikiem ataku mrówek i chrząszczy. Uszkodzenia spowodowane przez większe zwierzęta są również widoczne i mają formę centymetrowych nieregularnych lezji w odsłoniętych tkankach miękkich, takich jak kark i stawy skokowe. Inwazja larw much wydaje się ograniczona.

Odchrząknął i mówił dalej:

– Lewa ręka jest wyprostowana i leży wzdłuż ciała. Prawa ręka jest zgięta w stawie łokciowym i spoczywa na klatce piersiowej. Dłoń jest zaciśnięta i wygląda tak, jakby wewnątrz niej coś się znajdowało.

Błysk kamery oświetlił przez moment ciało. Lekarz kontynuował zewnętrzne oględziny. Usunął plastikową torebkę zawieszoną wokół prawej dłoni zmarłego i wyprostował kciuk i palec wskazujący.

– W prawej dłoni zabezpieczono włókna włosów – stwierdził i dopilnował, żeby zrobiono zdjęcia materiału. Dopiero wtedy wyprostował ostatnie trzy palce. – Wierzch dłoni pokrywa brązowo-czarny nalot – mówił dalej. – Możliwe, że jest to zakrzepła krew. W skrzepie znajduje się łącznie sześć zlepionych włosów.

Włosy, jeden po drugim, zostały usunięte pęsetą i włożone do próbek. Następnie pobrano próbkę tego, co prawdopodobnie było krwią. Dłoń została opłukana do czysta i nie stwierdzono na niej żadnych uszkodzeń.

– W takim razie kontynuujemy – oświadczył patomorfolog i poprosił asystenta o zdjęcie zmarłemu butów.

Ten zsunął je ze stóp denata i przekazał biegłemu z Kripas.

– Wolverine – odczytał z podeszwy buta. – Rozmiar jedenaste i pół.

– To nie jest europejska miara – skomentowała Christine Thiis.

Espen Mortensen wpisał nazwę producenta do przeglądarki w komputerze.

– Fabryka obuwia z siedzibą w Michigan, USA – wyjaśnił. – Eksportują na cały świat.

W tym czasie po drugiej stronie ekranu zdążyli zdjąć denatowi marynarkę. Policjant usiłował odczytać nazwę firmy odzieżowej.

Mortensen przejrzał notatki.

– Brioni – odczytał. – Już sprawdziłem. Włoska marka.

Jon Berge potwierdził to skinieniem głowy i włożył marynarkę do papierowej torby.

Potem rozcięto spodnie i zdjęto je ostrożnie. Razem z materiałem odpadły czarne skorupy skóry i tkanki, odsłaniając włókniste resztki mięśni.

– Męska bielizna – skomentował policjant na sali prosektoryjnej, zanim przyjrzał się uważniej jasnym

bokserkom. – John Henry Mens Dress Pants.

Na ekranie komputera Espena Mortensena pojawiła się lista sklepów internetowych oferujących bieliznę tej marki.

– Same zagraniczne strony – powiedział, potrząsając głową.
– Shopko, Find&Save i eBay.

Rękawy koszuli zostały rozcięte w ten sam sposób, co nogawki spodni. Wisting spojrzął na szczątki człowieka leżącego na metalowym stole. Żebra wystawały spod klatki piersiowej. Brązowo-czarna skóra była popękana i pełna otwartych ran, najprawdopodobniej spowodowanych procesem gnicia. Odzież była cała i nic nie wskazywało na to, aby mężczyźnie zostały zadane rany klute lub postrzałowe.

Biegły z Kripos sprawdzał palcami kołnierz koszuli w poszukiwaniu metki, która mogłaby naprowadzić ich na jakiś ślad.

– To jest jakieś przebarwienie – stwierdził. – Ciemniejsze od pozostałych plam. Nie jestem w stanie odczytać marki. – Zerknął do kamery. – To może być krew.

Patomorfolog pociągnął ruchome ramię lampy, zbliżył ją do głowy i pochylił nad zwłokami.

– Trudno powiedzieć – wymamrotał, po czym chwycił dyktafon i powiedział: – Możliwe złamanie tuż przy lewej skroni. – Wziął do ręki miarę. – Kość czaszki odsłonięta na obszarze o średnicy trzech i pół centymetra. Wzdłuż brzegów rany widoczne przeobrażenie tłuszczowo-woskowe.

Jon Borge sfotografował wskazane przez lekarza miejsce.

– Może odpowiadać ranie zadanej tęym narzędziem. To na razie wstępna hipoteza.

Wisting notował wszystko, co usłyszał, chociaż robił to głównie z przyzwyczajenia. Wiedział, że do wieczora otrzyma wstępny protokół, w którym będą szczegółowo opisane i skomentowane wszystkie obrażenia.

Prace w sali prosektoryjnej toczyły się dalej. Rozcięto bieliznę i usunięto ją z ciała denata. Patomorfolog po raz kolejny zbliżył dyktafon do ust.

– Zewnętrzne organy płciowe liściopodobne – stwierdził, a następnie opisał fałdy skóry w kroczu denata. –

Najprawdopodobniej męskie, wyschnięte. Klatka piersiowa i powłoki brzuszne zapadnięte, części szkieletu wyraźne, bez widocznych obrażeń.

Christine Thiis wstała, blada na twarzy.

– Idę do siebie – wyjaśniła. – Później liczę na krótkie podsumowanie.

Wisting przytaknął i odprowadził ją wzrokiem do drzwi, po czym skupił się znowu na przekazie z sali prosektoryjnej.

Lekarz wykonywał dalsze rutynowe działania, a następnie ciało denata zostało spłukane zimną wodą.

– Najwyraźniej mamy do czynienia ze starymi zwłokami – powiedział i spojrzał w stronę kamery. – Są dość dobrze zachowane, zważywszy na warunki, w jakich przebywały, ale niemożliwe jest podanie dokładnego czasu zgonu.

– Cztery miesiące temu? – zaproponował Wisting.

– Niewykluczone. Średnia temperatura powietrza była niska od końca września, a pierwsze nocne przymrozki w Østlandet odnotowano w październiku, więc owszem: ciało mogło leżeć od połowy sierpnia. W końcu lato także mieliśmy chłodne.

– Poza tym leżało w suchym i stosunkowo ciemnym miejscu – dodał Wisting i przypomniał sobie, że jako skaut uczył się rozpałać ogień w ulewnym deszczu, bez użycia węgla drzewnego i papieru. Tajemnica kryła się na samym dole pnia, pod gałęziami. Deszcz i wilgoć nigdy tam nie docierały i zawsze można było znaleźć suche gałęzie. – To wyjaśnia, dlaczego zwłoki są w tak zaskakująco dobrym stanie, nawet po czterech miesiącach.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to nie macie żadnych zaginionych z tego okresu? – wtrącił biegły z Kripós.

Wisting pokręcił głową w geście potwierdzenia, ale przypomniał sobie, że osoby widoczne na ekranie nie mogą tego zobaczyć.

– W każdym razie żadnych miejscowych – odparł. – I nikogo z pozostałej części kraju, kto mógłby wylądować u nas.

– Teraz idziemy zrobić prześwietlenie – wyjaśnił patomorfolog. – Potem zważymy go i zmierzmy, i rozkroimy ciało. Może to wam pomoże. Poproszę też dentystę sądowego,

żeby pobrał odcisk jego uzębienia. Chwilowo nie jestem w stanie powiedzieć niczego konkretnego poza tym, że mamy do czynienia z w pełni dojrzałym mężczyzną.

Wisting podziękował i ekran zrobił się czarny.

Gabinet Christine Thiis znajdował się na końcu korytarza. Drzwi były otwarte. Wisting wszedł do środka.

– Myślę, że to obcokrajowiec – powiedział, stając przy oknie. Z szarego nieba znowu zaczął sypać śnieg. Duże gęste płatki spadały szybko na ziemię.

Christine Thiis odchyliła się w fotelu i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Czy z sekcji wynika coś bardziej konkretnego?

– Nie, ale dzisiaj powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Chwilowo wiemy tylko tyle, że ofiarą jest dorosły mężczyzna, a jego ubranie i buty zostały kupione za granicą.

– I to, że ma dużą ranę na głowie.

Wisting przytaknął, wsunął ręce do kieszeni i przycisnął czoło do zimnej szyby. Na podwórzu po drugiej stronie ulicy dzieci toczyły duże kule ze śniegu, które zostawiały za sobą czarne ślady.

– Dostałaś pismo od Line? – spytał.

– Nie od Line – odparła i zalogowała się do swojej skrzynki pocztowej. – Od redaktora naczelnego.

Zbliżyła twarz do monitora, zmrużyła oczy i przeczytała na głos: „Zwracamy się z uprzejmą prośbą o udzielenie naszej dziennikarce, Line Wisting, zgody na wgląd w dokumentację związaną ze śmiercią Viggo Hansena”.

– Rozmawiałem z nią kilka godzin temu – wyjaśnił. – Jedzie do domu. Może zostanie tutaj aż do końca grudnia.

– Byłoby miło. Spędzicie razem Boże Narodzenie?

– Liczę na to. Jeszcze nie rozmawialiśmy o świętach.

Na podwórzu dzieci uklepywały największą kulę, splaszając ją lekko na górze, potem podniosły drugą co do wielkości i umieściły ją ostrożnie na szczycie.

– I co postanowiłaś? – spytał i skinął głową na ekran

komputera.

Christine Thiis przytaknęła.

– Wysłałam już odpowiedź redaktorowi naczelnemu – powiedziała, rzucając okiem na korytarz, w stronę sali konferencyjnej. – Na razie nie mamy zbyt dużego pola manewru.

Wisting milczał. Czekał, aż Thiis wyjaśni, czy odrzuciła wniosek, czy go przyjęła.

– Nie widzę przeszkód, żeby redakcja gazety miała wgląd w akta sprawy – powiedziała w końcu. – Za publikację materiałów o charakterze prywatnym odpowiadają redaktorzy, więc po konsultacji z komendantem doszliśmy do wniosku, że pozwolimy im na swobodny dostęp do akt.

Wisting przyjrzał się jej uważnie.

– Czy to, że chodzi o Line, miało wpływ na twoją decyzję?

Thiis potrząsnęła głową.

– Właściwie nie. Oczywiście świadomość, że Line zajmie się tą sprawą profesjonalnie, nie jest bez znaczenia, ale chodzi bardziej o to, że ta historia wydała mi się ważna. – Przełożyła dokumenty na biurku. – Rozmawiałam już z sędzią sądu do spraw spadkowych i z władzami gminy – dodała. – Zgodzili się udostępnić Line dom Hansena.

– Świetnie. – Wisting skinął głową i powiódł wzrokiem po podwórzu. Bałwan doczekał się już głowy, oczu, nosa, ust i czapki z pomponem.

Do pokoju wszedł Espen Mortensen. Wisting stał nieruchomo, oparty plecami o parapet.

– I co o tym sądzisz? – Christine Thiis nie kryła zaciekawienia. – Jakże są twoje wnioski po sekcji?

Technik kryminalistyki odchrząknął.

– Moim zdaniem musimy oswoić się z myślą, że mamy do czynienia z zabójstwem – odparł i usiadł w fotelu dla gości. – I że jesteśmy cztery miesiące do tyłu.

Wisting od dawna to podejrzewał.

– Nie sądzę, żeby do morderstwa doszło w miejscu znalezienia zwłok – powiedział. – To znaczy między choinkami.

Mortensen również był tego zdania.

– Ciało zostało tam przetransportowane – przytaknął. – Co prawda minęło sporo czasu, ale w miejscu znalezienia zwłok nie zabezpieczyliśmy żadnych śladów, które mogłyby wskazywać na to, że do zabójstwa doszło właśnie tam.

Wisting pocierał usta dłonią, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę.

– Tylko że to dość dziwne miejsce na ukrycie zwłok – powiedział.

Stojąc przy oknie, widział, jak prawniczka notuje słowa-klucze, zapisując je dużymi, okrągłymi literami.

– Do zabójstwa mogło dojść gdzieś w pobliżu – zastanawiała się na głos. – Na przykład w jednym z sąsiednich gospodarstw.

Wistingowi już wcześniej przyszła do głowy podobna myśl.

– Torunn i Benjamin sprawdzają okolicę – wyjaśnił. – To słabo zaludniony teren. Niewielkie gospodarstwa i pojedyncze domy jednorodzinne. Planujemy przesłuchać wszystkich, którzy tam mieszkają. Chociaż byłoby o wiele prościej, gdybyśmy znali tożsamość ofiary.

Christine Thiis przygryzła nasadkę długopisu.

– Mamy coś jeszcze?

– Sześć włosów, ubranie i buty wyprodukowane za granicą, i broszurę reklamującą kościół pod żaglami – podsumował sucho Mortensen. – Ta reklamówka to najbardziej konkretna rzecz, jaką dysponujemy. To oznacza, że do zabójstwa doszło najprawdopodobniej po tym, jak „Elida” cumowała u nabrzeża dziewiątego i dziesiątego sierpnia.

Mamy niewiele punktów zaczepienia, pomyślał Wisting i znowu wyjrzał przez okno, żeby spojrzeć na dzieci. Doświadczenie mówiło mu jednak, że z czasem zdobędą więcej informacji. Sprawa urośnie, warstwa po warstwie. Prawie tak, jak tocząca się kula śniegu.

Line przez piętnaście minut odśnieżała samochód. Potem wzięła prysznic, spakowała się i przygotowała do drogi. W tym czasie znowu zaczął padać śnieg. Cienka warstwa białego puchu przykryła dopiero co odśnieżone auto.

Wrzuciła torbę na tylne siedzenie, odgarnęła śnieg z przedniej szyby, usiadła za kierownicą i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik warczał, ale samochód nie ruszał. Wyjęła kluczyk i spróbowała jeszcze raz. Na desce rozdzielczej zapaliło się kilka lampek kontrolnych. Nacisnęła na pedał gazu i w końcu auto przebudziło się do życia. Zwiększyła obroty silnika i zjechała z krawężnika. Opony obracały się po śliskiej nawierzchni, zanim złapały przyczepność.

Płatki śniegu, które osiadały na przedniej szybie, topniały niemal natychmiast. Wycieraczki samochodowe piszczały i chrobotwały, a nawiew skierowany na przednią szybę powoli uwalniał ją od szronu.

Podróż do domu zwykle zabierała jej półtorej godziny. Gdy była w połowie drogi, zatrzymała się na stacji benzynowej i wymieniła wycieraczki. Zanim ruszyła dalej, otworzyła laptop i sprawdziła pocztę. Wśród nowych wiadomości znalazła odpowiedź od policyjnego adwokata Christine Thiis.

Odmowa, pomyślała Line i kliknęła, żeby otworzyć maila. Odpowiedź przyszła zbyt szybko, by mogła być pozytywna.

Przygotowała się na rozczarowanie, ale treść wiadomości okazała się zaskakująca:

Kopię akt sprawy można wypożyczyć na krótko z komendy policji w Larviku. Został powołany gminny zarządca masy spadkowej, który nie zgłosił sprzeciwu, aby redakcja „Verdens Gang” otrzymała dostęp do mieszkania zmarłego. Klucze można odebrać w komendzie.

Na koniec Christine Thiis życzyła jej powodzenia w pracy nad

artykułem.

Line uśmiechnęła się szeroko. Lepszego początku nie mogła sobie wyobrazić.

Pomarańczowy pług śnieżny jechał właśnie autostradą, szcękając łańcuchami. Tuż za nim ciągnął się sznur samochodów, które nie mogły go wyprzedzić.

Postanowiła, że zanim pojedzie dalej, sprawdzi internetowe wydania gazet.

W jej rodzimej gazecie cztery pierwsze miejsca zajmowały artykuły związane z zimową aurą. Nie miała zamiaru poświęcać im uwagi. Lokalna gazeta z Larviku również rozpisywała się szeroko na temat pogody. Nieco niżej na stronie znalazła notatkę prasową, która wzbudziła jej ciekawość. „Znaleziono zwłoki mężczyzny”, brzmiał prosty nagłówek.

Kliknęła na link do strony i zapoznała się z krótkim materiałem.

W piątkowe popołudnie w Halle znaleziono zwłoki niezidentyfikowanej osoby, przeczytała. Artykuł nie zawierał zbyt wielu informacji. Ciało, które prawdopodobnie leżało na dworze przez długi czas, zostało przewiezione do zakładu medycyny sądowej w celu dokonania identyfikacji i przeprowadzenia sekcji zwłok.

Z notatki prasowej dowiedziała się niewiele więcej niż z samego nagłówka. Znaleziono niezidentyfikowane zwłoki. Zamknęła laptop i włożyła go do torby.

Gdy uruchomiła samochód, spod maski silnika wydobyły się piski. Włączyła radio, żeby zagłuszyć niepokojące dźwięki. Odszukała stację, która nie nadawała świątecznej muzyki, i wjechała na autostradę.

Nie minęło dużo czasu, zanim dołączyła do kolumny pojazdów wlokących się za pługiem śnieżnym. Gdy godzinę później po prawej stronie pojawiła się szara tafla Farrisvannet, Line skręciła w kierunku Larviku. Łód nie zdążył jeszcze skuć jeziora, a wiatr sprawiał, że powierzchnia wody poruszała się i marszczyła niespokojnie.

Drogi dojazdowe do miasta nie były zbyt dobrze odśnieżone. Błoto pośniegowe chrzęściło pod kołami i ochlapywało kołpaki.

Znalazła wolne miejsce przed komendą policji i zaparkowała. Przed wejściem utworzyły się głębokie zaspły. Brnąc w śniegu, doszła do czerwonego murowanego budynku.

Młody policjant siedzący w dyżurce podniósł wzrok znad papierów i pozdrowił ją skinieniem głowy. Line nigdy wcześniej go nie widziała. Przedstawiła się.

– Ja do Christine Thiis – wyjaśniła.

– Jest pani umówiona?

– Tak, chyba tak. Ale nie na konkretną godzinę. Miałam tylko odebrać dokumenty.

Policjant bez zbędnego pośpiechu odszukał na liście właściwy numer wewnętrzny i wybrał go na telefonie leżącym przed nim na blacie.

– Tu oficer dyżurny – powiedział do słuchawki. – Ma pani gościa.

Osoba po drugiej stronie zadała jakieś pytanie.

– Dziennikarka z „VG” – odparł mundurowy.

Wysłuchawszy odpowiedzi, sięgnął po kopertę i formularz znajdujące się na ławie tuż za jego plecami.

– Tak, leżą tam – powiedział.

Zakończył rozmowę i wręczył Line kopertę.

– Christine Thiis jest zajęta – wyjaśnił. – Ale zostawiła to dla pani.

Line wzięła do ręki kopertę, na której wypisane było jej nazwisko.

– Proszę tylko podpisać w tym miejscu – powiedział policjant, podsuwając jej formularz.

Był to standardowy druk potwierdzający wypożyczenie akt sprawy, w którym oświadczała, że nie będzie kopiować dokumentów, nie udostępni ich osobom trzecim ani nie wykorzysta ich w sposób niezgodny z wcześniejszymi ustaleniami.

Chwyła długopis leżący na blacie i podpisała się pod oświadczeniem.

Przesuwając formularz w stronę policjanta, rozważała przez chwilę, czy nie zapytać o ojca i nie przywitać się z nim. Może mogliby napić się kawy w jego gabinecie? Ale po namyśle

odrzucała ten pomysł. Chciała jak najszybciej zająć się reportażem.

Akta sprawy były jeszcze cieńsze, niż się spodziewała. Idąc do samochodu, ścisnęła palcami kopertę i wyczuła, że zawiera coś więcej niż tylko dokumenty. Klucze do domu Viggo Hansena, pomyślała i uśmiechnęła się zadowolona.

Gdy otwierała drzwi auta, podmuch wiatru zamiótł śnieg na przednie siedzenie. Wsiadła, włożyła kluczyk do stacyjki i przekręcając go, wcisnęła pedał gazu. Silnik wydał z siebie kilka trzasków, zanim dał się uruchomić.

Po drodze postanowiła, że urządzi się w dawnej pracowni mamy, która znajdowała się na pierwszym piętrze. Był to przytulny pokój z dużym biurkiem, głębokim fotelem i szeroką tablicą korkową na ścianie.

W śniegu leżącym przed domem ledwo dostrzegła ślady opon samochodu ojca. Pług śnieżny utworzył przed podjazdem ogromną zaspę. Była zbyt duża, by można było przez nią przejechać. Line nie zamierzała ryzykować. Zamiast tego zaparkowała auto tuż przy krawędzi jezdni i zostawiła silnik na biegu jałowym, a sama dotarła do schodów, brnąc przez zwały śniegu. Chwyciła łopatę i odgarnęła śnieg sprzed wejścia do domu, po czym wróciła na podjazd i zaczęła przekopywać się przez zaspę. Gdy się spociła, postanowiła chwilę odpocząć. Wyprostowała plecy i oparła się o trzonek łopaty.

Dom Viggo Hansena stał po drugiej stronie ulicy, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Ciemne okna były częściowo ukryte za gałęziami powyginanych ze starości jabłoni rosnących w ogrodzie.

Line przygryzła dolną wargę. Podmuch wiatru sprawił, że zadrżała z zimna. Śnieg, który osiadł jej na włosach, stopniał i spłynął po czole. Otarła twarz dłonią i wróciła do odśnieżania. Po dwudziestu minutach mogła ponownie usiąść za kierownicą i wjechać przed dom.

Zanim otworzyła drzwi, zatrzymała się na schodach i otrzepała ze śniegu. Potem poszła prosto do kuchni. Ekspres do kawy był prezentem od niej dla ojca na zeszłoroczne Boże Narodzenie. Można w nim było również zaparzyć herbatę.

Przygotowała filiżankę i zaniósła bagaż do swojego dawnego pokoju na piętrze. Potem zabrała kopertę z aktami sprawy i filiżankę gorącej herbaty i udała się do pracowni mamy.

Jedną ze ścian zakrywał sięgający sufitu regał na książki. Literatura piękna, biografie, książki historyczne, literatura faktu, czasopisma i segregatory – wszystko razem w artystycznym nieładzie. W rogu pokoju, tuż przy drzwiach stał głęboki fotel, a obok mały stolik z lampką do czytania. Na środku królowało biurko mamy z szufladami po obu stronach, ustawione w taki sposób, że siedząca przy nim osoba była zwrócona plecami do drzwi i mogła obserwować ulicę.

Line odstawiła filiżankę, podeszła do okna i rozsunęła firanki. Szare światło wpadło do pokoju. Przez szczelinę w oknie wlatywało zimne powietrze.

Nad drzwiami domu Viggo Hansena świeciła się samotna lampa. Drewniany budynek pokryty brązową bejcą był nieco mniejszy od domu jej ojca. Miał płaski dach, a teren posesji otaczał gęsty żywopłot. Drzwi były jasnobrązowe, z małą szybą z żółtego piaskowanego szkła. Stopnie schodów pokrywała gruba warstwa śniegu, a z dachu zwisały lodowe sople.

Zważyła w dłoni kopertę z dokumentami, potem podeszła do biurka, usiadła i zapaliła lampę. Nad blatem sączyło się przyjemne światło, natomiast reszta pokoju tonęła w półmroku.

Otworzyła kopertę paznokciem i wyjęła akta. Dokumenty leżały w zielonej teczce spiętej gumką.

Wysypała resztę zawartości koperty na biurko. Wewnątrz znajdował się jeszcze breloczek z kluczem. Był to plastikowy pionek z reklamą firmy ślusarskiej i błyszczącym kluczem przyczepionym do kółka. Policjanci musieli rozwiąć zamki, żeby dostać się do domu Viggo Hansena, a potem wstawili nowy. Line podniosła klucz, położyła go na otwartej dłoni i zacisnęła wokół niego palce. Po chwili odłożyła go na biurko, wzięła do ręki teczkę z dokumentami i zdjęła z niej gumkę.

Odgłosy wydawane przez pług śnieżny docierały do sali konferencyjnej. Monotonne brzęczenie silnika cichło za każdym razem, gdy kierowca wjeżdżał za śnieżną zaspę lub skręcał za róg budynku.

W pomieszczeniu panował przygnębiający nastrój. Wisting prześliznął się wzrokiem po twarzach kolegów. Kilka godzin temu przyjęli do wiadomości, że mają do czynienia z zabójstwem i że rozpoczynają śledztwo w najgorszym możliwym punkcie: nie mają pojęcia, kim była ofiara. Już teraz wiedział, że żaden ze śledczych nie będzie miał do powiedzenia nic, co mogłoby pchnąć sprawę do przodu.

Jedyna osoba, która mogłaby wnieść coś nowego, jeszcze nie przyszła. Espen Mortensen nawiązał w ciągu dnia bezpośredni kontakt z lekarzami sądowymi i zapoznawał się na bieżąco ze szczegółami sekcji. Wisting otrzymał wstępny protokół, z którego wynikało, że zmarły miał od stu osiemdziesięciu do stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Zwłoki ważyły dwadzieścia sześć kilogramów, co oznaczało, że ciężar ciała mężczyzny za życia wynosił prawdopodobnie trzy razy więcej. Denat miał od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Ustalono, że był rasy białej i miał włosy koloru ciemny blond. Przyczynę śmierci wiązano z ranami głowy.

Ubranie, które miał na sobie, zostało dokładnie opisane. Wisting wiedział, że Torunn Borg przez cały dzień sprawdzała metki firmowe i miejsca sprzedaży, ale nie udało jej się ustalić, skąd pochodził zmarły.

Espen Mortensen zjawił się w drzwiach ze stosem papierów. Niemal równocześnie zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał połączenie i zastygł w bezruchu. Słuchał. Błądził oczami po sali, zanim napotkał spojrzenie Wistinga. Utkwił w nim wzrok, ale wciąż był nieobecny duchem. Rozmowa

pochłonęła go całkowicie. Po chwili odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę swojego gabinetu.

– Line była dzisiaj u mnie – odezwała się Christine Thiis, głównie dla zabicia czasu. Z rozpoczęciem spotkania musieli poczekać na powrót Mortensena. Siedziała obok Wistinga, trzymając przed sobą notes. Był pusty, tak jak i jego.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytał, lekko zaskoczony faktem, że córka o niczym mu nie wspomniała.

– Nie – odparła. – Zostawiłam dla niej dokumenty u oficera dyżurnego.

Wisting skinął głową i zerknął na zegarek. Było pięć po czwartej. Postanowił rozpocząć spotkanie. Na tym etapie śledztwa chodziło głównie o to, żeby powiedzieć sobie nawzajem, że tak naprawdę wiedzą bardzo mało, i w ten sposób zmotywować się do dalszej pracy. Nie istniał żaden plan, który wystarczyłoby wdrożyć, żeby rozwiązać sprawę. Wszystkie pomysły, propozycje i luźne myśli trzeba było wyrzucić na stół, a potem zająć się ich sortowaniem i przesiewaniem.

Spotkanie zaczął od krótkiego podsumowania podjętych działań. Potem oddał głos kolegom, tak żeby każdy z nich mógł przedstawić to, co udało się ustalić.

– Benjamin? – powiedział, przeglądając papiery. – Rozmawiałaś z Perem i Supatrrą Halle?

Młody śledczy skinął głową i położył przed sobą protokół z przesłuchania właścicieli gospodarstwa, na którego terenie znaleziono zwłoki.

– Myślę, że możemy ich wykluczyć – powiedział. – Mają plantację truskawek i latem sami je zbierają. Sezon trwa od połowy czerwca do końca lipca. Szósteo sierpnia wylecieli do Tajlandii i nie wrócili przed pierwszym październikiem.

Wisting robił notatki.

– „Elida” była tu dziewiątego i dziesiątego sierpnia – przypomniał kolegom i zgodził się z wnioskiem Fjelda. Zafoliowana broszura znajdująca się w wewnętrznej kieszeni marynarki denata wskazywała na to, że do zabójstwa najprawdopodobniej doszło po tym, jak Per i Supatrra Halle wyjechali za granicę. – Czy podczas ich nieobecności ktoś

doglądał gospodarstwa?

– Tak, mieli kogoś w rodzaju zastępcy z któregoś z sąsiednich gospodarstw. Stawi się w komendzie jutro rano.

– Jak się nazywa?

– Jonathan Wang – odpowiedział młody śledczy i dodał to, co naprawdę interesowało Wistinga. – Sprawdziłem go w bazie. Nic na niego nie mamy. Nie był notowany.

Wisting zanotował nazwisko i zobaczył, że Christine Thiis zrobiła to samo. Na razie było to tylko nazwisko, ale mężczyzna znajdował się sam w pobliżu miejsca znalezienia zwłok w czasie, w którym najprawdopodobniej doszło do zabójstwa. Należało to sprawdzić.

Przeszedł do kolejnego punktu.

– Rozpoznanie posesyjne? – Spojrzał na Torunn Borg.

– Przepytaliśmy większość osób mieszkających i zatrudnionych w okolicznych gospodarstwach. Nie dowiedzieliśmy się niczego szczególnego, ale wiele informacji musimy zweryfikować. Podobno okolicę upodobał sobie domokrażcy, którzy oferują ostrzenie noży i narzędzi za niewielkie pieniądze.

– Zgadza się – wtrącił Nils Hammer. – Mieliliśmy latem kilka zgłoszeń dotyczących oszustw. Jeździli po okolicy samochodem na szwedzkich tablicach.

– Ktoś prowadzi postępowanie w tej sprawie? – spytała Thiis.

– Nie, ale w jednym ze zgłoszeń zanotowano numer rejestracyjny – wyjaśniła Torunn Borg.

– Coś jeszcze? – dopytywał Wisting.

– Ludzie niewiele pamiętają. Kilka osób zwróciło uwagę na obcego mężczyznę z aparatem fotograficznym, inni wspominali coś o samochodzie dostawczym zaparkowanym na podwórzu pod koniec lata. Jakiś Niemiec pytał o drogę do Mølen, a głuchoniemy Polak sprzedawał jakieś obrazki, chodząc od domu do domu. To z grubsza tyle.

Wisting sięgnął po filiżankę kawy. Codzienne drobiazgi, takie jak te, nie zapadały ludziom głęboko w pamięć, a teraz trzeba je było wydobyć i odświeżyć na żądanie. Prawdopodobnie były to

informacje, których sprawdzenie przysporzy im jedynie dodatkowej pracy, ale lata doświadczeń podpowiadały mu, że gdzieś między tymi wszystkimi zapamiętanymi drobiazgami znajdował się jeden szczegół, który mógł mieć decydujące znaczenie. To, co teraz wyglądało niepozornie, mogło okazać się bardzo ważne – dzień lub tydzień później. A czasem dopiero po roku.

– Zajmiesz się tym? – spytał i napił się kawy.

Torunn Borg skinęła głową.

– Na razie nie mamy nic lepszego.

W drzwiach stanął Espen Mortensen. Dokumenty, które miał ze sobą poprzednim razem, musiał zostawić w gabinecie, ponieważ teraz trzymał w obu dłoniach po jednej kartce i spoglądał to na jedną, to na drugą. Potem przyłożył je do siebie, jak dwa fragmenty układanki, które do siebie nie pasują. Wisting zrozumiał, że Mortensen otrzymał informację, która dramatycznie zmieni bieg śledztwa.

– Co masz? – zaciekał się Hammer.

– Mamy odciski palców, które były w bazie – odparł Mortensen i zrobił kilka kroków.

– Odciski palców? – powtórzył Wisting, przywołując w myślach obraz wyschniętych palców denata.

– Tak. Były na broszurze, która znajdowała się w wewnętrznej kieszeni marynarki – wyjaśnił Mortensen. – Tej zapakowanej w folię.

– Czyje? – spytał Hammer. – Czyje odciski palców ujawnili?

Mortensen przeniósł wzrok na jedną z kartek.

– Roberta Godwina – odpowiedział.

– Kto to jest Robert Godwin?

Mortensen położył przed nimi na stole kartkę, którą trzymał w prawej dłoni.

Wisting przechylił się do przodu i poczuł drganie nerwu w okolicy skroni, gdy przeczytał nagłówek: „Poszukiwany przez FBI”.

Zapoznanie się z aktami sprawy zajęło jej mniej niż godzinę. Dokumenty były ułożone chronologicznie. Najpierw protokół sporządzony przez policyjny patrol, który przybył na miejsce zdarzenia i dostał się do domu. Następnie formularz podpisany przez lekarza, który stwierdził zgon. Dalej protokół z przesłuchania pracownika spółki energetycznej, który znalazł ciało Viggo Hansena, gdy przyszedł odciąć mu prąd. Następnie kopia korespondencji z lekarzem rodzinnym i notatki służbowe sporządzone przez śledczego, który rozmawiał z listonoszem i najbliższymi sąsiadami zmarłego. Dokument z nagłówkiem „Protokół z przeszukania pomieszczenia i z konfiskaty mienia” zawierał listę przedmiotów, które policja zabrała z domu denata w celu przeprowadzenia szczegółowych oględzin. Na końcu przeczytała protokół technika kryminalistyki, który zabezpieczał ślady na miejscu zdarzenia. Do raportu była dołączonateczka z materiałem zdjęciowym i plan domu, na którym zaznaczono umiejscowienie zwłok i przedstawiono rozkład wszystkich pomieszczeń: dwóch sypialni, salonu, kuchni, łazienki, dwóch pomieszczeń gospodarczych, sieni i schodów prowadzących do piwnicy.

Kserokopie zdjęć były czarno-białe. Mimo to fotografie zwłok Viggo Hansena wyglądały makabrycznie. Przypominały mumie egipskie, jakie widywała w podręcznikach. Ciało było całkowicie odwodnione i zasuszone. Skóra skurczyła się, sprawiała wrażenie twardej i suchej, ciasno opinającej się na kościach. Ciało siedziało w fotelu jak szaroczarna kukła. Było w tym coś odrażającego i nierzeczywistego, jakby również po śmierci był kimś obcym, nierozpoznawalnym.

Przed fotelem ze zwłokami stała ława, a przed nią włączony telewizor. Line rozpoznała logo Discovery Channel.

Jedno ze zdjęć przedstawiało program telewizyjny rozłożony na ławie, z harmonogramem na jedenastego sierpnia. Jeden

z programów był odhaczony. „Z archiwum FBI”. Nawet w tak tragicznych okolicznościach Line nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Szef działu „VG” na pewno chciałby przeczytać, co Viggo Hansen oglądał w chwili śmierci.

Żaden z dokumentów nie mówił nic na temat tego, kim właściwie był Viggo Hansen ani jakim był człowiekiem. Opisywały wyłącznie jego martwe ciało. Najbardziej interesujący wydał jej się protokół technika kryminalistyki, Espena Mortensena. Znajdowały się w nim informacje dotyczące nie tylko zwłok, lecz także domu denata. Opis był rzeczowy i obiektywny. Zarówno drzwi wejściowe, jak i drzwi od werandy znajdującej się na tyłach domu były zamknięte na klucz. Wszystkie okna były pozamykane i nie znaleziono śladów włamania. W mieszkaniu panował porządek, nie ujawniono śladów walki, nic nie wskazywało również na to, żeby ktoś złożył Hansenowi przed śmiercią wizytę.

Opierając się na programie telewizyjnym, technik założył, że zgon nastąpił w czwartek, jedenastego sierpnia, w godzinach wieczornych.

Protokół posekcyjny potwierdził wniosek technika.

Biorąc pod uwagę stopień rozkładu zwłok, można przyjąć, że śmierć nastąpiła cztery miesiące temu, co oznacza, że przyjęta data zgonu, jedenastego sierpnia, jest prawdopodobna – przeczytała. W dalszej części patomorfolog wyjaśniał, w jaki sposób niska wilgotność powietrza w mieszkaniu denata przyczyniła się do tego, że ciało zachowało się w tak dobrym stanie. Suche powietrze spowodowało parowanie płynów ustrojowych, co w konsekwencji zahamowało procesy gnilne i doprowadziło do mumifikacji zwłok.

W pliku dokumentów znajdowały się również wyniki przeprowadzonych badań i analiz. Osoby, które sporządziły pisma, posługiwały się specyficznym językiem, ale Line zrozumiała, że dotyczą one badań DNA. Ze względu na to, że niemożliwe było porównanie DNA zwłok z DNA członka rodziny, próbki pobrane z ciała zostały porównane ze śliną zabezpieczoną na szczoteczce do zębów i z włosami znajdującymi się na grzebieniu, który znaleziono w kieszeni

spodni. W ten sposób potwierdzono tożsamość zmarłego.

Rozmowa, którą policja przeprowadziła ze Steinarem Brunvallem z sąsiedniego domu, szkolną miłością Line, przyniosła jej odpowiedź na kilka pytań i rozwiązała parę wątpliwości. W raporcie była mowa o tym, że Steinar dorastał w bliskim sąsiedztwie Viggo Hansena, że przejął dom rodzinny po swoich rodzicach, którzy trzy lata temu przenieśli się do Hiszpanii. Pracował jako nauczyciel, mieszkał z konkubiną o imieniu Ida. Wychowywali dwoje małych dzieci.

Steinar nie miał jednak zbyt dużo do powiedzenia na temat zmarłego sąsiada. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział Viggo Hansena, ale wydawało mu się, że to musiało być latem. Zawsze gdy go widywał, co zdarzało się niezwykle rzadko, Viggo Hansen wracał do domu, niosąc w obu rękach siatki z zakupami. Tylko jeden jedyny raz pozdrowił go skinieniem głowy. Nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa.

Rozmowa z Gretą Tisler, drugą sąsiadką Viggo Hansena, również nie wniosła zbyt wiele do sprawy. Można było odnieść wrażenie, że najbardziej irytował ją zaniedbany ogród na terenie posesji Viggo Hansena. Greta Tisler wprowadziła się do sąsiedniego domu razem z mężem na początku lat siedemdziesiątych. Byli o kilka lat starsi od Hansena i jej zdaniem właśnie z tego powodu nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Jej zmarły mąż rozmawiał z nim w związku z pokojem ogrodowym, który postanowili dobudować w połowie lat dziewięćdziesiątych. Potrzebowali wówczas kilku jego podpisów. W jej mniemaniu Viggo Hansen był osobą dziwną i wyjątkowo skrytą. Line odniosła wrażenie, że Greta Tisler powiedziała policji dużo więcej, ale część tych informacji nie nadawała się do zaprotokołowania. Nie namyślając się, wpisała jej nazwisko na listę osób, z którymi zamierzała porozmawiać.

Z doświadczenia wiedziała, że w podobnych sprawach, które dotyczyły identyfikacji osób, śledczy często dołączali do akt zdjęcie paszportowe zmarłego. Line przeszukała całą teczkę, ale nie znalazła żadnego zdjęcia portretowego. Prawdopodobnie takie zdjęcie w ogóle nie istniało. Viggo Hansen nigdzie nie

wyjeżdżał i nie potrzebował paszportu.

Ona sama pamiętała jego twarz jak przez mgłę. Poza tym chętnie umieściłaby jego zdjęcie w artykule, który miała napisać, ale wiedziała, że i bez tego sobie poradzi. Jedno ze zdjęć zrobionych w salonie, na którym Viggo Hansen siedział odwrócony plecami, nadawało się do druku, pod warunkiem że policja udostępniłaby jej oryginalne pliki. Czubek głowy Hansena wystający zza oparcia fotela był przechylony lekko w lewo. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna na zdjęciu zasnął w fotelu przed telewizorem. Nie sposób było domyślić się, że nie żyje. Na stole stała pusta szklanka. Szare, gołe ściany, bez zdjęć rodzinnych, zionęły chłodem. Idealna ilustracja do artykułu o samotnym człowieku i samotnym życiu.

Zebrała dokumenty i włożyła je z powrotem do zielonej teczki. Wstała od biurka i podeszła do okna. Śnieg przysypał parapet. Jakiś mężczyzna w grubej puchowej kurtce, czarnej czapce i szaliku zasłaniającym większą część twarzy, idąc ulicą, spłoszył ptaka siedzącego na drzewie w ogrodzie Viggo Hansena.

Napisanie czegoś o jego życiu mogło okazać się trudniejsze, niż przypuszczała. Do tej pory nie znalazła nic, co wskazywałoby na to, że Viggo Hansen zostawił po sobie jakikolwiek ślad w świecie. Jego życie wydawało się zupełnie puste, tak puste, że zamienienie go w dwanaście tysięcy znaków, których potrzebowała, żeby zapełnić sześć stron, mogło stanowić nie lada wyzwanie. Musiała coś znaleźć, musiała dotrzeć do ludzi, którzy go pamiętali, na których zrobił wrażenie, nawet jeśli to było wieki temu. I musiała spróbować stworzyć sobie w myślach jego obraz. Na pewno czegoś mogła się dowiedzieć, odwiedzając dom, w którym przeżył tyle lat. Może miał na półkach jakieś książki? Albo ukrywał w szufladzie jakieś stare fotografie? Jak chodził ubrany? Czy kupował jakieś filmy? Czy przechowywał stare listy? Co widział, gdy rano otwierał oczy? Takie rzeczy mogły jej coś o nim powiedzieć. Bo również on nosił w sobie jakiś wewnętrzny, sekretny świat, chociaż był on niedostępny dla innych. Musiała spróbować znaleźć do niego drogę.

W ciągu kilku minut śledztwo przeniosło się na zupełnie inny poziom. Wisting siedział za biurkiem. Przed nim leżał wydruk z logo Federalnego Biura Śledczego.

Robert Godwin, znany również jako „Międzystanowy dusiciel”, był czwarty na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych osób w USA. W uzasadnieniu napisano *First degree murder (six counts)*. Sześć przypadków zabójstwa z premedytacją. Sześć kobiet. Do tego dochodziło tyle samo przypadków zgwałceń i uprowadzeń. FBI obiecywało nagrodę w wysokości miliona dolarów dla osoby, która przyczyni się do jego zatrzymania.

Na środku kartki znajdowało się zdjęcie poszukiwanego. Było czarno-białe i słabej jakości. Przedstawiało młodego mężczyznę o wąskiej twarzy i cienkich włosach. Był gładko ogolony i miał wysokie zakola. W jego wyglądzie nie było nic, co wskazywałoby na jego mroczną przeszłość. Wręcz przeciwnie.

Zdjęcie musiało zostać zrobione kilkadziesiąt lat temu. Z informacji wynikało, że Robert Godwin był poszukiwany od 1989.

Nils Hammer siedział na krawędzi krzesła po drugiej stronie biurka. Espen Mortensen zajmował miejsce obok niego. Na kolanach trzymał plik dokumentów, które po kolei podawał Wistingowi. Ten czytał je i przekazywał Hammerowi.

Był to protokół zbiorczy FBI, w którym podsumowano powody wystawienia listu gończego. Robert Godwin urodził się na przedmieściach Minneapolis w 1950 roku. Wisting wyobraził sobie mapę Stanów i umieścił miasto tuż przy granicy z Kanadą. Godwin wychował się na farmie, na której jego rodzina hodowała jabłka. Po ukończeniu studiów językowych i historii sztuki pracował jako wykładowca akademicki na uniwersytecie w Minnesocie. Nie był żonaty

i mieszkał sam.

Do pierwszego zabójstwa doszło już w 1983. Ofiara nazywała się Lynn Adams, miała osiemnaście lat i studiowała na tym samym uniwersytecie, na którym wykładał Godwin. W piątkowe popołudnie miała pojechać autostopem do domu swojego chłopaka, ale nigdy tam nie dotarła. Dopiero pół roku później jej ciało znaleziono w studziencie ściekowej za miastem. Konserwator urządzeń wodno-kanalizacyjnych podniósł pokrywę studzienki, żeby sprawdzić rury, i znalazł zwłoki zawinięte w jutowy worek. Śledztwo prowadziła miejscowa policja, ale sprawcy zabójstwa nie wykryto. Dopiero sześć lat później FBI trafiło na ślad Roberta Godwina i przejęło sprawę.

Wszystkie pozostałe ofiary były młodymi kobietami. W czterech przypadkach chodziło o autostopowiczki, które wsiadły do samochodu mordercy na jednej z autostrad prowadzących do Dakoty Północnej, Iowy lub Wisconsin. Piątą ofiarą była kobieta, której zepsuł się samochód. Śledztwo zaczęło się od tego, że jej auto znaleziono porzucone w zatoczce autobusowej na przedmieściach Billings.

Z raportu FBI wynikało, że zabójca unieszkodliwiał swoje ofiary, odurzając je chloroformem, który wykradł z laboratorium należącego do Wydziału Chemii uniwersytetu w Minnesocie.

Wisting podniósł wzrok znad kartek. Usypianie chloroformem znał głównie z amerykańskich filmów, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Przez wiele lat sprawy traktowano jako niepowiązane ze sobą zabójstwa. Dopiero badania DNA naprowadziły agentów FBI na właściwy trop. Technika była zupełnie nowa. Śledczy otrzymali dostęp do materiału biologicznego zgromadzonego w niewyjaśnionych sprawach i szybko ustalili, że w wypadku pięciu zabójstw dokonanych na granicach stanów w północnej części USA zabezpieczony materiał genetyczny należy do tej samej osoby. Poza tym sprawy były do siebie podobne: wszystkie kobiety zostały zabrane z autostrady, zgwałcone, uduszone i wyrzucone na poboczu.

To, że policja ma do czynienia z seryjnym zabójcą, szeroko komentowano w mediach. Prasa ochrzciła go

„Międzystanowym dusicielem”, od autostrady, na której wyszukiwał swoje ofiary. Zainteresowanie mediów sprawiło, że zabójca przez jakiś czas nie dawał o sobie znać.

Rok później doszło do przełomu w śledztwie. „Międzystanowy dusiciel” znowu zaatakował, ale ofiara uszła z życiem. Broniąc się zaciekle, ugryzła napastnika do krwi i dzięki temu udało jej się uciec. Okazało się, że była to jedna ze studentek uniwersytetu, na którym wykładał Godwin. Dziewczyna podała jego nazwisko. DNA Godwina pokrywało się z DNA „Międzystanowego dusiciela”.

Zanim jednak policja zdążyła aresztować Roberta Godwina, mężczyzna zniknął. Dwudziestego czwartego sierpnia 1989 został wciągnięty na listę *most wanted by FBI*. W tym samym czasie śledczy zaczęli przyglądać się innym niewyjaśnionym sprawom, w których nie dysponowano materiałem biologicznym. Okazało się, że worek, w którym znajdowały się zwłoki jego pierwszej ofiary, był tego samego rodzaju i tej samej produkcji, co te, których używano na jego rodzinnej farmie przy uprawie jabłek. Zabójstwo Lynn Adams stanowiło szósty punkt aktu oskarżenia. Ale Robert Godwin jakby zapadł się pod ziemię.

Wisting odchylił się w fotelu i wyjrzał przez okno. Robiło się ciemno. Duże płatki śniegu opadały na ziemię w bladej żółtym świetle latarni. Zaschło mu w gardle. Odchrząknął, żeby móc coś powiedzieć, ale zamiast tego milczał, wsłuchując się w ciszę.

– Tego jest więcej – odezwał się Mortensen i podał mu ostatnią kartkę, która zawierała analizę porównawczą spraw.

Poza sześcioma zabójstwami, o które formalnie oskarżano Roberta Godwina, agenci FBI dysponowali listą siedemnastu innych możliwych ofiar dusiciela.

Wisting zerknął na Mortensena, zanim wrócił do czytania. Chodziło o siedemnaście spraw, które miały status zaginięć. Wszystkie dotyczyły młodych kobiet podróżujących autostradami, na których Godwin atakował swoje ofiary. Ich zaginięcie zgłoszono po tym, jak gazety rozpisywały się na temat badań DNA, które naprowadziły policję na trop

„Międzystanowego dusiciela”, a przed ogłoszeniem poszukiwania Roberta Godwina. Śledczy nie wysuwali żadnych wniosków, ale było oczywiste, że dusiciel nie przestał zabijać tylko dlatego, że gazety o nim pisały. Zabijał dalej, ale staranniej ukrywał ciała swoich ofiar.

Wisting podał Hammerowi ostatnią kartkę i milczał, dopóki tamten nie skończył czytać. Treść dokumentu musiała zrobić wrażenie na doświadczonym policjancie, bo chwilę później zaczął mu drżeć mięsień policzkowy. Wisting przeniósł wzrok na Mortensena i zapytał:

– Myślisz, że to jego ciało znaleźliśmy?

– Rysopis pasuje do wstępnego protokołu posekcyjnego – odparł technik i wziął do ręki wydruk ze zdjęciem Roberta Godwina. – „Normalna budowa ciała, włosy ciemny blond, sześćdziesiąt lat, sto osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, waga około osiemdziesięciu kilogramów” – odczytał z kartki.

Nils Hammer odłożył na biurko ostatnią stronę raportu i pokręcił głową.

– Amerykański seryjny morderca, który kończy pod norweską choinką? – podsumował ironicznie.

– Był poszukiwany od dwudziestu lat – przypomniał mu Mortensen. – To nie byłby pierwszy przypadek zbiega, który ukrywał się w Norwegii. W naszym kraju mieszkają ludzie, którzy dopuścili się ludobójstwa i innych zbrodni wojennych.

Wisting potarł czoło.

– Jak jednoznaczna jest ekspertyza daktyloskopijna? – spytał.

– Daje stuprocentową pewność. Odcisk prawego kciuka Roberta Godwina zabezpieczono na jednej stronie broszury, na drugiej zaś – odcisk prawego palca wskazującego i środkowego.

– Ale to wcale nie musi oznaczać, że odciski palców należą do mężczyzny, którego zwłoki znaleźliśmy – wtrącił Hammer. – Ta broszura może pochodzić z dowolnego miejsca. Równie dobrze Robert Godwin może się teraz znajdować na pokładzie tej Jezusowej łodzi.

– Czy Amerykanie zostali poinformowani, że namierzaliśmy Godwina? – spytał Wisting.

Mortensen przytaknął.

– Kontakty z zagranicą to działka Kripos.

– Mamy DNA zwłok? – dopytywał się Wisting.

– Wyniki badań powinny być gotowe na jutro.

– A kiedy będziemy mogli je porównać z DNA zabezpieczonym w Stanach?

– Trzeba załatwić kilka formalności, ale jest szansa, że już jutro.

Wisting wstał i podszedł do okna. Jakiś mężczyzna na traktorze odśnieżał miejsca parkingowe na podwórzu. Pług śnieżny szorował asfalt, aż leciały iskry.

– Wiecie, co byłoby najgorsze? Gdyby się okazało, że to nie są zwłoki Roberta Godwina.

– Dlaczego?

– Znaleźliśmy jego odciski palców – stwierdził Hammer. – Jeśli to nie on jest martwy, to znaczy, że wciąż znajduje się na wolności.

Line stała przy oknie i zastanawiała się, czy powinna pójść obejrzyć dom Viggo Hansena. Teraz, gdy zapadł zmrok, widziała jedynie kontury budynku. Poza lampą wiszącą nad drzwiami wejściowymi światło wydobywało się również z jednego z pomieszczeń, najprawdopodobniej kuchni.

Ulicą jechał samochód. Powykręcane gałęzie drzew rosnących w ogrodzie rzucały długie cienie na śnieg. Dom sprawiał wrażenie nie tylko pustego, ale i opuszczonego, odbierając jej ochotę na samotne zwiedzanie, w każdym razie po zmierzchu. Nieprzyjemny – to nie było właściwe słowo. Widok był bardziej przygnębiający niż ponury, i właśnie to najbardziej ją przerażało.

Postanowiła zaczekać do rana i zamiast do domu Hansena, zeszła na dół do kuchni po coś do jedzenia.

W lodówce leżały dwie paczki gotowych dań firmy „Fjordland” i kilka kielbasek na grilla. W szafce znalazła parę puszek z jedzeniem, które raczej nie zachęcały do konsumpcji. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pojechać po zakupy, ale śnieg, który znowu zasypał jej samochód, sprawił, że porzuciła ten pomysł. Nie miała zresztą pewności, czy auto w ogóle ruszy.

Usmażyła dwa jajka sadzone, położyła każde z nich na kromce suchego chleba i zabrała talerz do salonu. Jedząc, zmieniała kanały, aż znalazła CNN. Zimowa aura również tam zdominowała serwis informacyjny. Reporter stał przed zasypaną śniegiem tablicą drogową witającą kierowców w Minnesocie. Płatki padające za jego plecami tworzyły niemal kurtynę śnieżną. Tekst na dole ekranu głosił, że dziennikarz znajdował się w Fargo, na granicy z Dakotą Północną. Śnieg osiadał na jego ubraniu i wpadał mu do oczu. Reporter poinformował widzów, że w ciągu ostatniej doby spadł metr śniegu. I że spodziewane są dalsze opady. Ekipy odśnieżające

miasto miały problemy z utrzymaniem przejezdności dróg.

Reporter oddał głos do studia, skąd zaczęto nadawać prognozę pogody. Line postanowiła zmienić kanał. Wybrała stację, na której nadawano programy dokumentalne. Zauważyła, że na ekranie telewizora zebrał się kurz. Wstała, odniosła do kuchni pusty talerz i wyjęła z szafki ściereczkę do kurzu i sprej do czyszczenia.

Nie tylko telewizor był zakurzony. Cienka warstwa osiadła na kredensie, ramkach do zdjęć i innych przedmiotach znajdujących się na widoku.

Wróciła do łazienki, napełniła miskę wodą i zaczęła ścierać kurze. Gdy skończyła, odkurzyła i umyła podłogi. Sprzątanie zajęło jej prawie dwie godziny.

Potem poszła na strych i odszukała pudełko z ozdobami świątecznymi. Na parapecie kuchennego okna ustawiła adwentowy świecznik, a na oknie w salonie powiesiła gwiazdę betlejemską.

Miała nadzieję, że ojciec nie zjawi się za wcześnie, ale gdy zbliżała się ósma, Line zaczęła się zastanawiać, czy do niego nie zadzwonić. W końcu usłyszała trzask drzwiczek samochodu i po chwili ojciec wszedł do domu.

Wyszła mu na spotkanie. Ojciec przywitał ją z uśmiechem.

– Późno wracasz – skomentowała.

– Tak – odparł, nie wyjaśniając, co go zatrzymało. – Jadłaś już? – spytał, zmieniając temat.

– Zjadłam dwa jajka – odpowiedziała. – Pomyślałam, że pojedę jutro na zakupy.

– Zrobię sobie coś szybkiego do jedzenia – powiedział i wszedł z córką do kuchni.

Line usiadła przy stole, podczas gdy ojciec wrzucił trzy grillowane kiełbasy na tę samą patelnię, na której Line wcześniej smażyła jajka.

– I jak tam? – spytał. – Słyszałem, że odebrałaś dokumenty.

– Tak. Już je przejrzałam – przytaknęła. – Szczerze mówiąc, wciąż nie wiem, jakim człowiekiem był Viggo Hansen. Postanowiłam porozmawiać z jego szkolnym kolegą. Umówiłam się z Eivindem Aske.

– Tym artystą?

– Tak, idę jutro do niego.

Ojciec przewrócił kielbaski i włączył okap nad kuchenką.

– Byłaś w domu Hansena?

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Jutro się tam wybiorę.

Ojciec wyjął z lodówki sałatkę ziemniaczaną.

– Co o nim wiesz? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie znałem go.

– Co z jego rodziną? – ciągnęła Line. – Pamiętam, że krążyły plotki o tym, że jego matka leczyła się w szpitalu psychiatrycznym, a ojciec siedział w więzieniu.

Wisting zamyślił się.

– Tak, teraz coś sobie przypominam – odpowiedział i zdjął patelnię z gazu. – Zanim się tutaj wprowadziliśmy, oboje rodzice już nie żyli, ale rzeczywiście krążyły słuchy, że Viggo nie miał lekko i że nic dziwnego, że wyrósł na odludka. Nie pamiętam dokładnie, o co chodziło, ale zdaje się, że jego matka przeszła załamanie nerwowe.

Wyłożył kielbaski na talerz i usiadł przy kuchennym stole naprzeciwko córki.

– Za co siedział jego ojciec? – spytała.

– Nie wiem – odparł i zabrał się do jedzenia.

– Jak myślisz, od kogo mogłabym się czegoś dowiedzieć?

– Jeśli został skazany, możesz dostać kopię wyroku, ale o to musisz zwrócić się do krajowego archiwum. W końcu to było ponad czterdzieści lat temu.

– Zastanawiam się, kto mógłby mi o nim coś opowiedzieć. Kto mógł go znać? Przychodzi ci ktoś do głowy?

– Chyba tylko Greta. W końcu była jego najbliższą sąsiadką. Mieszkała tam na długo przed nami.

– Nie miała zbyt dużo do powiedzenia policji.

– Niewykluczone, że wie więcej o tym, co wydarzyło się czterdzieści lat temu, niż o tym, kim był Viggo Hansen, gdy umarł – skwitował Wisting. Włożył kawałek kielbasy do ust, ale po chwili przestał żuć. – Udekorowałaś okno? – spytał, wskazując adwentowy świecznik stojący w oknie kuchennym.

– W końcu niedługo święta – przypomniała mu.

Skinął głową.

– Co chcesz dostać pod choinkę?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiała i nie umiała odpowiedzieć na pytanie.

– Czytałam w Internecie, że niedaleko Halle znaleziono zwłoki – zmieniła temat.

Wisting przytaknął, żując powoli.

– To dlatego wróciłeś tak późno? – spytała.

– Staramy się ustalić, do kogo należy ciało – odparł ojciec. – Nie mamy żadnych zaginionych, którzy pasowałiby do opisu.

– Masz już jakąś teorię?

– Prawdopodobnie chodzi o cudzoziemca.

– Turysta, który zaginął latem?

– Całkiem możliwe.

Line zauważyła, że skrzywienie zawodowe znowu daje o sobie znać. Zadawała pytania, jakby prowadziła dziennikarskie śledztwo.

– Ustaliście przyczynę zgonu?

Ojciec wstał, podszedł do zlewu i płukał talerz, zanim wstawił go do zmywarki.

Line spojrzała na niego i od razu domyśliła się, o co chodzi.

– Podejrzany zgon? – spytała, używając wyrażenia używanego przez śledczych, gdy nie mogli potwierdzić ani zaprzeczyć, czego dotyczyła sprawa.

– Line – odezwał się ojciec i przełknął ślinę. – Nie mogę o tym rozmawiać.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedział.

– Zostałam oddelegowana do weekendowego magazynu – mówiła dalej. – Ale może jest coś, czym powinni się zająć moi koledzy?

Ojciec przechylił się nad ławą kuchenną i oparł dłonie o blat.

– Chwilowo wołałbym, żeby prasa się tym nie interesowała – powiedział. – I żebyś nie zadawała więcej pytań.

Po opadach śniegu przyszło ochłodzenie. W ciągu nocy wszystko zamarzło. Wisting poruszał się cicho po domu, żeby nie obudzić Line. Termometr za oknem kuchennym pokazywał czternaście stopni mrozu. Temperatura spadła o ponad dziesięć stopni.

Stał przed oknem z poranną kawą w dłoni, cały zeszywniały. W nocy długo nie mógł zasnąć. Leżał w ciemności, czekając na sen, a gdy ten w końcu nadszedł, był wyjątkowo niespokojny. Sprawa, którą prowadził, zaczynała się rozrastać, a to, co przeczytał o Godwinie, przeraziło go. Przez te wszystkie lata sporo się w pracy naoglądał, ale nigdy nie miał do czynienia z seryjnym mordercą z tyloma ofiarami na sumieniu. Taki bezmiar zła był dla niego nie do pojęcia. Poza tym miał silne przeczucie, że to dopiero czubek góry lodowej.

Wypił kawę, wstawił filiżankę do zmywarki, poszedł do łazienki i ochlapał twarz wodą. Potem ubrał się, włożył gruby sweter, ciepłe buty, kurtkę z podpinką, czapkę i rękawiczki.

Zszedł po schodach i chwycił łopatę do śniegu, która stała przy drzwiach. Najpierw rozbił na kawałki twardą lodową skorupę, która utworzyła się na miękkim śniegu. Odśnieżył drogę do samochodu i zmiotł zewnętrzną warstwę z karoserii, zanim otworzył drzwi i wsiadł. Silnik zarządził. Wisting ustawił podmuch i ogrzewanie na maksymalną wartość, zostawił samochód na jałowym biegu i zabrał się do odśnieżania reszty podjazdu. Gdy skończył, w aucie było ciepło, a z szyb zniknął lód.

Był niedzielny poranek. Trzecia niedziela adwentu, pomyślał Wisting, otwierając drzwi komendy. Postanowił, że po powrocie porozmawia z Line o tym, jak zamierzają spędzić święta.

W wydziale dochodzeniowym było pusto i cicho. Gdy włączył

światło w swoim gabinecie, świetlówki zabrzęczały, zamigotały i po chwili cały pokój skąpany był w białym świetle.

Jak tylko zalogował się do systemu, na ekranie pojawiło się zgłoszenie. Niejaka Else Britt Gusland zadzwoniła do centrali operacyjnej o godzinie drugiej szesnastej w nocy. Jeden z operatorów zanotował jej nazwisko i numer telefonu z wiadomością, że ma do niej oddzwonić William Wisting. „Chodzi o zmarłego mężczyznę z Halle”, dopisał operator. „Jej zdaniem to może być jej amerykański lokator, który zaginął w sierpniu”.

Wisting odczytał wiadomość dwa razy, zanim spojrzął na zegarek. Było dziesięć po ósmej. Kobieta, która dzwoniła, prawdopodobnie jeszcze spała. Mimo to podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Przez długą chwilę nikt nie odbierał. W końcu odezwał się zaspany głos.

– Else Britt Gusland? – upewnił się.

Gdy kobieta potwierdziła, że to ona, Wisting przedstawił się i zapytał:

– Czy to pani dzwoniła w sprawie amerykańskiego lokatora, który zaginął zeszłego lata?

Kobieta odchrząknęła.

– Tak. Nie wiem co prawda, czy to ma związek z mężczyzną, o którym pisano w Internecie, ale wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o tym w gronie rodzinnym i moja szwagierka stwierdziła, że może chodzić o Boba. Powiedziała to głównie dla żartu, ale pisali przecież, że ten człowiek leżał tam od dawna. I dlatego doszliśmy wspólnie do wniosku, że powinnam to zgłosić.

– Proszę opowiedzieć mi o Bobie – poprosił Wisting.

– Szczerze mówiąc, nie ma co opowiadać. Bob był skryty, właściwie nigdy nic o sobie nie mówił.

– Ale mieszkał u państwa?

– Tak, to znaczy my mieszkamy na Eikelundveien, ale mój mąż ma mieszkanie w centrum Stavern, nad pubem. W ciągu roku akademickiego wynajmujemy je studentom, a latem turystom.

– Od kiedy mieszkał tam Bob?
– Od połowy lipca do czasu, gdy zaginał.
– A kiedy zaginał?
– Tego dokładnie nie wiem. Zgodnie z umową miał tam mieszkać przez cztery tygodnie, do niedzieli czternastego sierpnia. W poniedziałek mieli wrócić studenci. Ale on po prostu zapadł się pod ziemię.

– Co to znaczy?

– W tamten weekend dwa razy zaglądałam do mieszkania, żeby ustalić, w jaki sposób przekaże mi klucze, ale nie było go w domu. W każdym razie nie otwierał. W niedzielę zjawiłam się tam o wpół do dwunastej, ponieważ umówiliśmy się, że do dwunastej opuści mieszkanie. Ale wtedy również mi nie otworzył, więc użyłam własnych kluczy i weszłam do środka.

– I?

– Było pusto. To znaczy jego rzeczy wciąż tam były, więc postanowiłam do niego zadzwonić. To był taki długi, zagraniczny numer. Ale telefon nie odpowiadał. Sytuacja była beznadziejna. Zamknęłam mieszkanie i wróciłam do domu. Postanowiłam poczekać do następnego dnia, ale w poniedziałek również nie miałam od niego żadnych wieści, więc spakowałam jego rzeczy, zmieniłam zamek i posprzątałam, żeby mieszkanie było gotowe na przyjazd studentów.

Wisting odchylił się w fotelu i przejechał dłonią po włosach.

– I od tego czasu nie miała pani z nim żadnego kontaktu?

– Nie. Wysłałam mu maila, w którym napisałam, że może odebrać ode mnie swoje rzeczy, jeśli tylko zapłaci za wymianę zamka.

– Jakie miał nazwisko?

– Crabb. Bob Crabb. Mam jego numer telefonu i adres mailowy. W ten sposób skontaktował się ze mną w sprawie mieszkania. Pod koniec maja przysłał mi maila ze Stanów.

Wisting zanotował wszystkie informacje i wziął do ręki list gończy wystawiony przez FBI ze zdjęciem Roberta Godwina.

– A jak wyglądał? – zapytał.

– Miał brodę i okulary. I ciemne włosy.

– Ile miał lat?

– Myślę, że był w moim wieku. Około sześćdziesiątki.

Wisting odłożył list gończy na biurko. Wiek się zgadzał, ale broda i wąsy sprawiały, że Else Britt Gusland mogła mieć kłopoty ze stwierdzeniem, czy poszukiwany przez FBI seryjny morderca mógł być osobą, która wynajmowała od niej latem mieszkanie.

– Gdzie są teraz jego rzeczy?

– Nadal są u mnie. Możecie je w każdej chwili zabrać.

– Chętnie – odparł Wisting. – I tak musimy poprosić panią o złożenie oficjalnych wyjaśnień. Możemy przyjechać za godzinę?

– A która jest teraz?

– Wpół do dziewiątej.

Kobieta westchnęła.

– Umówmy się na jedenastą, dobrze?

Upieranie się przy swoim byłoby niedorzeczne. Wisting potwierdził godzinę, zakończył rozmowę i westchnął. Szczerze mówiąc, nie chciał czekać. Jego ciało ogarnął dziwny niepokój przypominający słaby szmer w piersi. Przeczucie, że nie mają czasu do stracenia.

Line, drząc z zimna, weszła do kuchni, nastawiła ekspres do kawy i spojrzała przez okno. Świat tonął w bieli. Wszystko spowijał szron. Zimna mgła unosiła się nad fiordem niczym ślubny welon.

Biały krajobraz miał w obie coś uspokajającego i wyciszającego. Po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że odpoczywa. Nie stresowała się krótkimi terminami na dostarczenie materiałów prasowych ani wymaganiami dotyczącymi liczby znaków do porannego wydania gazety. Dowolnie dysponowała czasem, bez odgórných nakazów i zaleceń. I pracowała nad reportażem, którego temat sama zaproponowała. Nikt oprócz niej nie decydował o tym, co jest ważne, co trzeba umieścić w artykule, a co należy wyciąć.

Dzień miała dokładnie zaplanowany. Pierwsze, co zamierzała zrobić, to udać się do domu Viggo Hansena. O czwartej miała umówione spotkanie z Eivindem Aske, artystą malarzem, który chodził z Hansenem do szkoły.

Czarny ptak zerwał się z gałęzi pokrytej szronem, przeleciał na sąsiednie drzewo i usiadł na jego wierzchołku. Po chwili inny ptak postanowił dotrzymać mu towarzystwa.

Obudziła się, gdy ojciec zamknął za sobą drzwi wejściowe. Potem leżała na łóżku i przysłuchiwała się, jak odśnieża schody, uruchamia silnik i pozwala, żeby samochód pracował przez dłuższą chwilę na jałowym biegu, i jak w końcu odjeżdża. Był niedzielny poranek, kilka minut po ósmej. Mężczyzna, którego ciało znaleziono w lesie w pobliskim Halle, musiał być kimś wyjątkowym. Sytuacje, w których ojciec z taką niechęcią wypowiadał się na temat prowadzonej przez siebie sprawy, należały do rzadkości.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do kogoś z redakcji z wiadomością, że kroi się jakaś grubsza sprawa, którą warto

byłoby się zająć, ale po namyśle zrezygnowała. Tłumaczyła się sama przed sobą, że nie chce mieszać się w prywatne sprawy. A poza tym chwilowo nie pracowała w dziale informacyjnym.

Przygotowała sobie kanapkę i otworzyła lodówkę, szukając soku albo mleka. Ponieważ nic takiego nie znalazła, dopisała zakupy na stacji benzynowej do listy zadań na ten dzień. Stała przy blacie kuchennym i jadła proste śniadanie, splukując je kawą. Potem poszła do łazienki. Wzięła szybki prysznic, ubrała się i wyszła z domu.

Z jej ust ulatywały białe obłoki pary, a ubity śnieg chrzęścił pod stopami. Spojrzała w stronę pustego domu. Stał w odległości około pięciu metrów od ulicy, otoczony starymi drzewami o powyginanych gałęziach, tonący w śniegu. Wyblakłe, smutne firanki zwisały smętnie za ciemnymi oknami. Miała nadzieję, że chociaż ogrzewanie było włączone.

Czarny ptak, jeden ze stada, które obserwowała przez okno w kuchni, przysiadł na ogrodzeniu. Wrona. Na widok zbliżającej się Line, ptak poderwał się i zaczął krążyć nad domem jak sęp na padliną.

Powiesiła torbę na ramieniu i przedarła się przez wysoką zaspę. W torbie miała wszystkie dokumenty z policji, kołonoratnik i aparat fotograficzny.

W śniegu odcisnęła się para butów. Ktoś musiał iść tędy przed nią i to nie tak dawno, tuż przed ostatnimi opadami śniegu. Ślady prowadziły aż do drzwi, ułatwiając jej dotarcie do domu Viggo Hansena. Prawdopodobnie był to ktoś z urzędu gminy albo z policji. Drzwi wejściowe były wyposażone w podwójny zamek, przeczytała w policyjnym raporcie. Dwa zamki, jeden nad drugim. Policjanci rozwiercili oba, by móc dostać się do środka, ale później wstawili tylko jeden.

Już miała poszukać klucza, gdy zobaczyła, że drzwi zostały wyważone. Ktoś musiał użyć szerokiego śrubokrętu z płaską końcówką albo podobnego narzędzia i wsunąć je między drzwi a ościeżnicę. Stare drewno wokół zamku było roztrzaskane w drzazgi, a rygiel wepchnięty do środka.

Line przyjrzała się śladom zostawionym przez włamywacza. Nie była pewna, czy wejść do środka, czy zostać na zewnątrz.

Jednak po chwili żyłka dziennikarska dała o sobie znać. Jeśli w środku grasował włamywacz i splądrował dom w poszukiwaniu kosztowności, to chciała to mieć na zdjęciach.

Otworzyła drzwi, weszła do środka i zamknęła je za sobą. Powietrze w mieszkaniu było suche i pachniało stęchlizną wywołującą mdłości, jak to często bywa w domach starych ludzi. Drzwi na lewo były zamknięte. Po prawej stronie znajdowała się łazienka.

Śnieg, który wniosła na podszwach butów, zaczął się od nich odrywać, tworząc białe ślady na podłodze w korytarzu. Będę musiała przyznać się, że weszłam do środka, gdy zadzwonię na policję, żeby zgłosić włamanie, pomyślała.

Przed nią było wejście do salonu. Telewizor stał dokładnie tak, jak to widziała na policyjnych zdjęciach. To samo dotyczyło ławy i meblościanki. Drzwi szafy były zamknięte, szuflady również. Nic nie wskazywało na to, żeby jakaś rzecz zmieniła swoje położenie, poza fotelem, który został przesunięty nieco bardziej na środek pokoju. Po Viggo Hansenie została tylko ciemna plama, ciągnąca się od fotela, na którym siedział, aż na podłogę, gdzie przybrała kształt ptaka o wielkich skrzydłach.

Wycofała się z salonu i ruszyła do wyjścia. Właściwie mogłabym wykorzystać ten wątek w reportażu, pomyślała. Viggo Hansena prawdopodobnie nikt za życia nie odwiedzał. Natomiast po jego śmierci goście pchali się drzwiami i oknami, nawet ci nieproszeni. To, co się stało, bardzo ją poruszyło i wiedziała, że u wielu czytelników reportaż wywoła podobne odczucie.

Zeszła ze schodów, wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcie zniszczonego zamka. Potem zadzwoniła do ojca. Słyszała w jego głosie, że jest czymś bardzo przejęty, ale rozmawiał z nią spokojnym tonem, żeby nie myślała, że mu przeszkadza.

– Ktoś włamał się do domu Viggo Hansena – powiedziała. – Drzwi zostały wyważone.

– Włamanie?

– Tak. Poszłam tam, żeby zobaczyć, jak wygląda w środku. Gdy już chciałam otworzyć drzwi, zauważyłam ślady włamania.

– Kiedy to się stało?

– Nie wiem. Na zewnątrz są odciski butów, które zdążył trochę przysypać śnieg.

– To znaczy, że teraz w domu nikogo nie ma?

Szczerze mówiąc, nie przyszło jej to nawet do głowy.

– Okej – odparł ojciec. – Wysyłam patrol. Niech chłopaki się rozejrzą. A ty zaczekaj na nich przed domem.

Zakończyli rozmowę. Line zamieniła telefon komórkowy na aparat fotograficzny, wyszła na ulicę i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Sprawdziła rezultat na wyświetlaczu. Śnieg sprawił, że część była niedoświetlona. Zmieniła ustawienia i zrobiła nowe zdjęcie, na którym udało jej się wydobyć więcej szczegółów. Skinęła głową z zadowoleniem. Główny motyw stanowiły chłód i samotność. Czula, że zdjęcie dobrze wyjdzie w druku.

Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem czarnych ptaków. Gdyby jeden z nich usiadł na drzewie przed domem, miałyby kolejne ciekawe zdjęcie. Nigdzie jednak nie mogła ich dostrzec. Zauważyła za to poruszającą się firankę w oknie kuchennym Grety Tisler. Ktoś tam przed chwilą stał i ją obserwował, a potem opuścił firankę i zniknął w głębi mieszkania.

Line uśmiechnęła się. Lubiała wścibskich sąsiadów.

Wisting zadzwonił na dół do oficerów dyżurnych i poinformował ich o zajściu. Nie pierwszy raz mieli do czynienia z włamaniem do domu zmarłej osoby. Puste mieszkania, które nie zostały jeszcze przejęte ani sprzedane przez spadkobierców, kusily włamywaczy. Podłoga ludzka nie miała granic. Kilka lat temu prowadzili dochodzenie w sprawie serii włamań do domów. Okazało się, że przestępcy czytali nekrologi i włamywali się do mieszkań najbliższych krewnych zmarłej osoby podczas ceremonii pogrzebowej, o której informowano w nekrologu.

Pozostali śledczy już na niego czekali: Nils Hammer, Torunn Borg, Benjamin Fjeld i Espen Mortensen.

W sali konferencyjnej ktoś postawił świecznik adwentowy. Gdy zebrali się wokół stołu, Torunn zapaliła trzy fioletowe świece. Wisting zauważył, że małe płomienie działały na niego uspokajająco. Napięcie, które czuł w całym ciele, powoli ustępowało. Zaczekał, aż Torunn zgasi zapalkę i dopiero wtedy rozpoczął zebranie.

– Otrzymaliśmy interesującą wiadomość – powiedział i otworzył notes na notatkach dotyczących Amerykanina. – Pewien amerykański turysta wynajmował mieszkanie w centrum Stavern od połowy lipca. Cztery tygodnie później zaginął.

– Zaginął?

– Miał się wyprowadzić czternastego sierpnia, ale gdy właściciele mieszkania przyszli odebrać klucze, znaleźli jedynie jego bagaż – wyjaśnił Wisting i przekazał kolegom kilka szczegółów, które poznał dzięki rozmowie z Else Britt Gusland.

– Nazywa się Bob Crabb – dodał, wręczając Torunn Borg kartkę z nazwiskiem. – Możesz sprawdzić go na wszystkie możliwe sposoby?

– Mamy coś więcej poza jego nazwiskiem?

– Numer telefonu w Stanach i adres mailowy – powiedział i wskazał na kartkę, którą jej podał. – Facet ma około sześćdziesiątki.

– Bob jest skrótem od Roberta – zauważył Hammer. – To może być on. Robert Godwin, który teraz podaje się za Boba Crabba.

– Jestem z nią umówiony o jedenastej – powiedział Wisting.

– Może dowiem się czegoś więcej. – Zwrócił się do Nilsa Hammera: – Chcę, żebyś mi towarzyszył.

Hammer skinął głową.

– Co z FBI i z porównaniem profili DNA?

Mortensen potrząsnął głową z lekką rezygnacją.

– Papiery przechodzą przez sekcję międzynarodową w Kripos. Straszna biurokracja – wyjaśnił. – Amerykanie nie chcą nam przesłać profilu Roberta Godwina, wolą przeprowadzić porównanie u siebie, więc jak tylko profil naszego kandydata będzie gotowy, zaraz go im wyślemy. Zakładam, że do wieczora dostaniemy odpowiedź.

Wisting zajrzał do notatek. Benjamin Fjeld wykorzystał chwilę na zadanie pytania:

– W co był ubrany?

– Kto?

– Ten cały Crabb, który mieszkał latem w Stavern. Czy kobieta, która wynajmowała mu mieszkanie, pamięta, w co się ubierał?

– O to jej nie spytałem – przyznał Wisting.

– Miał samochód?

– O to też zapytam, gdy będę z nią rozmawiał – odparł Wisting. – Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy mamy coś jeszcze. Torunn?

– Rozmawiałam ze Stefanem Johnssonem – wyjaśniła Torunn Borg.

– Kto to jest?

– Szyper na „Elidzie”. Potwierdza, że cumowali w Stavern dziewiątego i dziesiątego sierpnia. W oba te dni rozdawali ulotki reklamowe, żeby zaprosić ludzi na wieczorne

nabożeństwo na nabrzeżu. Prawdopodobnie rozdali około dwustu, dwustu pięćdziesięciu ulotek. Nie zaginął im żaden z członków załogi. I nie przypomina sobie, żeby w ciągu tych dwóch dni wydarzyło się coś szczególnego.

Wisting notował.

– Co z tym zastępcą, który pilnował gospodarstwa, gdy Per i Supattra Halle polecili do Tajlandii? – spytał. – Ktoś z nim rozmawiał?

Benjamin Fjeld podniósł do góry długopis, żeby pokazać, że to był jego człowiek.

– Jonathan Wang. Przyjdzie o jedenastej.

– Zabierz go do pokoju z monitoringiem – polecił Wisting. – Facet musiał być na terenie gospodarstwa, gdy podrzucono zwłoki. Każdy nawet najmniejszy szczegół może mieć znaczenie. Nie chciałbym, żeby coś nam umknęło.

Gdy doszedł do końca notatek, zbliżył filiżankę z kawą do ust, ale odkrył, że jest pusta.

– Co ze śladami elektronicznymi? – spytał, odstawiając filiżankę. – Dostaniemy wykaz połączeń telefonicznych z tamtej okolicy?

To było zadanie Nilsa Hammera. Śledczy potrząsnął głową.

– Musimy poradzić sobie bez nich. Billingi są usuwane po trzech miesiącach. Nagrania z punktów poboru opłat na autostradzie i zapisy miejskiego monitoringu jeszcze szybciej.

Wisting napelnił kubek kawą. Pił w zamyśleniu. Ofiarę zawsze łączyło coś ze sprawcą. Ustalenie, co ofiara robiła, zanim doszło do zabójstwa, zwykle naprowadzało ich na ślad nadający kierunek śledztwu. Jednak po tylu miesiącach możliwości się kurczyły. Nie tylko umykały im ważne obserwacje świadków, którzy z czasem zapominali o szczegółach, lecz także ślady elektroniczne ulegały zniszczeniu.

Siedzieli wokół stołu i omawiali sprawę. Próbowali ją naświetlić ze wszystkich możliwych stron, odnaleźć powiązania i związki, określić kontekst. Rozważali różne teorie i możliwości, dzielili się swoimi przypuszczeniami i luźnymi myślami. Wiedzieli tak mało, że nie pozostawało im nic innego,

jak konstruować hipotezy, które mogłyby przetestować, prowadząc dalsze czynności śledcze. Inaczej postęp w sprawie byłby niemożliwy.

Po półgodzinie Wisting zakończył spotkanie. Tę sprawę trzeba rozpatrywać dwutorowo, pomyślał i podniósł się. Chodziło oczywiście o znalezienie sprawcy, lecz tym razem równie wielką zagadkę stanowiła tożsamość ofiary.

Plug śnieżny zostawił ogromne zwały śniegu przed podjazdem domu kobiety, która przed sześcioma miesiącami zawarła umowę najmu z Amerykaninem. Wisting wysadził Hammera, zanim zaparkował samochód jak najbliżej krawędzi zasy.

Mieszkała w dużym starym domu z soplami lodu zwisającymi z dachu tuż nad samym wejściem.

Usłyszeli cichy dźwięk dzwonka. Czekając, aż im otworzy, Wisting rozcierał dłonie i chuchał w nie, żeby je ogrzać. Już miał zadzwonić drugi raz, gdy Else Britt Gusland otworzyła drzwi. Najwyraźniej poprzedniego wieczoru nie poszła zbyt wcześnie spać, bo miała zażawione oczy w czerwonych obwódkach.

Tuż za drzwiami stała granatowa walizka. Kwit bagażowy był wciąż przyczepiony do rączek i oznaczony skrótami OSL, Port Lotniczy Oslo. Na kwicie widniała data przylotu: czternasty lipca.

– To ta walizka – powiedziała. – Wiecie już, co się z nim stało?

– Jeszcze nie wiemy, czy to o niego chodzi – odparł Wisting.

Ukucnął i otworzył wieko walizki. Ubrania wyglądały tak, jakby zostały wepchnięte do niej w wielkim pośpiechu.

– Czy to pani ją spakowała?

– Tak, zebrałam tylko to, co leżało porozrzucane w mieszkaniu.

– Więc tutaj jest wszystko?

Skinęła głową.

Wisting odsunął na bok sweter leżący na wierzchu i wyjął spod spodu grubą szarą kopertę.

– Co to jest? – spytał.

– Nie sprawdzałam.

Otworzył kopertę i zajrzał do środka. Rzut oka na zawartość sprawił, że przeszedł go zimny dreszcz. W kopercie znajdowały się stare wycinki prasowe i wydruki z Internetu. Wyjął jedną z pożółkłych stron z gazety. Nagłówek artykułu brzmiał: „Szczątki Lynn Adams odnaleziono w studziencie kanalizacyjnej”.

Wisting pokazał wycinek Hammerowi, ale zasłonił go przed kobietą. Policjanci wymienili spojrzenia.

W artykule opublikowanym w „Minneapolis Star Tribune” 3 września 1983 roku opisywano, jak konserwator urządzeń wodno-kanalizacyjnych odkrył szczątki osiemnastoletniej studentki, Lynn Adams, która zaginęła pół roku wcześniej. Pod artykułem znajdowało się zdjęcie miejsca, w którym odnaleziono zwłoki: grupa śledczych ubranych w ciemne garnitury otaczała otwartą studzienkę kanalizacyjną.

Wisting włożył wycinek z powrotem do koperty i przyjrzał się pobieżnie innym. Wszystkie dotyczyły podobnych spraw.

Odłożył kopertę do walizki i wyjął z niej kosmetyczkę. W środku znajdowały się szczoteczka do zębów i przybory do golenia. Gdyby okazało się to konieczne, mogliby pobrać z nich materiał do badania DNA.

– Przyjechał samochodem? – spytał Hammer.

– Tak, małym szarym autem.

– Wynajętym?

Else Britt Gusland wzruszyła ramionami.

Wisting już zamykał walizkę, żeby zabrać ją na komendę i dokładnie sprawdzić jej zawartość, gdy nagle zauważył mały kieszonkowy aparat fotograficzny. Wziął go do ręki i zaczął szukać przycisku włączania.

– Miał też większy aparat – oznajmiła nagle Else Britt Gusland. – I przenośny komputer.

– Ale nie ma go tutaj?

– Nie. Nosił go w torbie na ramię.

– A co z telefonem komórkowym?

– Telefon też miał. Wiele razy próbowałam się do niego dodzwonić.

Wisting odłożył aparat. Baterie musiały się rozładować.

- W jaki sposób skontaktował się z panią?
 - Pod koniec maja przysłał mi maila, w którym pisał, że widział moje ogłoszenie w Internecie. Prosił, żebym wynajęła mu mieszkanie, i zaoferował zapłatę z góry.
 - I rzeczywiście zapłacił?
 - Pieniądze zostały przelane ze Stanów, zanim tu przyjechał.
 - Konkretnie ile?
 - Latem bierzemy pięć tysięcy za tydzień. Skończyło się na tym, że zapłacił trochę mniej z powodu kursu dolara i kilku opłat, które zostały odliczone.
 - Kiedy widziała go pani po raz ostatni?
 - W ostatnim tygodniu, w którym tu mieszkał. W środę. Zrobiliśmy zakupy na targu, a potem wstąpiliśmy do „Skipperstua”, żeby coś zjeść. On już tam był.
 - Rozmawiała pani z nim?
 - Wymieniliśmy tylko kilka grzecznościowych zwrotów. Odniosłam wrażenie, że nie chce z nami rozmawiać. Wydał mi się nieco oschły.
 - Był sam?
 - Tak, ale zachowywał się tak, jakby na kogoś czekał. Siedział przy stoliku i zerkał na ludzi, którzy przechodzili obok, jakby kogoś wypatrywał.
- Hammer przejął rozmowę.
- Pamięta pani, w co był ubrany tamtego dnia, gdy widziała go pani po raz ostatni?
- Po krótkim namyśle odpowiedziała z wahaniem:
- Chyba miał na sobie marynarkę.
 - Nie zrobiliście przypadkiem żadnych zdjęć?
 - Nie, my nie, ale na pewno inni ludzie robili zdjęcia. Ulice były pełne turystów.
- Wisting chwycił walizkę i podszedł do drzwi.
- W pierwszej chwili pomyślałam, że to włamanie to jego sprawka, ale to musiał być jednak ktoś inny, skoro on już nie żył – rzuciła nagle.
 - Włamanie?
 - Tak, do mieszkania. To było weekend później. Studenci rozjechali się do domów. Myślałam, że wrócił po swoje rzeczy

i że włamał się do mieszkania, gdy odkrył, że zmieniłam zamki.

– Zgłosiła to pani na policję?

– Tak, ale sprawy nie wyjaśniono. Półtora miesiąca później otrzymałam pismo o umorzeniu postępowania.

Wisting pokiwał głową, jakby słyszał tę historię niejedną raz.

– Cóż, dziękujemy za pomoc – powiedział i wolną ręką otworzył drzwi.

Na schodach jego twarz owionął zimny wiatr. Wisting zacisnął palce wokół rączki walizki. Mróz szczypał go w dłonie, ale on dalej tak stał. Zamknął oczy i wciągnął lodowate powietrze głęboko do płuc. Dopiero teraz był gotowy.

Czekając na przybycie policji, Line zrobiła serię zdjęć. Ciemne ściany pustego domu wyrastały ze śniegu. Na zdjęciu wyglądało to tak, jakby dom przymarzył do podłoża, opustoszały i ziejący chłodem. Czarne ptaki już się nie pojawiły, ale powykręcane gałęzie jabłoni stwarzały atmosferę grozy.

Zawsze lubiła robić zdjęcia. Pierwszy aparat fotograficzny dostała w wieku dziesięciu lat. Gdy ojciec zorientował się, że fotografowanie stało się jej pasją, na trzynaste urodziny podarował jej droższy aparat i zapisał ją na kurs fotografii. Na zajęciach nauczyła się nie tylko tego, jak działa aparat, ale również tego, jak być bardziej twórczym i w jaki sposób komponować dobre zdjęcia. Za pieniądze, które dostała na konfirmację, kupiła sobie później kolejny aparat, który był jeszcze lepszy i nowocześniejszy.

Umiejętność fotografowania przydawała jej się w pracy. Co prawda gazeta zatrudniała fotografów, ale Line lubiła sama robić zdjęcia do artykułów, nad którymi pracowała. Fotografie stanowiły część historii, które przekazywała swoim czytelnikom, i stawały się bardziej jej, gdy mogła je samodzielnie zilustrować.

Robienie zdjęć przypominało jazdę na rowerze, mówiła sama do siebie. Technika siedziała w palcach. Line czuła jednak, że nie nadąza za postępem w tej dziedzinie. Obróbka obrazów cyfrowych stawała się coraz ważniejsza. Line od dawna obiecywała sobie, że nauczy się obsługiwaniania Photoshopa, ale program był zaawansowany, a ona nie miała czasu, żeby się w niego wgryźć. W następne wakacje, powtarzała sobie co roku, wtedy na pewno się nauczę.

Gdy minęło pół godziny, mróz zaczął jej się dawać mocno we znaki. Od dłuższego czasu czuła na sobie spojrzenie Greta Tisler, obserwującej ją przez okno kuchenne sąsiedniego domu.

Postanowiła zaczekać u niej. Zapamiętała ją jako miłą kobietę. Pulchną. Zawsze łagodną, gdy chodzili po domach przebrani za kolędników, i niezwykle hojną, gdy sprzedawali losy na loterię.

Na jej widok starsza pani uśmiechnęła się równie szeroko, jak wtedy, gdy Line była mała, i posadziła ją przy kuchennym stole. W pomieszczeniu było tak ciepło, że zmarznięte policzki Line zaczęły ją palić.

Stawiając na stole filiżanki i talerzyki deserowe, Greta Tisler zapewniła, że bardzo cieszy się ze spotkania, i dodała, że czyta wszystkie artykuły, które wychodzą spod pióra Line.

– Było włamanie do domu Viggo Hansena – oznajmiła Line i usiadła.

Starsza pani zastygła z półmiskiem ciastek w dłoni. Wyraz jej twarzy mocno się zmienił.

– Włamanie? – powtórzyła i spojrzała w kierunku domu po drugiej stronie żywoplotu.

– Policja ma się temu przyjrzeć – wyjaśniła Line. – To musiało się stać niedawno, ponieważ wciąż są widoczne ślady na śniegu prowadzące aż do drzwi.

Kobieta usiadła.

– Piszę reportaż o Viggo Hansenie – mówiła dalej Line i wytłumaczyła, jak udało jej się pożyczyć klucze do jego domu.

– Pisze pani o nim do „VG”? – spytała Greta Tisler. – Ale po co?

– Reportaż będzie dotyczył nie tylko Viggo Hansena – Line pospieszyła z wyjaśnieniami. – Na jego przykładzie zamierzam przedstawić negatywny rozwój społeczeństwa. Społeczeństwa, w którym panuje znieczulica i w którym ludzie nie mają już dla siebie czasu.

Gdy tylko to powiedziała, zrozumiała, że starsza pani może odebrać jej słowa jako oskarżenie.

– On chciał tak żyć – skwitowała jej rozmówczyni. – Nie traktował tego jako ciężaru. Chciał być sam – Niektórzy tacy już są. Ja też jestem sama i nie ma w tym nic złego.

Line skinęła głową i przestała drążyć temat.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – spytała i poczęstowała się ciastkiem.

– On bardzo rzadko wychodził z domu – odparła Greta Tisler. – Powinien był zadbać o swój dom i ogród, ale nigdy nie widzieliśmy, żeby gdzieś wychodził, chyba że późnym wieczorem.

– Jak dawno temu to mogło być? Kiedy go pani widziała?

– Nie zjawiał się nawet na pogrzebie Trygvego. Był naszym najbliższym sąsiadem, a nie przysłał kwiatów ani kartki z kondolencjami.

– Rozumiem, że Trygve czasem z nim rozmawiał?

– To było dawno temu. W 1993 dobudowaliśmy pokój wychodzący na ogród i musieliśmy zdobyć podpisy wszystkich sąsiadów, żeby dostać zgodę na budowę. Trygve poszedł do niego po ten podpis, ale rozmawiali tylko na schodach.

Starsza pani wypila łyk kawy.

– Wcześniej taki nie był, wie pani – powiedziała. – Zawsze był dziwakiem, ale kiedyś aż tak bardzo nie stronił od ludzi.

Line uniosła filiżankę, ale nie zbliżyła jej do ust.

– Kiedyś to znaczy kiedy?

– Trygve był tego samego zdania – ciągnęła tamta, nie odpowiadając na pytanie. – Podczas tej rozmowy o pokoju ogrodowym Trygve odniósł wrażenie, że Viggo nie jest sobą. Tak właśnie powiedział. Od tamtego czasu stał się prawdziwym odludkiem.

– Co się takiego wydarzyło? – spytała Line. – Dlaczego unikał ludzi?

Greta Tisler zacisnęła wargi, jakby powstrzymywała się przed zdradzeniem sekretu.

– Dowiedziałam się tego od Astrid, która po wielu latach zwierzyła mi się.

Starsza pani objęła filiżankę dłońmi i podniosła ją do ust, po czym mówiła dalej, ściszej głoś:

– Astrid był sekretarką doktora Gravdahla. Teraz jest już na emeryturze i dopiero kiedy przestała pracować, powiedziała mi o tym.

– O czym?

– Gravdahl był jego lekarzem – powiedziała, wskazując głową na kuchenne okno. – To on umieścił Hansena w szpitalu.

– Viggo Hansen był psychicznie chory?

Starsza pani skinęła głową znad filiżanki, po czym wypila łyk kawy.

– Co mu właściwie dolegało? – zaciekawiała się Line.

– Gdybym to ja wiedziała – odparła tamta. – Po prostu coś mu się w głowie pomieszało.

Line siedziała zamyślona. Zastanawiała się nad tym, jak choroba psychiczna Hansena wpłynie na jej artykuł. Opisywanie czyjegoś samotnego życia to jedno, a ujawnienie historii z poważną chorobą w tle to zupełnie co innego.

– Czy ktoś może wiedzieć o nim coś więcej? – spytała, ale przeformułowała pytanie, zanim Greta Tisler zdążyła odpowiedzieć: – Czy wie pani o jakichś innych osobach, które go znały? Może ktoś go odwiedzał?

– Nie po tym, jak się zmienił.

– A czy przedtem ktoś do niego przychodził?

– Od czasu do czasu odwiedzał go kolega w podobnym wieku, ale potem przychodził coraz rzadziej.

– Znała pani jego rodziców?

– Nie. Gdy wprowadziliśmy się tutaj w 1972, Viggo mieszkał już tylko z matką. Kilka lat później kobieta zmarła.

– Czy jego matka również była chora?

– Tak, biedaczka. Takie choroby są przecież dziedziczne. A to, co zrobił jej mąż, na pewno nie polepszyło jej stanu.

Line uniosła brwi i dała znać mimiką, że nie wie, co takiego zrobił ojciec Viggo Hansena.

– Odebrał sobie życie. Przynajmniej tak mówiono. Ale to było, zanim się tutaj sprowadziliśmy. Nic więcej nie wiem.

– Słyszałam, że siedział w więzieniu.

Kobieta skinęła głową i spojrzała na nią nieobecny wzrokiem, jakby ogarnęły ją wspomnienia.

– Wie pani coś o tym? – spytała Line.

– To się nie stało tutaj – odparła tamta, kręcąc głową. – To było wtedy, gdy pracował w Vestlandet.

Uwaga starszej pani znowu skupiła się na kuchennym oknie. Przed sąsiednim domem zatrzymał się policyjny radiowóz. Line podniosła się i zastygła w bezruchu. Zastanawiała się, czy jest

jeszcze coś, o co mogłaby zapytać Grete Tisler. Mniej więcej dwadzieścia lat wcześniej wydarzyło się coś, co zmieniło Viggo Hansena i doprowadziło do tego, że został umieszczony w szpitalu na oddziale psychiatrycznym.

Po chwili wahania potrząsnęła głową, podziękowała za rozmowę i wyszła na mróz.

Walizka leżała na środku metalowej ławy w pomieszczeniu, które wykorzystywano do badań kryminalistycznych.

Espen Mortensen właśnie ją przeszukiwał. Spisywał wszystkie przedmioty, które z niej wyjmował, jeden po drugim. Każdy fragment odzieży był umieszczany w osobnej papierowej torbie. Na dnie walizki leżała lornetka, poza tym nie znajdowało się w niej nic, czego by Wisting wcześniej nie widział.

Dwa najciekawsze przedmioty leżały wciąż na ławie. Aparat fotograficzny i koperta z wycinkami z gazet.

– Czego nam brakuje? – spytał Wisting. – Poza laptopem, telefonem komórkowym i większym aparatem fotograficznym?

– Dokumentów podróżnych – odpowiedział Hammer. – Paszportu i biletów. Czegoś, w czym zanotowane byłoby jego nazwisko.

Mortensen wysypał zawartość koperty na ławę i poodsuwał od siebie wycinki. Wiele z nich miało w rogach małe dziurki, jakby wcześniej były przyćepione pinezkami do ściany.

Jeden z wycinków pochodził z 24 września 1989 i przedstawiał twarz Roberta Godwina. Było to czarno-białe zdjęcie, na którym Godwin miał sumiaste wąsy i był ubrany w białą koszulę zapiętą aż po samą szyję. Wisting pochylił się nad blatem i spojrzał seryjnemu zabójcy prosto w oczy.

– Robert Godwin był poszukiwany w Stanach ponad dwadzieścia lat temu – Hammer nie krył sceptycyzmu. – Dlaczego miałyby pojawić się po tylu latach i to akurat w Norwegii?

– Niewykluczone, że mieszkał tutaj od dawna – odparł Wisting i wykonał ruch dłonią. – Te rzeczy nie należą do niego. To, co tutaj leży, przypomina bardziej bagaż osoby, która była na jego tropie.

Do pokoju weszła Torunn Borg, trzymając w dłoni kilka luźnych kartek.

– Zgłoszono jego zaginięcie – powiedziała i zaprezentowała wydruk komputerowy ze zdjęciem starszego mężczyzny z brodą i okularami w cienkich oprawkach. Miał dobrotliwy wyraz twarzy, ale spojrzenie jego szarych oczu było niezwykle poważne.

– Bob Crabb – kontynuowała Borg. – Sześćdziesięciosiedmioletni wdowiec z Minneapolis.

– Nie ma go w naszym wykazie – skwitował Wisting, rozglądając się za aktami sprawy, w których znajdowała się lista osób zaginionych.

– W naszym systemie zgłoszenie zostało zarejestrowane jako donos obywatelski. Trzeciego września departament policji w Minneapolis przesłał zgłoszenie norweskiej policji za pośrednictwem Interpolu. Przyjaciel i sąsiad Boba Crabba skontaktował się z policją po tym, jak mężczyzna nie wrócił z podróży do Norwegii. To było standardowe zapytanie z prośbą o udzielenie informacji.

Torunn Borg odwróciła kartkę.

– Bob Crabb wylądował na Gardermoen czternastego lipca. Przyleciał do Norwegii lotem FI318 z międzylądowaniem w Rejkiawiku. Miał wykupiony bilet powrotny na czternastego sierpnia, ale tego samego dnia bilet został anulowany.

– Anulowany?

– Przewoźnik nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, ale przypuszczają, że bilet anulowano przez Internet lub telefon.

– Po co przyleciał do Norwegii?

– Sąsiad twierdzi, że Crabb chciał odszukać swoich norweskich krewnych. W Stanach nie miał już żadnej rodziny. Jego przodkowie wyemigrowali z Toten pod koniec dziewiętnastego wieku. Zgłoszenie zostało przesłane policji w Gjøvik do dalszego monitorowania.

– Gjøvik? Przecież już w maju podpisał umowę na wynajem mieszkania w Stavern?

– Ale wybierał się do Toten – odparła Torunn, wzruszając

ramionami.

– W Gjøvik ustalili, że Crabb wynajął samochód od firmy Avis. To znaczy ta informacja pochodzi właściwie od amerykańskiej policji. Z wyciągów bankowych wynika, że w dniu, w którym przyleciał do Norwegii, odebrał samochód przed lotniska. Jeden ze śledczych z Gjøvik zadzwonił na Gardermoen i ustalił, że chodzi o szare audi A3. Odstawiono je na lotnisko tego samego dnia, w którym anulowano bilet powrotny.

Wisting miał mnóstwo pytań.

– Czy z tej firmy Avis da się wyciągnąć coś jeszcze?

Borg potrząsnęła głową.

– Nic poza tym, co widać na ekranie komputera.

– A co z wydrukami z konta? Jest w nich coś ciekawego?

– Z bankomatu na lotnisku podjęto dużą sumę w norweskich koronach. Poza tym nie dokonano żadnych innych operacji na koncie.

– I na tym sprawa się kończy?

– Tak. Amerykańska policja nie zwracała się do nas więcej w tej sprawie. Prawdopodobnie uznali, że Crabb przedłużył pobyt w naszym kraju, nie mówiąc o tym sąsiadom w Minneapolis.

– Może spotkał w Gjøvik jakiegoś dalekiego krewnego? – podsunął Hammer.

Wisting nie miał humoru.

– Crabb nigdy nie był w Gjøvik! – warknął. – Przez cały czas był u nas, dopóki ktoś go nie zabił i nie ukrył jego ciała pod jodłą.

– W takim razie to zabójca musiał anulować jego bilet powrotny – podsumował Mortensen. – Wszystko, czego potrzebował, to numer rezerwacji i nazwisko. Możliwe, że znalazł to w dokumentach, których nie było w walizce. Kluczyki do wynajętego przez Crabba samochodu mógł wrzucić do pierwszej lepszej skrzynki pocztowej.

– Jest jeszcze jeden interesujący szczegół – powiedziała Torunn Borg i wyjęła spod spodu kartkę ze szczegółowymi danymi dotyczącymi zaginionego emeryta. – Bob Crabb był

profesorem uniwersytetu w Minnesocie. Tej samej uczelni, na której wykładał Robert Godwin.

Wisting skrzyżował ramiona i spojrzał na stos wycinków prasowych leżących przed nim na blacie. W jednym z nich wspomiano o nagrodzie w wysokości miliona dolarów dla osoby, która przekaze informacje pozwalające ująć zabójcę.

– Bob Crabb był na jego tropie – powiedział. – A skończył jako jego kolejna ofiara.

Na samą myśl poczuł zimny dreszcz. Gdzieś w okolicy grasował seryjny morderca.

Wisting wyciągnął rękę po dokumenty dotyczące zaginionego mężczyzny, które trzymała Torunn Borg.

– Profesor Bob Crabb – powiedział do siebie.

Kilka elementów układanki znalazło się na swoim miejscu. Broszura reklamująca pływający kościół była jednym z dowodów, które zebrał zmarły mężczyzna podczas ścigania seryjnego zabójcy. Robert Godwin musiał być jednym z tych, którym wsunięto do ręki ulotkę, gdy „Elida” zacumowała w Stavern, żeby głosić prawdę o Jezusie. Niezainteresowany ofertą, prawdopodobnie wyrzucił broszurę, a wtedy Bob Crabb podniósł ją i włożył do plastikowej torebki, żeby zabezpieczyć odciski palców.

– Monitoruj to – poprosił Torunn, oddając jej papiery. – Policja w Minneapolis musi zostać poinformowana, że prawdopodobnie znaleźliśmy jego ciało. Patomorfolodzy potrzebują czegoś, co pozwoliłoby na identyfikację zwłok. Na przykład kartę dentystyczną.

Borg skinęła głową. Już się tym zajęła. Nie potrzebowała, żeby jej mówiono, co ma robić.

– Musimy ustalić, co łączyło go z Robertem Godwinem – ciągnął Wisting. – Dlaczego się nim interesował? Czy znali się z uczelni? Czy byli bliskimi kolegami? Czy Bob Crabb znał którąś z ofiar? I jakim cudem wpadł na to, że Godwin uciekł właśnie do Norwegii?

Odetchnął ciężko, wypuszczając powietrze nosem. Szyja mu pulsowała, czuł rosnącą temperaturę.

– Robert Godwin jest poszukiwany od ponad dwudziestu lat – powiedział i spojrzał każdemu z nich w oczy. – Ślady doprowadziły Boba Crabba aż tutaj. Do Norwegii. Mieszkał w Stavern przez prawie cztery tygodnie, tropiąc Roberta Godwina. Ten z kolei mieszkał tutaj prawdopodobnie o wiele

dłużej. Niewykluczone, że mieszkał gdzieś w okolicy od wielu lat i nikt się niczego nie domyślił. Mógł stać się jednym z nas, do cholery!

– To co robimy? – spytał Hammer.

Wisting pocierał dłonią usta. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– A więc sądzisz, że uciekł ze Stanów i osiedlił się gdzieś tutaj? – podsumował Mortensen. – I że rozpoczął nowe życie pod zmienionym nazwiskiem?

Wisting wciąż milczał. Podeszedł do wycinków prasowych, które leżały na ławie.

– Czy naprawdę nie ma tu żadnej notatki? – spytał, przesuując je. Twarze młodych dziewcząt, które zaginęły w latach osiemdziesiątych, świeciły w jego stronę z pożółkłych gazet. – Nie mógł zapisać chociaż adresu? Czegoś, co naprowadziłoby nas na ślad?

– Dziewczyna, która przeżyła atak, zeznała później, że miała torbę na ramię z przenośnym komputerem – przypomniał mu Hammer.

Wisting trzymał w dłoni wycinek z gazety opisujący zaginięcie dwudziestokilkuletniej Marie Gesto, do którego doszło podczas wycieczki autostopem do Duluth w 1988. Odłożył wycinek i sięgnął po podobny, ze zdjęciem Isabelle Pierce z Milwaukee. Żadne słowo w tekście nie było podkreślone. Żadnych zapisków na marginesie. Bob Crabb musiał robić notatki na komputerze albo w notesie, który nosił przy sobie, a który prawdopodobnie został zniszczony przez zabójcę.

– Powinniśmy nawiązać bezpośredni kontakt z FBI – odezwał się w końcu Wisting. – Niech przeszukają mieszkanie Boba Crabba. Musiał tam zostawić jakiś ślad, coś, co pozwoli nam ustalić, po co przyjechał do Norwegii. Historia z krewnymi z Toten była jedynie przykrywką. Musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę sprowokowało go do wyjazdu.

Hammer stanął obok Wistinga i wziął do ręki wycinek ze zdjęciem młodej dziewczyny o długich jasnych włosach: „Policja poszukuje Angelli Olsson. Ostatni raz była widziana w piątek”.

– Od czego zaczynamy poszukiwanie? – spytał. – Facet mógł zmienić wygląd, ożenić się, mieć dzieci. Może nawet wnuki. W końcu minęło...

– Kiedy urodził się Godwin? – przerwał mu Wisting.

– W 1950...

Wisting zaczął krążyć po pokoju.

– Chcę dostać listę – powiedział, wskazując na Nilsa Hammera – listę wszystkich mężczyzn urodzonych między 1947 a 1953, z historią ich miejsc zamieszkania, tak żebyśmy mogli wyłapać imigrantów i tych, którzy przeprowadzili się tutaj po osiemdziesiątym dziewiątym. Na początek wystarczy.

– Ale to przecież kilka tysięcy osób!

– Ma ktoś lepszy pomysł?

W pokoju zaległa cisza, którą po chwili przerwał Mortensen. Podeszedł do ławy i wziął do ręki aparat fotograficzny.

– Obejrzymy zdjęcia? – spytał.

Stali blisko siebie za oparciem krzesła Mortensena. Technik kryminalistyki otworzył pokrywę pod kamerą i wyjął ze środka małą kartę pamięci. Wsunął ją do czytnika i komputer zaimportował jej zawartość.

Było tam w sumie osiem zdjęć. Pojawiły się na ekranie jako małe ikony. Musiały zostać wykonane latem, ponieważ było na nich dużo zieleni. Zielona trawa i zielone drzewa.

Mortensen kliknął na pierwsze z nich, tak że wypełniło cały ekran. Wyglądało na to, że zdjęcie zrobiono w środku lasu. Dziesięć, może dwanaście smukłych pni brzoź wyciągało gałęzie w stronę błękitnego nieba.

– Co to jest? – spytała Torunn Borg, wskazując na coś, co ukrywało się między drzewami. Brązowy budynek.

– Bo ja wiem? Może to domek letniskowy? – zaproponował Wisting. – Pokaż następne.

Zdjęcie zostało wykonane w tym samym miejscu, tylko pod nieco innym kątem. W pierwszej chwili wyglądało to na zarośnięte rumowisko. Pnie drzew rosnących na pierwszym planie przysłaniały to, co znajdowało się w głębi kadru.

Na kolejnym zdjęciu motyw był wyraźniejszy. Zobaczyli gospodarstwo z wieloma budynkami. Z szarą stodołą i białym domem.

– Gdzie to jest, do cholery?! – denerwował się Hammer. – To przecież musi być gdzieś w pobliżu!

Mortensen pokręcił głową. Nie dlatego, że się nie zgadzał z kolegą, lecz dlatego, że on również nie rozpoznawał miejsca.

Czwarte zdjęcie zostało zrobione gdzieś indziej. Gdzie raczej na pewno nikt już od dawna nie mieszkał. Na samym środku był stary dom z zapadającym się dachem. Z drewnianych ścian łuszczyła się farba, ganek stał krzywo, a większość szyb była powybijana. Na podwórzu stał zardzewiały pług oparty

o studnię. Za domem znajdowały się zgliszcza stodoły. Fragmenty tylnej ściany wciąż jeszcze stały, strasząc osmalonymi, zwęglonymi resztkami desek. Stodołę otaczało kilka wałących się budynków gospodarskich.

– Mógł się tam ukrywać – stwierdził Wisting. – Musimy ustalić, gdzie to jest. I kto tam mieszkał.

– Tylko kto może to wiedzieć?

– Przecież musi istnieć jakieś towarzystwo miłośników Vestfold czy coś w tym stylu. Jacyś lokalni historycy. Jak się nazywa ten facet, który czasem pisze do gazety? Thorvik? Bjørn Thorvik. Możemy z nim pogadać.

Dwa następne zdjęcia zostały zrobione w tym samym miejscu. Ale nie było na nich żadnych charakterystycznych elementów krajobrazu, które mogłyby wskazywać, gdzie znajdują się ruiny gospodarstwa.

Dwa ostatnie zdjęcia przedstawiały szczerze pole. Żadnych budynków, jedynie skraj lasu i droga dla traktorów prześwitująca między drzewami.

– I to wszystko? – nie dowierzał Wisting.

– Wszystko – potwierdził Mortensen. – Mogę sprawdzić, kiedy je zrobiono. Kliknął na jeden z plików zdjęciowych i odczytał informację.

– To zostało zrobione siódmego sierpnia, ale czas się nie zgadza. Piąta czterdzieści nad ranem. Zegar musiał być źle nastawiony.

– Amerykańskiego czasu – wyjaśnił Hammer. – Facet nie zmienił ustawień w kamerze po przyjeździe do Norwegii. Różnica czasu wynosi siedem godzin.

– To by znaczyło, że u nas był środek dnia – przytaknęła Mortensen i sprawdził pozostałe pliki. Wszystkie zdjęcia zrobiono tego samego dnia w ciągu niecałych dwóch godzin.

– A więc tu siedzicie?

Odwrócili się w stronę Benjamina Fjelda, który stał w uchylonych drzwiach.

– Skończyłem z Jonathanem Wangiem – powiedział i pomachał płytą DVD z nagraniem wideo.

– Poszedł już? – spytał Wisting.

– Jest w drodze do wyjścia. A co?

– Poproś go, żeby zaczekał. Chciałbym, żeby rzucił na coś okiem.

Fjeld zniknął. Wisting poprosił Mortensena, żeby wydrukował zdjęcie zrujnowanego gospodarstwa.

– W końcu facet pracuje jako zastępca rolnika – wyjaśnił Wisting. – Na pewno dobrze zna okolicę, może będzie wiedział, gdzie zrobiono to zdjęcie.

Wziął wydruk i zszedł na dół. Jonathan Wang siedział na kanapie i czekał. Był starszy, niż wyobrażał to sobie Wisting, grubo po sześćdziesiątce, ale sądząc po tym, jak szybko poderwał się z kanapy, wciąż był w świetnej formie. Miał na sobie ubranie robocze: poplamiony kombinezon i koszulę w czerwonej kratę. Lewą część twarzy szpeciły głębokie blizny.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Chciałbym, żeby przyjrzał się pan temu zdjęciu – wyjaśnił Wisting i podał mu wydruk. Nie był w stanie oderwać wzroku od blizn.

Mężczyzna wziął do ręki kartkę i spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Wie pan, gdzie to jest?

– Nie – odpowiedział tamten, kręcąc głową i przygryzając dolną wargę. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tam był. Straszna ruina.

W tym, co powiedział, lub w sposobie, w jaki to zrobił, było coś, co sprawiło, że Wisting zaczął żałować, że pokazał mu zdjęcie. Mężczyzna lekko się zacinał i mówił z prawie niewyczuwalnym akcentem.

– Dlaczego pan pyta? – zagadnął, oddając Wistingowi zdjęcie.

Śledczy potrząsnął głową.

– Nieważne. Myślałem, że skoro pracuje pan w gospodarstwie, to może rozpozna pan to miejsce.

– Przykro mi – odparł tamten. – Mogę już iść?

– Tak, bardzo dziękuję.

Wisting wrócił do gabinetu i odnalazł zdjęcie poszukiwanego Roberta Godwina. Mężczyzna niczym szczególnym się nie

wyróżniał, powierzchowność miał bardzo przeciętną. Podając jego rysopis, Wisting zakreśliłby odpowiedź „normalnej budowy” zarówno w odniesieniu do jego podbródka, jak i ust, nosa oraz uszu. Czoło było trochę za wysokie, ale prawdopodobnie miało to związek z dużymi zakolami łysiny. Szczerze mówiąc, Godwin prezentował nordycki typ urody.

Wisting wybrał numer Benjamin Fjelda i poprosił go o przyjęcie.

Zdjęcie Godwina pochodziło sprzed ponad dwudziestu lat, ale nie było w nim nic, co mogłoby nasunąć skojarzenie z Jonathanem Wangiem. Chociaż z drugiej strony, przyglądając się zdjęciu, nie można było wykluczyć, że zastępca rolnika i poszukiwany zabójca to jedna i ta sama osoba. To przez te włosy i szpecące blizny, pomyślał Wisting.

Benjamin Fjeld wszedł do pokoju i usiadł.

– Co powiedział Wang? – spytał Wisting.

– Właśnie spisuję jego wyjaśnienia – odpowiedział młody śledczy. – Potwierdził to, co zeznali Per i Supattra Halle: że byli w Tajlandii, a on sam nie widział nic, co mogłoby mieć związek z zabójstwem. W każdym razie nic takiego sobie nie przypomina.

– Nie jest rodowitym Norwegiem?

– Nie, jest z pochodzenia Austriakiem. Przeniósł się tutaj w dziewięćdziesiątym czwartym. Wcześniej pracował przez kilka lat w gospodarstwie w Danii. Po przyjeździe do Norwegii pracował w jednym z tych dużych gospodarstw w Nalum. Dziewięć lat temu kupił sobie własne gospodarstwo.

– Żonaty?

– Nie.

– Skąd się wzięły blizny na jego twarzy?

– Nie pytałem go o to.

Wisting popchnął w jego stronę zdjęcie Roberta Godwina i zasłonił dłonią jego czoło i włosy.

– Wyobraź sobie, że ma perukę – powiedział. – Jest podobny?

Fjeld pochylił się nad biurkiem, przyjrzał zdjęciu i pokręcił głową.

– Raczej nie – odparł. – A ty tak uważasz?

– Nie – przyznał Wisting i przyciągnął do siebie zdjęcie Godwina. – To przez ten jego akcent. Czułem, że musi pochodzić z innego kraju.

– Chcesz, żebym to sprawdził?

Wisting namyślił się, zanim odpowiedział twierdząco.

– Zrób to – poprosił. – Dowiedz się, dlaczego wyemigrował z Austrii.

Zbadanie sprawy włamania do domu Viggo Hansena zajęło patrolowi policji mniej niż pół godziny. Line rozmawiała z nimi, gdy przybyli na miejsce, a potem śledziła ich z okna pracowni na pierwszym piętrze. Jeden z nich sfotografował drzwi wejściowe i zamek, po czym pokrył powierzchnię proszkiem do ujawniania śladów linii papilarnych, ale wyglądało na to, że niczego nie znalazł. Drugi stał obok niego z notesem w dłoni. Line zrobiła im zdjęcie teleobiektywem.

Gdy policjanci skończyli oględziny na zewnątrz domu, weszli do środka i przebywali tam przez piętnaście minut. Po wyjściu wsiedli do radiowozu i czekali, aż zjawi się ślusarz i wzmocni uszkodzoną ościeżnicę, tak żeby można było zamknąć drzwi na klucz.

Line stała w oknie, dopóki samochód nie zniknął w oddali. Potem zabrała klucz i torebkę i wróciła do domu Viggo Hansena.

Drzwi były brudne od proszku daktyloskopijnego. Line zdjęła rękawiczki, wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła kolejne zdjęcie. Czarny proszek rozproszony na powierzchni drzwi robił niesamowite wrażenie.

Klucz dał się lekko przekręcić w zamku. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Tym razem w domu panował chłód. Jest około piętnastu stopni, pomyślała i postanowiła nie zdejmować kurtki. Zimno sprawiało, że zaduch panujący w mieszkaniu był mniej odczuwalny. Line szybko przywykła do mdlawego, słodkawego zapachu, którym przesiąkły ściany domu.

Odłożyła torebkę na taboret stojący w przedpokoju i zdecydowała, że najpierw zajrzy do każdego pomieszczenia, zanim zacznie systematycznie przeszukiwać mieszkanie. Za drzwiami po lewej stronie znajdowała się sypialnia. Kwiecista

tapeta na ścianach, chodniki na podłodze, szerokie łóżko i dwa małe stoliki nocne z identycznymi lampkami do czytania. Na jednej ze ścian wisiała stara fotografia ślubna.

Jego rodzice, pomyślała, podchodząc bliżej. Szkło i ramę pokrywała warstwa kurzu, a samo zdjęcie z czasem wyblakło. Panna młoda ubrana w kolorowy kostium bez welonu stała zwrócona twarzą do męża. W dłoniach trzymała duży bukiet ślubny. Pan młody miał na sobie szary garnitur.

Line nie zauważyła żadnego podobieństwa między parą z fotografii a Viggo Hansenem, przynajmniej z tego, jak go zapamiętała. Mężczyzna był duży i silny, miał okrągłą twarz z płaskim nosem i spiczastym podbródkiem. Trudno byłoby odgadnąć, w jakim dokładnie był wieku, ale musiał mieć około dwudziestu pięciu lat. Panna młoda była chuda i drobna, co sprawiało, że wyglądała jak mała dziewczynka. Miała wąskie dłonie, szczupłe nadgarstki i małe piersi, ledwo widoczne pod ubraniem. Za to twarz miała okrągłą, o pełnych ustach, niewielkim nosie i wysokich kościach policzkowych.

Może znajdę tu gdzieś album rodzinny, pomyślała, zamykając za sobą drzwi sypialni. Przydałoby się jej kilka zdjęć z czasów, gdy Viggo Hansen miał wokół siebie bliskich.

Łazienka usytuowana po drugiej stronie korytarza wymagała remontu. Ściany były pokryte grzybem. Obok pożółkłego ze starości porcelanowego zlewu wisiał sztywny ręcznik. Na lustrze było mnóstwo plam. Nad wanną wisiała suszarka prętowa. Line pociągnęła za sznurek. Rozległo się skrzypienie i konstrukcja zatrzęsała się niebezpiecznie.

Kuchnia była wyposażona w najpotrzebniejsze sprzęty: zamykane szafki, blaty, kuchenkę, lodówkę i głęboki emaliowany zlew. Linoleum na podłodze popękało na łączeniach. Krawędź blatu kuchennego stołu była zniszczona, spod plastikowej osłony wystawały warstwy płyty pilśniowej. Pod oknem, na szarym stole z laminatu stała pusta filiżanka po kawie. Na parapecie leżała martwa mucha.

Line otworzyła drzwi lodówki, ale zaraz tego pożałowała. Fetor, jaki poczuła, sprawił, że cofnęła się instynktownie, wstrzymała oddech i zatrzasnęła drzwi. W ostatniej chwili

zdążyła zauważyć karton z mlekiem i kiełbasę pokrytą zielonkawym nalotem. Wyszłoby dobre zdjęcie, pomyślała. Lodówka z dawno przeterminowanym mlekiem.

Przeszła przez salon i znalazła się w wąskim korytarzu. Drzwi do sypialni były otwarte. Prawdopodobnie był to pokój Viggo Hansena. Wzdłuż jednej ze ścian stało łóżko z rzuconą w nieładzie kołdrą. Na stoliku leżała para okularów, obok lampki nocnej i budzika. Wskazówki zatrzymały się na godzinie piątej czterdzieści.

Na środku gołej ściany wisiał obrazek oprawiony w ramę. Rysunek wykonany ołówkiem, przedstawiający chłopca z wędką, w zydwestce i za dużych kaloszach. Line rozpoznała charakterystyczną kreskę i podeszła bliżej. *Chłopiec łowiący ryby* – odczytała napis w prawym dolnym rogu i nazwisko autora: Eivind Aske. Portret wykonał artysta, z którym miała się spotkać za kilka godzin. Pięćdziesiąt lat temu on i Viggo Hansen chodzili razem do klasy. Gdy Line zadzwoniła do Eivinda Aske, ten z trudem przypomniał sobie nazwisko kolegi, a tymczasem na ścianie sypialni Viggo Hansena wisiała jedna z jego prac.

Pod oknem stało biurko, na ścianie wisiał haftowany krajobraz z ośnieżonymi szczytami gór i jeleniem pasącym się w pobliżu jeziora. Poza tym w pokoju znajdowała się komoda i brązowy fotel z wytartymi podłokietnikami.

Line podeszła do nocnego stolika i otworzyła szufladę. W środku leżała paczka chusteczek higienicznych, pudełko pastylek na gardło, długopis i stara książka w wersji kieszonkowej. *Eight Black Horses*.

Otworzyła ją na przypadkowej stronie. Kartki były sztywne i suche. Tekst był po angielsku. Zaskoczyło ją to.

Od korytarza odchodziło dwoje drzwi. Jedne prowadziły do piwnicy. Gdy je otworzyła, poczuła na twarzy lodowaty podmuch. Szare murowane schody ginęły w ciemności. Znalazła włącznik światła. Samotna żarówka oświetliła pomieszczenie u podnóża schodów.

Jej kroki odbijały się echem od ścian. Korytarz był tak niski, że musiała się pochylić, żeby nie uderzyć głową w rury

kanalizacyjne biegnące pod sufitem.

Pomieszczenie, w którym się znalazła, było duże i przestronne, z pralką i zlewem ustawionymi tuż przy ścianie. Na środku stało krzesło ze szczeblami, z przewieszonym przez oparcie zwojem szorstkiej liny o grubych brązowych włóknach. Line podniosła koniec sznura i pogłaskała kciukiem włochatą końcówkę, zanim odłożyła go na miejsce.

W rogu pokoju stał podgrzewacz do wody. Obok znajdowała się półka ze skrzynkami i drzwi do komórki, które były uchylone. W środku wisiały półki z pustymi słoikami po dżemach, skrzynki ze starymi tygodnikami, puszkami po farbie i najróżniejszymi narzędziami. W rogu stała para nart z kijkami.

Wyszła z komórki i podniosła wieka kilku skrzynek wiszących na ścianie. Wszystkie zawierały mniej więcej to samo. Stary serwis obiadowy, świeczniki, zwinięte firanki i mocno wychodzone buty. Z jednej ze skrzynek wystawała głowa pluszowego misia. Line zdjęła skrzynkę z półki, żeby z bliska przyjrzeć się zawartości. W środku były niemodne ubranka dla dzieci, para bucików i kilka zabawek.

Pamiętając z dzieciństwa Viggo Hansena, pomyślała i odłożyła pudełko na półkę. Wtedy odkryła, że za półką ze skrzynkami są ukryte kolejne drzwi. Do jeszcze jednego pomieszczenia.

Zdjęła po kolei wszystkie pudełka i ustawiła je jedno na drugim na środku podłogi. Następnie odsunęła półkę na bok. Drzwi były podobne do tych, które prowadziły do pierwszej komórki. Proste pojedyncze skrzydło, lecz w przeciwieństwie do poprzedniego to było zamknięte na kłódkę. Line przyjrzała się zamkowi. Był stary i zardzewiały, wyglądało na to, że od dawna nie był używany. Korciło ją, żeby poszukać obcęgow i spróbować otworzyć kłódkę, ale postanowiła z tym poczekać. Zamiast tego wróciła na górę, żeby sprawdzić ostatni pokój.

Drzwi do niego były zamknięte, a w środku nie włączono żadnego ogrzewania. Szyby w oknach iskrzyły się kryształkami lodu.

Pokój sprawiał wrażenie rupieciarni, w której Viggo Hansen przechowywał wszystko, co nie zmieściło się gdzieś indziej. Na

podłodze stała figurka świętego Mikołaja, a z kartonu zwisały fragmenty girlandy. Na półce leżały stare tygodniki, instrukcje obsługi i przeróżne broszury. Były tam również książki, stare radio, kilka bibelotów i stos ubrań. Z najwyższej półki spoglądały dwie głowy manekinów w perukach. Jedna z prostymi włosami, druga z kręconymi, podobnymi do tych ze ślubnej fotografii matki Viggo Hansena. Line sięgnęła po głowę manekina i zdjęła ją z półki. Trzymała plastikową głowę w obu rękach i obracała na boki, po czym odłożyła ją na miejsce.

Zamknęła za sobą drzwi, weszła do salonu i przez dłuższą chwilę przyglądała się dwóm fotelom stojącym przed ławą. Na jednym widać było ciemną plamę, którą zostawił po sobie Viggo Hansen. Siadywał w nim każdego wieczoru, pomyślała. Obok wiecznie pustego fotela. Nie miał komu powiedzieć, co sądzi o wieczornych wiadomościach, ani z kim podyskutować na temat programu telewizyjnego. Line wyjęła aparat i zrobiła zdjęcie dwóm pustym fotelom.

Przy przeciwległej ścianie salonu stał stół. Jedno z krzeseł było lekko odsunięte, a na blacie leżał niedokończony pasjans. Karty, których większość leżała koszulkami do dołu, miały zniszczone brzegi. Był to klasyczny pasjans klondike. Ona sama układała go całymi godzinami na swoim pierwszym komputerze.

Zrobiła zdjęcie kart, które musiały być rozkładane tysiące razy. Gra karciana dla singla.

Meblościanka zakrywająca jedną ze ścian miała cztery zamykane szafki. Otworzyła jedną z nich i uśmiechnęła się na widok oprawionego w skórę albumu ze zdjęciami. Na pierwszych stronach znajdowały się wyblakłe zdjęcia pary, którą widziała na fotografii ślubnej w sypialni. Wyglądało na to, że zdjęcia zostały zrobione podczas wakacyjnej wyprawy. Potem pojawiło się dziecko, najprawdopodobniej mały Viggo Hansen, na kolanach swojego ojca. Były to zdjęcia ze Świąt Bożego Narodzenia i przyjęcia urodzinowego. Line doliczyła się siedmiu dorosłych osób zebranych wokół stołu. Zdjęcie opatrzone datą 23 sierpnia 1957 roku przedstawiało małego chłopca z tornistrem na plecach. Dziesięć ostatnich stron

albumu było pustych. Obok ostatniej fotografii widniał napis „Lato 1962”. Viggo Hansen siedział na krawędzi pomostu i machał nogami.

Line przewróciła strony i zaczęła przeglądać album od początku. Wiele ze zdjęć mogła wykorzystać w swoim reportażu, ale przydałoby się jej również kilka nowszych fotografii. Uderzyło ją to, że nikt się na nich nie uśmiechał, wszyscy wydawali się śmiertelnie poważni. Zupełnie jakby nie mieli żadnego powodu do radości, pomyślała, zamykając gruby album. Nawet na zdjęciu, na którym Viggo Hansen siedział przed tortem z pięcioma małymi świeczkami, jego usta były zaciśnięte, a spojrzenie ponure.

Obok albumu leżała teczka z dokumentami. Polisy ubezpieczeniowe, paragony, zeznanie podatkowe i wydruki z konta. Z dokumentów podatkowych wynikało, że Viggo Hansen pobierał rentę inwalidzką, a jego dochód podlegający opodatkowaniu wynosił ponad dwieście tysięcy koron. Zaskoczyło ją, że zgromadził majątek w wysokości niemal trzech milionów, z czego dwa i pół miliona przechowywał na lokatach bankowych.

Wśród papierów znalazła również zaproszenie na imprezę z okazji jubileuszu czterdziestolecia ukończenia szkoły w Stavern w 1964 roku. Uroczystość miała się odbyć w sobotę, 15 maja 2004. Zamiast spisywać nazwisko i numer telefonu przewodniczącego komitetu organizacyjnego, Line zrobiła zdjęcie zaproszenia o poźółkłych brzegach.

Jedno z pokwitowań szczególnie przykuło jej uwagę. Było wystawione przez ślusarza, który w poniedziałek, pierwszego sierpnia, zamontował w drzwiach wejściowych dwa nowe zamki. Zrobiła zdjęcie rachunku, z którego wynikało, że monter nazywał się R. Nicolaysen. Niewykłuczone, że był ostatnią osobą, która rozmawiała z Viggo Hansenem przed jego śmiercią.

Sąsiednia szafka okazała się pusta, natomiast w dwóch pozostałych stały kieliszki i serwis obiadowy.

Line odłożyła album i teczkę z dokumentami na miejsce. Wstała i podeszła do dwóch pustych foteli. Na ławie stojącej

między fotelami a stolikiem RTV leżał program telewizyjny, dokładnie tak jak na policyjnym zdjęciu.

Line przejrzała gazetę. Łatwo było rozszyfrować telewizyjne upodobania Viggo Hansena. Starszy pan zakreślał godziny emisji seriali typu reality show, programów przyrodniczych i dokumentalnych. Między innymi programu o pracy FBI, przy którym postawił ptaszka.

Line znowu wyjęła aparat i zrobiła zdjęcie programu telewizyjnego. W tym ujęciu było coś niezwykle subtelnego. Był to dowód na to, że nawet siedząc samemu w salonie, Viggo Hansen uczestniczył w życiu toczącym się poza jego domem.

Po godzinnym przeglądaniu szuflad i szafek znalazła coś interesującego w komodzie stojącej w sypialni. Pudełko po butach z kartkami świątecznymi.

Usiadła w czystym fotelu i przejrzała pocztówki. Było ich w sumie dwadzieścia, ale pochodziły tylko od dwóch nadawców. Pod życzeniami wypisanymi dużymi kanciąstymi literami podpisywał się Frank, natomiast drugi nadawca miał na imię Irene i dużo staranniejszy charakter pisma.

Najstarsza pocztówka została wysłana w 1975, rok po śmierci jego matki.

Drogi Viggo. Wiem, że przeżywasz teraz trudne chwile. Pierwsze święta spędzone w samotności, bez rodziców, mogą być ciężkim i bolesnym doświadczeniem. Mimo wszystko mam nadzieję, że będą to udane święta. Życzę Ci wszystkiego najlepszego w nowym roku. Twój przyjaciel Frank.

Motywy na kartkach świątecznych zmieniały się wraz z upływem czasu. Najstarsza, połyskująca, przedstawiała dwa stare skrzaty ciągnące za dzwonek spiżarni i gospodynię niosącą miskę kaszy. Na najnowszej pocztówce gruby święty Mikołaj trzymał w dłoni butelkę coca-coli. Oprócz napisu „Boże Narodzenie 1988” zawierała wyłącznie suche życzenia „Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku”. W prawym dolnym rogu znajdował się podpis nadawcy. „Frank”. Już nie „Twój przyjaciel Frank”.

Przyjaźń z Frankiem, która z czasem wygasła, zastąpiła znajomość z Irene. Kartki od niej przychodziły od 1990 do 1995

roku. W pierwszej napisała, że miło było go poznać i że ma nadzieję, że spotkają się w nowym roku.

A więc w jego życiu była jakaś kobieta, pomyślała Line i przejrzała pięć kolejnych kartek. Ostatnia kończyła się zwrotem „do zobaczenia latem”.

Line przyjrzała się uważnie stemplom pocztowym. Z kartek wysyłanych przez Franka nie można było wywnioskować, w jakim mieście przebywał nadawca, poza jedną, która prawdopodobnie została wysłana z Langesund. Na dwóch pocztówkach od Irene stempel pocztowy był czytelny. Irene nadawała je na poczcie w Horten. Line zanotowała imiona dwóch osób, które były kiedyś częścią życia Viggo Hansena. Musiały wiele dla niego znaczyć, skoro przez całe lata przechowywał kartki od nich, ale najwyraźniej nie zrobił nic, żeby podtrzymać przyjaźń. Ale choć ich znajomość urwała się wiele lat temu, były to głosy z przeszłości, które Line postanowiła spróbować odszukać.

Wisting zamknął za sobą drzwi gabinetu i usiadł za biurkiem. Musiał wprowadzić do systemu wszystkie zadania, które przydzielił współpracownikom. Torunn Borg była odpowiedzialna za kontakty ze Stanami. Miała również zdobyć dane z urzędu do spraw ewidencji ludności i spróbować usystematyzować je tak, żeby powstała lista nazwisk, za którymi mógł się ukrywać Robert Godwin. Chociaż nie mieli żadnej pewności, że przyniesie to jakikolwiek rezultat.

Zadaniem Benjamin Fjelda było odszukanie lokalnych towarzystw historycznych i stowarzyszeń miłośników Vestlandet, których członkowie mogliby pomóc w identyfikacji miejsc uwiecznionych na zdjęciach Boba Crabba.

Wisting zalogował się do systemu i odszukał zgłoszenie włamania do mieszkania, które Bob Crabb wynajmował w Stavern. Postępowanie wszczęto w niedzielę dwudziestego pierwszego sierpnia i umorzono sześć tygodni później z powodu nieustalenia sprawcy.

Akta sprawy składały się z formularza zgłoszenia wypełnionego przez patrol przybyły na miejsce zdarzenia oraz dokumentacji zdjęciowej.

Zgłoszenie zawierało informacje dotyczące czasu i miejsca, a także opis przebiegu włamania. W rubryce „zabezpieczone ślady” wpisano „brak”. To samo dotyczyło pytania o skradzione przedmioty.

Zdjęcia przedstawiały to, co zapisano w protokole. Że ktoś wsunął łom lub podobny przedmiot między skrzydło drzwiowe a ościeżnicę tak, że powstała wystarczająco duża szpara, by móc wyważyć drzwi. Był to jeden z najstarszych i najprostszych sposobów na sforsowanie zamkniętych drzwi.

Wisting wrócił do protokołu i przeczytał opis zdarzenia. Wynikało z niego, że mieszkanie wynajmowało dwóch

studentów, którzy wprowadzili się pięć dni wcześniej. Przedmioty, które łatwo byłoby spieniężyć, takie jak PlayStation, laptop i kilka butelek alkoholu, pozostały nietknięte. Właścicielka twierdziła, że rzeczy te mogły należeć do poprzedniego lokatora o nazwisku Bob Crabb. Mężczyzna wynajmował mieszkanie przez cztery letnie tygodnie i nie wyprowadził się w określonym terminie, więc wynajmujący musiał zająć się jego rzeczami.

Wisting zamknął plik, wstał i podszedł do okna. Z kominów wielu domów wydobywały się smugi dymu. Fiord spowijała cienka lodowa mgła.

Wpatrywanie się w biały śnieg wywierało na niego hipnotyczny wpływ: dekoncentrowało go. Nie był w stanie przewidzieć, kiedy nastąpi przełom w śledztwie, ale we wszystkich sprawach, które prowadził, wiara w sukces przewyższała strach przed porażką. Tym razem było podobnie.

Usłyszał pukanie do drzwi. Torunn Borg weszła do środka, nie czekając na odpowiedź.

– Leci do nas FBI.

– Do Norwegii?

Skinęła głową.

– Agenci specjalni są już w drodze. Dwóch z kwatery głównej w Waszyngtonie i jeden z lokalnego oddziału w Minneapolis. Jutro rano lądują na Gardermoen i chcą się z nami spotkać o dwunastej.

Wisting powoli wypuścił powietrze. Jak tylko się wyda, że agenci specjalni FBI przylecieli do Norwegii po poszukiwanego listem gończym seryjnego mordercę, nie będą mieć chwili spokoju.

– Będą im towarzyszyć Leif Malm z sekcji dochodzeniowej w Kripos oraz komisarz z Sekcji Międzynarodowej Współpracy Policji.

Wisting usiadł.

– Leif Malm – powtórzył i wrócił myślami do jednej z poprzednich spraw, przy której razem pracowali. – Myślałem, że Malm podlega komendzie stołecznej?

– W każdym razie teraz pracuje w Kripos.

– A co z mieszkaniem Boba Crabba w Minneapolis? Sprawdzają je?

Torunn Borg usiadła na krześle dla gości i zajrzała do notatek.

– Nawiązałam bezpośredni kontakt z komisarzem Bruce Jensenem z trzeciego komisariatu policji. Teraz jest u nich wpół do dziewiątej rano. Zajmą się tym w ciągu dnia.

– Jensen?

– Amerykanin norweskiego pochodzenia. Ja też mam krewnych za oceanem, niedaleko Jeziora Górnego

– Utrzymujesz z nimi kontakt?

– Nie, mamy wspólnego prapradziadka czy jakoś tak.

Do gabinetu wszedł Espen Mortensen. Trzymał w dłoniach jakieś papiery, a jego mowa ciała zdradzała, że ma coś ważnego do powiedzenia.

– Mów – zachęcił go Wisting.

Mortensen odsunął krzesło i usiadł.

– Szukamy kobiety.

Wisting i Borg wymienili spojrzenia.

– Włosy w dłoni ofiary należą do kobiety.

Line usiadła za kierownicą i włożyła kluczyki do stacyjki. Zwiększyła obroty silnika i pozwoliła, żeby pracował, podczas gdy ona posuwistymi ruchami usuwała warstwę lodu z przedniej szyby. Prędko zmarzły jej palce i wtedy przypomniała sobie, że zostawiła rękawiczki w domu Viggo Hansena. Nie miała czasu, żeby po nie wrócić. Wiedziała, że jeśli się nie pośpieszy, spóźni się na spotkanie z Eivindem Aske.

Pojechała na wschód drogą krajową w kierunku Helgeroa, przez nagi zimowy krajobraz, zupełnie pozbawiony barw, falujące białe pola z obsypanymi śniegiem drzewami na tle wyblakłego nieba.

Eivind Aske mieszkał w starym niewielkim gospodarstwie przy Wzgórzu Homarów. Stodoła została przerobiona na galerię skrzyżowaną z atelier. Przy drodze stał szyld, umieszczony na palach wystających ze śniegu, na którym widniało jego nazwisko. Poniżej na dwóch łańcuchach wisiał mniejszy szyld z napisem „Zamknięte”. Wiatr kołysał nim w przód i w tył.

Line odbiła z głównej drogi i wjechała na przestronne podwórze. Okna w głównym budynku były ciemne, ale ze stodoły przerobionej na pracownię sączyło się światło.

Artysta malarz pojawił się w drzwiach i przywołał ją ruchem dłoni. Line przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła w jego stronę. Drogą przemknął autobus kursujący do Nevlunghavn i zniknął w oddali, wzbijając tumany śniegu.

– Bardzo się cieszę, że znalazł pan dla mnie czas – powiedziała i otrzepała się na schodach ze śniegu.

W pracowni było przyjemnie ciepło. Na ścianach wisiały szczegółowe rysunki ludzi i zwierząt wykonane ołówkiem. Na środku stał ukośny stół kreślarski ze szkicem przedstawiającym chłopca niosącego na ramieniu parę nart. Na stole leżało kilka

ołówków, kawałki węgla, kreda i inne przybory.

Przeszli do kącika wypoczynkowego znajdującego się w rogu dużego pokoju. Okazało się, że Eivind Aske wyciął poświęcony mu artykuł napisany przez Line w czasach, gdy pracowała w redakcji lokalnej gazety. Artykuł oprawiony w ramę wisiał nad oparciem kanapy razem z recenzjami wystaw i innymi wydarzeniami kulturalnymi, w których uczestniczył. Line przechyliła się do przodu i przeczytała fragment wywiadu przeprowadzonego przez nią wiele lat temu.

– *Zawsze lubił pan rysować?*

– *Zawsze. Rysowałem, zanim jeszcze poszedłem do szkoły, ale dopiero w dorosłym wieku zrozumiałem, że muszę coś z tym zrobić. Wyjechałem za granicę, żeby studiować komunikację wizualną i grafikę. Po pięciu latach wróciłem do kraju, kupiłem niewielkie stare gospodarstwo i urzeczywistniłem swoje marzenia artystyczne.*

Z krótkiego życiorysu wynikało, że Eivind Aske urodził się w roku 1950, nie był żonaty i miał na koncie ponad pięćdziesiąt indywidualnych wystaw malarskich w Norwegii, Danii, Szwecji i Francji. Jego dzieła kupowały galerie sztuki, władze gminy i okręgu oraz przedsiębiorstwa takie jak Statoil i Telenor.

– Viggo Hansen. Tak... – powiedział mężczyzna, siadając. – To było wieki temu. Zdążyłem o nim zupełnie zapomnieć, ale po telefonie od pani przypomniałem sobie to i owo.

Line również usiadła.

– Znalazłem stare zdjęcie klasowe – mówił dalej Aske i z szarej koperty wyciągnął czarno-białe zdjęcie.

– To była siódma klasa – wyjaśnił. – Sześćdziesiąty czwarty rok.

Przesunął zdjęcie w stronę Line. Uczniowie stali w czterech rzędach. Chłopcy i dziewczęta w wydzierganych na drutach swetrach i pulowerach. Większość dziewcząt nosiła szerokie, luźne spódnice. Chłopcy mieli włosy krótko obcięte przy uszach. Pod zdjęciem znajdowały się nazwiska uczniów.

– Było nas w klasie dwadzieścioro ósmioro. Viggo Hansen stoi w drugim rzędzie, pierwszy z lewej.

Wskazał palcem małego niepozornego chłopca z chudymi

rękami i nogami oraz twarzą, która nie wyrażała żadnych emocji.

– A to jestem ja – dodał. Stał w pierwszym rzędzie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Line podniosła wzrok znad fotografii i spojrzała na mężczyznę. Tak bardzo zmienił się przez te lata, że z trudem rozpoznała jego rysy, może z wyjątkiem szerokiego uśmiechu.

– Mogę je pożyczyć? – spytała. Mogłaby zeskanować zdjęcie i użyć go w artykule.

– Proszę bardzo.

Line przyglądała się innym twarzom i zatrzymała wzrok na dojrzałym mężczyźnie w garniturze i krawacie. Numer jeden w ostatnim rzędzie. „Arne Lorentzen”, odczytała.

– To był wasz nauczyciel? – spytała.

– Tak, Lorentzen – potwierdził Aske i wstał. – Już nie żyje.

Podszedł do małej ławy kuchennej i zabrał dzbanek z kawą i dwie filiżanki.

– Kawy?

– Chętnie – odpowiedziała. – Na jednej ze ścian domu Viggo Hansena wisiał pański obraz – dodała, gdy mężczyzna nalewał kawę do filiżanek.

Eivind Aske lekko się wzdrygnął. Kawa zamiast trafić do filiżanki rozlała się po stole. Jakby ta wiadomość niezmiernie go zaskoczyła.

– Przepraszam – powiedział i odstawił dzbanek, żeby przynieść coś do wytarcia stołu.

– *Chłopiec łowiący ryby* – wyjaśniła.

Aske przetarł stół ścierką do naczyń.

– To stary rysunek – powiedział. – Zrobiono ze trzysta kopii.

– Co pan o tym sądzi? – spytała. – O tym, że powiesił na ścianie jedną z pańskich prac?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wiele osób ma ten obraz.

– Nie uważa pan, że był dumny? Że pana zna? Że chodził do szkoły z wybitnym artystą?

– Właściwie powinna pani porozmawiać z Oddem Wernerem Ellefsenem – stwierdził tamten, zmieniając temat rozmowy. –

Trochę się razem włóczyli.

– Czy on też jest na zdjęciu klasowym?

– Stoją obok siebie.

Chłopiec stojący obok Viggo Hansena był trochę grubszy, jego rysy były wyraźniejsze, a na wargach błdził nieśmiały uśmiech.

– Zdaje się, że byli sąsiadami. Mieszkali niedaleko Larviksveien, w pobliżu fabryki groszku.

Line nie do końca rozumiała, co miał na myśli.

– Tam gdzie teraz stoi „Meny” – wyjaśnił Aske. – Ja mieszkałem po drugiej stronie miasta i po lekcjach nie utrzymywałem z nimi kontaktu. Wydaje mi się, że obaj mieli trudne dzieciństwo. Może dlatego trzymali się razem.

– Czy Odd Werner Ellefsen nadal mieszka w Stavern?

– Nie, chyba przeprowadził się do Larviku.

Line sięgnęła po filiżankę z kawą.

– Czy w późniejszych latach organizowaliście jakieś zjazdy absolwentów lub coś w tym stylu?

Eivind Aske potrząsnął głową.

– W każdym razie ja w żadnym takim spotkaniu nie uczestniczyłem. Kilka lat temu otrzymałem zaproszenie, ale przebywałem wówczas za granicą.

Line wyjęła kołnотatnik.

– Czy pamięta pan jakieś epizody z czasów szkolnych, w które zamieszany był Viggo?

Artysta malarz znów pokręcił głową.

– Nie, Viggo zawsze trzymał się na uboczu. I taki pozostał do końca. Starał się nie wchodzić nikomu w drogę. Mówił niewiele, ledwo odpowiadał na pytania nauczyciela. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek nam coś opowiadał. Jego życie prywatne było owiane tajemnicą.

– Czego mogła dotyczyć ta tajemnica?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się z powodu niekonsekwencji zawartej w jej pytaniu.

– No, tego niestety nie wiem – odparł z uśmiechem.

Line odwzajemniła uśmiech.

– Znał pan jego rodzinę?

Pokręcił głową.

– Podobno jego ojciec siedział w więzieniu – powiedziała, próbując odświeżyć jego pamięć.

– Nie przypominam sobie. Myślę, że gdyby to była prawda, rozmawialibyśmy o tym między sobą.

Line ponownie wzięła do ręki stare zdjęcie klasowe.

– Czy do waszej klasy chodził chłopiec o imieniu Frank? – spytała, myśląc o kartkach z życzeniami świątecznymi.

– Frank? Nie.

– A może znał pan jakiegoś chłopca o tym imieniu? Kogoś, z kim Viggo Hansen mógł się zaprzyjaźnić?

– Nie, w tej chwili nie przypominam sobie żadnego ucznia, który miałby na imię Frank.

– A Irene?

– Nie, jej również nie.

Siedzieli jeszcze przez pół godziny, zanim Line wstała i pożegnała się. Robiła, co mogła, żeby mężczyzna przypomniawsobie jakieś historie z czasów szkolnych, te zwyczajne i te bardziej wyjątkowe, ale nic więcej nie udało jej się z niego wyciągnąć. Nie był to jednak zupełnie stracony czas. Zdobyła zdjęcie klasowe i nowe nazwisko do sprawdzenia. Odd Werner Ellefsen.

W czasie ich rozmowy miasto spowiły granatowoczarne ciemności. Śnieg skrzypiał pod butami, gdy szła do samochodu. Szczelniej otuliła się płaszczem. Mróz przybierał na sile.

Śledczy zebrali się w sali konferencyjnej. Christine Thiis również zjawiała się na wieczornej odprawie.

Zaczęli od ostatniego punktu: Wisting poprosił Mortensena o przedstawienie wniosków, do których doszli biegli z zakładu medycyny sądowej.

Technik kryminalistyki włączył projektor.

– Włosy w dłoni ofiary należą do kobiety.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie zaciśniętej pięści zmarłego mężczyzny. Fotografię wykonano na miejscu znalezienia zwłok, na plantacji choinek w Halle. Spomiędzy palców wystawało kilka włosów koloru blond. Kolejne zdjęcie zostało zrobione podczas sekcji zwłok. Tym razem dłoń była otwarta, jasne włosy leżały sklezione w skrzepłej krwi.

– To krew ofiary – wyjaśnił. – Ale włosy należą do kobiety.

Czekali na uzasadnienie tej tezy. Mortensen wziął do ręki protokół posekcyjny.

– We włosach jest zbyt mało materiału, żeby móc ustalić pełen profil DNA, ale wykryto w nich mitochondrialne DNA. Analiza markerów płciowych nie pozostawia wątpliwości: zabezpieczone włosy należą do kobiety.

– A może próbki zostały zanieczyszczone? – podsunął Hammer. – Może któraś z laborantek niechcący zabrudziła próbki?

– Każdy z sześciu włosów został dokładnie przebadany – odpowiedział Mortensen. – Za każdym razem z tym samym rezultatem.

– Więc jak to wytłumaczysz?

– Moim zdaniem logiczne wyjaśnienie jest tylko jedno – stwierdził Mortensen, podając protokół Wistingowi. – Kontekst sytuacyjny jest jednoznaczny. Ofiara walczyła z kobietą.

– I kobieta wygrała – skwitował cierpko Hammer.

Wisting rzucił wąpiące spojrzenie na raport. Zawierał tak dużo fachowych terminów i skrótów, że trudno było się w nim połapać.

– Czy z badań wynika coś więcej? – spytał.

– Kobieta jest z pochodzenia Europejką.

– To już jest coś – zakpił Hammer. – To nam daje tylko jakieś trzysta pięćdziesiąt milionów potencjalnych podejrzanych.

– Wiemy coś więcej na temat mężczyzny? – odezwała się Christine Thiis.

– Dotąd mieliśmy wszelkie podstawy, by sądzić, że ofiarą jest zaginiony Amerykanin, niejaki Bob Crabb – odparł Wisting i podsumował dotychczasowe ustalenia. – Ale teraz sam już nie wiem.

– A czy może być tak – zaczęła pani adwokat – że szczątki należą do Roberta Godwina, a włosy do kobiety, na którą napadł, a której udało się uwolnić? Koniec jest taki, że to ona zabija jego i zamiast zgłosić się na policję, ukrywa zwłoki.

Christine Thiis wypowiedziała na głos myśl, która od pewnego czasu świłała w głowie Wistinga.

– Kiedy dostaniemy odpowiedź, czy szczątki należą do poszukiwanego zabójcy? – dopytywał się Benjamin Fjeld.

– Miejmy nadzieję, że jutro, kiedy zjawi się FBI – odpowiedział Mortensen. – Analizę porównawczą przeprowadzają ich biegli.

Wisting milczał. Był skołowany. Nie wiedział zupełnie, czego się chwycić. Brakowało im zbyt wielu informacji, żeby móc skłonić się ku którejkolwiek teorii.

Resztę spotkania poświęcili na podsumowanie podjętych do tej pory działań, ale nie posunęło ich to do przodu. Gdy skończyli, na dworze było już ciemno. Wisting przejechał wzrokiem po twarzach kolegów siedzących wokół stołu. Nie pozostawało mu nic innego, jak odesłać ich wszystkich do domu, żeby mogli odpocząć i przygotować się na to, co miało nadejść.

Line położyła pudełko z pizzą na zagraconym biurku na piętrze, uniosła kartonową przykrywkę i wzięła do ręki kawałek pizzy. Jedząc, wyjęła z kamery kartę pamięci, wsunęła ją do laptopa i przeniosła zdjęcia do folderu zatytułowanego „Viggo Hansen”.

Przejrzała zdjęcia i usunęła te, które nie nadawały się do druku.

Po długich namowach Eivind Aske pozwolił zrobić sobie zdjęcie. Line pamiętała, jak bardzo się opierał, gdy kilka lat temu przeprowadzała z nim wywiad. Chciał, żeby wyeksponowała jego rysunki, a nie jego osobę. Dobrze się trzymał i niewiele się zmienił w ciągu tych ośmiu lat, które minęły od ich ostatniego spotkania. Fryzurę miał również taką samą. Ciemne włosy układały się w fale i sprawiały wrażenie gęstszych niż na starym zdjęciu klasowym. Niewiele brakowało, żeby zaczęła go podejrzewać o noszenie tupecika. Trochę dziwne wydawało jej się to, że unikał zdjęć, ponieważ sprawiał wrażenie osoby bardzo próżnej i zadufanej w sobie. Skóra na jego twarzy była brązowa od opalenizny i opinała się na kościach policzkowych jak po zabiegu chirurgii plastycznej.

Jedną z rzeczy, które przywiozła z domu, była prosta, lecz bardzo wydajna kolorowa drukarka. Używała jej zawsze w czasie dłuższych podróży. Podłączyła ją do laptopa i zaznaczyła kilka zdjęć, które zamierzała wydrukować. Wyjmowała je po kolei z tacki na wydruki i wieszala na szerokiej tablicy korkowej, do której matka przypinała dziecięce rysunki, zaproszenia i kartki z ważnymi datami i terminami płatności.

Line wykorzystała tablicę, żeby narysować na niej oś życia Viggo Hansena. Po lewej stronie umieściła żółtą kartkę samoprzylepną, na której zapisała rok jego urodzenia. Potem

sięgnęła po zdjęcia fotografii, które znalazła w jego albumie, ułożyła je w kolejności chronologicznej i powiesiła na tablicy razem ze zdjęciem klasowym, które pożyczyła od Eivinda Aske.

Zapisała rok, w którym rodzina Hansenów wprowadziła się do domu przy Herman Wildenveys gate, 1969, rok, w którym zmarł ojciec, i 1974, rok śmierci matki. Rok później Viggo Hansen otrzymał pierwszą kartkę bożonarodzeniową od Franka. W 1988 przysłyły ostatnie życzenia świąteczne. W ciągu następnego roku musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że Frank przestał je wysyłać.

Line oderwała kolejną kartkę samoprzylepną i zapisała na niej rok 1989 ze znakiem zapytania.

Wyciągnęła z pudełka następny kawałek pizzy. Jedząc, przyglądała się tablicy. Nadanie struktury materiałowi dało jej poczucie, że poradzi sobie z zadaniem. Był ułożony w porządku alfabetycznym, z zachowaniem chronologii wydarzeń. Papiery w segregatorach. Fakty i dokumenty. Właśnie tak wyobrażała sobie pracę oficera śledczego.

Usiadła za biurkiem. Osobą, z którą Viggo Hansen miał najbliższy kontakt w czasach szkolnych, był chłopiec o nazwisku Odd Werner Ellefsen. Na liście podatników urodzonych w tym samym roku, co Viggo Hansen figurował mężczyzna o tym nazwisku, ale Line nie znalazła jego adresu ani numeru telefonu. W książce telefonicznej również go nie było, a wyszukiwanie w Internecie nie dało żadnych trafień.

Wysłała wiadomość mailową do jednego z dziennikarzy działu faktu, licząc, że pomoże jej zdobyć niezbędne informacje z urzędu do spraw ewidencji ludności.

Otworzyła Worda. Chciała zacząć pisać. Miała w głowie plan, ale teraz się nim nie przejmowała. Postanowiła przelać na papier myśli i uczucia, które przyniósł dzień. Z trudem odnajdywała właściwe słowa i budowanie zdań przychodziło jej z dużym wysiłkiem, ale w końcu udało jej się sformułować kilka akapitów o samotnym, cichym życiu i człowieku, który nie zostawił po sobie żadnego śladu. O człowieku, o którym zapomniał cały świat.

Po półgodzinie usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i znajome

odgłosy wydawane przez ojca, który odkładał klucze do miseczki w przedpokoju i odwieszał kurtkę.

– Halo? – usłyszała jego wołanie.

Odpowiedziała, zamknęła pudełko z pizzą i zabrała resztki ze sobą na dół.

– Kupiłem pizzę – powiedział, kładąc pudełko na kuchennym stole.

– Ja też – uśmiechnęła się i położyła opakowanie swojej pizzy obok jego.

Ojciec wyjął z lodówki butelkę piwa i skierował w stronę Line z pytaniem, czy ma ochotę się napić.

Line potrząsnęła głową i usiadła przy stole.

– Długi dzień? – spytała.

Ojciec przytaknął, otworzył butelkę i napił się.

– Czytałem zawiadomienie o włamaniu do domu Viggo Hansena – powiedział i poczęstował się kawałkiem pizzy. – Nie wygląda na to, żeby coś zginęło, prawda?

– Nie. Byłam potem w mieszkaniu i nie zauważyłam, żeby czegoś brakowało. Wszystko było na swoim miejscu. Swoją drogą nie sądzę, żeby w domu Hansena znajdowały się jakieś kosztowności albo inne godne uwagi przedmioty.

– Co jeszcze dziś robiłaś? – spytał ojciec z ustami pełnymi jedzenia.

Line opowiedziała mu o rozmowie z Gretą Tisler i spotkaniu z Eivindem Aske.

– A co u was? – spytała. – Dowiedzieliście się czegoś więcej o tym zmarłym mężczyźnie?

Ojciec przeżuł spokojnie kawałek pizzy, który miał w ustach.

– Właściwie nie – odparł i zmienił temat: – Sprawdziłem ojca Viggo Hansena w rejestrze skazanych.

Wskazał kawałkiem pizzy na szarą kopertę leżącą na blacie kuchennym.

– Zgadza się. Siedział.

– Za co?

Ojciec odłożył jedzenie, strząsnął okruchy pizzy z palców i otworzył kopertę.

– Chodzi o zuchwałą kradzież – odparł, wyciągając kartkę

papieru. – To jest wydruk z rejestru skazanych – wyjaśnił i podał jej dokument.

Na kartce znajdowało się tylko kilka linijek tekstu.

– Został skazany wyrokiem sądu rejonowego w Bergen 9 września 1960 roku za przestępstwo z paragrafu dwieście pięćdziesiątego ósmego – ciągnął ojciec – na karę trzech lat i dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności.

– Viggo Hansen miał wtedy dziesięć lat – obliczyła Line. W myślach umieściła okres odbywania kary na osi czasu wiszącej na ścianie w dawnej pracowni matki. – I skończył czternaście, gdy ojciec wyszedł z więzienia.

– Dotkliwa kara – skomentował ojciec, chowając resztki pizzy do lodówki.

– Jak myślisz, co ukradł?

– Żeby się dowiedzieć, musiałabyś poprosić o wgląd w treść wyroku. To jest tylko wydruk z rejestru, który potwierdza, że był skazany prawomocnym wyrokiem.

– W takim razie gdzie powinnam się zgłosić?

– Myślę, że do archiwum państwowego w Bergen.

Drewniany taras trzeszczał pod wpływem mrozu. Line odchyliła się na kuchennym krześle. Wszystkie pozostawione bez odpowiedzi pytania kotłowały się w jej głowie. Czują, że trudno jej będzie zasnąć.

Była szósta czterdzieści pięć. Termometr wskazywał siedemnaście stopni mrozu. Wisting widział w ciemności kontury drzew. Nie poruszały się. Było bezwietrznie.

Włożył golf, który dostał od Line na święta kilka lat temu, chociaż przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wystąpić w bardziej formalnym stroju. Domyślał się, że śledczy z FBI zaprezentują się w garniturach i krawatach.

Zjadł na śniadanie kawałek zimnej pizzy i splukał ją kawą. Potem poszedł do łazienki. Szczotkując zęby, przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Zobaczył szeroką twarz z włosami przyprószonymi siwizną. Opuchnięte oczy wpatrywały się w niego intensywnie. Linie wokół ust i zmarszczki przy nasadzie nosa wyraźnie się zaostrzyły. Zanim spuścił wzrok, przyszło mu do głowy, że zaczyna się starzeć.

Został w golfie. Nałożył czapkę, rękawiczki i kurtkę z podpinką. Zapiął się i wyszedł przed dom. Samochód odpalił bez problemu, ale zeskrobanie lodu z przedniej szyby zajęło mu trochę czasu. Mróz szczypał w policzki, a nos zamienił się w sopel lodu.

Zanim wsiadł do auta, po wewnętrznej stronie szyb zdążyła osiąść mgła. Wycofał się z podjazdu i rzucił okiem w stronę domu Viggo Hansena, po czym ruszył w kierunku komendy.

Po raz pierwszy nie mógł podzielić się z córką swoimi przemyśleniami na temat toczącego się śledztwa. Zawsze zwracał uwagę na obowiązek zachowania tajemnicy służbowej i ochronę danych osobowych, ale nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu dyskusji o aktualnie prowadzonym dochodzeniu. Sprawa, nad którą teraz pracował, urosła do takich rozmiarów, że gdyby rozmawiał o niej z Line, nie mógłby wymagać od niej zachowania całkowitej dyskrecji. A jeśli poszukiwany przez nich seryjny morderca nadal pozostawał

przy życiu i ukrywał się gdzieś na terenie Norwegii, to przeciek do mediów mógłby zniweczyć ich wysiłki i uniemożliwić schwytanie go. Co prawda napłynęłoby mnóstwo zgłoszeń i bardzo prawdopodobne, że ktoś by go rozpoznał i naprowadził ich na jego ślad, ale jemu z kolei umożliwiłoby to ucieczkę. Mógłby im się wymknąć. A ponieważ wiele wskazywało na to, że mieszkał w Norwegii przez ponad dwadzieścia lat w ciszy i spokoju, nie mogli aż tak ryzykować.

Kwadrans przed ósmą powiesił kurtkę na wieszaku za drzwiami, a czapkę i rękawiczki położył na szczycie półki. Noc nie przyniosła niczego nowego. Żadnych nowych raportów ani zgłoszeń. Wykorzystał przedpołudnie, żeby przygotować się do wizyty. FBI słynęło z tego, że robiło miazgę z lokalnej policji w USA. Taką samą renomą cieszyło się w Norwegii Kripos. Tymczasem to była ich sprawa i chociaż to oni wyszli z inicjatywą spotkania, Wisting nie zamierzał ustępować im pola.

Jeszcze raz zapoznał się z całą dokumentacją dotyczącą Roberta Godwina, którą otrzymali od Amerykanów. Okazała się przydatna. Co prawda nie znalazł w niej zbyt wielu informacji, których wcześniej by nie znał, za to przyswoił sobie kilka amerykańskich zwrotów.

Następnie przygotował się do samego spotkania. Opracował listę, w której wypunktował rozwój ich sprawy i przedstawił wizję dalszych działań operacyjnych.

Przygotowania przydały się także jemu. Miał okazję spojrzeć na sprawę całościowo i przypomnieć sobie, co już ustalili, a jakich informacji wciąż im brakowało.

Włosy były dla niego zaskoczeniem. Kobięce włosy. Chociaż nie zgadzało się to z jego koncepcją, szukali kobiety zabójcy.

Wciąż nie mógł wyjść z podziwu nad tym, jak ogromny wpływ na przebieg śledztwa mogą mieć nawet najmniejsze ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni. Ale ślady to jedno, a ich prawidłowa interpretacja umożliwiająca odtworzenie faktycznego przebiegu zdarzeń – to zupełnie co innego.

We wszystkich sprawach o zabójstwo, jakie do tej pory prowadził, tylko jeden jedyny raz sprawcą okazała się kobieta.

W całej historii norweskiej przestępczości było ich niewiele i z reguły dokonywały zabójstwa w akcie desperacji. Nie był przekonany, że właśnie takiej kobiety szukają, ale nie znajdował żadnego innego logicznego wytłumaczenia faktu, że ofiara zabójstwa trzymała w zaciśniętej dłoni sześć kobiecych włosów.

Próbował usystematyzować zgromadzone do tej pory informacje. Wynikiem tego była długa oś czasu, która miała swój początek w 1983, kiedy to Robert Godwin pozbawił życia swoją pierwszą ofiarę, i ciągnęła się aż do momentu odnalezienia ostatnich zwłok, co nastąpiło trzy dni temu. Między tymi dwoma punktami powpisywał pozostałe zdarzenia. Odstęp czasowy między punktami był duży. Informacje, którymi dysponowali, miały sporo luk, a zapis przebiegu wydarzeń był jedynie fragmentaryczny.

Trzy lekkie stuknięcia w drzwi gabinetu sprawiły, że podniósł wzrok znad papierów. Christine Thiis wsunęła głowę do pokoju.

– Są już – powiedziała. – FBI.

Gdy wstał od biurka, na oparciu fotela widać było mokrą plamę.

Sypialnię spowijało szare światło poranka. Line leżała w łóżku i przyglądała się wzorom na tapecie. Poprzedniej nocy tuż przed zaśnięciem wpadł jej do głowy pewien pomysł, ale była zbyt zmęczona, żeby wstać i go zapisać. Zasypiała w nadziei, że następnego ranka będzie o nim pamiętać.

Zamknęła oczy, starając się odszukać go w pamięci. W końcu przypomniała sobie, o czym myślała przed snem. Najpierw zastanawiała się, w co powinna się ubrać na pogrzeb Viggo Hansena i kto zjawi się w kościele. Potem pomyślała, że dobrze byłoby kupić kwiaty. Może powinna wystąpić z inicjatywą i zebrać pieniądze od sąsiadów na wspólny wieniec? W końcu przypomniał jej się pastor. Miał wygłosić mowę pogrzebową. Ostatnią myślą przed zaśnięciem było to, że powinna z nim porozmawiać.

Godzinę później siedziała już w biurze parafialnym. Jarle Lunden ochrzcił ją i konfirmował, i to on odprawił ceremonię pogrzebową jej matki. Od tamtego czasu zdążył posiwieć, a jego powieki zrobiły się ciężkie, ale uśmiechał się tak samo łagodnie jak przed laty.

Spytał, co u niej słyhać i jak się czuje jej ojciec. Odpowiedziała, że nie mieszkają razem.

– Ciągłe trafiam na twoje nazwisko w gazecie – powiedział. – Ciekawie jest móc śledzić twoje dalsze losy.

Line uśmiechnęła się. Lunden odchylił się na krześle.

– To jest właśnie najbardziej fascynujące w długim życiu zawodowym związanym z jednym miejscem – mówił dalej. – Móc widzieć, jak potoczyło się życie ludzi, których spotkało się kiedyś na swojej drodze. Chrzciłem niemowlęta, które wyrosły na znanych polityków, aktorów, sławnych artystów, ale także dzieci, które stały się narkomanami, bandytami i mordercami. Przygotowywałem do konfirmacji dziewczęta, które wyrosły na

jedne z najlepszych na świecie piłkarek ręcznych, i chłopców, którzy są teraz znanymi pisarzami. Ale udzielałem też ślubu parom, które z czasem tak bardzo się znienawidziły, że jedno z małżonków odebrało życie drugiemu.

Line miała ochotę zapytać, co decyduje o losach ludzi, czy jest to kwestia przypadku, czy też przeznaczenie, a może boska opatrność, ale dała sobie spokój. Zamiast tego opowiedziała o reportażu, nad którym pracowała, i o tym, jak próbowała dowiedzieć się czegoś o życiu Viggo Hansena.

– Spotkałem go tylko raz – powiedział pastor.

– Kiedy?

Jarle Lunden zmienił pozycję. Krzesło, na którym siedział, lekko zaskrzypiało.

– To było czterdzieści dwa lata temu, gdy zmarł jego ojciec. Pewnie nie pamiętałbym tego tak dokładnie, gdyby to nie był mój pierwszy pogrzeb. Od tego czasu odprawiłem ich ponad tysiąc, a jednym z ostatnich będzie pogrzeb Viggo Hansena. Po Nowym Roku przechodzę na emeryturę.

Znowu poprawił się na krześle.

– To było trudne zadanie dla młodego, świeżo wyświęconego pastora. Na szczęście w ceremonii pogrzebowej wzięła udział tylko najbliższa rodzina zmarłego.

Line wyjęła notes. Przewróciła kilka kartek, aż znalazła czystą stronę.

– Co było w tym najtrudniejszego?

– Pogrzeby osób, które odebrały sobie życie, są zawsze trudne, a wtedy po raz pierwszy musiałem odnieść się jakoś do krewnych zmarłego.

– Ojciec Viggo Hansena popełnił samobójstwo?

Jarle Lunden skinął głową.

– Wezwali mnie do ich domu, jak tylko go odcięli. Viggo Hansen był wtedy młodym człowiekiem, miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Siedział nieruchomo w kuchni, nie wiem, czy w ogóle słyszał, co do nich mówię. Natomiast matka chodziła tam i z powrotem i usta jej się nie zamykały.

– Powiesił się?

– W piwnicy – przytaknął pastor.

Line przywołała w pamięci obraz zimnego pomieszczenia. Sufit znajdował się tak nisko, że musiała się schylić, żeby nie uderzyć głową w strop. Zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógł się tam powiesić.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiem. Nie zostawił listu pożegnalnego. Ale pamiętam, że matka oskarżała syna. „To twoja wina”, mówiła. W kółko to powtarzała.

– Co miała na myśli?

– Nie wiem, czy miała ma myśli coś konkretnego – odparł pastor. – Mówiła bez ładu i składu, myślę, że nie była sobą. W takich sytuacjach często próbujemy zrzucić na kogoś winę, to naturalna reakcja. Ale żeby oskarżać własnego syna – Pamiętam, że przykro mi było tego słuchać.

– Co ustaliła policja?

– Gdy przyjechałem, policjanci byli już na miejscu. To oni go odciepli. Ale czy zajęli się tą sprawą i czy coś ustalili – tego nie wiem.

Line zanotowała, że musi poprosić ojca, żeby odszukał tę sprawę w archiwum.

– Myśli pastor, że ktokolwiek zjawi się na jutrzejszym pogrzebie?

Jarle Lunden potrząsnął głową.

– Viggo Hansen nie miał żadnej rodziny, żadnych kolegów z pracy ani przyjaciół. Być może przyjdzie ktoś z sąsiadów albo znajomych z czasów szkolnych.

Pastor przechylił się nad biurkiem.

– Muszę przyznać, że jego samotność bardzo mnie poruszyła. To takie przykre, że od jego śmierci musiały minąć aż cztery miesiące, zanim ktoś się nim zainteresował. – Położył dłonie na blacie biurka i splótł palce. – To chyba najstraszniejszy rodzaj samotności – dodał. – Nie być obecnym nawet w myślach choćby jednej osoby na świecie.

Line zanotowała ostatnie zdanie. Uznała, że będzie mogła je zacytować w swoim artykule.

– Co pastor zamierza powiedzieć w mowie pogrzebowej?

Lunden znowu odchylił się do tyłu.

– Postanowiłem, że zacznę od słów chińskiego poety – odparł, wyciągając z biurka kartkę z notatkami. – O tym, że nie żył na próżno ten, kto wiosną słuchał śpiewu ptaków, latem świerszczy, jesienią owadów, a zimą odgłosu padającego śniegu.

Line przekrzywiła głowę i spojrzała przez okno. Nad miastem unosiła się zimna mgła.

– Pięknie powiedziane. Mogę to zacytować?

– Oczywiście. Jutro po pogrzebie możesz dostać cały tekst przemowy. Może ci się przyda. W Biblii można znaleźć wiele słów pociechy w samotności. Najwymowniejsze są słowa samego Jezusa.

Uniósł kartkę i przeczytał: – „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” – Odłożył kartkę. – To dowód na to, że Jezus dobrze wiedział, co to znaczy samotność i opuszczenie.

Line zanotowała słowa pastora, ale raczej z grzeczności. Nie zamierzała powoływać się na Pismo Święte. Podziękowała za spotkanie i podniosła się.

– Jeszcze jedno – powiedział Jarle Lunden, gdy wstał, żeby odprowadzić ją do drzwi. – W piątek dzwoniła jakaś kobieta i pytała, kiedy odbędzie się pogrzeb.

– Kobieta?

– Tak. Nie rozmawiałem z nią osobiście, telefon odebrała pani z rady parafialnej, która później przysłała mi o tym powiedzieć. Chyba głównie po to, żeby mnie pocieszyć, że przynajmniej jedna osoba zjawi się na pogrzebie.

– Wie pastor, jak nazywa się ta kobieta?

– Niestety nie. Od razu o to zapytałem, bo bardzo chętnie porozmawiałbym z kimś, kto znał Viggo Hansena i mógłby udzielić mi jakichś wskazówek, ale Niestety sekretarka nie zanotowała nazwiska.

– Kto to mógł być? – zastanawiała się na głos Line.

Pastor wzruszył ramionami i przytrzymał jej drzwi.

– Być może jutro poznamy odpowiedź.

Do sali konferencyjnej wniesiono półmisek z kanapkami, kilka butelek wody mineralnej, dzbanek z kawą i filiżanki.

Zapewne zawdzięczali to Christine Thiis. Wisting wykradł bułkę z rostbefem i poprzesuwał pozostałe kanapki w taki sposób, żeby nikt nie zauważył, że ktoś zdążył się już poczęstować.

Jedząc, jeszcze raz pobieżnie przejrzał notatki. Podkreślił najważniejsze punkty i otoczył pętlą kilka słów-kluczy, żeby łatwiej mu było je wyszukać podczas wystąpienia.

Jego śledczy zajęli miejsca po jednej stronie stołu. Oprócz niego i Christine Thiis w spotkaniu mieli wziąć udział Espen Mortensen, Nils Hammer i Torunn Borg. Mortensen miał przedstawić wyniki badań kryminalistycznych i zaprezentować materiał zdjęciowy. Nils Hammer i Torunn Borg mieli zjawić się głównie po to, żeby stronę norweską reprezentowała taka sama liczba śledczych, jak amerykańską.

Gdy zjawili się goście, Wisting wstał ze swojego miejsca na końcu stołu. Christine Thiis, która szła na czele delegacji, odsunęła się na bok i wprowadziła ich do środka. Potem nastąpiła runda wymieniania nazwisk i uścisków dłoni.

Jednym z agentów FBI była kobieta. Nazywała się Maggie Griffin i miała około czterdziestu lat, krótko ścięte włosy i mocny uścisk dłoni. Była ubrana w formalny strój: czarną idealnie dopasowaną garsonkę. Jeden z jej kolegów, na oko dziesięć lat starszy od niej, nazywał się Donald Baker i miał głębokie zmarszczki po obu stronach ust, nadające jego twarzy poważny wygląd. Natomiast drugi z mężczyzn był o kilka lat młodszy i nazywał się John Bantam. Miał szczupłą, umięśnioną sylwetkę, krótkie czarne włosy i przedstawił się jako analityk danych.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział Leif Malm

i przedstawił Wistingowi drugą uczestniczkę delegacji: – To jest komisarz Anne Finstad z Sekcji Międzynarodowej Współpracy Policji.

Anne Finstad miała wąską, bladą twarz i była jedyną osobą w mundurze. Marynarka zwisała luźno z jej ramion.

Wisting zabrał głos i przywitał gości po angielsku. Poprosił ich, żeby zajęli miejsca, podziękował za przybycie i zachęcił, żeby się częstowali.

Agenci FBI zachowywali się z godnością i powagą, które onieśmiały Wistinga. Odchrząknął, ale postanowił wstrzymać się z wystąpieniem do czasu, aż każdy dostanie filiżankę i między gośćmi zacznie krążyć dzbanek z kawą.

– Trzy dni temu znaleziono zwłoki mężczyzny o nieznannej tożsamości. Ciało znajdowało się w lesie, około dziesięciu kilometrów od centrum miasta – powiedział na wstępie, po czym skinął głową na Mortensena.

Na ekranie ukazało się zdjęcie zwłok ukrytych pod jodłą w Halle.

– Lekarze medycyny sądowej szacują, że ciało leżało tam około czterech miesięcy – ciągnął Wisting.

Agenci specjalni FBI kiwali głowami i śledzili z uwagą prezentowane zdjęcia. Zdążyli zapoznać się z podstawowymi faktami, ale zdjęcia były dla nich czymś nowym.

Tymczasem Wisting omówił wzrost i wagę denata, rany tłuczone czaszki i metki zabezpieczone na ubraniu.

– W wewnętrznej kieszeni marynarki znaleźliśmy zalakowaną plastikową torebkę. – Zaczekał, aż Mortensen odszuka właściwe zdjęcie. – W środku znajdowała się broszura, którą rozdawano w Stavern dziewiątego i dziesiątego sierpnia. Na broszurze ujawniliśmy odciski palców Roberta Godwina.

Wisting zamilkł, umożliwiając agentom FBI skomentowanie jego słów lub zadanie pytania. Najstarszy z nich odchrząknął.

– Cóż, to nie jest jego ciało – powiedział i spokojnym ruchem otworzył aktówkę. – Porównaliśmy jego DNA z próbką referencyjną pobraną ze zwłok – mówił dalej, wyciągając z teczki jakiś dokument. – Brak zgodności.

Wisting wziął do ręki dokument. Irytowało go to, że

Amerykanie nie udostępniili im wyników badań DNA, zanim wysłali do Norwegii swoją delegację.

– Spodziewaliśmy się tego – skomentował krótko i oddał głos Torunn Borg.

– Najprawdopodobniej ciało należy do sześćdziesięciosiedmioletniego wdowca z Minneapolis – wyjaśniła i uzasadniła ich przypuszczenia. Espen Mortensen uzupełnił jej wypowiedź zdjęciami wycinków prasowych dotyczących sprawy Godwina, które znajdowały się w walizce Boba Crabba.

– Skontaktowaliśmy się ze śledczymi z trzeciego posterunku policji w Minneapolis i zwróciliśmy się do nich z prośbą o przeszukanie jego mieszkania – zakończyła Torunn Borg.

Donald Baker wymienił spojrzenia z młodszym agentem, który pracował w terenowym oddziale w Minneapolis.

– Weszli tam trzy godziny temu – wyjaśnił. – Wygląda na to, że mieszkanie od dawna stoi puste. Nasi ludzie właśnie przeglądają dokumenty. Spodziewamy się również, że uda się zabezpieczyć materiał do badań DNA, niezbędnych do ostatecznej identyfikacji.

– Interesujące jest to, że zarówno Robert Godwin, jak i Bob Crabb wykładali na tym samym uniwersytecie – odezwała się Borg. – Chcielibyśmy dowiedzieć się jak najwięcej o ich wzajemnych powiązaniach.

– Nasi ludzie już nad tym pracują – zapewnił Donald Baker.
– Z pierwszych ustaleń wynika, że Bob Crabb bardzo interesował się Robertem Godwinem. – Agent FBI skinął głową na ekran. – Crabb ma gabinet, w którym nasi ludzie znaleźli podobne wycinki.

Wisting nalał sobie kawy do filiżanki, zanim podjął wątek.

– Możemy zatem domniemywać, że Crabb znalazł argumenty przemawiające za tym, że Godwin zbiegł do Norwegii i przebywa na terytorium naszego państwa – podsumował. – I postanowił przylecieć tutaj, żeby go odszukać.

– Wiele wskazuje na to, że to mu się udało – skomentowała komisarz Anne Finstad. – To znaczy, że odnalazł Godwina i że to Godwin dokonał zabójstwa Boba Crabba.

– To bardzo przekonująca i spójna teoria – przytaknął Wisting. – Ale niestety wyniki badań kryminalistycznych jej przeczą.

Mortensen zaprezentował zdjęcie włosów wystających z zaciśniętej pięści denata.

– Te włosy należą do kobiety – zakomunikował Wisting. Widział, jak usta Anne Finstad zaciskają się w wąską kreskę.

– Czy wyniki tych badań są ostateczne? – upewniła się agentka FBI.

– Tak. I nie pozostawiają cienia wątpliwości – odparł Mortensen. – Przeprowadzono analizę DNA mitochondrialnego. Markery płciowe wskazują bezspornie na pochodzenie od kobiety, ale zwróciliśmy się już z prośbą o ponowne zbadanie próbek.

Leif Malm, który do tej pory milczał, teraz wyprostował się na krześle i powiedział:

– Okej. Macie coś jeszcze?

Wisting przedstawił wyniki bardziej tradycyjnych działań operacyjnych, które podjęto, i dodał, że ewentualne ślady elektroniczne przepadły, ponieważ zwłoki zostały znalezione po zbyt długim czasie.

Donald Baker przez cały czas robił notatki. Potem odłożył długopis i zwrócił się do Wistinga.

– A więc mamy dowody na to, że Robert Godwin był tutaj i to prawdopodobnie przez długi czas. Co zrobiliście do tej pory, żeby go odnaleźć?

– Te informacje są sprzed paru godzin – odparł Wisting i zauważył, że przyjął pozycję obronną. – Aż do tego spotkania istniała teoretyczna możliwość, że znalezione zwłoki należą do Roberta Godwina. – Odchrząknął i mówił dalej: – Jesteśmy w trakcie opracowywania listy mężczyzn w interesującym nas przedziale wiekowym, zamieszkałych w naszym okręgu.

– Naprawdę wierzycie, że Godwin zarejestrował się w urzędzie imigracyjnym? – spytała Finstad z lekkim uśmiechem na ustach. – Czy nie wydaje się bardziej prawdopodobne, że przebywa w Norwegii nielegalnie?

– Tak czy inaczej trzeba się tym zająć – odpowiedział

Wisting, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców Norwegii nie figuruje w żadnym rejestrze i nie zostanie prześwietlonych.

– Największe nadzieje wiążemy jednak z tym, że policja w Minneapolis ustali, co naprowadziło Boba Crabba na ślad Godwina i skłoniło do przyjazdu do Norwegii – dodał.

– Lista mężczyzn z urzędu do spraw ewidencji ludności to dobry pomysł – stwierdził Donald Baker. – Czysto teoretycznie istnieje możliwość, że Godwin jest gdzieś tutaj zameldowany, ale i tak trudno będzie go znaleźć.

– Co masz na myśli?

– Będziecie zmuszeni prześwietlić listę nazwisko po nazwisku, ale moim zdaniem możecie mieć go na tej liście.

Agent FBI pochylił się nad stołem.

– Już to kiedyś przerabiałem – powiedział. – Mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, że Robert Godwin stał się „Cavemanem”.

– Jaskiniowcem? – powtórzył Hammer. – Co to znaczy? Że schował się do jaskini?

– Tak ich nazywamy – wyjaśnił Donald Baker. – Ludzi, którzy tak długo uciekają, aż w końcu znajdują pustą jaskinię. Przejmują tożsamość i anonimowe życie człowieka, za którym nikt nie będzie tęsknił. Wypełniają pustkę i żyją dalej, w takiej samej izolacji i osamotnieniu, jak człowiek, którego miejsce zajęli.

– Co się dzieje z tamtym człowiekiem? – spytała Torunn Borg. – Tym, którego zastępują?

Donald Baker wzruszył ramionami, ale i tak wszyscy znali odpowiedź.

Wisting odchylił się do tyłu. Jaskiniowiec, pomyślał. Ktoś, kto wślizguje się w życie innego człowieka. Tego szukali. Demona, który wcielił się w inną osobę.

Zegar na ścianie w salonie wybił dwanaście razy. Do odwiedzenia dziadka skłoniły ją wyrzuty sumienia i własny interes. Babcia zmarła, gdy Line miała cztery lata, i od tego czasu dziadek mieszkał sam. Był lekarzem i pracował w szpitalu, ale jedenaście lat temu przeszedł na emeryturę. Nadal pełnił funkcję zaufania publicznego i udzielał się w różnych związkach i stowarzyszeniach, ale Line wiedziała, że dziadek dużo czasu spędza sam i że ojciec niezbyt często go odwiedza.

Pokroiła ciasto duńskie, które kupiła po drodze, ułożyła kawałki na półmisku i zaniosiła do salonu.

Dziadek siedział przed telewizorem. Na zagranicznym kanale leciał właśnie program dokumentalny o więzieniu Alcatraz. Na widok wnuczki mężczyzna przechylił się, sięgnął po pilota i ściszył dźwięk. Duży fotel był stary i wysłużony. Poduszka oparcia była płaska, a welur na podłokietnikach prawie całkowicie się wytarł. Widok zniszczonego fotela sprawił, że zastygła w bezruchu. Odniosła wrażenie, że coś się w niej otwiera. Dziwne uczucie nie trwało dłużej niż ułamek sekundy, po czym nagle zniknęło. Zupełnie tak, jakby przysła jej do głowy jakaś ważna myśl, którą chciała wypowiedzieć na głos, ale nie zdążyła ubrać jej w słowa.

Usiadła w drugim fotelu i próbowała się skupić. Dziadek przygarbił się. Miała ochotę spytać go, czy czuje się samotny, ale nie odważyła się na to. Być może bała się usłyszeć odpowiedź. I bała się, że to, co usłyszy, zmusi ją do jakiejś konkretnej reakcji.

– Zimno – powiedziała zamiast tego.

Dziadek przechylił się w stronę parapetu i mrużąc oczy, spojrzął na elektroniczną stację pogody, którą dostał kiedyś od Line pod choinkę.

– Minus szesnaście i trzy kreski – odczytał z wyświetlacza. –

W nocy spadło do minus osiemnastu i siedmiu kresiek. Dobrze, że nie trzeba wychodzić z domu.

Line uśmiechnęła się i poczęstowała ciastem.

– Co słyhać u twojego brata? – spytał.

– Zdaje się, że dużo pracuje – odparła Line. – Dawno z nim nie rozmawiałam.

Gdy ona i Thomas byli mali, uważali się nie tylko za rodzeństwo, ale również za najlepszych przyjaciół. Powierzali sobie sekrety i kryli się nawzajem. Nadal łączyła ich silna więź emocjonalna, ale z czasem każde z nich poszło w swoją stronę i siłą rzeczy kontakt stopniowo się urwał.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym, zanim Line opowiedziała dziadkowi o Viggo Hansenie i o artykule, nad którym obecnie pracuje.

– Znałeś ich? – spytała. – Jego rodzice nazywali się Solveig i Gustav Hansenowie. Mieszkali tuż przy dawnej fabryce groszku, zanim przeprowadzili się na Herman Wildenveys gate.

– Fabryka groszku – uśmiechnął się dziadek. – Po wojnie dorabiałem tam każdego lata. Konserwy Sonny’ego. Nie chodziło tylko o groszek. Pakowali do puszek wszystkie rodzaje owoców, mięso, ryby i warzywa. Potem powstała tam fabryka samochodów. Składali ciężarówkę, które chodziły na baterie. Wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową. Chciała, żeby rozmowa wróciła na właściwy tor.

– Wiesz, kim byli? – powtórzyła. – Solveig i Gustav Hansenowie? Dziadek zaprzeczył.

– Wychowałem się po drugiej stronie miasta, we Fjerdingsgen – wyjaśnił. – Ale skoro mieszkali w pobliżu fabryki groszku, musieli wynajmować od Carlsena. Na pierwszym piętrze miał lokatorów. Dom Carlsena sąsiedował z tym, w którym mieszkał Herman Wildenvey. Naprzeciwko domu Jonasa Lie, tam, gdzie wtedy mieszkały wnuki Colina Archera.

Znalazł czystą kartkę papieru i narysował drogę wjazdową do Stavern.

– Przed fabryką groszku rósł tylko duży sad owocowy – przypomniał sobie i rysował dalej. – Na rogu mieszkał pilot

morski, a za nim rodzina Rakke. Po drugiej stronie drogi mieszkali Nyhusowie, a obok nich znajdował się gabinet doktora Welgaarda. Line śledziła wzrokiem ruchy ołówka.

– Tak – podsumował dziadek. – Jeśli mieszkali obok fabryki groszku, to musieli wynajmować lokal na pierwszym piętrze w domu Carlsena.

– Czy Carlsen wciąż tam mieszka? – zainteresowała się Line.

– Nie, starzy rzecz jasna nie żyją. Jeśli dobrze pamiętam, mieli tylko córkę. W moim wieku. Zdaje się, że wyszła za mąż i przeniosła się do Moss.

– Czy mieszka tam ktoś, kto może pamiętać powojenne lata?

– Chyba tylko Annie Nyhus – odparł dziadek i postawił krzyżyk na domu, o którym rozmawiali. Annie Nyhus mieszkała po drugiej stronie ulicy, *vis-à-vis* domu, w którym Hansenowie wynajmowali mieszkanie. – Urodziła się w trakcie wojny i mieszka tam do dzisiaj.

Rozmawiali do czasu, aż zegar wiszący na ścianie wybił pierwszą. Line wstała. Myśl, której nie potrafiła wyrazić słowami, dręczyła ją przez całą godzinę. Gdy dziadek podniósł się z fotela, żeby odprowadzić ją do wyjścia, poczuła, że męcząca ją myśl zaczyna nabierać kształtu. Nie było to nagłe olśnienie, lecz kielkujący niepokój, który powoli opanowywał jej ciało. Delikatne przecucie, że nie wszystkie okoliczności śmierci Viggo Hansena zostały wyjaśnione. Że jest coś, co się w tej sprawie nie zgadza.

Nagle zaczęło jej się spieszyć. Pobieгла do samochodu. Starala się uruchomić auto i jednocześnie otworzyć laptop. Włączyła maksymalne ogrzewanie i kliknęła na folder „Viggo Hansen”, a następnie na podfolder, w którym przechowywała zdjęcia. Odszukała to, na którym widać było dwa puste fotele stojące przed telewizorem, i w końcu zrozumiała, co ją tak męczyło. Fotel po lewej stronie był przebarwiony i miał ciemne plamy po zwłokach, ale to prawy fotel był zużyty. Miał brudne, spleśnione oparcie, a w miejscu, w którym uda pocierały o siedzenie, materiał był prawie całkowicie wytarty. Oglądając telewizję, Viggo Hansen zwykł siadać w prawym fotelu, a nie w lewym, w którym znaleziono go martwego.

Cienka warstwa lodu na przedniej szybie powoli topniała. Line podniosła wzrok znad ekranu komputera i wyłączyła nadmuch ciepłego powietrza.

Odkąd zaczęła pracować jako dziennikarz śledczy, często miała wrażenie, że za czystą, gładką powierzchnią kryje się jakieś przestępstwo. Stała się sceptyczna i podejrzliwa aż do bólu. To, że Viggo Hansen nie siedział w swoim ulubionym fotelu, mogło nic nie znaczyć. Mógł przecież sam zauważyć, że fotel, w którym zwykł siadać, był już stary i zniszczony i dlatego zdecydował się na małe przemeblowanie. Ale mogło to również znaczyć, że ktoś posadził go tam, żeby wyglądało, jakby zmarł we śnie, oglądając telewizję. Ta myśl nie dawała jej spokoju i zmusiła ją do ponownego odwiedzenia jego domu. Ostatnim razem, gdy tam była, szukała zupełnie innych rzeczy. Historii z jego życia, przeblysków czegoś, co mogłoby powiedzieć jej, jakim był człowiekiem. Teraz natomiast ogarnęły ją wątpliwości: a może jednak Viggo Hansen nie umarł z przyczyn naturalnych?

Gdy tak siedziała z komputerem na kolanach, otrzymała maila z działu faktu. Jeden z dziennikarzy odnalazł dawnego kolegę z klasy Hansena. Odd Werner Ellefsen mieszkał na Bugges gate w Torstrand, starej dzielnicy robotniczej Larviku. Według danych urzędu do spraw ewidencji ludności mężczyzna wprowadził się tam w 1972 roku i wszystko wskazywało na to, że mieszkał sam.

Postanowiła, że najpierw złoży wizytę Annie Nyhus, nadal mieszkającej w okolicy, w której wychował się Viggo Hansen. Stamtąd pojedzie do miasta i spróbuje porozmawiać z Ellefsenem. Potem zrobi zakupy i napełni lodówkę, zanim znowu wybierze się do domu Viggo Hansena.

Któregoś dnia powinnam ugotować porządny obiad

i zaprosić dziadka, pomyślała, uruchamiając silnik. Porządny przedświąteczny obiad. Dziadek uwielbiał gotowaną jagnięcinę, ale w wigilię zawsze jedli żeberka wieprzowe. Jeśli kupiłaby mięso, mogłaby wstawić je na noc do wody i podać na obiad.

Zaparkowała na zwirowisku tuż przy Larviksveien, gdzie według relacji dziadka w czasach, gdy istniała fabryka groszku, rósł duży jabłoniowy sad. Line pamiętała, że kiedyś była tam stacja Esso, którą potem zburzono, i teraz plac leżał odłogiem.

Dom, w którym w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych mieszkali Hansenowie, został rozbudowany i odnowiony. Leżał blisko ulicy, ale przylegał do niego duży ogród.

Wzięła ze sobą mapę, którą narysował dziadek, przeszła przez ulicę i odszukała słup ze skrzynką pocztową, na której znajdowała się tabliczka z nazwiskiem „Nyhus”.

Dom leżał nieco dalej od ulicy, schowany za drzewami liściastymi, które rozpościerały nagie gałęzie. Para wron, wzbijając się do lotu, strząsnęła śnieg z wierzchołka drzewa.

Do drzwi prowadziła wąska, odśnieżona ścieżka. Na schodach ułożono gałązki jodły, a na najwyższym stopniu stał dzban z zimozieloną rośliną ozdobioną czerwonymi kokardami.

Line nacisnęła przycisk dzwonka i już po chwili w drzwiach stanęła drobna starsza pani o siwych włosach zaczesanych gładko do tyłu, przepasana fartuchem. Kobieta spojrzała na Line znad okularów.

– Proszę wejść – powiedziała, zanim Line zdążyła się przedstawić. – Nie ma sensu tak stać na dworze i marznąć.

Line otrząsnęła się ze śniegu i weszła pośpiesznie do środka, żeby starsza pani mogła szybko zamknąć za nią drzwi.

– Pani Annie Nyhus? – upewniła się Line.

– Tak, to ja – przytaknęła tamta. – A kto pyta?

Line przedstawiła się i podała powód wizyty.

– Widziałam nekrolog w gazecie – powiedziała Annie Nyhus i zaprowadziła Line do kuchni, która pachniała świątecznymi wypiekami. Na ławie stały cztery udekorowane kransekake².

² Kransekake – piętrowy tort migdałowy złożony z osiemnastu krążków, tradycyjne ciasto weselne.

– Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałam, że on jeszcze żyje – ciągnęła starsza pani. – I nie miałam pojęcia, że wciąż tu mieszka. Nie pamiętam, kiedy widziałam go ostatnio.

– Tak naprawdę najbardziej interesuje mnie, co pani pamięta z czasów, gdy Viggo Hansen i jego rodzina mieszkali po drugiej stronie ulicy – wyjaśniła Line i usiadła.

– Ciasta upiekłam na świąteczną loterię dobroczynną – oznajmiła starsza pani, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała Line. – Ale mam tutaj coś dla nas.

Postawiła na stole półmisek z krążkami kransekake, starannie ozdobionymi lukrem z cukru pudru. Dopiero wtedy podchwyciła watek.

– Viggo Hansen, tak... – powiedziała, wyjmując filiżanki. – Mieszkali na pierwszym piętrze w domu Carlsena. Głównie on i jego matka, Solveig. Ojciec jeździł po kraju i budował elektrownie. Gustav, tak miał na imię. Jeśli dobrze pamiętam, dużo czasu spędzał w Vestlandet.

Wzięła do ręki ścierkę i starła ze stołu jakieś niewidoczne okruchy, po czym sięgnęła po dzbanek z kawą i naląła ją do filiżanek, nie pytając Line, czy ma ochotę.

– Wydaje mi się, że przeprowadzili się, gdy Viggo miał trzynaście, może czternaście lat, do jednego z domów na Herman Wildenveys gate. Nie rozumiem, skąd nagle wzięli na to pieniądze. – Annie Nyhus przechyliła się nad stołem i ściszyła głos. – Wie pani, Gustav Hansen siedział w więzieniu. Bardzo rzadko go widywaliśmy. Pracował przy rozbudowie sieci elektrowni, więc sądziliśmy, że wyjechał służbowo, ale Erna dowiedziała się, jak było naprawdę. Erna była żoną Williama Sverdrupa, który pracował w policji.

– Za co siedział? – spytała Line.

– Chyba za napad, gdzieś w Vestlandet. Złapali go, ale czy policja odzyskała pieniądze, tego już nie wiem.

Line dalej wypytywała starszą panią o przestępstwo, za które Gustav Hansen trafił do więzienia, ale Annie Nyhus nie umiała udzielić odpowiedzi na pytania dziennikarki.

– Podobno matka Viggo Hansena została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym – powiedziała Line i zauważyła, że

oczy kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu zapłonęły dziwnym blaskiem.

– Nic takiego nie słyszałam – odparła niemal urażonym głosem. – Ale nie zdziwiłabym się, gdyby to była prawda. Solveig była trochę dziwna.

– Co to znaczy?

– Cóż, sama nie wiem, co powiedzieć. Solveig nie utrzymywała kontaktu z sąsiadkami. Była skryta, trzymała się na uboczu, zasłony w ich oknach były zawsze zaciągnięte. Trudno powiedzieć, co działo się w czterech ścianach ich domu.

– A czy pani miała jakiś kontakt z Viggo?

– Nie, w końcu był ode mnie o dziesięć lat młodszy. Pamiętam go tylko jako cichego chłopca.

– A czy mieszkali tutaj jakieś inne osoby, z którymi się kontaktował? – dopytywała Line. – Może jacyś koledzy w podobnym wieku?

Annie Nyhus wzięła z półmiska krążek kransekake, umoczyła go w kawie i z zamyśleniem wsunęła do ust.

– Chyba tylko Frank – odparła po chwili. – I może jeszcze Ole Szwab.

Frank to musi być tajemniczy nadawca świątecznych pocztówek, które znalazłam w domu Viggo Hansena, pomyślała Line.

– Kim jest Frank? – spytała.

– Frank Iversen. Syn pilota morskiego. Był chyba tylko rok starszy od Viggo. Trzymali się razem. Może dlatego, że obaj pracowali w fabryce krewetek.

– Ma pani na myśli fabrykę groszku?

– Nie, nie. Fabrykę krewetek Reime’a. Rodzina Reime mieszkała cztery domy stąd. Fabryka krewetek znajdowała się w ogrodzie na tyłach ich domu. Ja też obierałam tam krewetki.

– Zna pani kobietę o imieniu Irene, którą Viggo również mógł znać? – spytała Line, myśląc o bożonarodzeniowych pocztówkach.

Annie Nyhus znowu zanurzyła krążek ciasta w filiżance z kawą, niestety, nie potrafiła pomóc Line.

– A wie pani, gdzie teraz mieszka Frank? – Line wciąż miała

mnóstwo pytań.

– Iver Iversen dostał pracę jako kontroler żeglugi morskiej w Langesund i gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych przeniósł się tam z całą rodziną. Krótko potem zmarła jego żona, od tamtej pory o nich nie słyszałam.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe i usłyszała kroki na korytarzu.

– To pewnie Greger – wyjaśniła Annie Nyhus. – Obiecałam mu, że jak do mnie wstąpi, to dostanie kawałek ciasta. Bardzo mi pomaga, przy odśnieżaniu i nie tylko.

Wstała i serdecznie przywitała mężczyznę w jej wieku, o gęstych kręconych włosach i szerokich dłoniach.

– Widzę, że masz gościa – uśmiechnął się.

– To Line Wisting, wnuczka Roalda Wistinga ze szpitala.

Line uśmiechnęła się, słysząc, jak została przedstawiona. Dziadek był znaną osobistością w czasach, gdy praktykował jako lekarz.

Duży mężczyzna wyciągnął zimną dłoń i przedstawił się jako Greger Eriksen.

– Pisze pani do gazety – powiedział i usiadł.

Annie Nyhus postawiła przed nim filiżankę kawy i przysunęła bliżej niego półmisek z krążkami kransekake.

– Pisze reportaż o Viggo Hansenie – wyjaśniła przyjacielowi.

– W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych Hansenowie mieszkali w domu Carlsena.

Greger Eriksen poczęstował się ciastem.

– Pisali o nim w gazecie – powiedział. – Nie podali nazwiska, ale na pewno chodziło o niego. Znaleźli go dopiero po czterech miesiącach.

Line opowiedziała o swoim projekcie. Greger Eriksen zerknął na Annie Nyhus.

– Nie, samotność to nic miłego. Dobrze jest znaleźć kogoś, z kim można dzielić życie.

– Właśnie rozmawialiśmy o synu pilota morskiego – wyjaśniła Annie. – Frank i Viggo trzymali się trochę razem. Obaj pracowali w fabryce krewetek.

– Wymieniła pani jeszcze jedno imię – odezwała się Line. –

Ole? Ole Szwab?

– Tak, tak go przezywali. Biedaczysko, chyba nigdy się od tego nie uwolni.

– Kto to jest?

– Syn Pii Linge. Był kilka lat starszy, ale trzymał się z młodszymi chłopcami. Pia mieszkała w przybudówce za domem rodziny Reime i również pracowała w fabryce krewetek.

– Ole też?

– Nie, przez jakiś czas pracował na wysypisku śmieci w Bukta, ale nie wiem, co się z nim potem działo.

– Mieszka nadal w Stavern?

– Gdybym to ja wiedziała. Wieki całe go nie widziałam. Ole był zawsze skryty, unikał ludzi. – Odwróciła się do Gregera Eriksena. – A może ty go widziałeś?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Ani Ole, ani Pia nie mieli lekkiego życia – ciągnęła Annie Nyhus. – Ole był niemieckim bękartem, rozumie pani. Pia przez całą wojnę umawiała się z Niemcami, aż do wyzwolenia, a Ole przyszedł na świat w styczniu czterdziestego szóstego.

– Większość z tego to plotki – Greger Eriksen odchrząknął i napił się kawy. – Tak naprawdę nikt nie wie, kto był ojcem Olego.

– Ale w Rakke trzymała się z Niemcami.

– Myślę, że trzymała się i z tymi, i z tymi – stwierdził Eriksen. – Mówiono, że pracowała dla podziemia i że próbowała szpiegować Niemców.

– Tak czy inaczej, do końca swoich dni żyła okryta hańbą – podsumowała Annie Nyhus. – Chociaż nie trwało to długo. Nie miała chyba nawet pięćdziesięciu lat, gdy umarła.

Rozmowa zesłała na temat świątecznych wypieków i małych ptaszków, mrozu i opadów śniegu. Pół godziny później Line wstała i podziękowała za rozmowę.

Zanim doszła do samochodu, rzuciła spojrzenie na okna mieszkania na pierwszym piętrze budynku zwanego domem Carlsena, na okna, w których zasłony były zawsze zaciągnięte. Zbliżała się, czuła to. Zbliżała się do świata cieni i mroku, w którym mieszkał Viggo Hansen.

Ubity śnieg sprawiał, że nawierzchnia była śliska, co znacznie spowalniało ruch na drogach. Line niecierpliwiła się, chciała jak najszybciej dojechać na miejsce. Zadzwoiła do informacji telefonicznej, podczas gdy samochody w żółwym tempie posuwały się do przodu. Telefonistka również się nie spieszyła, ale w końcu ustaliła, że jedyny Ole Linge mieszka przy Brunlanesveien pięćset pięćdziesiąt.

Zanim rozmowa została przekierowana, przysłano jej numer esemesem. Już miała zrezygnować i się rozłączyć, gdy nagle usłyszała w słuchawce cichy głos mężczyzny.

– Ole Linge? – spytała.

– A kto pyta? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Line przedstawiła się.

– Dzwonię w sprawie Viggo Hansena – wyjaśniła. – Wie pan, że on nie żyje?

– Widziałem nekrolog.

– Piszę artykuł o jego życiu do „VG” i szukam ludzi, którzy go znali i mogliby mi o nim opowiedzieć.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Line miała przez chwilę wrażenie, że połączenie zostało przerwane.

– O jego życiu? – spytał mężczyzna.

– Właściwie o samotności – wyjaśniła. – O tym, jak to jest iść przez życie, będąc całkiem sam. I właśnie dlatego chętnie porozmawiałabym z ludźmi, którzy coś o nim wiedzą.

– Aha – odpowiedział głos w słuchawce.

– Wybiera się pan jutro na jego pogrzeb?

– Rzadko wychodzę z domu.

– Czy mogłabym wpaść do pana jutro po południu?

– Po co?

– Żeby porozmawiać o Viggo Hansenie. Próbuję się dowiedzieć, jakim był człowiekiem.

Znowu zaległa cisza. Jakiś zniecierpliwiony kierowca zjechał na drugi pas, minął dwa samochody i zaczął wciskać się z powrotem w sznur aut.

– To o której? – zapytał Ole Linge.

– O trzeciej? – zaproponowała Line.

Powtórzył godzinę spotkania, jakby musiał się upewnić, że nie koliduje to z jego innymi zajęciami.

– Tak, pasuje mi – oświadczył po chwili.

Zakończyli rozmowę. Line nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna, z którym właśnie rozmawiała, wiódł równie samotne życie, jak Viggo Hansen.

Na Storgata ruch został całkowicie wstrzymany przez pługopiaskarkę, która zsuwała na pobocze ogromne zwały śniegu.

Miasto leżące po jej lewej stronie przypominało amfiteatr. Spojrzała na skos w kierunku komendy policji, lecz mogła dostrzec tylko najwyższe piętra budynku, w którym ojciec miał swój gabinet. Pomyślała o starym sznurze, którego zwój leżał w piwnicy Viggo Hansena. Aż trudno jej było uwierzyć, że był to ten sam sznur, na którym jego ojciec powiesił się w sześćdziesiątym dziewiątym.

Wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer ojca. W policyjnym archiwum wciąż mogły się znajdować akta tamtej sprawy. Samochody powoli ruszyły. Ojciec nie odbierał telefonu.

Za przejściem podziemnym prowadzącym na teren dworca skręciła w prawo, w Bugges gate. Minęła starą fabrykę oranżady i dojechała niemal do samego końca ulicy domów jednorodzinnych, która kończyła się ogrodzonym terenem przemysłowym.

Nie znalazła numeru domu, którego szukała, ale doliczyła się go po numerach sąsiednich posesji.

Był to mały czworokątny dom, mniejszy od pozostałych. Dookoła niego wznosił się wysoki parkan, którego sztachety stały tak blisko siebie, że uniemożliwiały zajrzenie na teren posesji.

Line zaparkowała na ulicy i wysiadła z auta. Suche powietrze

niosło ze sobą zapach morza. Mróz sprawiał, że przy każdym wdechu kłuło ją w nosie.

Skrzynka pocztowa również nie była oznaczona ani nazwiskiem, ani numerem domu, ale nie było wątpliwości, że dom jest zamieszkały. Plac przed garażem był odśnieżony, tak samo jak wąska dróżka prowadząca od furtki do drzwi.

Line podeszła i zapukała. Starszy mężczyzna otworzył drzwi i stojąc w wejściu, przyglądał się jej w milczeniu. Jego skóra wyglądała chorobliwie blado, jakby rzadko przebywał na świeżym powietrzu. Siwa broda przysłaniała kołnierz koszuli. Włosy przypominały szczecinę i były nierówno przycięte, raczej nie przez fryzjera.

– Pan Odd Werner Ellefsen? – spytała.

Starszy mężczyzna przytaknął.

– Mamy wspólnego znajomego – ciągnęła Line. – Viggo Hansen był moim sąsiadem.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, o czym do niego mówi. Line przewiesiła torebkę przez drugie ramię.

– Chodził pan z nim do tej samej klasy w Stavern – wyjaśniła. – Jutro jest jego pogrzeb.

Line zauważyła błysk w oku mężczyzny, który nieśmiało pokiwał głową.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy chwilę porozmawiali?

– O czym?

– O Viggo. Mogę wejść do środka?

Skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby chciała dać mu znać, że na dworze jest za zimno na rozmowę.

Ellefsen rzucił przelotne spojrzenie za siebie. Wyglądało na to, że chce się upewnić, czy w mieszkaniu panuje porządek. Po chwili skinął lekko głową na znak, że Line może wejść.

Poprowadził ją do kuchni, która wyglądała tak, jakby wszystkie jej elementy miały swoje stałe, dokładnie wyznaczone miejsce. Było tam czysto i schludnie, a na środku stołu leżał mały świąteczny stroik.

Usiedli naprzeciwko siebie. Starszy mężczyzna milczał i nie zaproponował jej niczego do picia.

Line opowiedziała mu o pracy w „VG” i o artykule, który był powodem jej wizyty.

- Znał go pan – powiedziała na zachętę.
- Nie znałem go – odparł mężczyzna.
- Ale przecież chodziliście razem do szkoły.
- Wiele lat temu.

Odpowiadał lakonicznie na jej pytania, ze wzrokiem utkwionym w stół.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni? – Line nie dawała za wygraną.

Ellefsen wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

Jego głos był tak słaby, że ledwo docierał na drugi koniec stołu.

– Utrzymuje pan kontakty z innymi kolegami z tamtych czasów? – drażyła Line. – Z Frankiem Iversenem albo Olem Linge?

Pokręcił głową.

– Kiedy wyprowadził się pan ze Stavern?

– Dawno temu.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej wydał jej się naiwny jak dziecko. Sposób, w jaki się wysławiał, sprawił, że Line ogarnęły wątpliwości, czy staruszek rozumie, co się do niego mówi.

Wyjęła aparat fotograficzny i odnalazła stare zdjęcie klasowe.

– To pan – powiedziała, wskazując młodego chłopca, stojącego obok Viggo Hansena.

Odd Werner Ellefsen pochylił się nad aparatem, spojrzął na mały ekran i skinął głową.

– Tak, ja – potwierdził i odsunął się do tyłu.

– Pamięta pan, kiedy je zrobiono? – spytała w nadziei, że zdjęcie odświeży mu pamięć.

Mężczyzna zaprzeczył.

Line zadała mu jeszcze kilka pytań, ale mężczyzna wciąż odpowiadał monosylabami i nic z tego, co powiedział, nie pomogło jej zrozumieć, jakim człowiekiem był Viggo Hansen.

Zamknęła notes, w którym zapisała zaledwie kilka słów. Za

to teraz trochę lepiej rozumiała, dlaczego ci dwaj chłopcy w dzieciństwie trzymali się razem. Obaj byli skryci i nieśmiali i może nigdy tak naprawdę nie przyjaźnili się ze sobą, ale postrzegano ich jako przyjaciół, ponieważ obaj byli odludkami.

Pod koniec spotkania formalna bariera dzieląca miejscowych śledczych od agentów FBI została pokonana. Lody zostały przełamane. Rozmowa toczyła się swobodniej i łatwiej było znaleźć właściwe angielskie słowa.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedział Nils Hammer. – Dlaczego Godwin postanowił przyjechać właśnie tutaj, do Norwegii? Jest wiele innych krajów, w których nie ma aż tylu regulacji prawnych. I w których pogoda jest zdecydowanie ładniejsza.

– Myślę, że Godwin czuje się tu jak u siebie w domu – stwierdził John Bantam. Spojrzał przez okno na lodowy krajobraz. – Tutejsza pogoda przypomina tę, która panuje w Minneapolis. Mroźne zimy z obfitymi opadami śniegu i przyjemnie ciepłe lata. Poza tym ludzie, którzy tu mieszkają, są podobni do mieszkańców Minnesoty. Mają zamknięte drzwi i zaciągnięte zasłony. Skrzętnie ukrywają swoje uczucia i pilnie strzegą rodzinnych tajemnic.

Zanim Wisting zakończył naradę, uzgodnili, że spotkają się ponownie za trzy godziny.

Torunn Borg zaprowadziła agentów FBI do gabinetów, które dla nich przygotowano. Wisting wrócił do swojego pokoju, sprawdził telefon komórkowy i zobaczył, że ma jedno nieodebrane połączenie od Line.

Zadzwoił do niej.

– Co robisz? – spytał.

– Byłam w Torstrand i rozmawiałam z człowiekiem, który chodził do szkoły z Viggo Hansenem – wyjaśniła.

– Dowiedziałas się czegoś? – zainteresował się.

– Trochę, ale nie wiem, ile z tego będę mogła wykorzystać w artykule – odparła. – Wiedziałeś, że ojciec Viggo Hansena powiesił się w piwnicy swojego domu?

Wisting nie krył zaskoczenia. Musiał przyznać, że nigdy

o tym nie słyszał.

– Wiem o tym od Jarlego Lundena.

– Od pastora? Widziałaś się z nim?

– Tak. Był u nich w domu, gdy to się stało. Policja też tam była. Myślisz, że są gdzieś jeszcze akta tej sprawy?

– Kiedy to było?

– W sześćdziesiątym dziewiątym.

– Nie wiem. Wszystkie sprawy, które nie podlegały obowiązkowi archiwizacji i miały więcej niż dwadzieścia pięć lat, zostały zniszczone, gdy przeprowadzaliśmy się do nowego budynku w dziewięćdziesiątym piątym, ale mogę to sprawdzić. Wiem, że część akt ocalała, między innymi dzienniki dyżurów.

– Świetnie. O której dziś wrócisz?

– Jeszcze nie wiem, ale raczej późno. Co będziesz teraz robić?

– Chcę jeszcze raz zajrzeć do domu Hansena. Muszę przyjrzeć się kilku drobiazgom.

– Jakim drobiazgom?

– Coś, co przeczyłam poprzednim razem. Coś, na co nie zwróciłam uwagi, gdy byłam tam wczoraj.

Nie pozwoliła, żeby zaczął wypytywać ją o szczegóły.

– W piwnicy jest jeszcze jedno pomieszczenie, którego nie sprawdziliście, gdy znaleziono jego ciało. Komórka ukryta za półkami.

– Co jest w środku?

– Nie wiem. Była zamknięta.

Wisting uśmiechnął się.

– I to cię powstrzymało?

– Chwilowo tak.

– Daj mi znać, jeśli znajdziesz coś, co przeczyła policja – poprosił.

– Aha, i byłam dzisiaj u dziadka – mówiła dalej. – Mam cię od niego pozdrowić.

– Co u niego słyhać?

– W porządku. Pomógł mi skontaktować się z ludźmi, którzy znali Hansena, zanim jego rodzina przeprowadziła się na Herman Wildenveys gate. Rozmawiałam między innymi ze starszą panią, która twierdziła, że ojciec Viggo został skazany

za napad.

– Napad? W odpisie z rejestru skazanych była mowa o zuchwałej kradzieży.

– Możliwe, że to tylko plotki. Wysłałam maila do archiwum państwowego w Børgen, ale jeszcze nie dostałam odpowiedzi.

Gdy zakończyli rozmowę, Wisting udał się do Bjørg Karin z wydziału spraw karnych. Bjørg była nie tylko odpowiedzialna za archiwizację i księgowanie, ale także doskonale zorientowana, co gdzie się znajduje, bez względu na to, czy chodziło o akta obecnie prowadzonych spraw, protokoły sądowe czy opłaty za grzywny. Miał ze sobą kartkę z zapisaną datą śmierci Gustava Hansena, ale nie udało mu się przedstawić swojej prośby, zanim nie poczęstował się ciastem i nie wypił połowy filiżanki kawy.

Jeśli w podziemnym archiwum znajdowały się jakieś dokumenty dotyczące samobójstwa Gustava Hansena, łatwo byłoby odszukać akta sprawy, kierując się datą zgonu.

Gdy wrócił do swojego gabinetu, czekał już na niego mail od Torunn Borg, zawierający listę nazwisk z urzędu do spraw ewidencji ludności. Kryteria wyszukiwania spełniało dwa tysiące stu dwudziestu siedmiu mężczyzn zamieszkałych na terenie ich gminy. Robert Godwin miał sześćdziesiąt jeden lat, ale postanowili poszerzyć zakres poszukiwań o plus minusz trzy lata. Jeżeli Godwin posługiwał się fałszywym dowodem osobistym, to mógł podawać się za osobę o dwa, trzy lata młodszą lub starszą, niż był w rzeczywistości.

Muszą nam przydzielić więcej ludzi, pomyślał Wisting. Nawet gdyby do tego zadania oddelegowano dziesięciu śledczych, sprawdzenie, czy osoby z listy są tymi, za kogo się podają, zajęłoby im wiele tygodni.

Otworzył plik Excela załączony do wiadomości. Nazwiska można było sortować alfabetycznie według nazwisk, wieku lub miejsca zamieszkania. Była tam również kolumna z nazwiskami imigrantów oraz osób, które przeniosły się z innych okręgów po tym, jak Robert Godwin zbiegł z USA. Ta lista składała się jedynie ze stu dwudziestu trzech pozycji. Od niej musieli zacząć, ale i tak czekało ich mnóstwo pracy.

O godzinie piątej ponownie zebrali się w sali konferencyjnej. Agent specjalny Donald Baker poprosił o głos.

– Zakończyliśmy czynności w domu Boba Crabba – oznajmił głębokim głosem. – I rozmawialiśmy z ludźmi, którzy go znali i wiedzieli, czym się zajmował.

Agent FBI zajął do notatek.

– Nie znaleźliśmy żadnych bezpośrednich powiązań między nim a Robertem Godwinem. Obaj wykładali na uniwersytecie w latach osiemdziesiątych, ale na różnych wydziałach. Natomiast profesor Crabb prowadził wykłady, na które uczęszczała Lynn Adams.

– Pierwsza ofiara – wtrąciła Torunn Borg.

Donald Baker przytaknął.

– Dziewczyna zaginęła w 1983 – kontynuował. – Po sześciu miesiącach jej ciało odnaleziono w studziencie kanalizacyjnej, ale dopiero sześć lat później, gdy Godwin był już poszukiwany, udało nam się powiązać go z tym zabójstwem. Szczątki włosów Lynn Adams leżały w takim samym jutowym worku, jak te, których jego rodzina używała na swojej farmie przy uprawie jabłek.

– Zbrodnia nie dawała spokoju profesorowi Crabbowi – mówił dalej John Bantam. – W 1989 kolejna studentka Crabba została napadnięta, ale udało jej się uciec. Dziewczyna rozpoznała w sprawcy Roberta Godwina, a badania DNA potwierdziły, że to on był „Międzystanowym dusicielem”.

– Ta wiadomość wstrząsnęła profesorem Crabbem – przejął relacjonowanie Donald Baker. – Robert Godwin był poszukiwany listem gończym, ale zaginął bez śladu, jakby zapadł się pod ziemię. Wyznaczono nagrodę w wysokości miliona dolarów dla osoby, która przyczyni się do ujęcia sprawcy. I wtedy Bob Crabb rozpoczął swoje prywatne

śledztwo.

Skinął na swoją koleżankę, żeby kontynuowała.

– Swoim sąsiadom profesor Crabb powiedział, że jedzie szukać krewnych w Norwegii – wyjaśniła. – Prawdopodobnie była to tylko przykrywka. W rozmowach z kolegami z uniwersytetu twierdził, że Robert Godwin mógł zbiec do Skandynawii. Godwin bardzo interesował się swoimi norwesкими przodkami, uczył się języka i był opiekunem programu dla skandynawskich studentów.

– Chwileczkę – przerwał jej Wisting. – Chcecie powiedzieć, że przodkowie Godwina pochodzili z Norwegii?

– Dwadzieścia procent białej społeczności w Minnesocie ma norweskie korzenie – wyjaśnił John Bantam. – Mój praprapradziadek pochodził z Kristiansand.

– Powiedziałaś, że studiował język – odezwał się Nils Hammer. – Czy to znaczy, że Godwin mówi po norwesku?

Maggie Griffin i Donald Baker wymienili spojrzenia. Oboje wyglądali na zawstydzonych tym, że informacje o kluczowym znaczeniu dla sprawy zostały ujawnione dopiero teraz, ponad dwadzieścia lat po wystawieniu listu gończego za Robertem Godwinem.

– Ma PhD z języków skandynawskich – odparł Baker.

– Stopień doktora?

Donald Baker skinął głową.

– Skąd pochodzili przodkowie Godwina? – dopytywał Wisting. Maggie Griffin przez chwilę przeglądała dokumenty. W końcu wyciągnęła z nich wydruk i przesunęła go w stronę Wistinga.

– To jest jego prapradziadek – wyjaśniła.

Wisting zaczął czytać. Robotnik fabryczny Niels Gustavsen z parafii Brunlanæs Berg 26 kwietnia 1889 roku popłynął do Nowego Jorku na pokładzie parowca „Norwegia”.

– Zdjęcia – odezwał się Wisting po norwesku i spojrzał na swoich kolegów. – Ruiny gospodarstwa, które sfotografował Bob Crabb. Stamtąd mogli pochodzić przodkowie Godwina. Może tym sposobem uda się go odnaleźć.

Amerykanie spojrzeli na niego pytającym wzrokiem. Wisting

opowiedział im o zdjęciach zabezpieczonych w kamerze Crabba.

Mortensen włączył projektor i wyświetlił zdjęcia. Stare budynki gospodarcze chylące się ku upadkowi.

Agenci FBI popatrzyli na siebie.

– Cofnij – poprosił Donald Baker i rozluźnił krawat. Jabłko Adama poruszało się w górę i w dół za kołnierzykiem jego koszuli.

Mortensen zrobił to, o co go poproszono. Ekran wypełniło zdjęcie przedstawiające spaloną stodołę. Ruiny porastały chwasty i krzewy.

Baker pocierał palcami brodę. Spojrzał na swoich amerykańskich kolegów i westchnął ciężko. Widać było wyraźnie, że wszyscy troje widzieli na zdjęciu coś, czego norwescy śledczy nie dostrzegali.

– Gdzie to jest? – spytał Baker. Jego głęboki głos wydawał się cichszy.

– Nie wiemy – odparł Wisting. – Ale teraz zaczynam podejrzewać, że to może być miejsce, z którego pochodzili przodkowie Godwina. Pokażemy zdjęcia lokalnym historykom. Może oni będą wiedzieli, gdzie znajdują się te ruiny.

Donald Baker zwilżył wargi językiem.

– Jest coś, o czym jeszcze nie rozmawialiśmy – powiedział.

Wisting skinął głową. Agent specjalny jeszcze raz rzucił okiem na ekran, zanim przeniósł wzrok na Wistinga.

– Będzie nam potrzebna lista zaginionych dziewcząt.

Było już ciemno, gdy Line po raz kolejny otwierała drzwi do domu Viggo Hansena. Nie czuła się zbyt komfortowo i dlatego przesuając się w głąb mieszkania, zapalała wszędzie światło. Na progu salonu zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. W domu panowała kompletna cisza. Nieco uspokojona podeszła do miejsca, w którym znaleziono ciało Viggo Hansena.

Przez chwilę przenosiła wzrok z jednego fotela na drugi i z powrotem.

Na lewym fotelu były widoczne ciemne plamy po zwłokach. Poza tym mebel nie był zniszczony. Natomiast na prawym fotelu były liczne wgniecenia, siedzisko i podłokietniki nosiły ślady długiego użytkowania, a ozdobna poduszka pod plecy była zupełnie płaska. To w tym fotelu zwykł siadać Viggo Hansen.

Podłoga w salonie stanowiła osobną historię. Między sfatygowanym fotelem a ławą leżały okruchy chleba i inne resztki jedzenia, a na szarej wykładzinie od drzwi kuchennych do fotela ciągnęło się ciemniejsze pole. Mieszanina brudu i intensywnego użytkowania, powstała w wyniku ciągłego przemieszczania się Viggo Hansena z fotela do kuchni i z powrotem.

Ruszyła wydeptanym śladem i stanęła na środku kuchni. Powiodła wzrokiem po ciasnym pomieszczeniu. W kuchni było czysto i schludnie, nie licząc filiżanki stojącej na stole. Już miała się odwrócić i pójść do salonu, gdy nagle jeden niewielki szczegół przykuł jej uwagę. Na blacie obok lodówki stał ekspres do kawy. Pojemnik był do połowy wypełniony wodą.

Podeszła do niego i otworzyła koszyk filtra. Na dole znajdowała się zmielona kawa.

Przygotował ekspres do kawy, pomyślała. Mama zawsze tak robiła, gdy czekała na gości. Nalewała wodę do pojemnika

i wsypywała kawę do filtra, dzięki czemu po przybyciu gości wystarczyło jedynie wcisnąć przycisk.

Line zrobiła krok do tyłu.

Czyżby czekał na kogoś? A jeśli tak, to na kogo? I po co zlecił ślusarzowi założenie dwóch nowych zamków w drzwiach wejściowych? Może się kogoś bał?

Akta sprawy nosiła ze sobą w torebce. Teraz usiadła przy kuchennym stole, wyjęła protokół posekcyjny i położyła go przed sobą.

Nie było tam niczego, co uzasadniałoby podejrzenie, że do śmierci Viggo Hansena przyczyniły się osoby trzecie. Ale też nic, co by to wykluczało. Wniosek był jasny i pozostawiał tę kwestię otwartą. Nie stwierdzono przyczyny zgonu ze względu na daleko posunięty rozkład zwłok.

Miała ochotę zadzwonić do ojca, ale się powstrzymała. Wytłumaczyła sobie, że zaczyna ją ponosić fantazja. Fotel i gotowy do użycia ekspres do kawy niczego nie dowodziły.

Wróciła do salonu. Przez chwilę stała nieruchomo i przyglądała się swojemu odbiciu w ciemnym oknie, a potem odwróciła się i rozejrzała uważnie po pokoju. Nie znalazła nic, co wzbudziłoby jej zainteresowanie. Nic, czego by wcześniej nie widziała. A jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś umknęło jej uwagi.

To dziwne uczucie sprawiło, że przeszła jeszcze raz cały dom, pokój po pokoju. W końcu stanęła na szczycie schodów prowadzących do piwnicy. Zimny powiew dolatujący z ciemności owionął jej stopy. Nie miała specjalnej ochoty zaglądać do piwnicy, ale chciała sprawdzić, co znajduje się za zamkniętymi drzwiami.

Przypomniało jej się, że w przedsionku widziała szafkę na klucze. Może klucz do komórki również tam wisiał?

Wyszła na korytarz i otworzyła drzwiczki szafki wiszącej na ścianie.

Była pusta. Cztery puste kołki.

Zamknęła drzwiczki i zeszła do piwnicy. Gdy była tam poprzednim razem, zauważyła skrzynkę na narzędzia. Kłódka powinna ustąpić po jednym uderzeniu młotka. Potem mogła

kupić nowy zamek, a klucz powiesić w szafce przy drzwiach.

Młotka co prawda nie znalazła, ale za to wygrzebała klucz nastawny, którym z powodzeniem mogła się posłużyć. Nawet gdyby odnalazła właściwy klucz, nie miałaby pewności, czy uda jej się otworzyć kłódkę. Była zardzewiała i mogła nie być otwierana przez długi czas.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

Gdzie były pozostałe klucze Viggo Hansena? Klucze do domu. Klucze do dwóch nowych zamków w drzwiach wejściowych. Policjanci rozwiercili zamki, żeby móc wejść do środka. Potem wstawili jeden nowy zamek, ale nigdy nie widziała ani nie czytała nic na temat tamtych dwóch kluczy.

Odłożyła narzędzie, poszła do kuchni i usiadła przy stole, na którym wciąż leżały policyjne dokumenty. Odszukała raport zawierający wykaz rzeczy, które policja zabrała z domu Viggo Hansena. Najwięcej było przedmiotów zabezpieczonych do identyfikacji zwłok. W raporcie była mowa między innymi o szczoteczce do zębów i grzebieniu, które miały zostać wysłane do analizy DNA. Ani słowa o kluczach.

Przejrzała dokumenty i jeszcze raz zatrzymała się na protokole z sekcji zwłok. W jednym z pierwszych punktów znajdował się opis ubrań, które Viggo Hansen miał na sobie. Dżinsy, koszulka z krótkimi rękawami, majtki i skarpetki. Z lewego nadgarstka zmarłego zdjęto zegarek, a z prawej kieszeni spodni wyjęto trzy monety jednokoronowe, ale żadnych kluczy.

W swoim domu Line zwykle wkładała klucze do jednej z szuflad komody stojącej w przedpokoju. Co prawda przeglądała już zawartość komody Viggo Hansena, która stała w korytarzu, ale postanowiła sprawdzić ją jeszcze raz. Pamiętała, że jedna z szuflad była typowym schowkiem na przeróżne drobiazgi. Otworzyła ją i zaczęła szukać między długopisami, pokwitowaniami, instrukcjami obsługi i innymi drobnymi przedmiotami, ale kluczy tam nie było.

Potem sprawdziła ubrania wiszące w przedpokoju, ale w kieszeniach kurtki również niczego nie znalazła.

Przypomniało jej się, że w sypialni widziała spodnie

przewieszane przez oparcie krzesła. Poszła tam i przeszukała kieszenie, ale one także były puste. Po raz kolejny przejrzała zawartość szuflad kuchennych i kieszeni ubrań wiszących w szafie i tych, które leżały w koszu na brudną bieliznę, i wszystkie inne miejsca, które przyszły jej do głowy, ale nigdzie nie znalazła ani jednego klucza. Możliwe było tylko jedno wytłumaczenie: klucze zostały zabrane z domu. Albo przez policjantów, którzy nie odnotowali tego faktu w żadnym protokole, albo przez kogoś zupełnie innego, kto zamknął za sobą drzwi, zostawiając Viggo Hansena martwego w fotelu przed telewizorem.

W sali konferencyjnej zapadła absolutna cisza. Słowa wypowiedziane przez Donalda Bakera wciąż wisiały w powietrzu, a zbiorowy niepokój wypełnił pomieszczenie napięciem, którego nikt nie chciał przerwać.

Wisting czuł, że skóra na jego twarzy zrobiła się zimna. Sprawa, nad którą pracowali, zaczęła się rozrastać do monstrualnych rozmiarów. Nie rozumiał, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał. Skoro seryjny morderca, który zbiegł z USA, od ponad dwudziestu lat przebywał na terenie Norwegii, nie było powodów, by nie miał kontynuować swojej przestępczej działalności tutaj.

Ta myśl sprawiła, że jego dłonie stały się wilgotne, a skóra na głowie zaczęła się pocić. Nie przypominał sobie żadnych zaginionych dziewcząt w ich okręgu, ale sprawa zaginięcia w Porsgrunn sprzed kilku lat, szeroko relacjonowana przez media, pozostawała wciąż niewyjaśniona. To samo dotyczyło sprawy z Kristiansand, gdzie pewna młoda dziewczyna była widziana po raz ostatni, gdy stała na poboczu drogi tuż przy ogrodzie zoologicznym i próbowała złapać stopa. Do tego dochodziła sprawa Diany z Drammen i co najmniej kilka zaginięć w Oslo. Tylko na podstawie zapamiętanych doniesień prasowych doliczył się w myślach pięciu młodych kobiet.

Odchrząknął i zwrócił się do agenta FBI w ciemnym garniturze.

– Co jeszcze widzicie na tych zdjęciach? – spytał. – Co takiego przeoczyliśmy?

– Studnię – odparł Donald Baker.

Wisting spojrział na ekran. Na środku zdjęcia znajdowała się okrągła kamienna cembrowina.

– Wiele ofiar Roberta Godwina odnajdywaliśmy na terenie takich walących się gospodarstw – wyjaśnił agent FBI. – Na

dnie wyschniętych studni, z których nikt od lat nie korzystał.

Wisting podniósł plik kopii amerykańskich akt sprawy.

– Tutaj jest napisane, że kobiety odnajdywano w rowach – powiedział. – I że Godwin wybierał autostopowiczki szukające okazji na autostradach, a potem ich ciała porzucał w przydrożnych rowach.

– Tak było w wypadku pierwszych zabójstw – wyjaśnił Baker. – Tych, które dostarczyły nam śladów DNA. Później Godwin wycwaniał się i zaczął ukrywać ciała. Mamy w sumie siedemnaście kobiet, których zwłoki znaleziono w studniach lub podobnych kryjówkach. Jedno z ciał wydobyto po kilku dniach. Nasi technicy zabezpieczyli na zwłokach DNA należące do Godwina, ale szesnastu pozostałych zabójstw nie udało nam się przypisać Godwinowi. Nazwiska dziewcząt są na liście potencjalnych ofiar „Międzystanowego dusiciela”.

– Pokaż dwa pozostałe miejsca – poprosił Wisting i utkwiał wzrok w ekranie.

Mortensen przeskoczył kilka zdjęć i wyświetlił to, na którym nie widać było żadnych budynków, a jedynie pole z drogą dla traktorów prześwietlającą między drzewami.

– Spójrzcie tam! – zawołał Hammer i wskazał okrągły betonowy element, ledwo widoczny wśród trawy porastającej brzeg pola. – To jest jakaś studzienka retencyjna albo część systemu nawadniającego.

Trzecie miejsce sfotografowane przez Boba Crabba przedstawiało opuszczone gospodarstwo. Biały budynek mieszkalny i szara stodoła otoczona smukłymi brzoza. Na lewo od stodoły znajdowała się starodawna pokrywa studni w kształcie piramidy.

– Bob Crabb próbował zlokalizować wszystkie studnie w okolicy – stwierdził Mortensen.

– Czy udało się ustalić, gdzie są położone te gospodarstwa? – zapytał Wisting.

– Benjamin cały czas nad tym pracuje – wyjaśniła Torunn Borg. – Rozmawiał z różnymi badaczami folkloru i lokalnymi etnografami, ale na razie bez rezultatu.

Po chwili odezwał się Leif Malm z Kripos, który do tej pory

milczał.

– Jeszcze dziś wieczorem będę miał gotową listę zaginionych kobiet – powiedział. – Pytanie brzmi: jakie przyjmujemy ograniczenia, jeśli chodzi o zasięg terytorialny i wiek zaginionych.

– U nas jego rewir obejmował pięć stanów – wyjaśnił John Bantam. – Obszar o średnicy ponad trzystu mil.

– Wszystko na południe od Trondheim – skwitował Wisting. Christine Thiis odchrząknęła.

– Ile to może być kobiet? – spytała.

Szef sekcji dochodzeniowej spojrział przed siebie, w ciemność panującą za oknami.

– W ciągu ponad dwudziestu lat na terenie całej Norwegii zaginęło około pięciuset osób – odezwał się zamyślony. – Najwięcej w Østlandet, głównie mężczyźni. Moim zdaniem lista kobiet, które zaginęły bez wieści obejmuje około stu nazwisk.

– Stu?

– Oczywiście można ją okroić. Część kobiet zaginęła na morzu, inne nie wróciły z wypraw w góry. Kilka psychicznie chorych kobiet oddało się z zakładów psychiatrycznych, niektóre zostawiły listy pożegnalne. Możliwe, że zatrzymamy się na pięćdziesięciu zaginionych.

Donald Baker wyprostował się.

– Prześledź drogi krajowe – doradził. – Godwin wyszukiwał ofiary wzdłuż autostrady międzystanowej. Musicie sprawdzić młode kobiety, które zaginęły na autostradach lub w ich pobliżu.

Odwrócił się w stronę zdjęcia widocznego na ekranie.

– Bo jak tylko ustalicie, gdzie jest to miejsce, odnajdziecie zwłoki.

Kłódka nie ustąpiła pod wpływem pierwszego uderzenia. Line ponownie zamachnęła się kluczem nastawnym i uderzyła. Tym razem kłódka pękła i zawisała na obręczy.

Zdjęła ją i otworzyła drzwi. Światło padło na szarą murowaną podłogę, na której dostrzegła zarys kilku pudełek.

Poruszając się po omacku, znalazła włącznik światła i zapaliła samotną żarówkę zwisającą z sufitu. Światło było tak słabe, że kąty tonęły w ciemnościach.

Pomieszczenie było niemal puste. Oprócz trzech kartonów na podłodze stała również stara kartonowa walizka z metalowymi okuciami, a na jednej ze ścian wisiały na hakach jakieś ubrania. Wszystko przykrywała cienka warstwa kurzu.

Line przyciągnęła jeden z kartonów do światła, które sączyło się przez otwarte drzwi, i otworzyła wieko. W środku znajdowały się segregatory pierścieniowe z nazwiskiem „Gustav Hansen” wypisanym na grzbiecie. Wzięła do ręki jeden z nich i zaczęła go przeglądać. Były tam różne listy i dokumenty z gminnej spółki energetycznej Bergenshalvøen, pochodzące z lat pięćdziesiątych. Drugi segregator, na którym znajdował się napis „Ciek wodny Bergsdal”, zawierał szczegółowe plany, rysunki i dokumentację techniczną.

Papiery po jego ojcu, pomyślała Line i podniosła teczkę obwiązaną gumką, która leżała na dnie kartonu. Zdjęła gumkę i otworzyła teczkę. Były w niej stare wycinki prasowe. Ten, który znajdował się na wierzchu, pochodził z „Bergens Tidende” i nosił datę 27 czerwca 1960 roku. „Obrabowano pocztę w Bergen”, brzmiał nagłówek.

Line wzięła do ręki wypłowiałą kartkę i przeczytała:

Okolo trzeciej nad ranem dokonano włamania do sejfu w głównym urzędzie pocztowym w Bergen przy Småstrandgaten. Sąsiadów zaalarmował hałas, natomiast

kierowca taksówki widział z bliska mężczyznę uciekającego w kierunku Rådstuplassen. Złodziej dostał się do środka za pomocą drabiny, którą przystawił do ściany budynku, a następnie wybił szybę w oknie na pierwszym piętrze. Istnieją obawy, że skradziono znaczną sumę pieniędzy. Zdenerwowani urzędnicy pocztowi czekali w napięciu, aż eksperci kryminalistyki zakończą pracę i będzie można sprawdzić stan kasy.

Kolejny wycinek był oznaczony datą dwudziestego dziewiątego czerwca:

„Złodziej ukradł 175 000 koron”, informował napis ciągnący się przez cztery szpalty.

Mężczyzna, który w nocy z niedzieli na poniedziałek włamał się do głównego urzędu pocztowego na Småstrandgaten, dokonał tego w chwili, gdy w sejfie znajdowała się rekordowa suma pieniędzy, poinformował nas kierownik poczty Kåre Palmer Holm. Łup złodzieja wyniósł 175 000 koron.

Następnego dnia „Bergens Tidende” informowała swoich czytelników o aresztowaniu włamywacza.

Policja aresztowała mieszkańca Østlandet podejrzanego o włamanie się w nocy z niedzieli na poniedziałek do urzędu pocztowego i kradzież stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy koron. Do zatrzymania doszło w miasteczku kontenerowym w Masfjorden, gdzie podejrzany pracował przy rozbudowie ciekru wodnego Matrevassdraget.

Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy koron, pomyślała Line. Ile by to było w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze? Około dwóch milionów?

Wycinków było więcej.

„Włamywacz nie chce rozmawiać z policją”, głosił kolejny z nich. W artykule była mowa o tym, że aresztowany nie przyznaje się do winy i odmawia złożenia wyjaśnień.

W innym wycinku prasowym komisarz Brinchmann wypowiadał się na temat dowodów przemawiających przeciwko mieszkańcowi Østlandet. Na jego ubraniu zabezpieczono ślady masy proszkowej pochodzącej z izolacji przeciwpożarowej sejfu. Poza tym istniały dowody łączące go z kradzieżą

dynamitu z terenu budowy, na której był zatrudniony. Świadkowie zeznali również, że tamtej nocy mężczyzna wyjechał gdzieś samochodem służbowym.

„Pieniędzy nie odzyskano”, informowała gazeta na dzień przed rozpoczęciem procesu, który toczył się przed sądem rejonowym w Bergen.

Ostatni artykuł dotyczył wyroku sądu, na mocy którego Gustav Hansen został skazany na trzy lata i dziewięć miesięcy pozbawienia wolności:

Okolicznościami zaostrzającymi karę, które sędziowie wzięli pod uwagę, ogłaszając jednomyślny wyrok, był fakt, że oskarżony systematycznie i z premedytacją pogłębiał swoją wiedzę i umiejętności w zakresie włamań do sejfów, oraz znaczna wartość skradzionych pieniędzy. Ponadto oskarżony nie wyraził chęci współpracy i w żadnym stopniu nie przyczynił się do wyjaśnienia sprawy ani nie zwrócił zrabowanej kwoty.

Line włożyła wycinki z powrotem do teczki, zamknęła ją i obwiązała gumką.

Rodziny sekret, pomyślała. Musiało im być z tym bardzo ciężko. Dzień, w którym aresztowano Gustava Hansena, zaważył na dalszym życiu jego syna. Po tym traumatycznym doświadczeniu nic już nie było takie, jak przedtem.

Postanowiła sprawdzić zawartość dwóch pozostałych kartonów. W jednym znajdowały się koszule, krawaty, para spodni od garnituru, marynarka i wypolerowane buty, a w drugim ubranie robocze.

Walizka miała narożne okucia, dwa zatrzaski i skórzaną rączkę. Line przesunęła zatrzaski w bok i otworzyła walizkę, którą wypełniały do połowy stare fotografie oprawione w ramki, kilka płyt gramofonowych, parę książek, gruba brązowa koperta i plik pożółkłych listów związanych postrzępionym sznurkiem.

Na wierzchu leżała biała kartka złożona na pół. Line wzięła ją do ręki. Był to akt zgonu Gustava Hansena, urodzonego 19 października 1928 roku. W rubryce dotyczącej czasu zgonu podano, że śmierć nastąpiła 24 maja 1969 roku około godziny piątej zero zero. Jako przyczynę zgonu podano: „śmierć

samobójcza przez powieszenie”.

Line opuściła dłoń z poślizniętym dokumentem na kolana i rozejrzała się po pomieszczeniu. To wszystko, co zostało po Gustavie Hansenie, pomyślała. Nie było tego dużo, wszystko mieściło się w kilku kartonach i walizce, w pokoju zamkniętym na cztery spusty. Przed drzwiami zawieszono nawet półkę, jakby ci, którzy go przeżyli, nie chcieli, żeby cokolwiek im o nim przypominało.

Położyła akt zgonu obok siebie na podłodze i przejrzała resztę zawartości walizki.

Były tam stare fotografie. Na jednej z nich cała rodzina siedziała razem na kanapie. Z pozostałych spoglądali na Line czterej mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy z ponurymi minami. Sądząc po strojach, zdjęcia zostały zrobione na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Line sprawdziła, że na odwrocie nie zapisano żadnych dat ani nazwisk.

Za to na okładkach płyt w prawym dolnym rogu znajdował się podpis Gustava Hansena. Były to płyty takich artystów, jak Bill Haley and His Comets, Pat Boone, Nat King Cole czy Elvis Presley. Muzyków, których okres świetności przypadł na lata młodości ojca Viggo Hansena, to znaczy na lata pięćdziesiąte, ale których utwory były wciąż puszczane w radiu.

Line podniosła jedną z książek. *Sowy do Aten* Hermana Wildenveya, wydana w 1953 roku. Na stronie tytułowej znajdowała się dedykacja: „Gustavowi Hansenowi w dniu 19 października 1953 roku. Wszystkiego najlepszego! Herman Wildenvey”. Prezent urodzinowy.

Było tam wiele zbiorów poezji. André Bjerke, Gunnar Reiss-Andersen i Tarjei Wesaas. Line ustawiła tomy wierszy na podłodze obok walizki i wzięła do ręki plik listów. Nie musiała odwiązywać sznurka, by odgadnąć, że były to listy, które Gustav Hansen wysyłał do swojej żony z zakładu karnego w Bergen. Line nie miała ochoty ich czytać. Odłożyła je na bok.

Szara koperta zawierała stare drukowane listy i dokumenty sporządzone gotycką czcionką. Wypłowiła widokówka przedstawiała parowiec wpływający do portu. Tuż pod nim

znajdował się duży biały napis „D/S Norge”. Kartka została wysłana 26 kwietnia 1889 roku na adres Anny Sofie Nielsen, Manvik, Brunlanæs. Trudno było odczytać litery, ale nagłówek „Droga mamó” wskazywał, kto był odbiorcą wiadomości. Była w niej mowa o tym, że trudno jest się rozstać na zawsze i że następnym przystankiem będzie Ameryka. Podpis na kartce brzmiał „Twój Hans”.

W kolejnych listach emigrant pisał o bujnych polach, obfitych zbiorach, ulicach oświetlonych elektrycznie i jazdach próbnymi eleganckimi samochodami. Hans Gustav Nielsen osiedlił się na Środkowym Zachodzie, poznał kobietę, która wyemigrowała z Vestlandet, ożenił się z nią i wychował kilkoro dzieci.

Wśród papierów znajdowała się również tablica genealogiczna, z której wynikało, że Hans Gustav Nielsen był bratem pradziadka Viggo Hansena. Był tam cały jego ród, ukryty głęboko na dnie starej walizki.

Line siedziała w skąpym świetle żarówki z rodowodem w dłoni. Czowała, że otwierają się nowe możliwości. Gdzieś w świecie mogli żyć krewni Viggo Hansena.

Gdy Wisting wrócił do gabinetu, znalazł na środku biurka przezroczystą plastikową teczkę ze starymi aktami policyjnymi. Na żółtej kartce samoprzylepnej Bjørg Karin napisała: „Mam nadzieję, że Line chodziło właśnie o te dokumenty”.

Otworzył teczkę i wyjął z niej akta. Pierwszy dokument był napisany na maszynie i pochodził z dziennika dyżurów. Dwudziestego czwartego maja 1969 roku o godzinie siódmej czterdzieści osiem wpłynęło zgłoszenie od lekarza dyżurnego pogotowia, który prosił o wysłanie patrolu na Herman Wildenveys gate numer cztery. Solveig Hansen znalazła swojego męża powieszonoego w piwnicy. Patrol, który udał się na miejsce, zameldował, że doktor Gravdahl stwierdził zgon czterdziestojednoletniego Gustava Hansena. Do zgłoszenia z pogotowia dołączono korektę. To dziewiętnastoletni syn, Viggo Hansen, znalazł w piwnicy ciało swojego ojca. „Raport sporządził aspirant Thorsen”.

Protokół, do którego była dołączona kopia aktu zgonu, zajmował zaledwie trzy czwarte strony. Gustav Hansen powiesił się w komórce w piwnicy. Lina była przywiązana do biegnącej wzdłuż sufitu rury kanalizacyjnej. Pomieszczenie było tak niskie, że samobójstwa dokonano w pozycji półstojącej. Silną chęć odebrania sobie życia potwierdziły słowa małżonki zmarłego. Z jej relacji wynikało, że mąż był w ciężkiej depresji spowodowanej brakiem pracy, tym bardziej, że wcześniej przez długi czas był zatrudniony przy rozbudowie elektrowni w Vestlandet.

Do dokumentów nie dołączono żadnych zdjęć. Czterdzieści lat temu nie było takiego zwyczaju.

Wisting zebrał papiery, włożył je do teczki i położył na rogu biurka, żeby nie zapomnieć zabrać ich ze sobą do domu.

Archiwum w podziemiach komendy mieściło większe

tragedie i bardziej dramatyczne losy ludzkie, ujęte w jeszcze krótszych raportach niż w wypadku samobójstwa Gustava Hansena.

Wisting zamyślił się na chwilę.

– Oczywiście – wymamrotał zirytowany.

Uruchomił komputer, kliknął na folder, w którym Espen Mortensen przechowywał zdjęcia z karty pamięci aparatu Boba Crabba. Przejrzał folder, aż odnalazł zdjęcie, którego szukał, i kliknął na nie dwa razy. Ekran wypełnił obraz walących się zabudowań gospodarczych ze studnią na pierwszym planie. Teraz, gdy już wiedział, co może kryć się na jej dnie, studnia najbardziej przykuwała jego uwagę, ale tym razem zainteresowała go stojąca w głębi kadru spalona stodoła. Pożar, który ją strawił, musiał spowodować, że na miejsce wezwano straż pożarną i policję. Gdzieś w podziemnym archiwum znajdował się protokół, w którym opisano zasięg, powstałe szkody i być może przyczynę pożaru.

Do tak rozległych pożarów dochodziło w ich okręgu bardzo rzadko, zaledwie raz lub dwa razy w roku.

Przyjrzał się zdjęciu. Prawdopodobnie gospodarstwo było opustoszałe na długo przed pożarem, natomiast sądząc po roślinności, która bujnie porastała pogorzelnisko, od pożaru musiało minąć co najmniej dziesięć lat.

Uruchomił program komputerowy obsługujący sprawy karne. Dzięki niemu można było nie tylko szybko ustalić, gdzie w systemie znajduje się dana sprawa, lecz także zapoznać się ze statystyką i dokonać analizy danych. Jeśli ktoś chciał się dowiedzieć, ile samochodów skradziono w całym okręgu policyjnym w zeszłym roku, wystarczyło wpisać w pola wyszukiwarki rodzaj przestępstwa i przedział czasowy. Wynik wyszukiwania można było zawęzić, zadając pytanie o to, w której dzielnicy lub na której ulicy doszło do największej liczby kradzieży, w który dzień tygodnia albo o której godzinie. W ten sposób liczba spraw stała się również narzędziem, dzięki któremu można było lepiej ukierunkować działania operacyjne.

Wisting nie był doświadczonym użytkownikiem programu. Wprowadził przedział czasowy od 1989, to znaczy od roku,

w którym Robert Godwin zbiegł z USA, do 2005. Od czegoś musiał zacząć. Problem polegał na tym, że pożary były ujęte w statystykach na wiele różnych sposobów, w zależności od ich przyczyny i rozmiaru szkód. Poza tym niektóre pożary figurowały w rejestrze jako sprawy wymagające przeprowadzenia śledztwa, podobnie jak rejestruje się przypadki zgonów, co do których istnieje podejrzenie, że śmierć nastąpiła w wyniku przestępstwa.

Rezultat był taki, że komputer się zawiesił, a kiedy w końcu znów był sprawny, wyświetlił 1132 trafienia. Było tam wszystko: od pożarów koszy na śmieci i samochodów do pożaru domów jednorodzinnych i szkół.

Odchylił się w fotelu i postanowił spróbować od innej strony. Finn Haber był technikiem kryminalistyki i ekspertem od pożarów do czasu, gdy przeszedł na emeryturę. Wisting miał zapisany jego numer telefonu. Odszukał komórkę i wybrał numer.

Głos, który odezwał się w słuchawce, był spokojny i budzący zaufanie. Zawsze taki był, nawet wtedy, gdy Wisting ścigał Habera w środku nocy na miejsce zbrodni.

– Potrzebuję pomocy – powiedział Wisting po paru minutach przyjacielskiej pogawędki. – I nie mogę wyjaśnić dlaczego.

– Jakiej pomocy?

– Siedzę nad zdjęciem zrobionym zeszłego lata – zaczął Wisting. – Próbujemy ustalić, gdzie je zrobiono.

– Pytaliście autora zdjęcia?

– Nie żyje.

Na krótką chwilę zapadła cisza, po czym Finn Haber mówił dalej:

– Skąd myśl, że jestem w stanie pomóc?

– Zdjęcie przedstawia stare niewielkie gospodarstwo – wyjaśnił Wisting. – Stodoła doszczętnie spłonęła. Pomyślałem, że może byłes na miejscu zdarzenia.

– Muszę zobaczyć to zdjęcie. Chyba że sprawa jest tak tajna, że się nie da?

– Mogę ci je przesłać ememesem – zaproponował Wisting.

– Wysyłaj – odparł Haber i rozłączył się, nie mówiąc nic więcej.

Wisting zrobił to najprościej, jak to było możliwe. Zbliżył telefon komórkowy do ekranu komputera i zrobił zdjęcie zdjęcia. Wyszło nadszpiewanie dobrze. Jeśli Haber wiedział, o jakie miejsce chodzi, powinien być w stanie rozpoznać je ze zdjęcia.

Grzebał przy przyciskach, ale w końcu udało mu się wysłać zdjęcie jako załącznik do wiadomości tekstowej. Dziesięć sekund później oddzwonił Haber.

– Hagatun – rzucił bez wahania. – Właściciele wyprowadzili się w latach siedemdziesiątych i od tego czasu gospodarstwo stało puste. Spłonęło w sierpniu dwutysięcznego roku. Prawdopodobnie jakieś dzieciaki bawiły się zapalkami. Instalacja elektryczna nie była podłączona, a poza tym nie było żadnego innego oczywistego powodu, który tłumaczyłby wybuch pożaru.

Wisting przytaknął. Teraz i on przypominał sobie tę sprawę. Przesłuchiwali dwóch chłopców z sąsiedniego gospodarstwa, ale obaj szli w zaparte, twierdząc, że nie mają z pożarem nic wspólnego.

– Do Hagatun prowadzi zarośnięta droga w poprzek wjazdu do starego budynku szkoły w Tanum – ciągnął Haber. – Po ostatnich opadach śniegu dotarcie tam może być trudne.

Wisting wyjął z szuflady biurka mapę i rozłożył ją na blacie. Miejsce było oznaczone dwoma dużymi i trzema mniejszymi budynkami i otoczone lasem.

– Powodzenia, bez względu na to, czego tam szukacie – zakończył Haber. – No i życzę ci wesołych świąt.

– Dziękuję, ja tobie też – odpowiedział Wisting. – I dzięki za pomoc.

Gdy odkładał słuchawkę, w drzwiach gabinetu stanął Benjamin Fjeld. Tuż za nim wszedł Nils Hammer.

– Wydaje mi się, że znalazłem jedno z tych miejsc – powiedział Fjeld i położył przed Wistingiem zdjęcie przedstawiające opuszczone gospodarstwo.

Wisting przeniósł wzrok ze zdjęcia na ekran komputera, na

którym był widoczny ten sam motyw.

– Hagatun – skwitował.

Młody śledczy otworzył usta, ale nie zdołał nic powiedzieć. Tymczasem Hammer odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

– Dowiedziałem się tego dwie minuty temu – wyjaśnił Wisting i zrelacjonował rozmowę z emerytowanym ekspertem pożarnictwa.

– Czym mam się teraz zająć? – spytał Fjeld. – Dalej kontaktować się z towarzystwami historycznymi?

Wisting zamyślił się. Zgodnie z informacją zapisaną cyfrowo w plikach wszystkie zdjęcia zostały wykonane tego samego dnia, i to w ciągu niecałych dwóch godzin. Gospodarstwo, które zidentyfikowali, znajdowało się w trudno dostępnej okolicy, bez drogi dojazdowej. To oznaczało, że autor zdjęć nie mógł przemieścić się zbyt daleko i że pozostałe miejsca, które sfotografował, musiały znajdować się w pobliżu Hagatun.

– Skup się na właścicielach gruntów w tej okolicy – odparł i narysował duży okrąg na mapie wokół Hagatun.

Młody śledczy skinął głową, jakby chciał zasygnalizować, że zrozumiał intencję Wistinga. Potem odwrócił się i zniknął za drzwiami.

– Należała mu się pochwała – skomentował Hammer, siadając.

Wisting skinął szybko głową. Nie był najlepszy w udzielaniu pochwał innym śledczym, nawet gdy na to wyraźnie zasługiwali. Był szefem zespołu dochodzeniowego i to on powinien odpowiednio motywować, nagradzać i podtrzymywać zaangażowanie swoich współpracowników.

Hammer wyjął z kieszeni pudełko snusu. Wisting odchylił się w fotelu.

– Zajmiesz się tym? – spytał.

– Co masz na myśli?

Wisting zaczął czekać, aż Hammer umieści szczyptę snusu pod górną wargą.

– Chciałbym, żebyś opracował plan dotarcia do gospodarstwa i opróżnienia studni – wyjaśnił. – Ale tak, żeby nikt się nie domyślił, że to akcja policji.

Dochodziło wpół do ósmej, gdy Line wstała i rozprostowała nogi. Zrobiła kilka zdjęć przedmiotów znajdujących się w zamkniętym pokoju i odtworzyła ułożenie rzeczy w walizce, zanim wykonała kilka zbliżeń nazwisk zapisanych na tablicy genealogicznej. Następnie zamknęła za sobą drzwi i założyła kłódkę.

Na dworze wzmógł się wiatr. Lodowate podmuchy zacinały w twarz. Line ruszyła w stronę domu, stawiając krótkie, szybkie kroki.

Wracając z pracy, zrobiła zakupy i zostawiła siatki w samochodzie. Teraz wniosła je do kuchni.

Ojca wciąż nie było, więc rozpakowała siatki, zrobiła sobie kawy i poszła do pracowni na pierwszym piętrze.

Dużo udało mi się dzisiaj zrobić, pomyślała, ustawiając laptop na biurku. Nie była pewna, w jaki sposób wykorzysta zdobyte informacje, ale przynajmniej zaczęła tworzyć sobie w myślach obraz Viggo Hansena i jego życia. Życia, na którym odcisnęły piętno niewłaściwe decyzje jego rodziców.

Wyjęła pustą kartkę, napisała na środku jego imię i nazwisko i otoczyła je pętlą. Potem wypisała nazwiska osób, które w ten czy inny sposób znajdowały się w jego bliskim otoczeniu. Imiona rodziców umieściła najbliżej wewnętrznego koła, stawiając obok nich krzyż. Po drugiej stronie wypisała nazwiska jego przyjaciół i znajomych. Artysta malarz Eivind Aske i Odd Werner Ellefsen z czasów szkolnych, Frank Iversen z fabryki krewetek, Ole Szwab i Irene ze znakiem zapytania. W osobnej grupie umieściła nazwiska sąsiadów, aż w końcu przeszła do osób publicznych, które przyszyły jej do głowy. Z pastorem już rozmawiała, ale powinna jeszcze spotkać się z lekarzem orzecznikiem, który wiele lat temu uznał go za niezdolnego do pracy. Może udałoby jej się również namówić

na rozmowę kogoś, kto znał go z czasów, gdy był hospitalizowany na oddziale psychiatrycznym. Ktoś z pracowników NAV musiał zajmować się jego przypadkiem i powinien posiadać takie informacje.

Odszukała notatki z rozmowy z Annie Nyhus. Frank Iversen przeprowadził się z rodzicami do Langesund, gdy w połowie lat sześćdziesiątych jego ojciec został zatrudniony jako kontroler żeglugi morskiej.

W Langesund nie mieszkał obecnie żaden Frank Iversen, w każdym razie nikt o takim nazwisku nie figurował na liście podatkowej ani w żadnych innych rejestrach, do których miała dostęp. Przesłała zgromadzone informacje do działu faktu w nadziei, że uda im się wyśledzić Iversena w innej części kraju.

Musiała zacząć poważnie myśleć o pisaniu artykułu albo przynajmniej przejrzeć materiał, który zgromadziła.

Zamiast przygotować na komputerze layout artykułu, jak to miała w zwyczaju, wydrukowała wszystkie zdjęcia i powiesiła je na tablicy korkowej. Dzięki temu mogła dowolnie zmieniać ich kolejność i komponować je tak, żeby jak najlepiej przedstawić historię życia Viggo Hansena.

Powiesiła zdjęcia przedstawiające ciemny, ponury dom, wyważone drzwi, program telewizyjny leżący na ławie w salonie, zdjęcie z miejsca znalezienia zwłok, na którym było widać tył jego głowy w fotelu przed telewizorem, kartki z życzeniami świątecznymi, rodzinne portrety, kłódkę na drzwiach do piwnicy, akt zgonu ojca i wycinki prasowe dotyczące sprawy włamania do sejfu z 1960 roku.

To, co robię, przypomina tworzenie scenopisu obrazkowego na potrzeby filmu, pomyślała i umieściła w szeregu zdjęć starą fotografię klasową.

W końcu zostały jej do powieszenia dwie fotografie, co do których nie miała pewności, czy są częścią historii. Zdjęcie dwóch pustych foteli przed ławą w salonie i ekspresu do kawy, stojącego na blacie w kuchni i gotowego do użycia. Trzymając je w dłoniach, zastanawiała się, czy to możliwe, że Viggo Hansena odwiedził ktoś, kto pozbawił go życia. Teraz, kiedy

spojrzała na sprawę z lekkim dystansem, możliwość zabójstwa wydała jej się mniej prawdopodobna. Nikt go nie odwiedzał. I niby kto miałby życzyć mu śmierci?

Usłyszała trzask zamykanych drzwi w samochodzie i chwilę później odgłos kroków ojca na korytarzu. Odłożyła na biurko dwa ostatnie wydruki i zeszła na dół, żeby się z nim przywitać.

Widziała, że coś go dręczy, bardziej niż zwykle. Miał cienie pod oczami i był blady. Dopiero teraz zauważyła, że skóra na jego twarzy była lekko pomarszczona i popękana niczym stary obraz olejny.

– Znalazłem dokumenty dotyczące tamtego samobójstwa – powiedział ojciec, zanim Line zdążyła się odezwać. – Zgadza się – dodał, podając córce akta sprawy w przezroczystej plastikowej okładce. – Powiesił się w piwnicy.

Wzięła od niego teczkę, zaskoczona, że o tym pamiętał.

– Dzięki – powiedziała, ale postanowiła, że zajmie się tym później.

Uśmiechnął się i skinąwszy głową, poszedł za nią do kuchni. Line wyjęła z szafki patelnię, naląła na nią odrobinę oleju, a gdy się rozgrzewał sięgnęła do zamrażarki po paczkę warzyw z mięsem.

– Nic innego nie wymyśliłam – ostrzegła, pokazując ojcu mrożonkę.

– Mogę zjeść cokolwiek – odpowiedział z uśmiechem.

Wysypała zawartość paczki na patelnię. Mrożone warzywa zaczęły skwierczeć na gorącym oleju.

– Idziesz jutro na pogrzeb? – spytała, mieszając kawałki jarzyn i mięsa.

Widziała, że ojciec jest myślami gdzieś indziej i że nie rozumie jej pytania.

– Jutro jest pogrzeb Viggo Hansena – wyjaśniła. – Zamierzam się tam wybrać.

– To świetnie – przytaknęła ojciec. – Załatwiłaś kwiaty?

– Dzwoniłam do kwiaciarni – odparła. – I zamówiłam wieniec. Na szarfię żałobnej będzie napisane: „Z ostatnim pożegnaniem – sąsiedzi z Herman Wildenveys gate”.

– Rozmawiałaś z innymi sąsiadami?

Potrząsnęła głową.

– Postanowiłam zaryzykować. Chociaż liczę się z tym, że nikt jutro nie przyjdzie.

– Ile jestem ci winny? – Wyjął portfel z kieszeni spodni. – Za jedzenie i kwiaty?

– Nawet o tym nie myśl – uśmiechnęła się i zamieszała warzywa na patelni. – Rozmawiałeś z Thomasem o tym, czy przyjdzie do domu na święta?

Ojciec podszedł do szafki kuchennej i wyjął z niej dwa talerze.

– Mogę zadzwonić jutro – odparł i nakrył do stołu.

Jedli w milczeniu. Line miała ochotę opowiedzieć ojcu o tym, jak historia o Viggo Hansenie zaczyna nabierać kształtu, ale odpuściła sobie. Ojciec był zajęty zupełnie innymi rzeczami. Żadna z prowadzonych przez niego do tej pory spraw nie męczyła go tak, jak ta. Martwiło ją dużo bardziej, niż irytowało to, że nie ma pojęcia, co się dzieje.

Wieść o tym, że zlokalizowano jedno z miejsc, w których Robert Godwin mógł ukryć zwłoki norweskich ofiar, rozeszła się przed poranną odprawą.

– Benjamin Fjeld zidentyfikował jedno z gospodarstw sfotografowanych przez Crabba – zaczął Wisting, pozwalając, żeby cała chwała przypadła młodszemu koledze. – Zadanie polega teraz na tym, żeby sprawdzić zawartość studni w taki sposób, by wiadomość o tym nie pojawiła się na pasku we wszystkich stacjach telewizyjnych.

Skinął głową na Hammera, który wstał i podszedł do ekranu, na którym Mortensen wyświetlił zdjęcie lotnicze opuszczonego gospodarstwa. Miejsce porastał las, przez gęste listowie trudno było dostrzec budynki.

– Gospodarstwo jest położone około trzystu metrów od głównej drogi – wyjaśnił Hammer, pokazując miejsce na mapie. – Poprosiłem kolegę, który ma traktor, żeby oczyścił teren tak daleko, jak się da. Mniej więcej dwieście metrów dalej drogę zagrażdza stare osuwisko, więc ostatni odcinek będziemy zmuszeni pokonać pieszo.

Wisting wyjrzał przez okno. Zanim zmieniła się pogoda i zrobiło się chłodniej, spadło miejscami około siedemdziesięciu centymetrów śniegu.

– Żeby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi, załadujemy jak najwięcej sprzętu i ludzi do jednego pojazdu – kontynuował Hammer. – Załatwiłem cywilnego vana z napędem na cztery koła, który już stoi u nas w garażu.

– Rozmawiałeś z właścicielem gruntu? – dopytywała się Christine Thiis.

Hammer pokręcił głową.

– Posiadłość kupił w latach osiemdziesiątych niejaki Bertram Nalum. Interesował go głównie las i przylegająca do niego ziemia uprawna, ale w dwutysięcznym roku zgarnął kupe kasy

z ubezpieczenia po tym, jak spaliła się stodoła.

Fjeld podniósł rękę.

– To może być jakiś trop – powiedział. – Kiedy przesłuchiwałem Jonathana Wanga i pytałem go o gospodarstwo Halle, zeznał, że pracował dla Bertrama Naluma, zanim kupił sobie własne gospodarstwo.

– Czy on nie pochodził z Austrii? – chciał się upewnić Wisting. Młodszy śledczy przytaknął.

– Kiedy przybył do Norwegii?

– Na początku lat dziewięćdziesiątych.

Wisting skinął głową i zanotował nazwisko mężczyzny ze szpecącą blizną na twarzy, zanim dał znać ręką Hammerowi, żeby mówił dalej.

– Wezwałem czterech chłopaków z jednostki ratownictwa specjalistycznego, wyszkolonych w spuszczeniu się na linie. Oni pierwsi zejść na dno studni – relacjonował Hammer. – Stawia się tu o dziesiątej. Nie wiemy przecież, jak to wszystko wygląda ani ile pracy czeka nas na miejscu. Jeśli w studni jest woda, może być zamarznięta na kość.

– Co robimy, gdy odkryjemy zwłoki? – spytała Torunn Borg.

– Wtedy na dół zejść technicy.

Mortensen wziął do ręki kubek z kawą.

– Jeśli znajdziemy to, czego się obawiamy, czeka nas mnóstwo roboty.

– Możemy wezwać naszą ekipę – wtrącił Leif Malm z Kripos.

– Zjawią się tu w ciągu dwóch godzin, jeśli będzie taka potrzeba.

Wisting skinął głową.

– Masz listę zaginionych? – spytał.

Malm odchrząknął.

– Tak – odparł i wyjął z aktówki plik połączonych kartek. – Jest krótsza, niż sugerowałem wczoraj. To znaczy, jeśli ograniczymy poszukiwania do kobiet między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, bo w takim wieku były ofiary Roberta Godwina w Stanach, to mamy czternaście nazwisk. Ale jeśli przyjmiemy, że wybierał również starsze kobiety, ponieważ sam się starzał, lista wydłuży się niemal

trzykrotnie.

– A konkretnie?

– Wtedy mamy czterdzieści sześć czystych zaginięć. Prawdopodobne samobójczynie i kobiety zaginione w górach lub na morzu zostały pominięte. To samo dotyczy spraw, w których wniesiono oskarżenie przeciwko małżonkowi, lecz nigdy nie znaleziono ciała ofiary.

Donald Baker z FBI przysłuchiwał się w milczeniu.

– A co z odległością od głównych dróg? – spytał. – Udało ci się coś ustalić?

Malm przytaknął.

– Dwanaście z czternastu kobiet zaginęło w dużych miastach powiązanych siecią dróg europejskich.

– Czy z tej listy zaginionych da się wyczytać coś jeszcze? – dopytywał się Wisting.

– Wygląda na to, że zaginięcia zdarzały się w dość regularnych odstępach czasu – odparł Malm. – Do pierwszego doszło w 1991 roku, potem mniej więcej co dwa lata ginęła kolejna osoba, ale na liście jest kilka dłuższych przerw i dlatego nie można tego nazwać powtarzającym się cyklicznie schematem.

– A ostatnia sprawa z listy – z którego jest roku? – spytała Christine Thiis.

– Sprzed dwóch i pół roku.

– Co z pozostałymi listami? – Wisting zwrócił się do Torunn Borg. – Tymi dotyczącymi mężczyzn w odpowiedniej grupie wiekowej zameldowanych w naszym okręgu?

– Przez cały czas nad nią pracuję.

– To znaczy?

– Próbuje wytypować najbardziej pasujących kandydatów, kierując się danymi z ksiąg meldunkowych, stanem cywilnym, sytuacją rodzinną, tak żeby powstała krótka lista, która byłaby dla nas punktem wyjścia. Jest mało prawdopodobne, aby mężczyzna, którego szukamy, był na przykład osobą publiczną lub odgrywał znaczącą rolę w życiu gospodarczym.

Baker był tego samego zdania.

– Osoba, której szukamy, prawdopodobnie wiezie samotne życie – potwierdził.

– Jak tylko będziemy dysponować krótką listą, przeprowadzimy identyfikację twarzy. Porównamy stare zdjęcie z listu gończego ze zdjęciami paszportowymi lub fotografiami z innych rejestrów.

– Mamy dostęp do zdjęć paszportowych?

Pytanie było jak najbardziej uzasadnione. Pół roku wcześniej weszło w życie nowe rozporządzenie, odbierające policji prawo do wykorzystywania rejestru paszportowego w związku z prowadzonymi czynnościami dochodzeniowymi w sprawach dotyczących przestępstw.

– Zdjęcia to nie problem – skwitowała Torunn Borg, nie mówiąc nic o tym, jak bardzo zamierzała nagiąć prawo. – Pytanie brzmi, czego możemy się po nich spodziewać. To, jak z wiekiem zmienił się wygląd sprawcy, to jedno, a to, co on sam zrobił, żeby wyglądać inaczej – to zupełnie inna sprawa.

– A co z progresją wiekową? – spytał Mortensen. – Możemy przecież wykorzystać program do obróbki zdjęć, żeby zobaczyć, jak Godwin wygląda dzisiaj.

– Nasi ludzie już się tym zajęli. – Baker skinął głową. – Takie programy są niczym innym, jak podbudowanym naukowo zgadywaniem, ale w tej sprawie mogą okazać się przydatne.

Fjeld znowu uniósł dłoń. Wisting skinieniem głowy zezwolił na zadanie pytania.

– Czy to prawda, że sprawca obezwładniał ofiary chloroformem?

– Zgadza się – odparł Baker. – Z wydziału chemii na uniwersytecie, na którym wykładał, skradziono dość dużą ilość tej substancji.

– Jeżeli nadal stosuje tę metodę, to musi mieć do niej dostęp. Przypuszczam, że sprzedaż chloroformu podlega ścisłym regulacjom.

– Do czego właściwie używa się chloroformu? – zainteresował się Hammer. – Poza usypianiem ludzi w filmach.

– Stosuje się go w przemyśle chemicznym – odpowiedział Mortensen. – Chloroform jest rozpuszczalnikiem.

Borg skinęła głową i zanotowała to jako kolejny parametr, który należało wziąć pod uwagę przy późniejszym sprawdzaniu

nazwisk z krótkiej listy.

– Co powiemy, jeśli prasa zacznie nas wypytywać, nad czym pracujemy? – spytała Thiis.

– Dobrze pytanie – podchwycił Malm. – Jeśli dziennikarze się o tym dowiedzą, w mediach rozpęta się taka burza, jakiej jeszcze nie przeżyliśmy. CNN ustawi się przed komendą i będzie stąd relacjonować na cały świat.

Wisting przekazał pytanie Hammerowi. Jako śledczy wydziału antynarkotykowego miał wiedzę i doświadczenie w stosowaniu niekonwencjonalnych narzędzi i metod dochodzeniowych.

– Mówimy jak najmniej – poradził Hammer. – Jeśli staną się zbyt natarczywi, damy im do zrozumienia, że chodzi o narkotyki i że szukamy dziupli. W takich sytuacjach dziennikarze zwykle siedzą cicho. Zaden nie ma ochoty spalić akcji policji przeciwko dilerom.

– Jak to zrobimy?

– Najprościej będzie odsyłać media do wydziału antynarkotykowego, a oni będą mówić, że sprawa jest rozwojowa i nie mogą jej komentować.

Wisting skinął głową.

– Dobry plan – pochwalił. Potem śledczy zajęli się omawianiem pozostałych czynności operacyjnych.

Gdy wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, w sali konferencyjnej został tylko Donald Baker. Wstał i podszedł do okna. Światło poranka mieniło się w gruboziarnistym śniegu.

– Mam nadzieję, że wszyscy rozumieją, jak ważne jest utrzymanie tej akcji w absolutnej tajemnicy – powiedział. – Robert Godwin jest gdzieś niedaleko, musimy go tylko przyskrzynić. Ale jeśli wyjdzie na jaw, że jesteśmy na jego tropie, znowu nam się wymknie.

Agent FBI zwrócił się do Wistinga.

– Godwin ma teraz sześćdziesiąt jeden lat, ale wciąż jest jak drapieżna ryba. Czasem musi się wynurzyć, żeby nabrać powietrza. Co dwa lata pożera kolejną ofiarę. Ma przed sobą jeszcze piętnaście, może dwadzieścia lat życia. A to oznacza osiem, dziesięć kolejnych ofiar, jeśli go nie złapiemy.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Line parkowała samochód przed kościołem. Numer był zapisany w pamięci telefonu jako „Knut A. Sandersen, Szef działu informacyjnego”.

Odebrała, przedstawiając się imieniem i nazwiskiem.

– Jestem przed kościołem, zaraz zacznie się pogrzeb – dodała, żeby jej szef za bardzo się nie rozgadał.

– Kto umarł?

– Viggo Hansen, mężczyzna sprzed telewizora. Pamięta szef?

– Tak. A jak tam praca nad artykułem?

– Dobrze – odparła Line. – Wiem już, co oglądał w chwili śmierci.

W tle słyszała odgłosy wydawane przez ekspres do kawy. Oczami wyobraźni widziała, jak jej szef nalewa sobie kawy, przytrzymując telefon ramieniem.

– Mam nadzieję, że Skavlan³ albo coś podobnego – zażartował. – Może zaproszą cię do studia.

– Oglądał Discovery Channel.

– Siedział sam w domu i dzięki telewizji poznawał świat. Świetne ujęcie do portretu samotnego człowieka.

– Oglądał program o najgłośniejszych sprawach FBI – wyjaśniła.

– Skąd wiesz, że to był właśnie ten program?

– Viggo Hansen miał zaplanowany wieczór przed telewizorem. W telegazynie, który leżał rozłożony na ławie w salonie, były zaznaczone programy, które zamierzał obejrzeć w czwartek, jedenastego sierpnia. Późnym wieczorem na NRK2 leciał film dokumentalny o losiach na Alasce, który Viggo Hansen chciał obejrzeć, ale gdy znaleziono jego ciało, telewizor był nastawiony na Discovery Channel.

– Masz jakieś zdjęcia?

3 Skavlan – norwesko-szwedzkie talk-show nadawane od 2009 roku.

– Tak, zrobione w pustym domu – odparła. – I możemy zamieścić kilka policyjnych zdjęć z miejsca znalezienia zwłok.

– A jakieś zdjęcie portretowe?

– Najbardziej aktualne zdjęcie Viggo Hansena, jakie widziałam, to stare zdjęcie klasowe, z sześćdziesiątego czwartego.

– Nie nadaje się.

– Myślę, że można je wykorzystać – stwierdziła Line. – To zdjęcie to dowód na to, jak mało znaczył dla innych. Przez ostatnich czterdzieści siedem lat życia nikomu nie zależało na tym, żeby zrobić mu zdjęcie.

Szef przyznał jej rację.

– Dużo ci jeszcze zostało? – spytał. – Możliwe, że będziesz mi potrzebna do innej sprawy.

Line pochyliła się nad kierownicą i spojrzała na flagi, które wisiały opuszczone do połowy masztu po obu stronach cmentarnej bramy.

– Co to za sprawa? – zainteresowała się.

– W zeszły piątek znaleziono kolejne zwłoki, tym razem na plantacji choinek.

– Widziałam wzmiankę w gazecie.

– Wygląda na to, że to poważna sprawa. Przydzieliłem do niej Mortena P. i Haralda Skoglunda, ale możliwe, że będą potrzebować twojej pomocy. W końcu to ty najlepiej znasz miejscowych.

– Skąd wiecie, że to coś poważnego?

– Dostaliśmy cynk, że próbki DNA zostały wysłane do Interpolu.

Line poczuła narastającą ciekawość.

– Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli podejrzewają, że ofiarą może być obcokrajowiec – skomentowała, studząc własne emocje.

– Myślę, że nie tylko o to chodzi – odparł Sandersen. – Wezwali patomorfologa w trybie pilnym i już w sobotę przeprowadzili sekcję zwłok. Zwykle nie wykonują sekcji w weekend. Poza tym do labu ściągnęli dodatkowych techników. Nasz człowiek twierdzi, że dostali polecenie, żeby

odłożyć wszystkie inne sprawy na bok.

– Co na to policja?

– Na razie ich nie pytaliśmy, najpierw sami chcemy się trochę rozejrzeć. Ale ekipa techników z Kripos została postawiona w stan gotowości, w każdej chwili mogą zostać ściągnięci do Larviku.

– Skąd to wiesz?

– Źródła policyjne.

Line uśmiechnęła się do siebie. Źródła policyjne mogły oznaczać tylko tyle, że jeden z techników badających miejsce zdarzenia uprzedził żonę, że nie będzie go przez kilka dni w domu, a żona opowiedziała o tym przyjaciółce, która przekazała wiadomość dalej. Tak czy inaczej informacja była godna uwagi. Line rozumiała doskonale, dlaczego Sandersen zainteresował się tą sprawą.

W słuchawce zaległa cisza. Line słyszała, jak jej szef przełyka kawę.

– Słyszałaś coś o tym? – spytał po chwili milczenia.

Line próbowała uniknąć odpowiedzi.

– Byłam zajęta sprawą Hansena – wyjaśniła.

– Ale czy cokolwiek wskazuje na to, że kroi się jakaś grubsza sprawa? – dopytywał się Sandersen.

– Może byłoby lepiej, gdyby Morten P. skontaktował się bezpośrednio z rzecznikiem policji? – zaproponowała. – Odmowa odpowiedzi z ich strony to również jakaś odpowiedź.

– Dobrze, już dobrze, zrobimy tak jak zwykle. Chciałem tylko wiedzieć, czy coś słyszałaś.

– Rozumiem.

– Bądź czujna i dzwoń do mnie, jak tylko się czegoś dowiesz. Zanim oddamy tekst do druku, muszę wiedzieć, kim był zmarły mężczyzna. Już widzę te krzyczące nagłówki.

Uginające się pod ciężarem śniegu gałęzie drzew zwisały nad wąską drogą. Wisting siedział skupiony za kierownicą, uważając na nieoznakowany radiowóz ślizgający się na lodowej nawierzchni. Opony buksowały na ostatnim stromym odcinku drogi, aż w końcu dotarli na miejsce, gdzie stał zaparkowany samochód dostawczy, który przewiózł ludzi i sprzęt. Za nim znajdowało się osuwisko, o którym wspominał Hammer.

– Dalej nie przejedziemy – oznajmił Wisting i wyłączył silnik.

Siedzący obok niego Donald Baker skinął głową.

Zanim wysiadł z auta, włożył rękawiczki i naciągnął czapkę na głowę. Bakerowi udało się pożyczyć ocieplany kombinezon. Był o co najmniej dwa numery za mały, co bardzo krępowało ruchy agenta.

– Zimno – skwitował Amerykanin.

Wisting przytaknął. Las rosnący dookoła chronił ich trochę przed wiatrem, ale lodowate powietrze drapało w nosie.

Ich obecność w tym zimowym krajobrazie właściwie nie była konieczna, lecz agent FBI był ulepiony z tej samej gliny, co Wisting, i musiał sprawdzić wszystko osobiście, by zorientować się w sytuacji. Podążanie śladami sprawcy dawało im poczucie, że depczą mu po piętach i zbliżają się do celu.

Tam gdzie kończyła się droga, widać było ślady rakiet śnieżnych i płóz sań, na których członkowie ekipy wieźli sprzęt. Gdy tylko Wisting ruszył ich śladem, zapadł się po kolana. W mgnieniu oka buty napełniły się śniegiem. Idąc, czuł, jak śnieg topnieje, a jego nogi robią się coraz bardziej mokre.

Gdy dotarli na miejsce, był zlany potem i prawie nie czuł mrozu. Pozostałości po spalonej stodole wznosiły się niczym ciemna ściana. Zrujnowany dom wyglądał tak, jakby przymarzył do ziemi, opustoszały i skostniały z zimna. Wszystkie okna

pokrywał szron, tak że nie sposób było zajrzeć do środka.

– Idealna kryjówka – stwierdził Donald Baker.

Policjanci zdążyli już postawić namiot i odśnieżyć starą studnię, oddzielając ją od reszty śnieżnego krajobrazu.

Studnia była okrągłą, kamienną budowlą ze staroświecką ręczną pompą, która zwisała krzywo. Na środku pokrywy leżała kamienna płyta, wystarczająco duża i ciężka, aby dziecko nie mogło jej podnieść. Jeden z funkcjonariuszy odrzucił ją na bok, po czym wsunął łopatę pod drewnianą pokrywę, próbując ją podważyć. Skończyło się jednak na tym, że jedna z desek pękła, ponieważ pokrywa przymarzła do kamieni.

W kieszeni Wistinga zabrzęczał telefon. Policjant ściągnął prawą rękawiczkę i wyłowił komórkę. Numer, który pojawił się na wyświetlaczu, nie był zapisany na liście kontaktów.

– Tak?

– Morten P., „VG” – przedstawił się mężczyzna po drugiej stronie.

Wisting poczuł ucisk w żołądku.

– Tu William Wisting – powiedział. Powietrze wydobywające się z jego ust tworzyło białą chmurę.

– Dzwonię, żeby zapytać o sprawę z zeszłego piątku – wyjaśnił dziennikarz. – O mężczyznę, który został znaleziony martwy na plantacji choinek. Zna pan tę sprawę?

– Tak – przyznał Wisting.

– Zidentyfikowaliście ciało?

Było za zimno, żeby stać bez ruchu. Wisting zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Nie jesteśmy pewni tożsamości ofiary – odparł. – Ale mamy pewne przypuszczenia, do kogo może należeć ciało.

– Zrobiliście sekcję?

– Tak.

– W weekend?

Dziennikarz udawał zaskoczonego, ale Wisting wyczuł w jego pytaniu jakąś sztuczność. Policjant zaklął w duchu. Doświadczeni dziennikarze śledczy wiedzieli, że zakład medycyny sądowej nie dyżuruje w weekendy i nie przeprowadza sekcji poza stałymi godzinami pracy, chyba że

okoliczności sprawy są absolutnie wyjątkowe.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Ustalono przyczynę zgonu?

– Wygląda na to, że zwłoki długo leżały na dworze – odpowiedział wymijająco Wisting. – Prawdopodobnie od lata.

– Ale czy ustalono, co było bezpośrednią przyczyną zgonu?

Wisting błędził wzrokiem, jakby szukał możliwości wykręcenia się od dalszej rozmowy. Mężczyzna z łopata poluzował kilka kolejnych fragmentów desek z pokrywy studni. Dwóch krzepkich funkcjonariuszy z jednostki ratownictwa specjalistycznego przygotowało liny i szkle zatrzaskowe. Byli gotowi w każdej chwili opuścić się na dno studni.

– Nie stwierdzono jednoznacznie, co było przyczyną zgonu – odparł.

– Co to znaczy?

– Że patomorfolog nie podał ostatecznych wyników sekcji.

– W jakim kierunku zmierza śledztwo? – dopytywał się dziennikarz.

Usunięto ostatnie kawałki desek. Donald Baker i pozostali członkowie ekipy zbliżyli się do krawędzi studni i spojrzeli w dół.

– Bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości – powiedział Wisting. – Ale nie oznacza to, że sprawa powinna trafić na pierwsze strony gazet. Najprawdopodobniej chodzi o nieszczęśliwy wypadek.

Dziennikarz się nie poddawał.

– Jaki wypadek?

– To wykaże śledztwo.

– Czy to znaczy, że waszym zdaniem śmierć mężczyzny nastąpiła w miejscu znalezienia zwłok?

Wisting przełknął ślinę. Miał nadzieję, że po drugiej stronie nie było tego słyhać.

– W przeciwnym wypadku mielibyśmy do czynienia z ewidentnym zabójstwem – skomentował.

– Ale tak nie jest?

Hammer wyszedł z namiotu z potężną latarką. Zapalił ją, a snop światła skierował na dno studni.

– Wie pan co, muszę już kończyć – przeprosił Wisting, chociaż wiedział, że przerywając nagle rozmowę, wzbudził jeszcze większą podejrzliwość dziennikarza. – Może pan zadzwonić za dwie godziny? – dodał w nadziei, że załagodzi nieco sprawę.

– Za dwie godziny – potwierdził dziennikarz.

Wisting zapisał numer jako „Morten P., VG” i schował telefon do kieszeni. Podeszedł do studni i przechylił się nad jej krawędzią. Była głębsza, niż początkowo sądził, mogła mieć sześć, może siedem metrów. Lód na dnie połyskiwał niczym czarne lustro.

Masywne drzwi kościoła zatrzasnęły się z łoskotem. Pomimo że szef działu informacyjnego zajął ją rozmową, i tak zjawiła się za wcześnie. Pracownik domu pogrzebowego był już na miejscu. Uśmiechnął się do niej łagodnie i wręczył jej program. Line odwzajemniła uśmiech. Wzięła do ręki broszurę, odwróciła ją i zobaczyła napis na odwrocie: „Dziękujemy za udział w uroczystości”.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zrobiła parę zdjęć?
– spytała.

Mężczyzna w czarnym garniturze wykonał spokojny ruch dłonią, jakby zapraszał ją do pustego wnętrza kościoła.

Biała trumna była wystawiona przed ołtarzem. Po obu stronach stały dwa trójramienne świeczniki, które rzucały migoczące światło na otynkowane na biało ściany.

Line wyjęła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Wieniec, który zamówiła, stał oparty o trumnę. Na wieku leżał prosty bukiet czerwonych róż, poza tym nie było więcej kwiatów.

Pilnowała, żeby w kadrze nie znalazła się szarfa z napisem pożegnalnym od sąsiadów.

Gdy zmarła jej mama, Line często myślała o tym, że ludzie zawsze opakowują śmierć w rytuały pogrzebowe. „Odszedł od nas”, można przeczytać w nekrologach, jakby zmarła osoba po prostu wyjechała. „Spoczywaj w pokoju” – umieszcza się to na szarfach i nagrobkach, jakby śmierć była niekończącym się, długo oczekiwanym snem pod ciepłą kołdrą. Później napisała o tym artykuł do weekendowego wydania gazety. Przeprowadziła rozmowę między innymi z językoznawcą o tym, w jaki sposób słowa, których używamy, ukrywają prawdziwą istotę śmierci. O tym, jak próbujemy złagodzić brutalny fakt, że śmierć oznacza koniec.

Nadal nikt się nie zjawiał. Line zajęła miejsce w trzecim

rzędzie prawej nawy. Promienie światła wysyłane przez zimowe słońce wdzierały się do kościoła przez witraże na chórze i wychwytywały cząsteczki kurzu unoszące się w powietrzu.

Organista zaczął grać ciche preludium. Rozpoznała dźwięki psalmu, który słyszała wcześniej wiele razy, ale nie mogła przypomnieć sobie słów.

Nagle otworzyły się drzwi. Line usłyszała czyjeś kroki, które po chwili ucichły, gdy wchodzący usiadł w ławce.

Line żałowała, że wybrała miejsce w jednej z pierwszych ławek. Rzykowała, że nie zobaczy ludzi, którzy przyjdą po niej i usiądą gdzieś z tyłu. Wstała i ruszyła środkową nawą w stronę wyjścia.

Osobą, której kroki słyszała, był Eivind Aske. Artysta malarz. Pozdrowiła go skinieniem głowy i usiadła w przedostatnim rzędzie.

Spojrzała na zegarek. Do jedenastej brakowało siedmiu minut. Dużo zdążyłam już dzisiaj zrobić, pomyślała. Choć nie wszystkie działania przyniosły oczekiwane rezultaty. Była w najbliższym sklepie spożywczym i rozmawiała z pracownikami, ale żaden z nich nie pamiętał Viggo Hansena. W każdym razie nie byli w stanie powiedzieć niczego pewnego, nie widząc jego zdjęcia. To samo dotyczyło salonu fryzjerskiego. Wielu starszych mężczyzn było klientami salonu, ale nikt z personelu nie znał Viggo Hansena.

Potem zadzwoniła do firmy ślusarskiej i ustaliła nazwisko oraz numer telefonu pracownika, który zamontował dwa nowe zamki w drzwiach Viggo Hansena. I który prawdopodobnie był ostatnią osobą, która z nim rozmawiała. Próbowała dodzwonić się do Rogera Nicolaysena przed pogrzebem, ale nie odbierał telefonu. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła, zanim pojechała do kościoła, było sprawdzenie poczty elektronicznej. Kolega z działu faktu odnalazł Franka Iversena, który, jak się okazało, był o rok starszy od Viggo Hansena. Najpierw mieszkał w Stavern, później przeniósł się do Langesund, aż w końcu wyemigrował do Danii. Dziennikarzowi udało się również ustalić jego aktualny adres i numer telefonu.

Nagle odezwały się kościelne dzwony. Niemal równocześnie

otworzyły się drzwi i Line usłyszała czyjeś lekkie kroki.

Kobieta, która przeszła obok niej, była niska i miała jasne włosy, zaplecione w gruby warkocz. Line widziała ją tylko z profilu. Nieznajoma niosła długą czerwoną różę, którą położyła na trumnie. Potem odwróciła się, zrobiła kilka kroków i usiadła w trzecim rzędzie, na miejscu, które parę minut wcześniej zajmowała Line. Kobieta była w podobnym wieku, co Viggo Hansen. Miała około sześćdziesięciu lat i wąską, bladą twarz.

Irene od świątecznych pocztówek, pomyślała Line i postanowiła, że porozmawia z nią po ceremonii pogrzebowej.

Dzwony przestały bić. Pastor wyszedł z zakrystii, stanął obok trumny, uklonił się nisko i zajął swoje miejsce.

Organista zaczął grać. Pracownik domu pogrzebowego usiadł w ławce na wysokości Line i zaśpiewał:

– „Bądź przy mnie, Panie, tak szybko zapada zmrok, ciemność się pogłębia, bądź przy mnie, Panie!”⁴

Line otworzyła program i przyłączyła się do śpiewu:

– „Gdy inni pomocnicy słabną i nic nie przynosi pocieszenia, wspomnienia bezradnych, bądź przy mnie!”

Pod koniec hymnu pastor wstał i podszedł do prostej ambony.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby pożegnać Viggo Hansena – odezwał się, gdy ucichł dźwięk organów. – Chcemy oddać go w ręce Pana. Nie mamy zbyt wielu wspomnień, którymi moglibyśmy się podzielić. Zebraliśmy się w ciszy.

Line pochyliła głowę, podczas gdy pastor odmówił modlitwę wstępną. Potem odśpiewali kolejną pieśń, *W Jezusie mamy przyjaciela*⁵, aż w końcu pastor odchrząknął i zaczął głosić homilię.

– Zima zagościła na dobre – powiedział. – Opanowała przyrodę, jakby próbowała ukryć coś, co kiedyś tętniło życiem. Teraz, kiedy żegnamy Viggo Hansena, chciałbym podzielić się z wami moimi przemyśleniami na ten temat.

⁴ Chrześcijański hymn napisany w 1847 roku przez umierającego na gruźlicę Henry'ego Francisa Lyte'a.

⁵ Chrześcijański hymn napisany w 1855 roku przez Josepha M. Scrivena.

Pastor powiódł wzrokiem po twarzach osób uczestniczących w ceremonii. Spojrzał na Line, potem na kobietę, która przyniosła jedną różę, następnie przeniósł wzrok na mężczyznę z zakładu pogrzebowego, potem na Eivinda Aske i z powrotem na Line.

– Nie znałem Viggo Hansena – mówił dalej. – Nie potrafię powiedzieć, jakim był człowiekiem, kim był, o czym marzył, z czego się śmiał, z jakiego powodu płakał. Ale wszyscy zmarli mają swój udział w historii stworzenia. Wszyscy zostali odkupieni i wszyscy mają miejsce w księdze życia. Nikt nie żył na próżno.

Potem powiedział to, o czym dzień wcześniej dyskutował z Line w biurze parafialnym. Stał zupełnie nieruchomo, obiema rękami trzymając się kurczowo ambony, jakby bał się, że upadnie.

– Bóg pamięta o nas wszystkich. Świadomość tego jest dla nas pociechą i źródłem odkupienia – powiedział, kierując wzrok w stronę sufitu. – Bóg pamięta o nas na wieki. Nikt, kto pokłada w nim nadzieję, nie zginie. – Opuścił głowę i wyszeptał cicho: – Amen.

Obok trumny stała czarna skrzynia z kutego żelaza z umieszczoną w niej łopatą. Pastor wziął łopatę do ręki i napełnił ją świeżą ziemią.

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz – powiedział i udekorował wierzchołek trumny ziemią. – Ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym.

Ceremonia pogrzebowa dobiegła końca. Dzwony kościelne zabiły trzy razy. Pastor wyszedł środkową nawą, tuż za nim podążył pracownik domu pogrzebowego. Line podniosła się, ale nie wyszła z ławki, dopóki nie minęła jej kobieta z trzeciego rzędu.

Zwykle trumna zostaje wyniesiona z kościoła i umieszczona na czekającym już karawanie, pomyślała. Tak właśnie zrobili z trumną jej matki. Teraz jednak było ich tak mało, że nie miał kto nieść trumny, i dlatego pozostawiono ją w kościele.

Na szczęście Line już wcześniej uzgodniła z kierownikiem krematorium, że trumna zostanie spalona w piątek. Dostała

również od niego zgodę na udział w kremacji i zrobienie zdjęcia. Ostatniego zdjęcia.

Gdy wyszła na zewnątrz, poczuła przenikliwy chłód. Zapięła guziki kurtki. Jakiś mężczyzna zatrzymał się na chodniku przed kościołem z szacunku dla żałobników. Stał przez chwilę, potem zajrzał do środka przez otwarte drzwi i poszedł dalej, gdy zobaczył, że w kondukcje żałobnym nie ma więcej osób.

Niska kobieta z różą stała przed kościołem i szukała czegoś w torebce. Miała czerwony nos. Albo jest przeziębiona, pomyślała Line, albo niedawno płakała. Line podeszła do niej i zapytała:

– Irene?

Starsza pani spojrzała na nią. Przez kilka sekund błędziła wzrokiem, aż w końcu skinęła szybko głową.

Line przedstawiła się jako dawna sąsiadka Viggo Hansena.

– Ma pani czas na filiżankę kawy?

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz, jakby myśl o tym, że miałyby usiąść i porozmawiać z Line, przeraziła ją. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła i skinęła potakująco głową.

Studnia była tak wąska, że mogła w niej przebywać tylko jedna osoba. Funkcjonariusz z jednostki ratownictwa specjalistycznego wskoczył na jej krawędź, ustawił się plecami do otworu i kilka razy szarpnął linę, żeby sprawdzić zaczep. Potem odchylił się do tyłu i spuścił w dół z latarką czołową i skuwaczem do lodu przyczepionymi do paska.

Wisting przyglądał się, jak ratownik opuszcza się na dno studni. Ściany były wyłożone kamieniami, które poprzesuwały się wskutek pagórów mrozowych. Policjant znajdował oparcie dla stóp w szczelinach i na niewielkich wypustkach. Gdy zbliżył się do zamrożonego dna, ostrożnie postawił stopę. Lód nie pękł.

Wyjął skuwacz zza paska i wisząc częściowo na uprzęży, wykonał pierwsze sondujące cięcia. Kawalki lodu rozprysnęły się na boki. Surowe dźwięki odbiły się echem od ścian studni i dotarły do uszu tych, którzy stali na zewnątrz i przyglądali się operacji.

– Gazety zaczęły drążyć temat – Wisting zwrócił się do agenta FBI, który stał obok niego.

– Wiedzą o tym? – spytał Donald Baker, wskazując głową na policjanta rozkuwającego lód.

– Nie miałem na myśli studni, tylko Boba Crabba – wyjaśnił Wisting.

Agent FBI wykrzywił twarz w grymasie.

– I co z tym robicie?

– Próbujemy trzymać dziennikarzy na dystans.

Do studni spuszczone wiadro, żeby można było wydobyć na powierzchnię większe kawalki lodu. Wisting stał przechylony nad krawędzią i myślał o ludziach, którzy ponad sto lat temu wykarczowali las, wybudowali dom i wykopali studnię. Niektórzy kopali i kopali. Na początku z pełnym nadziei

przekonaniem, po tym jak różdżka wodna wygięła się właśnie w tym miejscu, potem z narastającą złością, gdy wciąż nie mogli trafić na wodę, aż w końcu z uporem maniaka, aż do chwili, gdy odkryli żyłę wodną. Studnia stawała się coraz głębsza, a oni wyciągali na powierzchnię dziesiątki wiader ziemi, gliny i żwiru. Gdy w końcu, głęboko w dole, odnaleźli wodę, zabezpieczyli ścianę łupkami, żeby zapobiec jej zanieczyszczeniu.

– Przebiłem się! – zawołał policjant z głębi studni, wrywając go z zamyślenia. – Lód ma około dwudziestu centymetrów grubości.

Policjant pracował jeszcze przez kwadrans, po czym podciągnął się na powierzchnię, a zastąpił go kolega z jednostki. Ten przystąpił do pracy z zapalem i kruszył coraz większe bryły lodu, które wydobywano na zewnątrz.

– Możesz sprawdzić głębokość? – zawołał do niego Hammer.

Policjant pomachał ręką w odpowiedzi i Hammer spuścił mu linę z przyczepionym do końca obciążnikiem. Policjant zanurzył ją w lodowatej wodzie. Sznur przesuwiał się w jego dłoni do czasu, aż ciężarek osiadł cicho na dnie. Lina była wyposażona w supły, oddalone od siebie o pół metra. Gdy Hammer wyciągnął ją na powierzchnię, Wisting policzył supły. Cztery. Dwa metry głębokości.

– Nawet jeśli coś tutaj znajdziemy – odezwał się Baker, wskazując głową na dno studni – i nawet jeśli uda nam się zatrzymać Godwina, to trudno wam będzie powiązać go z zabójstwami.

Wisting przytaknęła. Myślał o tym od dawna. Zaginięcie ostatniej kobiety z listy domniemanych ofiar Godwina zgłoszono dwa i pół roku temu. Wisting nie robi sobie żadnych nadziei, że uda im się odnaleźć ślady techniczne lub biologiczne, które pozwoliłyby powiązać sprawcę z ofiarą. Sama identyfikacja zmarłych kobiet stanowiła nie lada wyzwanie.

– My możemy go przejąć – kontynuował Baker. – Mamy gotowy akt oskarżenia. Jak tylko go znajdziemy, możemy przewieźć go do Stanów i dopilnować, żeby już nigdy nie ujrzał światła dziennego.

– Zostawmy tę sprawę do rozstrzygnięcia prawnikom i politykom – skwitował Wisting. – Zajmą się tym, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Jeżeli nadejdzie. Godwin musi jednak odpowiedzieć za to, czego dopuścił się na terenie Norwegii, zanim będzie możliwa jego ekstradycja do USA.

Policjant znajdujący się na dnie studni wisiał teraz na samej uprzęży i odrywał ostatnie kawałki lodu.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Baker skinął głową, ale jego twarz wyrażała zaciętość i upór. Wisting zaczął przeczuwać, że zadanie, które otrzymał agent FBI, nie dotyczyło jedynie udzielenia pomocy norweskiej policji.

Rozmowę przerwał dźwięk silnika agregatu prądotwórczego. Hammer podłączył przewód i węża pożarniczego do pompy zanurzeniowej, którą spuszczone do studni. Gdy pompa zderzyła się z taflą wody, rozległo się bulgotanie i chwilę później z węża wytrysnął szlam. Mortensen przygotował drewnianą skrzynię wyłożoną drucianą siatką o gęstych oczkach, na którą skierowano strumień wody. Urządzenie pełniło funkcję sita, na którym miały zatrzymywać się zassane przedmioty.

– Opróżnianie studni potrwa jakieś pół godziny – stwierdził Hammer, trzymając w jednej ręce stos papierowych kubków, a w drugiej termos z kawą.

Wisting podziękował i ściągnął prawą rękawiczkę, żeby wziąć do ręki kubek. Sączył powoli gorącą kawę, ogrzewając przy tym palce.

Woda, która wypływała z węża, najpierw była jasnobrązowa, jednak z czasem przybierała coraz ciemniejszy kolor. Na sicie zatrzymało się kilka gałązek i drobnych kamieni. Nagle wąż zaczął się wyginać, jakby ostrzegał, że zassał jakiś większy przedmiot. Baker chwycił brzeg skrzynki i zbliżył do ust kubek z kawą. Z pompy wyleciał na siatkę jakiś wygięty, zardzewiały przedmiot. Mortensen podniósł go do góry i przyjrzał mu się uważnie. Wyglądał jak część łańcucha od wiadra. Rzucił ją z powrotem na sito.

Agregat wytwarzał wystarczająco dużo prądu, by móc podłączyć również reflektor punktowy. Hammer ustawił go na

statywie tuż przy krawędzi studni i skierował jego mocne światło na dno.

Wisting przechylił się i spojrzał w dół. Stojąca woda śmierdziała zgnilizną.

Po chwili podeszło do niego dwóch policjantów. Potem jeszcze jeden. Wkrótce wszyscy członkowie ekipy ustawili się wokół studni. Nikt się nie odzywał. W milczeniu obserwowali, jak poziom wody obniża się centymetr za centymetrem. W końcu na dnie została sama pompa, która zasysała ostatnie resztki mułu.

Wisting westchnął ciężko. Nic tam nie było. Studnia była pusta.

Starsza pani nazywała się Irene Skisaker. Line zabrała ją do cukierni Jensena. Wybrały stolik w głębi nadgryzionego zębem czasu lokalu, żeby mogły swobodnie porozmawiać.

Line podeszła do lady i kupiła dla nich po kawie i napoleonce.

– Niewiele osób zjawilo się na pogrzebie – zagaiła rozmowę, siadając przy stoliku.

– Myślałam, że tylko ja przyjdę – odparła kobieta i objęła dłonią filiżankę. Luźna, niemal przezroczysta skóra napięła się na chudych kostkach.

– Mężczyzna, który wziął udział w ceremonii, nazywa się Eivind Aske – wyjaśniła Line. – To dawny kolega z klasy Viggo.

Irene uśmiechnęła się łagodnie i podniosła filiżankę do ust.

– Czy to pani kupiła kwiaty? – spytała, gdy odstawiła filiżankę na talerzyk.

– W imieniu sąsiadów – przytaknęła Line.

– Ale przyszła tylko pani?

Line skinęła głową.

– Jestem dziennikarką „VG” – wyjaśniła i opowiedziała o reportażu, nad którym pracuje.

– Trudno było dotrzeć do osób, które go znały – zakończyła.

– Do kogoś, kto mógłby powiedzieć, jakim człowiekiem był Viggo Hansen.

Kobieta siedząca naprzeciwko zapadła się na krzesło, jakby chciała stać się mniej widoczna.

– Dlaczego właściwie pani to robi? – spytała.

Line namyślała się przez chwilę.

– Ponieważ uważam, że to niesprawiedliwe.

– Co takiego?

– Że nikt nie zwracał na niego uwagi – wyjaśniła. – Wygląda na to, że dla nikogo nie był ważny, że nigdy nic nie znaczył.

I dlatego pomyślałam, że dzięki artykułowi Viggo Hansen zaistnieje w świadomości ludzi. Będzie nam przypominał, że powinniśmy się o siebie troszczyć i spędzać ze sobą więcej czasu.

– Dla mnie coś znaczył – odpowiedziała cicho Irene.

– Jak go pani poznała?

– Leżeliśmy w tym samym szpitalu. Jakieś dwadzieścia lat temu.

Line milczała, żeby pozwolić starszej pani zebrać myśli, ale ona również zamilkła.

– W którym szpitalu? – spytała Line.

– W Granli.

Line skinęła głową. Szpital w Granli na przedmieściach Tønsberg był oddziałem psychiatrycznym dla pacjentów wymagających długotrwałego leczenia.

– Miałam taki okres w życiu, kiedy potrzebowałam pomocy – wyjaśniła kobieta i podniosła wzrok, jakby postanowiła, że będzie silna. – I właśnie tam się poznaliśmy. W takich miejscach łatwo się w kimś zakochać. Ludzie zagląдают sobie w dusze. I poznają swoje ciemne strony, co bardzo ułatwia nawiązywanie znajomości. Dobrze jest mieć przyjaciół, którym życie dało w kość i którzy umieją docenić jego wartość. Wtedy człowiek czuje nagle, że nie jest sam.

– Z jakiego powodu Viggo Hansen trafił do szpitala? – zainteresowała się Line.

– Miał urojenia, ale został wypisany długo przede mną. Potem zaczął mnie odwiedzać, najpierw w szpitalu, potem w domu, w Horten, gdy w końcu mnie też wypisali.

– I przez te wszystkie lata utrzymywaliście ze sobą kontakt? – spytała Line, starając się studzić własne emocje.

Irene Skisaker przyglądała włosy na czole.

– W każdym razie przez pewien czas – odparła. – To było dziwne. Gdy oboje byliśmy chorzy, potrafiliśmy rozmawiać ze sobą o wszystkim, a gdy opuściliśmy szpital, coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Stawaliśmy się dla siebie coraz bardziej obcy, spotkania były coraz rzadsze, aż w końcu kontakt się urwał.

– Jak dowiedziała się pani o pogrzebie?

– Moja matka przeczytała nekrolog. Mieszka w zakładzie opiekuńczo-leczniczym w Søbakken i niedługo skończy dziewięćdziesiąt lat. Czyta wszystkie nekrologi, żeby być na bieżąco. Często myślałam o tym, żeby odwiedzić Viggo, gdy przyjeżdżałam do mamy. Raz nawet to zrobiłam, ale nie zastałam go w domu. W każdym razie nie otworzył mi drzwi.

– Te jego urojenia – zaczęła ostrożnie Line – czego dotyczyły?

– Nie rozmawialiśmy o tym. Chyba zrozumiał, że im mniej będzie o nich mówił, tym szybciej wypiszą go ze szpitala. Ale zdaje się, że chodziło o opętanie przez złe duchy.

– Złe duchy?

– To znaczy on sam tak ich nie nazywał, ale wyobrażał sobie, że jakiś człowiek zamieszkał w ciele innej osoby. W każdym razie był przekonany, że ktoś, kogo znał, nie był tym, za kogo się podawał.

– O kogo chodziło? – spytała. – W końcu nie miał zbyt wielu znajomych.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jak już mówiłam, rzadko o tym wspominał.

– Kiedy rozmawiała z nim pani po raz ostatni?

– Dawno temu, w połowie lat dziewięćdziesiątych, ale latem dostałam od niego list.

Line wyprostowała się na krześle.

– List? O czym pisał?

Irene Skisaker potrząsnęła głową.

– List był nieco chaotyczny i trudno było go odczytać, ale pisał, że chce się ze mną spotkać. Pisał też, że miał wtedy rację. Że nigdy nie był chory, ale nie ma w nim żalu ani złości, że został przymusowo hospitalizowany, bo wtedy nie spotkałby mnie. I że chciałby znowu się ze mną zobaczyć.

– Ale nic z tego nie wyszło?

– Nie, potem już nie miałam od niego żadnych wieści.

– Ale odpowiedziała pani na list?

– Odpisałam, ale prawdopodobnie za późno. W nekrologu było napisane, że Viggo zmarł w sierpniu. Mniej więcej w tym

samym czasie wysłałam list.

– Ale... – zaczęła Line. Przeszukała cały dom Viggo Hansena i nie znalazła żadnego listu od Irene Skisaker. W jednym z policyjnych protokołów wyszczególniono zawartość skrzynki pocztowej, ale nie było w nim żadnej wzmianki o prywatnych listach. – Ale co się takiego wydarzyło? – spytała, ciągnąc rozmowę po omacku. – Co go skłoniło do tego, żeby skontaktować się z panią po tylu latach?

– Chciał mnie przekonać, że jednak nie był chory – wyjaśniła. – Że dwadzieścia lat temu nie miał żadnych urojeń. Po przeczytaniu listu odniosłam wrażenie, że znowu zachorował. Zastanawiałam się, czy nie powinnam zadzwonić do szpitala i powiadomić ich o tym, ale wie pani, człowiek boi się mieszać w sprawy innych ludzi, więc dałam sobie spokój. Zresztą i tak było już za późno.

– Viggo Hansen wydawał mi się wyjątkowo samotnym człowiekiem – powiedziała Line, wytrzymując spojrzenie Irene Skisaker. – Ale po tym, co od pani usłyszałam, zadaję sobie pytanie: czy to oznacza, że Viggo Hansen doświadczył jednak w swoim życiu miłości?

Kobieta po drugiej stronie stolika oblała się rumieńcem. A potem przesłała jej w odpowiedzi uśmiech.

Szyby radiowozu pokrywał szron. Wisting uruchomił zimny silnik i nastawił ogrzewanie na maksimum, zanim wyjął skrobaczkę. Spaliny kłębiły się wokół samochodu, podczas gdy on wykonywał szybkie, miarowe ruchy. Kredowobiały szron zwijał się w cienkie, wąskie rulony.

W końcu usiadł za kierownicą, wrzucił wsteczny bieg i przełożywszy ramię za zagłówek siedzenia pasażera, wycofał auto na zaśnieżoną drogę.

– Co teraz? – spytał siedzący obok niego Donald Baker.

– Musimy skupić się na odnalezieniu Roberta Godwina. A nie na ściganiu jego duchów.

Promienie słońca prześwitywały między pokrytymi szadzią drzewami, rosnącymi po obu stronach drogi.

– Crabbowi udało się go odnaleźć – ciągnął Wisting. – W mieszkaniu profesora w Minneapolis musi znajdować się coś, co nam podpowie, w jaki sposób trafił na ślad Godwina.

Baker przechylił się do przodu i spojrział na błękitne niebo.

– Jeśli tak było, Crabb musiał zabrać to coś ze sobą. Nasi ludzie sprawdzili każdy centymetr kwadratowy jego mieszkania. Każdy dokument został przestudiowany i poddany analizie.

Jechali główną drogą, gdy zadzwonił telefon komórkowy. „Morten P., VG”. Wisting załował, że poprosił dziennikarza, żeby do niego oddzwonił. Nie odebrał telefonu, chociaż wiedział, że takim zachowaniem wzbudzi w nim jeszcze większą ciekawość.

Odłożył telefon na konsolę, spuścił osłonę przeciwsłoneczną i ruszył na południowy zachód. Tuż przy krawędzi drogi jakiś mężczyzna poruszał się w żółtym tempie na motorowerze obciążonym bocznymi sakwami.

– Dokąd jedziemy? – spytał Baker.

– Podążymy śladami przodków – odparł Wisting. – Prapradziadek Godwina, który wyemigrował do Ameryki w 1889, pochodził z jednego z tutejszych gospodarstw.

Wskazał ręką na zimowy krajobraz skąpany w śniegu.

– Gdy Godwin zbiegł ze Stanów, ślady jego przodków doprowadziły go aż tutaj – mówił dalej. – Myślę, że Crabb podążył tym samym tropem. I że dzięki temu go odnalazł.

– Ktoś to sprawdza?

Wisting przytaknął.

– Torunn Borg namierza wszystkich potomków robotnika fabrycznego Nielsa Gustavsena, ale gospodarstwo, na którym się wychował, leży po drugiej stronie wzgórza.

Znowu zadzwonił telefon. Wisting rzucił okiem na wyświetlacz. Nieznany numer z Oslo. Nie odebrał. Ten, kto chciał się z nim skontaktować, mógł nagrać się na pocztę głosową.

Jechali dalej w milczeniu. Mijali zamrożone pola i opustoszałe podwórza gospodarstw, aż w końcu Wisting zwolnił i zbliżył się do krawędzi drogi.

Na oszronionym polu, tuż za ogrodzeniem stały nieruchomo dwa brązowe konie, dotykając się łbami.

– Tam dalej – powiedział Wisting i wskazał budynek położony poniżej zalesionego wzgórza. Z komina na dachu snuła się biała smużka dymu.

– Kto tam teraz mieszka? – zainteresował się agent FBI.

– Jakieś młode małżeństwo.

Wisting wyjął notes i przeczytał:

– Nie są stąd, ale mieszkają tu od dwóch lat.

– Powinniśmy z nimi porozmawiać – stwierdził Baker.

Wisting skinął głową. Możliwe, że Bob Crabb złożył im wizytę, próbując namierzyć Godwina.

– Mogę poczekać w samochodzie – zaproponował agent FBI.

Jeden z koni zarzucił łbem, uniósł ogon i parsknął, jakby coś go nagle zaniepokoiło. Wisting zmienił bieg, skręcił w wąską drogę prowadzącą do gospodarstwa i wjechał na podwórze.

– Dziesięć minut – powiedział i wysiadł z auta.

Zanim zdążył dojść do schodów, w drzwiach stanęła młoda

kobieta przed trzydziestką. O jej nogi ocierał się kot. Według informacji, które miał Wisting, kobieta nazywała się Ada Alsaker. Miała ciemne włosy związane w długi koński ogon i wąską, bladą twarz.

Wisting przywitał ją skinieniem głowy.

– Jestem z policji – wyjaśnił i wyjął z kieszeni legitymację służbową. – Nic się nie stało, proszę się nie denerwować. Mam do pani tylko kilka pytań dotyczących pewnej sprawy.

Kobieta była cienko ubrana, ale mimo to nie sprawiała wrażenia, jakby miała zamiar zaprosić go do środka.

– Ma pani chwilę? – spytał, spoglądając wymownie w głąb korytarza.

– Tak, oczywiście. – Ukucnęła i wzięła kota na ręce. – Proszę wejść.

Usiedli przy kuchennym stole.

– Jest pani sama?

– Mąż pojechał do miasta – wyjaśniła. – O co chciał mnie pan zapytać?

– Sprawa jest prosta – zaczął Wisting. – Chcielibyśmy wiedzieć, czy latem nie złożył państwu wizyty pewien człowiek. Amerykanin.

Kobieta powoli opuściła głowę i równie powoli ją uniosła. Wisting odczytał ten gest jako odpowiedź twierdzącą.

– Jego rodzina mieszkała tu w dziewiętnastym wieku – odezwała się po chwili. – Zanim syn gospodarzy wyemigrował do Ameryki.

Wisting ożywił się.

– Pamięta pani, jak się nazywał?

Potrząsnęła głową. Śledczy wyjął z kieszeni zdjęcie profesora uniwersytetu.

– Czy to był on?

Ada Alsaker uśmiechnęła się szeroko, rozpoznając twarz Boba Crabba.

– Tak, to on.

To znaczy, że Crabb podawał się za Godwina, domyślił się Wisting.

– Kiedy tu był? – spytał.

– Dzień przed urodzinami Eirika, mojego partnera. Piętnastego lipca.

Dzień po przyjeździe do Norwegii, pomyślał Wisting.

– Po co przyjechał?

– Myślę, że chciał po prostu zobaczyć gospodarstwo, to wszystko. Interesowało go też, czy wiemy coś o jego rodzinie, czy znamy potomków tych, którzy mieszkali tu w dziewiętnastym wieku.

– A znają ich państwo?

– Skąd! Ci, od których kupiliśmy ten dom, mieszkali tutaj przez dziesięć lat. Moim zdaniem od dawna nie mieszkał tu nikt z jego rodziny.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie, ale zrobił mnóstwo zdjęć.

Wistingowi nagle przyszło coś do głowy. Wyjął zdjęcia przedstawiające dwie niezidentyfikowane studnie i najpierw pokazał kobiecie to, na którym pokrywa studni miała kształt piramidy.

– Wie pani, gdzie to jest?

Ada Alsaker pochyliła się i przyjrzała dokładnie zdjęciu.

– Nie.

– A to? – spytał Wisting i położył przed nią fotografię przedstawiającą prawdopodobnie pokrywę zbiornika na wodę.

Wyjęła zdjęcie z jego rąk i spojrzała na nie pod lepszym kątem.

– Wydaje mi się, że to jest tam dalej, w Skaret – odparła.

– To znaczy gdzie?

Wstała i podeszła do kuchennego okna. Wisting podążył za nią. Baker wciąż siedział w samochodzie z włączonym silnikiem, dzięki czemu nie marzł, czekając.

– Po drugiej stronie drogi – wyjaśniła kobieta.

Wisting spojrzał w kierunku, który wskazywała Ada Alsaker. Lodowa mgła spowijała krajobraz szarym welonem, ale po drugiej stronie drogi widać było płaskie pole, a w miejscu, w którym ziemia uprawna stykała się ze ścianą lasu, biegła szeroka ścieżka, wznająca się między dwa niewielkie wzgórza.

– Jeżdżę tam konno – powiedziała kobieta, stukając palcem

w zdjęcie. – Jestem pewna, że chodzi o starą drogę przecinającą Skaret.

Wisting podziękował i schował zdjęcie.

– I rzeczywiście jest tam betonowy zbiornik? – spytał, starając się, aby pytanie zabrzmiało spokojnie i rzeczowo.

– Tak, to pozostałości po dawnym systemie nawadniającym, z którego od dawna nikt już nie korzysta.

Po rozmowie z Irene Skisaker Line opuściła Stavern i skierowała się w stronę Brunlanesveien, mijając po drodze kościół w Tanum. Po obu stronach drogi okręgowej ciągnęły się płaskie, ośnieżone pola i przygarbione jodły. Zabudowania były tak rzadkie, że domy numerowano zgodnie z zasadą odległości. W praktyce oznaczało to, że poszczególnym budynkom przypisywano numer odpowiadający odległości od początku drogi. Brunlanesveien pięćset pięćdziesiąt znajdowało się zatem pięć i pół kilometra od centrum Larviku.

Numer był namalowany czarną farbą na białej tabliczce przyklepionej do słupa telefonicznego. Line skręciła w wąską boczną drogę i zobaczyła, że na skrzynce widnieje nazwisko „Linge”.

Dom leżał pod ośnieżonym zboczem, kilkaset metrów od drogi. Był to typowy jednopiętrowy budynek z lat siedemdziesiątych, z dużymi panoramicznymi oknami i wejściem w piwnicy.

Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że dom wymagał remontu. Od ścian odchodziły kawałki tynku i farby, w wielu miejscach drewniane elementy zaczęły butwieć. Na dachu stały trzy anteny satelitarne skierowane w różne strony. Jeden z talerzy zżerała rdza.

Nie było tu żadnych innych zabudowań, tylko ten jeden budynek. Ale komuś, kogo ponad sześćdziesiąt lat po zakończeniu wojny wciąż przezywano Ole Szwab, nie robiło to chyba zbyt różnicy.

Zaparkowała za starym mercedesem i wysiadła z auta. Las jodłowy rozrósł się tak, że gałęzie niemal dotykały ścian domu.

Ole Linge przywitał się z nią, nie zdradzając nawet najmniejszym gestem, co sądzi o wizycie dziennikarki. Żadnego przelotnego uśmiechu, zachęcającego spojrzenia ani

uprzejmego skinienia głową. Jego wąska, sztywna twarz nie wyrażała żadnych emocji, jakby nie miał w zwyczaju dzielić się swoimi myślami i uczuciami z innymi.

– Niech pani wejdzie – powiedział.

Zdjęła kozaki w korytarzu i ruszyła za nim po schodach. Cały dom sprawiał wrażenie starego. Laminowane meblościanki, perskie dywany, tapety z tkaniny jutowej i abażury z frędzlami. Telewizor stał upchnięty na zawalonym książkami regale.

Poprosił, żeby usiadła, wskazując jeden z dwóch obitych brązową skórą foteli, stojących przy okrągłym stole przed dużym oknem. Droga przejeżdżał właśnie samochód z przyczepą do przewozu koni. Ole Linge prawdopodobnie siedział tutaj i czekał na nią, i widział, że nadchodzi.

– Dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie – uśmiechnęła się.

Mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy.

– Wiem od Annie Nyhus, że znał pan Viggo Hansena.

– Tak bym tego nie ujął – odparł, siadając na drugim fotelu.

– Ostatni raz rozmawiałem z nim jakieś dwadzieścia lat temu. A może jeszcze dawniej.

Wziął do ręki leżący na stole pilot i ściszył dźwięk w telewizorze.

– Pan również mieszka sam – skomentowała Line i pomyślała, że równie dobrze to on mógł siedzieć w fotelu przez cztery miesiące, nie budząc niczyjego niepokoju.

– Tak się złożyło – skwitował tamten. Mówił powoli, jakby pilnował każdego słowa. – Rozmawiała pani z kimś jeszcze poza Annie?

– Tak, rozmawiałam z Oddem Wernerem Ellefsenem i Eivindem Aske.

– I co mówili?

– Szczerze mówiąc niewiele. Oni również od lat nie mieli z nim żadnego kontaktu.

– Mówili coś o mnie?

– Nie.

– Z kim jeszcze się pani spotkała?

– Próbuję się skontaktować z Frankiem Iversenem. Pamięta

go pan?

Ole Linge wyrzął przez duże okno, jakby się namyślał.

– Był synem pilota morskiego – podpowiedziała mu Line. – Wie pan, co się z nim stało?

– Nie. Pewnie się przeprowadził. Nie widziałem go od wielu, wielu lat.

Line wyjęła z torebki podłużny notes, chociaż, jak zdążyła się już zorientować, mężczyzna siedzący naprzeciw niej nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

– Szukam kogoś, kto mógłby opowiedzieć mi jakieś historie z czasów szkolnych.

– Nie umiem opowiadać historii – ostrzegł ją. – I nie mam ochoty wystąpić w gazecie. To nie dla mnie.

Line uśmiechnęła się, że go nie słyszy.

– Chociaż jest pan o kilka lat starszy od Viggo, rozumiem, że jakąś część dzieciństwa spędziliście razem – nie poddawała się Line. – Pamięta pan jakieś zabawne epizody z tamtych czasów?

Ole Linge potrząsnął głową.

– Viggo nie lubił rzucać się w oczy – odparł. – Pamiętam, że najczęściej stał obok i tylko się przyglądał.

Line zanotowała ostatnie zdanie.

– Poza tym był grzeczny. Grzeczny i uczynny. Nigdy się nie wygłupiał – dodał.

– Był pan kiedyś u niego w domu?

– W środku – nie.

– Rozmawiał pan z jego rodzicami?

– Niewiele. Byli tacy jak Viggo. Niezbyt rozmowni.

Line siedziała jeszcze pół godziny. Mężczyzna, z którym przeprowadzała wywiad, ostrożnie dobierał słowa i chociaż nie miał zbyt wiele do powiedzenia o Viggo Hansenie, to jednak kilka jego zdań zamierzała wykorzystać w artykule. Samotność nie polega na tym, że człowiek jest sam, tylko na tym, że nie ma za kim tęsknić, zanotowała i zrozumiała, że mówił o sobie.

Line wyjęła ze skrzynki lokalną gazetę i weszła do mieszkania. Gdy zdejmowała buty w korytarzu, zadzwonił telefon stacjonarny. Pobiegnęła do kuchni i rzuciła gazetę na stół.

– Czy dodzwoniłem się do Williama Wistinga?

– A kto pyta? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i uwolniła się z kurtki.

– Hennig Juul, dziennikarz ze „123fakty”. Przepraszam, że przeszkadzam, ale od rana próbuję się z nim skontaktować. Dzwoniłem do pracy i na komórkę, ale nie odbiera.

Line wiedziała, z kim rozmawia. Zdarzyło im się pracować nad tymi samymi sprawami. Zapamiętała go, bo był zdolny.

– Nie ma go w domu – rzuciła krótko.

– Okej – odpowiedział, jeszcze raz przeprosił, że zakłócił spokój, i rozłączył się.

Line odłożyła telefon na stół w kuchni i przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w aparat. Dziennikarzowi tak bardzo zależało na rozmowie z jej ojcem, że zdecydował się zadzwonić pod numer prywatny. Mogło chodzić tylko o jedno. O zmarłego mężczyznę z plantacji choinek w Halle.

Lokalna gazeta uznała, że wiadomością dnia będzie fala mrozu i tego dotyczyły nagłówki na okładce. Line przejrzała pozostałe strony, zastanawiając się, czy nie powinna zadzwonić do Sandersena. Najwyraźniej kroila się jakaś grubsza sprawa i teraz jej własnej gazecie groziło, że „123fakty” sprzątną im temat sprzed nosa.

„Prognoza pogody na resztę tygodnia”, przeczytała w gazecie, przeskoczyła stronę z listami od czytelników dotyczącymi reformy szkolnictwa, reportaż z kiermaszu świątecznego i ogłoszenia z rynku nieruchomości, aż doszła do programu telewizyjnego zamieszczonego na ostatnich stronach. Nie znalazła żadnej wzmianki na temat tajemniczej śmierci na

plantacji choinek w Halle.

Odszukała w telefonie komórkowym numer do Sandersena, ale wciąż nie była pewna, czy powinna do niego zadzwonić. Nie miała mu nic szczególnego do powiedzenia, mogła jedynie potwierdzić, że coś wisi w powietrzu, ale o tym i tak już wiedzieli. Czuła, że jeśli zadzwoni, zostanie odsunięta od sprawy, którą się obecnie zajmuje, i otrzyma nowe zadanie: dowiedzieć się, nad czym tak naprawdę pracuje jej ojciec. Szczerze mówiąc, nie miała najmniejszej ochoty rezygnować z projektu o Viggo Hansenie ani mieszać się w sprawy zawodowe ojca.

Zanim podjęła decyzję, zawibrowała komórka, którą wciąż trzymała w dłoni. Numer na wyświetlaczu nie był zapisany w pamięci telefonu.

– Tak, tu Line – odpowiedziała.

– Witam – odezwał się młody głos w słuchawce. – Roger Nicolaysen. Nie mogłem odebrać, więc teraz oddzwaniam.

Line usiłowała skojarzyć nazwisko z osobą. W końcu przypomniało jej się, że tak nazywał się ślusarz, który realizował zlecenie w domu Viggo Hansena.

– Dziękuję, że pan oddzwonił – odparła i wyjaśniła, że pracuje w „VG” i ma kilka pytań dotyczących zlecenia z sierpnia.

Mężczyzna zagwizdał, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że od sierpnia minęło już tyle czasu, że raczej nie będzie w stanie jej pomóc.

– Wstawił pan dwa nowe zamki w domu na Wildenveys gate.

– Tak, tak! – podchwycił zaskakująco szybko. – Doskonale to pamiętam. Chodzi o tego nieboszczyka. Byłem tam w zeszłym tygodniu razem z policją, kiedy go znaleźli. Musiałem rozwiąć te same zamki, które wtedy zamontowałem.

– Dlaczego chciał wymienić zamek w drzwiach? – spytała Line.

– Tamten, który miał, był już stary i zużyty.

– Ale wstawił mu pan dwa nowe zamki?

– Zgadza się. Gość był nerwowo.

– To znaczy?

– Czy ja wiem? Po prostu. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, jakby się czegoś bał. Był bardzo ostrożny, gdy otwierał mi drzwi.

Line zainteresowała się.

– Czego się bał? – spytała, nie mając większych nadziei, że otrzyma konkretną odpowiedź.

– Tego nie wiem, ale przecież ciągle piszą o tym w gazetach, o cudzoziemcach, którzy włamują się ludziom do domów. Nawet wtedy, gdy właściciele są na miejscu.

– Pamięta pan coś jeszcze?

– Nie, raczej nie.

– Mówił coś?

– Nie, właściwie nie mówił, tylko mamrotał coś pod nosem. „Tak”, „dziękuję” i to wszystko. A dlaczego tak to panią interesuje?

– Prawdopodobnie był pan ostatnią osobą, z którą on rozmawiał – wyjaśniła Line i dodała, że pisze reportaż o samotności.

– Chętnie zamieściłabym w artykule pana zdjęcie – dodała. – W roboczym ubraniu i może na tle służbowego samochodu.

Pasowałoby do miksru zdjęć, pomyślała. Wśród fotografii dawnych kolegów szkolnych i wszystkiego, co należało do przeszłości, zdjęcie ostatniej osoby, która rozmawiała z Viggo Hansenem, byłoby strzałem w dziesiątkę. A fakt, że tą osobą był przypadkowy rzemieślnik, tylko pogłębiał dramatyzm sytuacji.

Uzgodnili, że Line zadzwoni do niego następnego dnia i umówią się na spotkanie.

Kolejnym punktem na liście spraw do załatwienia był Frank Iversen. Jedząc kanapkę, jeszcze raz przeczytała maila od kolegów z działu faktu. Namierzyli Franka Iversena, który był o rok starszy od Viggo Hansena i który w dzieciństwie mieszkał w Stavern, a potem przeniósł się do Langesund. Wszystko wskazywało na to, że jakiś czas temu wyemigrował do Danii i obecnie był zameldowany w Hirtshals.

Wybrała numer telefonu podany w mailu. Minęła długa chwila, zanim w słuchawce rozległ się męski głos mówiący po

duńsku.

– Tu Frank, Aqua Consulting.

– Frank Iversen?

– Tak, to ja.

– Witam. Nazywam się Line Wisting i dzwonię ze Stavern w Norwegii. Zdaje się, że kiedyś pan tu mieszkał?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu.

– Tak – potwierdził po chwili, jakby musiał się zastanowić nad odpowiedzią. – Ale to było wiele lat temu.

– Dzwonię w sprawie Viggo Hansena – mówiła dalej. – Pamięta go pan? Pracowaliście razem w fabryce krewetek.

Mężczyzna znowu się zawahał.

– Owszem, ale od tego czasu minęło kilkadziesiąt lat.

Line usiadła przy kuchennym stole.

– Nie wiem, czy pan już o tym słyszał, ale Viggo Hansen nie żyje.

– Przykra sprawa. Kiedy to się stało?

– Zmarł latem.

– A kim pani jest?

Line podała okoliczności śmierci Viggo Hansena, wyjaśniła, że była kiedyś jego sąsiadką, a teraz zamierza napisać o nim artykuł do gazety, dla której pracuje.

– Przeprowadzam rozmowy z tymi, którzy go znali – zakończyła. – I próbuję się dowiedzieć, jakim był człowiekiem.

– Aha.

– Ma pan trochę czasu?

Mężczyzna odpowiedział po namyśle:

– Owszem, proszę pytać.

Line wyjęła notes.

– Kiedy ostatnio był pan w Stavern? Albo w ogóle w Norwegii?

Tym razem odpowiedź padła niemal natychmiast.

– Właśnie teraz jestem w Norwegii. W Larviku.

– W Larviku? Ale przecież mieszka pan w Danii?

– Zgadza się, ale jestem doradcą w firmie, która zajmuje się hodowlą ryb i akwakulturą. Przyjechałem, żeby przyjrzeć się hodowli omułka jadalnego w pobliżu Stavern.

- Możemy się spotkać?
 - Sam nie wiem...
 - Gdzie się pan zatrzymał?
- Mężczyzna znowu się zawahał.
- W Farris Bad.
 - Mogę złożyć panu wizytę? – spytała i zerknęła na zegarek.
- O ósmej? – zaproponowała.
- Cóż, właściwie czemu nie?
- Dwudziesta, zanotowała Line.
- Świetnie, w takim razie do zobaczenia – zakończyła rozmowę i otoczyła pętlą godzinę w swoim notesie.

Gdy to zrobiła, przyszła jej do głowy pewna myśl. Myśl była ulotna i nieuchwytna, ale Line czuła, że ma ona jakiś związek z programem telewizyjnym leżącym na ławie Viggo Hansena.

Uruchomiła laptop. Otworzyła folder ze zdjęciami. W końcu odnalazła to, którego szukała: zdjęcie przedstawiające gazetę telewizyjną. Pozwoliła, żeby wypełniło cały ekran. O godzinie dwudziestej rozpoczął się program na Discovery Channel zatytułowany „Z archiwum FBI”. W omówieniu programu przeczytała: „Dowiedz się, jak agenci FBI tropią sprawców przestępstw”. Viggo Hansen zamierzał obejrzeć ten program i dlatego odhaczył go w gazecie. Później otoczył pętlą godzinę dwudziestą drugą pięćdziesiąt, o której rozpoczął się program przyrodniczy o łosiach na Alasce, emitowany przez NRK2.

Najpierw ptaszek, potem pętla. Dwa różne sposoby zaznaczania programów w gazecie. Czy to mógł być przypadek?

Nils Hammer rozwinął dużą mapę na biurku w gabinecie. Wistingowi zajęło trochę czasu, zanim zorientował się w terenie i mógł wskazać odcinek między dwoma wzgórzami, które kobieta z włosami związanymi w koński ogon nazywała Skaret.

– Tutaj – powiedział, stukając palcem wskazującym w mapę.

– Niedobrze – skwitował Hammer. – Właz znajduje się na otwartym terenie. Widać go jak na dłoni.

Wisting podszedł do okna i spojrzął w wieczorną ciemność. Na rogach ulic powstały białoszare zaspę.

– Ale znajdę jakieś rozwiązanie – obiecał Hammer i zwinął mapę. – Wrócimy do tego jutro rano.

W oknie po drugiej stronie ulicy ktoś zapalił świecznik adwentowy.

– Jadę do domu – powiedział. – Zobaczymy się jutro.

Wisting odwrócił się od okna i skinął głową. Chwilę później Hammer zniknął za drzwiami.

Po chwili zadzwonił telefon komórkowy. Trzeci raz wyświetlił się ten sam numer. Również tym razem Wisting nie odebrał, ale gdy telefon przestał dzwonić, policjant usiadł przed komputerem i wpisał numer do przeglądarki.

„123fakty”.

Udało mu się trzymać dziennikarza z „VG” na dystans, gdy ten zadzwonił ponownie. Ale redaktor nie zamierzał odpuścić. Wisting liczył się z tym, że następnego dnia ukaże się materiał na ten temat, ale chwilowo nic nie wskazywało na to, żeby dziennikarz domyślał się, czego tak naprawdę dotyczy śledztwo.

Wisting pochylił się nad biurkiem i przyciągnął do siebie stos dokumentów. Były to kopie akt dwunastu zaginionych kobiet. Nazwiska z głównej listy, jak nazwał ją Leif Malm.

Śledczy z różnych okręgów policyjnych przeprowadzili wszystkie rutynowe czynności i zebrali wszystkie dostępne dowody. Zbadali osobowość i sytuację życiową zaginionych. Przeanalizowali ślady elektroniczne, w tym logowanie telefonów komórkowych i użycie kart płatniczych. A mimo to dwanaście spraw pozostało nierozwiązanych.

To, czego śledczy nie zrobili, to nie przyjrzeni się prowadzonej przez nich sprawie w szerszym kontekście. Zresztą trudno było oczekiwać, żeby śledczy w jednym miejscu w kraju byli w stanie powiązać swoją sprawę z zaginięciem, do którego doszło w innym miejscu i czasie. Być może któremuś z nich przyszła nawet taka myśl do głowy, ale prawdopodobnie wydała im się zbyt odważna, by podążyć jej tropem.

Na wierzchu stosu leżały akta sprawy dwudziestojednoletniej Charlotte Pedersen z Porsgrunn. Ostatni raz widziano ją na stacji Statoil przy drodze E18 na wysokości Eidanger. Dziewiętnastego czerwca 2009 roku o godzinie szesnastej dwadzieścia trzy kupiła gumę do żucia i dziesięć paczek prince mild. Zdjęcie z kamery monitoringu zostało dołączone do akt sprawy. Tam ślad się urwał.

Druga teczka zawierała dokumenty dotyczące zaginięcia dziewiętnastoletniej Diany Bender z Drammen, do którego doszło jesienią 2007 roku. Dziewczyna pracowała w punkcie małej gastronomii na Tollbugata. W czwartek 27 września skończyła pracę o godzinie dwudziestej trzeciej. Zniosła utarg do banku w Strømsø i włożyła pieniądze do wrzutni nocnej. Później widziano ją jeszcze na Konnerudgata, ale do domu rodziców na Tårnveien nigdy nie dotarła, chociaż odległość między domem a miejscem pracy wynosiła zaledwie kilometr.

Następna sprawa dotyczyła dwudziestolatniej Hilde Jansen, która w 2005 roku podróżowała autostopem z Risør do Kristiansand, żeby wziąć udział w Quartfestivalen. Kierowca ciężarówki wiozącej towar do Sørlandssenteret wysadził ją przy zjeździe do ogrodu zoologicznego. Wielu świadków widziało, jak stała na poboczu i próbowała złapać stopa do miasta, ale żaden z nich nie zauważył, czy i kiedy udało jej się zatrzymać jakiś pojazd.

Wisting poszedł do pokoju, w którym stała kserokopiarka. Na najwyższej półce regału, na której przechowywano puste segregatory, notesy, długopisy, pinezki i papier do drukarki, leżała również zrolowana mapa południowej Norwegii. Zabrał ją ze sobą do gabinetu razem z pudełkiem pinezek i opakowaniem szpilek z kolorowymi łebkami. Zdjął ze ściany zdjęcia, żeby zrobić miejsce na mapę. Potem zaczął przyczepiać fotografie zaginionych kobiet w miejscach, z których pochodziły.

Najpierw naniósł na mapę dane trzech kobiet, z których aktami zdążył się zapoznać. Charlotte z Porsgrunn, Diana z Drammen i Hilde z Risør. Ich imiona zapisał na mapie, natomiast daty ich zaginięcia zanotował na małych samoprzylepnych karteczkach i przyczepił je obok szpilek, które wbił we właściwe miasta. Z akt spraw wyciął zdjęcia kobiet i przymocował je do mapy.

Następnie przeszedł do kolejnych teczek. Anita ze Stavanger, Karoline z Kristiansand, Silje z Vinstra, Malin z Halden, Thea i Nora z Oslo, Julie z Arendal, Maja z Hamar i Janne z Sarpsborg.

Przeczytał protokoły z przesłuchania rodziców, rodzeństwa, nauczycieli, kolegów z pracy, sąsiadów i chłopaków. Przejrzał pobieżnie raporty z akcji poszukiwawczych, także z tych z udziałem psów tropiących, z rozpoznania posesyjnego i prób zlokalizowania telefonów. Żadna z podjętych czynności nie przyniosła rezultatów.

Po trzech godzinach na mapie znajdowało się dwanaście nazwisk. Dwanaście twarzy.

Dziesięć z zaginionych kobiet było blondynkami. Diana z Drammen była brunetką o ciemnej karnacji. Nora z Oslo również się wyróżniała. Była pulchna, miała kruczoczarne włosy z kilkoma czerwonymi pasemkami, kolczyk w brwi i kółko w nosie. Wszystkie pozostałe sprawy dotyczyły młodych blondynek.

Podszedł do mapy i przyjrzał się z bliska Charlotte z Porsgrunn. Zdjęcie zostało zrobione na stacji benzynowej, gdzie urwał się wszelki ślad. Pamiętał dziewczynę i jej sprawę,

z nich wszystkich najświeższą. Zdjęcie dwudziestojednolatki stojącej przed ladą było tym samym, które opublikowano w gazetach tuż po jej zaginięciu. Miała niesforną grzywkę, taką jak Line. I ciekawskie niebieskie oczy.

Miasta zaznaczone szpilkami na mapie znajdowały się w pobliżu autostrad, dokładnie tak jak przewidywał Donald Baker. Trasa E18 łączyła ciemnopomarańczową nitką miasta od Stavanger do Oslo, natomiast E6 biegła na północ od stolicy, przez Hamar, aż do Vinstra. Od strony południowej zahaczała o Sarpsborg, skąd pochodziła Janne, i Halden, miasto rodzinne Malin.

Larvik, znajdujący się w samym środku mapy, stanowił węzeł komunikacyjny. Stąd można było w ciągu około pięciu godzin dojechać do Stavanger, mniej więcej tyle samo czasu zabierała podróż do Vinstra i nieco mniej do Halden.

Wisting zrobił krok do tyłu, przekrzywił głowę i poczuł, jak rośnie mu ciśnienie. Pomarańczowa nitka biegła dalej i przecinała linię przerywaną wyznaczającą granicę ze Szwecją. Podążając trasą E6 w kierunku południowym, można było dojechać do Göteborga, przy czym z Larviku do Göteborga było równie daleko, jak do Vinstra.

Nazwy miast, imiona zaginionych i zdjęcia zlały mu się w jedną całość. Musiał oprzeć się o biurko, bo zakreśliło mu się w głowie. W ciągu kilku sekund sprawa przybrała monstrialne rozmiary. Nie było podstaw, by sądzić, że Godwin zawrócił w Halden lub zatrzymał się na przejściu granicznym w Svinesund. Musieli zwrócić się do szwedzkiej policji z wnioskiem o udostępnienie listy zaginionych kobiet.

Ogarnął go niepokój. Zaczął krążyć po gabinecie. W końcu zatrzymał się przy oknie i oparł czoło o zimną szybę, próbując uporządkować myśli. Utkwił wzrok w światłach promu do Danii, który właśnie wpływał do ciemnego fiordu.

W tej sprawie było coś przerażającego, czego nigdy wcześniej nie doświadczył. Coś, co sprawiało, że czuł się jak małe dziecko, które nie widzi nic w otaczającej je ciemności, a jednak wie, że w mroku czyha niebezpieczeństwo.

Hotel został zbudowany tuż nad brzegiem morza, w głębi Larviksfjorden. Ponieważ część obiektu stała na słupach nad plażą i wodą, całość przypominała statek wycieczkowy, który osiadł na mieliźnie.

Line była już kiedyś w hotelu Farris Bad, ale również tym razem ogromne wrażenie zrobił na niej panujący w nim spokój. Budynek był nowoczesny, miał harmonijne proporcje, a ściany, podłogi i pozostałe elementy wystroju wewnątrz były utrzymane w kolorach natury.

Poprosiła młodego mężczyznę stojącego za kontuarem, żeby zadzwonił do Franka Iversena z wiadomością, że Line Wisting czeka na niego w hallu.

– Zaraz zejdzie – zameldował recepcjonista.

Line postanowiła przyjrzeć się bliżej obrazom wiszącym na ścianach. Były to duże czarno-białe fotografie autorstwa Mortena Krogvolda i amerykańskiego fotografa Roberta Mapplethorpe'a.

Frank Iversen był siwym mężczyzną, ale mimo wieku jego twarz wciąż pozostawała gładka. Podeszedł do niej, nie wahając się ani przez chwilę, zupełnie inaczej niż podczas ich rozmowy telefonicznej.

– Line Wisting? – spytał i wyciągnął rękę na powitanie.

– To ja – potwierdziła Line. Uścisk jego dłoni był przesadnie mocny, jakby mężczyzna odczuwał potrzebę udowodnienia swojej siły.

– Przejdziemy do baru?

Usiedli na głębokich kanapach po obu stronach stolika tuż przy oknie. W oddali błyskały światła promu płynącego do Danii. Bliżej lądu woda zdążyła już zamarznąć, fale rozbijały cienką taflę lodu i wyrzucały okruchy na brzeg.

Po chwili zjawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie.

– Poproszę szklanę soku jabłkowego ze świeżo wyciśniętych owoców – powiedziała Line i zwróciła się do Franka Iversena.

– Mogę coś panu zaproponować?

– Chętnie napiję się piwa.

Kelner skinął głową, zanotował zamówienie i oddalił się bezszelestnie.

– Często przyjeżdża pan do Norwegii? – spytała Line, przygotowując notes.

– Kilka razy w roku.

– Ma pan tu nadal rodzinę?

– Nie. Bywam tu wyłącznie służbowo.

Kelner przyniósł butelki i rozlał napoje do szklanek.

– Jak zapamiętał pan Viggo Hansena? – spytała, gdy kelner zniknął w oddali.

Iversen wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, w ogóle go nie pamiętam – odparł.

– Wychowaliście się w tej samej dzielnicy, wasze domy dzieliło zaledwie kilkaset metrów – przypomniała mu Line. – I pracowaliście razem w fabryce krewetek.

Mężczyzna zbliżył pokal z piwem do ust.

– To było ponad czterdzieści lat temu – westchnął i starł pianę z górnej wargi. – Zdążyłem już prawie zapomnieć, że kiedyś tam pracowałem.

Line uśmiechnęła się. Mężczyzna posługiwał się mieszaniną języka norweskiego i duńskiego. Teraz, kiedy z nią rozmawiał, starał się mówić bardziej po norwesku, ale w jego wymowie było coś sztucznego, przez co zdania stawały się ciężkie i niezgrabne.

– Wysyłał mu pan kartki świąteczne – ciągnęła Line.

Iversen wypił łyk piwa.

– Całkiem możliwe, ale od dwudziestu lat już tego nie robiłem.

– Dlaczego?

– Po prostu. On mi nigdy nie przysyłał.

Line wzięła do ręki szklanę z sokiem i odchyliła się wygodnie na kanapie. Jakiś mężczyzna w czarnym garniturze siedzący przy barze za plecami Franka Iversena ciągle jej się

przyglądał. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, po czym Line spuściła wzrok.

– Wczoraj rozmawiałam z Annie Nyhus – mówiła dalej. – Pamięta ją pan?

– Nazwisko brzmi znajomo – przyznał Iversen.

– Mieszkała po drugiej stronie ulicy, na której pan się wychował – wyjaśniła Line. – Obok doktora Welgaarda.

Siwy mężczyzna uśmiechnął się.

– Stara Annie, tak, już sobie przypominam. Co u niej słyhać?

– Opowiedziała mi o panu i Viggo, o tym, że trzymaliście się razem. Miałam nadzieję, że więcej pan zapamiętał.

– Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Pamiętam wyprowadzkę ze Stavern, ale z czasów, gdy tam mieszkałem, pozostało mi tylko kilka mglistych wspomnień.

– Kiedy wyjechał pan do Danii?

– W 1990. Najpierw poznałem tam kobietę, potem znalazłem pracę, a teraz została mi już tylko praca.

Line miała więcej pytań, ale żadna z udzielonych przez Iversena odpowiedzi nie przybliżyła jej do wyjaśnienia zagadki Viggo Hansena. Mężczyzna dopił piwo i kiedy kelner zabierał pustą butelkę, Line nie zaproponowała swojemu rozmówcy nic więcej.

– Cóż – powiedział i wstał. – Miło się z panią rozmawiało. Jeszcze raz przepraszam, że nie byłem w stanie pomóc.

Line podniosła się i podziękowała za rozmowę. Potem znów usiadła i przejrzała notatki. Odnalazła wiele osób, których losy w jakimś momencie życia splotły się z losami Viggo Hansena, ale wyglądało na to, że wszyscy spuścili na niego zasłonę milczenia. Frank Iversen nie powiedział nic, o czym Line by nie wiedziała. Właściwie było dokładnie na odwrót: to Line opowiedziała mu wszystko, co wiedziała.

Nagle zjawił się kelner i postawił przed nią drinka z lodem, plasterkiem limonki i słomką.

Line podniosła wzrok znad notatek.

– Niczego nie zamawiałam – zdziwiła się.

– To od tamtego pana – wyjaśnił kelner i skinął głową na

mężczyznę w ciemnym garniturze siedzącego przy barze.

Mężczyzna, który postawił jej drinka, zsunął się z barowego stolka i podszedł do niej. Był w jej wieku. Killkudniowy zarost sprawiał, że jego policzki wyglądały tak, jakby pokrywała je ciemna maska, natomiast reszta skóry na twarzy była dowodem na to, że mężczyzna spędził wiele godzin na świeżym powietrzu. Mięśnie szyi i karku były napięte. Piwne oczy wyrażały zaciekawienie i był w nich jakiś żar.

– *Do you mind?* – spytał z szerokim amerykańskim akcentem i wykonał ruch ręką w stronę miejsca, na którym przed chwilą siedział Frank Iversen.

Line spojrzała na niego zaskoczona. Nie była jakoś szczególnie zachęcająco ubrana, bez makijażu, ale uśmiechnęła się i skinęła głową.

Amerykanin wyciągnął rękę i przywitał się z nią, zanim usiadł.

– John Bantam.

– Miło mi – odpowiedziała Line po angielsku i uściśniła jego dłoń.

Nie miał obrączki.

– Line.

– Mieszkasz w hotelu? – spytał.

– Nie, mieszkam w Stavern – odparła i wyjaśniła, że jest to miasteczko położone kilka kilometrów na zachód od Larviku. – Byłam tutaj tylko na spotkaniu.

Przyglądał jej się w przyjemny sposób.

– Mieszkasz w pięknym kraju – zagadnął.

– Dzięki. A ty skąd jesteś?

– Z Minneapolis.

Line umieściła w myślach amerykańskie miasto na mapie. Daleko na północy, w pobliżu Wielkich Jezior, na granicy z Kanadą.

– Człabyś się tam jak w domu – mówił dalej. – Śnieg, wiatr, czapki i rękawiczki.

– W takim razie co tu robisz?

– Pracuję – odpowiedział i wykonał ruch ręką, jakby sugerował, że wykonuje wyjątkowo nudny zawód. – Jestem

analitykiem – dodał.

Podniosła drinka, którego dla niej zamówił. Gin z tonikiem, odgadła, smakując. Przyjechała do hotelu samochodem, ale uznała, że kilka łyków jej nie zaszkodzi.

On również uniół swoją szklankę, uśmiechnął się i dalej zabawiał ją rozmową, zadając pytania dotyczące Norwegii, norweskich pisarzy, muzyków, Thora Heyerdahla i badaczy polarnych.

– Mój prapradziadek był jednym z pierwszych ludzi na świecie, którzy dotarli do bieguna południowego – pochwaliła się Line.

John Bantam zrobił wielkie oczy.

– Naprawdę?

Opowiedziała mu o wyprawie Roalda Amundsena na biegun południowy i o tym, że jeden z jej przodków był członkiem ekipy, która w 1911 dotarła do celu.

– Mój prapradziadek pochodził z Kristiansand – oznajmił Amerykanin. – Nazywał się Daniel Larsen. Kto wie, może się znali?

W czasie półgodzinnej rozmowy Line wypila trochę więcej, niż planowała. W końcu odsunęła opróżnioną do połowy szklankę na środek stolika.

– Muszę już wracać – powiedziała, chociaż tak naprawdę nie miała do czego. Właśnie za czymś takim tęskniła, siedząc samotnie w swoim mieszkaniu w Oslo. Za niezobowiązującymi, ciekawymi rozmowami. Amerykanin wziął do ręki szklankę.

– Tak wcześnie?

– Jestem umówiona – skłamała, nie wiedząc właściwie, dlaczego. Jedyne, co zamierzała zrobić po powrocie do domu, to usiąść przed komputerem i zapisać to, co przyniósł dzień.

– Jak długo tu zostaniesz? – spytała.

Podniósł się razem z nią.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Byłoby miło, gdybyś któregoś wieczoru dotrzymała mi towarzystwa. Czy oczekiwałbym zbyt wiele, prosząc cię o numer telefonu?

Ucieszyła się, że ją o to poprosił. Wyjęła z torebki wizytówkę i podała ją Amerykaninowi, który przyjrzał się jej uważnie. Nie

rozmawiali o jej pracy, więc spodziewała się, że padnie pytanie o „VG”.

– Wisting – odczytał i uderzył lekko wizytówką o dłoń. – Czy to popularne nazwisko?

– Nie bardzo.

– Cóż, Line – powiedział i schował wizytówkę do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki. – Miło było cię poznać.

Gdy Line zatrzymała się przed domem, podjazd był pusty. Ojciec nie wrócił jeszcze z pracy.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki. Silnik wydał z siebie serię głuchych trzasków, po której nastąpiło bliżej nieokreślone dudnienie. Gdy dźwięki ucichły, zabrała torebkę i wysiadła z auta. Podmuch wiatru porwał z ziemi tuman śniegu i sypnął nim w twarz Line. Podniosła klapy kurtki i ukryła głowę w ramionach. Przez chwilę stała niezdecydowana na mrozie, w kompletnej ciemności. W końcu podjęła decyzję. Odszukała klucz do domu Viggo Hansena i ruszyła w dół ulicy.

Weszła do środka. W domu było ciemno i cicho. I wciąż unosił się ciężki, mdły zapach.

Odnalazła kontakt i zapaliła światło w korytarzu, potem weszła do salonu, włączyła starą lampę podłogową i kinkiety ścienne.

Chwilę później rozległ się sygnał otrzymanej wiadomości. Wyjęła telefon i odczytała treść esemesa napisanego po angielsku: „Dziękuję za miłe spotkanie. John”.

Szczerze mówiąc, nie spodziewała się, że Amerykanin się do niej odezwie. Odpisała, że jej również było miło.

Program telewizyjny wciąż leżał na stole. Kartki, niegdyś błyszczące, teraz były wypłowiałe i pozaginane na rogach.

Wzięła program do ręki i zaczęła go przeglądać. Suchy papier trzeszczał, gdy przekładała strony. W wielu miejscach godziny emisji programów, które Viggo Hansen zamierzał obejrzeć, były otoczone pętlą, natomiast w innych miejscach były odhaczone.

Line zerknęła na telewizor i z powrotem na program telewizyjny. Odgadnięcie kodu nie zajęło jej dużo czasu. Ptaszki pojawiały się za każdym razem, gdy dwa programy, które Hansen planował obejrzeć, były emitowane w tym samym

czasie. Na ławie pod telewizorem stał stary magnetowid. Viggo Hansen odhaczał programy, które zamierzał nagrać, żeby móc obejrzeć je później. A jednak coś się nie zgadzało. Ostatniego dnia odhaczył program o słynnych sprawach z archiwum FBI, chociaż jego emisja nie kolidowała z porą nadawania innych interesujących go programów.

Odłożyła gazetę na stół. Program mógł wydawać się Hansenowi aż tak ciekawy, że chciał go nagrać, by móc oglądać go wiele razy. Ale to nie było jedyne możliwe wytłumaczenie. Hansen mógł wiedzieć, że w porze emisji programu będzie zajęty czymś innym, i dlatego chciał go nagrać, żeby móc go później spokojnie obejrzeć. Niewykluczone, że spodziewał się wizyty.

W kuchni zaczęła głośno pracować lodówka. Jednostajne brzęczenie mąciło ciszę panującą w mieszkaniu.

To by tłumaczyło, dlaczego ekspres do kawy był gotowy do użycia, pomyślała.

Przeszła do drugiego końca salonu. Na stole leżał niedokończony pasjans. Karty, których Viggo Hansen nie zdążył wyłożyć, znajdowały się po lewej stronie. Line wzięła do ręki cienki stos składający się z czterech kart. Czwórka trefl, dziesiątka kier, ósemka kier i dwójka karo.

Dziesiątkę mogłaby od razu położyć na walecie kier. Wystarczyłoby zaledwie pięć ruchów, żeby ułożyć całego pasjansa.

A jednak Viggo Hansen go nie dokończył. Tamtego dnia musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że odłożył karty tuż przed końcem gry.

Wzmógł się wiatr. Od silnego podmuchu zatrzęszczała północna ściana, a przez kalenicę rozległo się przeraźliwe wycie wiatru.

Line skrzyżowała ramiona na piersiach.

Kto odwiedził Viggo Hansena w ostatnim dniu jego życia? Zbadala krąg jego przyjaciół i znajomych, ale najbliższą osobą, do której udało jej się dotrzeć, była jego przyjaciółka z czasów, gdy dwadzieścia lat temu leżał na oddziale psychiatrycznym. Z tego, co ustaliła, wynikało również, że ostatnią osobą, która

z nim rozmawiała, był przypadkowy ślusarz.

Podeszła powoli do drzwi i wyłączyła światło. Z każdym krokiem rosło w niej przekonanie, że w ciągu ostatnich dni życia Viggo Hansena w tym domu musiało wydarzyć się coś niezwykłego.

Wisting stał obok Johna Bantama i analizował mapę wiszącą na ścianie w gabinecie. Na zewnątrz było tak szaro, że z trudem można było dostrzec kontury sąsiednich budynków.

– Jak tylko zrobi się jasno, wyruszamy do drugiej studni – zdecydował Wisting.

Młody agent FBI zbliżył do ust filizankę z kawą i przytaknął.

– Co robimy z kobietami po szwedzkiej stronie? – spytał ze wzrokiem utkwionym w mapę.

Wisting podszedł do biurka i zebrał notatki, żeby przygotować się do porannej odprawy.

– Zachowujemy czujność – odparł.

Leif Malm i Anne Finstad z sekcji międzynarodowej w Kripos wrócili już do Oslo, ale Wisting zdążył poruszyć z nimi ten temat przez telefon. Uzgodnili, że skontaktują się dyskretnie ze swoimi kolegami z Rikskrim⁶ w Sztokholmie.

John Bantam ponownie skinął głową. Wypił łyk kawy i ruszył za Wistingiem do sali konferencyjnej.

W pomieszczeniu było zimno. Podszedł do okna i dotknął kaloryfera. Zimny.

– Rozmawiałam z dozorczą – odezwała się Torunn Borg, która była już na miejscu.

Wisting usiadł przy krótszym boku stołu i rzucił okiem na harmonogram spotkania. Sala powoli zapełniała się ludźmi.

Hammer przyniósł aktualne wydanie „VG”.

– Cholernie tu zimno – zaklął.

– Dozorca ma się tym zająć.

– Masz – powiedział Hammer, rzucając gazetę na stół.

Wisting przyciągnął ją do siebie. „Tajemniczy zgon”, brzmiał jeden z nagłówków. *Komisarz William Wisting przyznał*

⁶ Rikskriminalpolisen (Rikskrim) – wydział kryminalny szwedzkiej policji.

w rozmowie z gazetą, że mężczyzna, którego ciało znaleziono w zeszłym tygodniu na plantacji choinek, nadal stanowi dla policji zagadkę. Wciąż nie ustalono, kim był, skąd pochodził, jak zmarł ani co robił w miejscu, w którym został znaleziony.

Donald Baker i Maggie Griffin usiedli przy stole obok Johna Bantama. Odkąd przyjechali, zawsze zajmowali te same miejsca. Wisting przetłumaczył im notatkę prasową.

– Musimy być ostrożni – stwierdził Baker. – To, co piszą w dzisiejszej gazecie, jest niegroźne, ale jeśli zaczną drażnić temat, może zrobić się nieciekawie.

– Zaczynajmy – poprosiła Christine Thiis.

Wisting skinął głową.

– Zlokalizowaliśmy kolejną studnię. Hammer?

– Tak, właściwie nie studnię, tylko studzienkę hydrantową, która jest częścią prywatnego systemu nawadniającego. Z wysokością spadku wody jest coś nie tak i dlatego studzienki nigdy nie używano.

– Jak to sprawdzimy, nie ściągając na siebie uwagi? – zapytał Wisting. – Okolica studzienki jest widoczna z głównej drogi.

– Zdobyłem kombinezony robocze i samochód z gminy – wyjaśnił Hammer. – Z zewnątrz będzie to wyglądać jak inspekcja. U nas i tak jeden urząd nie wie, czym zajmuje się drugi.

– A co z trzecią studnią? – Wisting zwrócił się z pytaniem do Benjamina Fjelda.

– Nic nowego, ale w tym całym sprawdzaniu studni chyba za bardzo zdajemy się na przypadek. Skąd wiemy, że któraś ze studni odnalezionych przez Boba Crabba była wykorzystywana przed Godwina? Nie mamy nawet pewności, że Godwin używał starych studni. Może powinniśmy zabrać się do tego bardziej systematycznie i zlokalizować wszystkie stare studnie?

– W każdym gospodarstwie w okręgu znajduje się przynajmniej jedna – przytaknął Mortensen.

Wisting zgodził się na propozycję Fjelda.

– Zajmij się tym – poprosił. – Ale Bob Crabb mógł być w posiadaniu informacji, których my nie mamy. Torunn?

– Otrzymaliśmy pomoc od archiwum państwowego w Kongsbergu. Przeglądamy stare księgi parafialne, spisy ludności i inne dziewiętnastowieczne dokumenty. Wiemy już, że przodek Roberta Godwina, który w 1889 wyemigrował do USA, nazywał się Niels Gustavsen. Archiwiści z Kongsbergu cofnęli się już o dwa pokolenia i teraz starają się odnaleźć wszystkich żyjących krewnych Godwina na terenie Norwegii. To może nas dokądś zaprowadzić, ale równie dobrze może nam zabrać mnóstwo czasu i okazać się ślepa uliczką.

– Co z listą aktualnych kandydatów do roli Godwina?

– Kurczy się. Program rozpoznawania twarzy nie dał żadnych trafień, ale wykluczyliśmy kilka osób ze względu na ich pochodzenie etniczne. Do końca dnia powinniśmy zejść do pięćdziesięciu osób, którym trzeba będzie uważnie się przyjrzeć. Pytanie brzmi, jak to zrobimy, nie zdradzając, kogo szukamy.

– Co z portretem pamięciowym? – spytał Mortensen, zwracając się do Bakera.

– Nasi ludzie zastosowali program do progresji wiekowej i przeprowadzili symulację wyglądu Godwina – potwierdził agent FBI i wyjął z teczki kilka zdjęć.

Były to trzy różne zdjęcia, na których nawet po obróbce można było rozpoznać rysy Roberta Godwina z listu gończego. Na jednym z nich zabójca dorobił się zmarszczek i innych śladów starzenia się. Na dwóch pozostałych program komputerowy wyposażył go w brodę i okulary. Wspólne dla wszystkich trzech wersji było to, że wysokie zakola sięgały jeszcze wyżej, a włosy znacznie się przerzedziły.

Kolejne pół godziny poświęcili na przydział zadań i sprawy czysto techniczne. Poranna odprawa nie posunęła śledztwa do przodu.

Torunn Borg przysłała mu tymczasową, okrojoną listę nazwisk osób, pod które mógł się podszyc Robert Godwin. Drukarka wypluła łącznie trzynaście kartek. Alfabetyczny wykaz stu dwudziestu trzech mężczyzn z datą urodzenia i miejscem zamieszkania.

Wcześniej lista obejmowała dwa tysiące sto dwadzieścia siedem nazwisk. Niektóre z nich, choć spełniały kryteria statystyczne, Wisting mógł śmiało wykreślić. ASKE, Eivind – brzmiało jedno z nazwisk figurujących na pierwszej stronie. Artysta malarz, z którym Line zamierzała przeprowadzić wywiad w związku ze śmiercią Viggo Hansena.

Pozostałe nazwiska należały do osób, które nie wyróżniały się niczym szczególnym. Do osób, które wiodły anonimowe życie jaskiniowców.

Ściganie seryjnego mordercy nie było częścią szkolenia podstawowego ani kursu doszkalającego w wyższej szkole policyjnej. Wisting czytał to i owo o seryjnych zabójcach, ale nie śledził najnowszych badań w tym zakresie. Zagadnienie wydawało mu się zbyt odległe, by zaprzętać sobie nim uwagę.

W Internecie pełno było artykułów o chorych psychicznie zabójcach, którzy zjadali swoje ofiary, zostawiali ślęczym wskazówki i kolekcjonowali trofea. Na stronie internetowej organizacji zajmującej się europejską współpracą w dziedzinie kształcenia i szkoleń policji znalazł artykuł podsumowujący wieloletnie badania nad seryjnymi mordercami przeprowadzone w Australii. Seryjny zabójca zazwyczaj zabijał osoby, których nie znał, a zabójstwa miały z reguły podłoże seksualne, przeczytał w opracowaniu. Czas upływający między kolejnymi atakami mógł wynosić kilka godzin, dni, tygodni, miesiące, a nawet lat. Wielu seryjnych morderców było psychopatami lub cierpiało na inne zaburzenia osobowości,

choć mogli sprawiać wrażenie zupełnie normalnych, a często nawet wydawali się szarmanccy i czarujący.

Przeciętny seryjny morderca był białym nieżonatym mężczyzną wykazującym normalny, jeśli nie wyższy poziom inteligencji w porównaniu z jego rówieśnikami.

Około sześćdziesięciu procent z nich moczyło się w nocy aż do ukończenia dwunastego roku życia. Rzadko udawało im się pracować w jednym miejscu przez dłuższy czas. Od dzieciństwa wykazywali skłonności sadystyczne, w tym piromańskie, przyjemność sprawiało im dręczenie zwierząt. Z reguły byli wychowywani przez samotne matki, mieli ograniczony kontakt z ojcami lub w ogóle go nie utrzymywali. Nierzadko mieli wyższe wykształcenie i wykonywali prestiżowe zawody.

Seryjni mordercy często wybierają swoje ofiary według tego samego klucza i działają zgodnie z identycznym lub tylko nieznacznie zmodyfikowanym schematem, i to zarówno na etapie nawiązywania kontaktu z ofiarą, jak i samego zabójstwa – brzmiała konkluzja artykułu.

Żadna z tych informacji nie przybliżyła go do rozwiązania zagadki. Wisting chwycił kartki z nazwiskami, postukał nimi o blat biurka, żeby wyrównać brzegi, i spał je w lewym rogu spinaczem. Potem odchylił się w fotelu i zaczął odczytywać po kolei wszystkie nazwiska.

Dopiero na ostatniej stronie pojawiło się nazwisko, które przykuło jego uwagę. WANG, Jonathan. Mężczyzna z blizną, który zarządzał gospodarstwem Halle w czasie, gdy zginął Bob Crabb.

Wisting wstał, zabrał ze sobą wydruk i udał się do gabinetu Torunn Borg. Na jej biurku panował okropny bałagan. Akta spraw leżały na kilku stosach, a wszędzie wały się wydrukowane kartki z notatkami w różnych kolorach.

– Do ilu nazwisk udało ci się zejść? – spytał i usiadł naprzeciwko niej.

– Do pięćdziesięciu ośmiu.

– Czy Jonathan Wang jest nadal na liście?

Borg zmrużyła oczy i przebiegła wzrokiem kartkę.

– Tak – potwierdziła.

– To jedyne nazwisko, które już wcześniej pojawiło się w sprawie.

– Zastępca w gospodarstwie Halle. – Torunn Borg skinęła głową.

Przyciągnęła do siebie stos dokumentów i wyszukała protokół przesłuchania świadka sporządzony przez Benjamina Fjelda.

– Mamy wideo z przesłuchania – powiedział Wisting. – Rozmawiałem z nim, gdy przyszedł złożyć wyjaśnienia. Szczerze mówiąc, nie wydał mi się podobny do Godwina.

– Wrzucę go do programu. Czytnik geometrii twarzy nie rozpoznaje rysów, tak jak my to robimy, tylko wykonuje kilkadziesiąt różnych pomiarów, na przykład odległości między oczami lub szerokości warg. Porównanie charakterystycznych, niezmiennych cech biometrycznych twarzy pozwala na identyfikację osoby. Ale nie sądzę, żebyśmy mogli za bardzo na nim polegać. Kształt twarzy mógł się zmienić w ciągu dwudziestu lat. Okulary i broda wprowadzają zamieszanie do systemu, a poza tym ten, kogo szukamy, mógł poddać się operacji plastycznej, żeby nie zostać rozpoznany.

Wisting przejechał dłonią włosy. Śledztwo nie posuwało się naprzód. A postęp w śledztwie świadczył o efektywnym działaniu. Tymczasem jego dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

Zadzwoił telefon komórkowy. Nils Hammer. Wisting odebrał połączenie, mając nadzieję, że Hammer ma coś, co pozwoli im ruszyć z miejsca.

– Pusta – odezwał się głos w słuchawce.

– Studzienka hydrantowa?

– Trochę to trwało, zanim znaleźliśmy ją pod śniegiem, ale kiedy w końcu zdjeliśmy betonową pokrywę, okazało się, że studzienka jest sucha. I pusta, nie licząc kilku kawałków rur, pozostałości po systemie nawadniającym.

W drzwiach pojawił się Fjeld.

– Znalazłem trzecią studnię – oznajmił, machając zdjęciem zrobionym przez Boba Crabba.

– Zaczekaj – poprosił Wisting. Położył telefon na biurku

i włączył głośnik. – Benjamin coś ma.

– Trzecia studnia leży niecały kilometr od miejsca, w którym teraz jesteście – wyjaśnił Fjeld, pochylając się nad biurkiem. – To małe nieczynne gospodarstwo, podobne do tego, w którym byliście wczoraj.

– Masz tam jeszcze ekipę? – upewnił się Wisting.

– Tak.

– Już do was jedziemy.

Patomorfolog, który przeprowadził sekcję zwłok Viggo Hansena, nazywał się Mogens Poulsen i artykułował dźwięki w podobny sposób, jak Frank Iversen. Używał norweskich wyrazów, lecz wymawiał je z duńskim akcentem.

– Otrzymałam od policji pański protokół posekcyjny – wyjaśniła Line po tym, jak się przedstawiła i w paru słowach streściła sprawę, nad którą pracowała. – Pamięta pan Viggo Hansena?

– Oczywiście – odparł lekarz. – To był przecież absolutnie wyjątkowy przypadek. Ciała, które leżą na dworze przez tak długi czas, zazwyczaj są w stanie daleko posuniętego rozkładu, natomiast jego zwłoki były niemalże zmumifikowane.

– Czym to pan wytłumaczy?

– Przed wszystkim brakiem różnych form organizmów, które potrafią produkować enzymy rozkładające materiał organiczny. Poza tym ciało znajdowało się w wypełnionym powietrzem mieszkaniu, w którym pozamykane były wszystkie drzwi, okna i kanały wentylacyjne. Niska wilgotność powietrza i niska temperatura sprawiły, że ciało uległo mumifikacji, a nie procesom gnilnym.

Patomorfolog zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– Przedstawiłem pani tylko ogólny zarys. Nie mogę wypowiadać się na temat poszczególnych spraw.

– Moje pytania mają bardziej ogólny charakter – uspokoiła go Line. – Najprawdopodobniej nie wspomnę o tym w reportażu, ale zastanawia mnie, na co on właściwie umarł?

– Prawdopodobnie z samotności – odparł tamten bez zastanowienia.

– Z samotności? – powtórzyła Line w nadziei, że lekarz powie coś, co będzie mogła zacytować, chociaż wątpiła, czy jest to diagnoza stricte medyczna.

– A może raczej z nędzy duchowej – wyjaśnił lekarz. – Chyba to wyrażenie jest trafniejsze. To musiał być przeraźliwie samotny człowiek, skoro siedział martwy przez cztery miesiące i nikt tego nie zauważył.

Słyszała, że lekarz westchnął, zanim był gotów mówić dalej:

– Na nic zda się całe bogactwo tego świata, jeśli nie zaczniemy bardziej się o siebie troszczyć. W tym kraju ludzie cierpią na duchowy niedorozwój. Jesteśmy jak puste skorupy, zajęte zaspokajaniem wyłącznie własnych potrzeb.

– Naprawdę pan tak uważa? – zdziwiła się Line. – Że można umrzeć z samotności?

– Oczywiście. Satysfakcjonujące kontakty społeczne, przyjaźń i więzi rodzinne są ważne dla zdrowia, ważniejsze od ciśnienia krwi i poziomu cholesterolu. Badania pokazują, że samotni ludzie są bardziej narażeni na niemal wszystkie choroby i dolegliwości. Od smutku, lęku i depresji po choroby somatyczne, takie jak zaburzenia sercowo-naczyniowe.

Line robiła notatki.

– Wiele par małżeńskich dożywa późnej starości, bo mają przy boku kogoś, kogo kochają – ciągnął patomorfolog. – Mogą służyć sobie nawzajem pomocą i wsparciem. Kiedy jedno z nich umiera, często dzieje się tak, że osamotniony wdowiec lub wdowa umierają w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

Line nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Najwyraźniej poruszyła jeden z ulubionych tematów lekarza.

– Długotrwały brak kontaktów społecznych to jedno – kontynuował – a czym innym jest sytuacja, w której nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby zadzwonić pod numer alarmowy, kiedy poczujesz ból w klatce piersiowej albo spadniesz ze schodów. Nikogo, kto mógłby ci udrożnić drogi oddechowe, przeprowadzić resuscytację albo uciskać klatkę piersiową do przyjazdu karetki.

– Myśli pan, że Viggo Hansen zmarł na atak serca albo udar mózgu?

– To najczęstsze przyczyny zgonu, ale nie sposób stwierdzić tego jednoznacznie.

– Co jeszcze mogło doprowadzić do jego śmierci?

– Równie dobrze coś mogło utknąć mu w gardle, powodując zadławienie. Chociaż ciało było dobrze zachowane, nie miałem zbyt dużego pola do popisu. W każdym razie mogę panią zapewnić, że nie został postrzelony, ugodzony nożem ani uderzony w głowę tępym narzędziem.

– A więc przychyła się pan do tezy, że Viggo Hansen zmarł śmiercią naturalną?

– Śmierć jest naturalna – odparł lekarz. – Tylko czasem ma gwałtowniejszy przebieg i bardziej brutalny charakter.

Line zajrzała do notesu, w którym miała zapisane słowo „uduszony” ze znakiem zapytania.

– Powiedział pan, że Hansen mógł się udusić? – podjęła.

– To tylko jedna z możliwości. Nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, że ktoś przyczynił się do jego śmierci. Żadnych poprzewracanych mebli ani innych śladów walki. Ciało nie leżało w nienaturalnej pozycji. Wręcz przeciwnie: Hansen zasnął jak niemowlę w swoim fotelu przed telewizorem.

– Ale przecież ktoś mógł przyłożyć mu do twarzy poduszkę i go udusić, nie zostawiając żadnych widocznych śladów, prawda?

– Moim zdaniem nigdy nie poznamy odpowiedzi na pytanie, w jakich okolicznościach zmarł Viggo Hansen. W każdym razie medycyna sądowa nam w tym nie pomoże.

Line podziękowała za rozmowę i podeszła do okna. Wiatr porywał w górę tumany luźnego śniegu i zmiatał je na ulicę. Przeczytała wystarczająco dużo policyjnych raportów, protokołów posekcyjnych i oficjalnych sprawozdań, by wiedzieć, że autorzy dokumentów umieszczali w nich tylko to, czego byli absolutnie pewni. Zostawianie miejsca na wątpliwości lub dowolną interpretację treści stwarzało jedynie problemy. I dlatego raporty tego rodzaju zawierały zazwyczaj suche fakty. Informacje, co do których istniała stuprocentowa pewność, że są prawdziwe. Natomiast rozmowa z patomorfologiem pozwoliła spojrzeć na zagadkę śmierci Viggo Hansena z innej perspektywy.

Nils Hammer dopilnował, żeby wąska droga prowadząca do niewielkiego gospodarstwa i trzeciej studni była odśnieżona i przejezdna. Po lewej stronie drogi rozciągał się gęsty las, natomiast po prawej kamienne ogrodzenie oddzielało drogę od pola. Wiatr wywiał śnieg spomiędzy górnej warstwy kamieni i wypolerował je, dzięki czemu niektóre z nich przypominały górskie szczyty.

Przed starymi zabudowaniami gospodarskimi piętrzyły się ogromne zasypy śniegu. Na podwórzu stał traktor z pługiem do odśnieżania i ten sam anonimowy samochód dostawczy, którego użyli dzień wcześniej. Wielu policjantów miało na sobie kombinezony z emblematami gminy Larvik. Niektórzy z nich zebrali się wokół kuchenki turystycznej, na której stał dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

Wisting wysiadł z samochodu. Opady śniegu były tak intensywne, że musiał zmrużyć oczy.

– Za pięć minut będziemy gotowi – oznajmił Hammer, wskazując głową na stodołę. Dwaj funkcjonariusze, którzy właśnie skończyli odśnieżać pokrywę studni w kształcie piramidy, teraz ją odsuwali, a trzeci przygotowywał linę wspinaczkową.

Wisting ustawił się plecami do wiatru.

– Jest w niej woda? – spytał.

– Tak, ale nie aż tak dużo.

Mężczyźni dali znać, że są gotowi. Włączono agregat prądowczy i reflektor punktowy oświetlił wnętrze studni.

Jeden z policjantów przymocował linę do uprząży, przechylił się do tyłu i zniknął w środku.

Wisting podszedł do studni i spojrział w dół. Był to czworokątny szyb, którego pierwszy metr został wzmocniony betonową wylewką. W szarym cemencie można było dostrzec

ślady po deskach szalunkowych. Poniżej ściany studni były wykonane z kamienia.

Warstwa lodu była mniej więcej tej samej grubości, jak ta, przez którą przebijali się dzień wcześniej. Policjantowi pracującemu wewnątrz studni przebicie się przez lód zajęło pięć minut. Z każdą chwilą rozłupywał coraz większe kawałki. Bryły lodu wyciągano na powierzchnię i układano obok studni na stosie, który przypominał rumowisko skalne.

Wisting przyglądał się pracy z głową wciśniętą w ramiona i rękami w kieszeniach. Chłód wkraadał mu się pod ubranie.

Gdy tylko usunięto warstwę lodu, wpuszczono do środka pompę zanurzeniową, żeby mogły zatrzymywać się na niej luźne przedmioty. Woda, którą wypompowywano, szybko zamarzała, zatykając otwory w kracie. Mortensen musiał rozbijać lód młotkiem. Z czasem pod urządzeniem utworzyła się duża bryła.

Wisting obserwował, jak obniza się poziom wody, centymetr za centymetrem.

Nagle coś mignęło w ciemnej wodzie. To coś błysnęło i poruszyło się gwałtownie, po czym zniknęło mu z oczu.

Wisting przechylił się nad krawędzią studni i mrużąc oczy, zaczął wpatrywać się w taflę wody. Mortensen i Hammer stanęli obok niego i utkwili wzrok w głębi studni. Jakiś przedmiot został zassany przez pompę. Wąż wił się i wyginał, zanim wypluł z siebie kawałek deski.

Na dnie studni znowu coś się poruszyło. W pierwszej chwili wyglądało to jak zawirowanie wody wywołane pracą pompy, ale później zauważyli, że coś wije się tuż pod powierzchnią wody.

– Cholera jasna! – zaklął Hammer. – To jest węgorz!

– Węgorz? – zdziwił się Mortensen.

– W dawnych czasach ludzie wrzucali węgorze do studni, żeby nie zaległo się w nich robactwo.

Wisting westchnął. Czytał kiedyś, że węgorze dożywają nawet osiemdziesięciu lat i że wewnątrz studni mogą całymi latami odżywiać się ślimakami, kijankami, larwami owadów i Bóg wie, czym jeszcze.

– Tutaj są dwa – powiedział Mortensen, wskazując palcem.

Nie mylił się. Dwa gładkie ciała wyginały się tuż pod taflą wody. Z czasem, gdy wody było coraz mniej, węgorze zwiły się jeden wokół drugiego.

Nagle ze środka pompy rozległ się inny dźwięk. Jednostajne brzęczenie przeszło w pisk o wysokiej częstotliwości, jakby silnik pracował na najwyższych obrotach, a mimo to nie mógł ssać.

Hammer odłączył prąd i wyciągnął węża. Wlot blokował jakiś materiał. Mortensen usunął go. Był to fragment wielkości gazety o nierównych, postrzępionych brzegach. Materiał był przesiąknięty brunatnym szlamem, przez co nie można było określić pierwotnego koloru, ale prążkowany wzór sugerował, że to fragment odzieży.

Wisting ponownie przechylił się nad krawędzią studni. Po wyłączeniu pompy węgorze wyraźnie się uspokoiły. Woda, której jeszcze nie wypompowano, była tak zamulona, że nawet używając silnego reflektora punktowego, nie sposób było się przekonać, co może kryć się na dnie.

Hammer znowu spuścił pompę do wnętrza studni. Bura, pełna zanieczyszczeń woda wypłynęła z węża. Po chwili na kracie zatrzymał się nieco mniejszy fragment materiału o tym samym wzorze w prążki.

Pięć minut później pompa zaczęła prychać i bulgotać. W studni nie było już wody. Węgorze wily się w mule, wyginały swoje śliskie ciała i uderzały ogonami. Ale na dnie było coś jeszcze. Coś wystawało z błota. Coś brązowego, okrągłego i gładkiego, co przypominało kawałek korzenia drzewa. Ale to nie był korzeń. Na dnie studni leżało to, czego szukali. To, co ich tutaj przywiodło. Oślizgłe ciała węgorzy wily się wokół ludzkich kości.

Pół godziny później nad studnią i terenem wokół niej rozstawiono ogromny namiot. Jego ściany chroniły przed lodowatym wiatrem, a ogrzewacz budowlany podniósł temperaturę, dzięki czemu można było zdjąć rękawiczki i poluzować szaliki.

Do studni wstawiono drabinę. Wyłowione węgorze leżały zamrożone na śniegu poza namiotem.

Espen Mortensen zszedł na dół po drabinie, żeby wyciągnąć kość, która wystawała z błota. Gdy wydobywał ją na powierzchnię, rozległo się bulgotanie. Technik stał na najniższym szczeblu i przyglądał się jej uważnie. Była ciemnobrązowa i przypominała chropowaty kawałek drewna.

– Ludzka czy zwierzęca? – spytał Wisting.

Mortensen nie odpowiedział. Wyszedł ze studni, położył fragment kości na środku stołu i wyjął z plecaka grubą książkę. Henry Gray, *Anatomia ciała człowieka*.

Przewracał kartki, aż odnalazł stronę, której szukał. Ilustrację przedstawiającą jedną z kości szkieletu widzianą z przodu i z tyłu.

– *Humerus* – odczytał łacińską nazwę i umieścił palec wskazujący na rysunku kości ramiennej.

Wisting nałożył rękawiczkę lateksową i ostrożnie podniósł kość. Odór zgniłej wody zatykał nos.

Trzymał kość nad ilustracją w książce i porównywał punkt po punkcie. Nie było żadnej wątpliwości. Kość, którą znaleźli, pochodziła z ramienia człowieka.

Mortensen znowu opuścił się na dno studni. Używając małych narzędzi, grzebał w brunatnej grudkowatej mazi pokrywającej dno, zupełnie jak archeolog wydobywający z ziemi relikty przeszłości. Bardzo szybko natknął się na kolejne fragmenty szkieletu. Każde znalezisko fotografowano,

po czym umieszczano w koszyku i wyciągano na powierzchnię. Były tam między innymi części kręgu lędźwiowego, kość biodrowa, kości stawowe z główkami i panewkami. Każdą kość odnotowywano w protokole, wkładano do papierowej torebki i umieszczano w skrzyni.

Zabezpieczono także kolejne fragmenty zbutwiałej odzieży. Przy jednym ze skrawków materiału wisiały resztki zamka błyskawicznego. Z błota wydobyto również przegniły pasek z zardzewiałą sprzączką i poddano go takiej samej procedurze.

– Tutaj coś jest! – zawołał Mortensen, odsłaniając kulisty przedmiot. Z każdą kolejną warstwą mułu, którą zeszkrobywał, stawało się coraz bardziej oczywiste, że chodzi o ludzką czaszkę.

W końcu zdecydował się wydobyć ją na powierzchnię. Objął ją rękami i pociągnął do góry. Gdy błoto puściło, rozległ się dźwięk wypuszczonego pod ciśnieniem powietrza. Mortensen obrócił czaszkę. Dwa puste oczodoły były zwrócone do góry.

– Wydaje mi się, że jest tylko ta jedna – zawołał, śledząc wzrokiem koszyk, w którym wyciągano czaszkę na powierzchnię. – Kamienie leżące na dnie przykrywa trzydziestocentymetrowa warstwa mułu – wyjaśnił. – Moim zdaniem na dole mógł zmieścić się tylko jeden szkielet.

Technik kontynuował mozolną pracę. Po usunięciu kolejnej warstwy cuchnącego błota odsłonił podeszwę buta. Tuż obok położył linijkę fotograficzną i zrobił zdjęcie.

– Dwadzieścia pięć i pół centymetra! – zawołał.

Rozmiar czterdzieści jeden, obliczył Wisting. Nie przypominał sobie, żeby któraś z zaginionych kobiet miała takie duże stopy.

Tymczasem Mortensen wyciągnął but z mułu i obrócił go w dłoń. Był to sandał. Wisting pamiętał, że w jednym z opisów była mowa o sandałach, ale nie potrafił przywołać w pamięci konkretnego nazwiska. Tak czy inaczej oznaczało to, że osoba, której szkielet leżał na dnie studni, wylądowała w niej latem. Odwalili kawał dobrej roboty. W ciągu popołudnia powinni być w stanie ustalić, kim była zmarła osoba.

Wisting został na miejscu jeszcze przez godzinę. Przyglądał

się, jak Mortensen usuwa kolejne warstwy błota, odsłaniając coraz to nowe fragmenty kości. Wyglądało na to, że technik miał rację. Prawdopodobnie mieli do czynienia ze szkieletem jednej i tej samej osoby.

Prace na dnie studni mogły trwać jeszcze wiele godzin, ale Wisting zobaczył już to, co chciał zobaczyć.

Ostry wiatr owionął mu twarz, gdy Wisting odchylił płótno namiotu i wyszedł na zewnątrz. Był spięty i niespokojny. Zaczyna się, pomyślał. Dopiero teraz wszystko się zaczyna.

Line nie była pewna. Gdyby była pewna, zawiadomiłaby policję, ale jej praca zaczynała przybierać inny obrót. Nie chodziło już tylko o to, żeby ustalić, kim był Viggo Hansen, ale także co tak naprawdę wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin jego życia.

W jej laptopie znajdował się już szkic artykułu, zawierający ponad pięć tysięcy znaków, w którym opisywała Viggo Hansena jako samotnego człowieka, którego samotność pod koniec życia została przerwana. Tego była pewna. Ale kto się z nim skontaktował? I w jakim celu? I jeśli rzeczywiście doszło do spotkania, które zakończyło się śmiercią – jaki mógł być motyw zabójstwa?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła czternasta. Była umówiona z Jonasem Utklevem, przewodniczącym komitetu, który w 2004 roku zorganizował zjazd absolwentów z okazji jubileuszu czterdziestolecia ukończenia szkoły w Stavern. Zaproszenie na tę uroczystość znalazła w domu Viggo Hansena. I chociaż Utklev twierdził, że Viggo nawet nie odpowiedział na zaproszenie, zgodził się porozmawiać z Line.

Jonas Utklev mieszkał w jednym z tarasowych wielorodzinnych budynków mieszkalnych na końcu Ohlselia. Idąc ścieżką między blokami, Line miała nadzieję, że pieszo dotrze tam szybciej, niż gdyby jechała samochodem.

Po stu metrach zaczęła żałować, że zostawiła auto przed domem. Mróz nie odpuszczał. Wiatr zawiewał jej włosy na twarz i sprawiał, że odczuwalna temperatura była jeszcze niższa od tej, którą wskazywał termometr.

Jonas Utklev miał dużą łysą głowę i szczeciniaste wąsy. Gdy otworzył drzwi, przywołał Line ruchem dłoni, jakby chciał, żeby jak najszybciej znalazła się w suchym i ciepłym miejscu.

– Przyszła pani na piechotę? – spytał, wyciągając szyję, żeby

zobaczyć, gdzie zaparkowała samochód.

– Tak – odparła i skinęła głową na wzgórze za ich plecami. – Mieszkam po drugiej stronie.

– Oczywiście, oczywiście. Jest pani córką Williama Wistinga z komendy policji – powiedział, prowadząc ją do ciasnego, zagraconego meblami salonu. – Mieszkacie na Herman Wildenveys gate. Oczywiście, że tak.

W pokoju pachniało skórą, tytoniem do fajki i lekką stęchlizną. Line rozejrzała się dookoła, zanim usiadła. Sosnowe meble, wykładzina dywanowa, zdjęcia rodzinne na ścianach, zielone rośliny o dużych liściach w doniczkach na podłodze. W rogu pokoju fotel bujany, a obok niego koszyk z ręczną robótką.

– Moja żona musiała pójść coś załatwić – wyjaśnił Utklev, który śledził wzrokiem jej spojrzanie.

Kawa była już gotowa. Na ławie stał dzbanek i dwie filiżanki z cienkiej porcelany. Mężczyzna napełnił jedną z filiżanek i bez pytania przysunął ją do Line.

– Chodził pan do szkoły z Viggo Hansenem – zagaiła rozmowę.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził Utklev i nalał sobie kawy.

– Co pan zapamiętał z tamtych czasów?

– Cóż, Viggo nie za bardzo rzucił się w oczy. Pamiętam, że siedział w ostatniej ławce. Zawsze w ostatniej. Chyba nigdy nie zgłosił się sam do odpowiedzi ani nie zadał pytania nauczycielowi. Po prostu był w klasie, ale obawiam się, że niewiele osób zauważyłoby, gdyby go nie było.

– Z nikim się nie przyjaźnił?

– Cóż, były w klasie takie osoby, skryte i wycofane. Viggo Hansen i Odd Werner Ellefsen.

Line przytaknęła. Dwa dni wcześniej rozmawiała z małomównym i niezbyt rozgarniętym kolegą z klasy Hansena, ale postanowiła o tym nie wspominać.

– Ale nie wiem, czy tak naprawdę byli przyjaciółmi – ciągnął mężczyzna. – Wyglądało to bardziej tak, jakby obaj trzymali się na uboczu, jeśli pani wie, co mam na myśli. Zawsze zostawali

na końcu, kiedy wybieraliśmy składy drużyn. Prawdopodobnie z tego powodu myślę o nich razem, bo obaj byli odludkami.

– Kiedy ostatni raz widział się pan lub rozmawiał z Viggo?

– O, to było wieki temu. Szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy dzisiaj bym go rozpoznał. W 2004 mieliśmy zjazd absolwentów, jubileusz czterdziestolecia, ale Viggo się na nim nie zjawił. Nawet nie odpowiedział na zaproszenie. Ani on, ani Odd Werner. Brakowało ich obu. I Eivinda Aske, ale on stał się zbyt sławnym artystą, żeby zaszczyścić swoją obecnością dawnych kolegów szkolnych. Kiedy mijamy się na ulicy, nawet mi się nie kłania. Chyba że ja pierwszy go pozdrowię, wtedy odpowiada łaskawie.

Line odchyliła się na krześle.

– Gdyby ktoś miał odwiedzić Viggo Hansena w jego domu...

– zaczęła, zapraszając Jonasa Utkleva, żeby myślał głośno razem z nią – to kto by to mógł być?

– Kto by to mógł być? W każdym razie nikt ze starej gwardii.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Osoba, która musiała być panią Utklev, weszła do salonu, nie zdejmując płaszcza. Miała czerwone od mrozu policzki.

Jonas Utklev wstał i przedstawił je sobie.

– Siedzimy tak sobie i rozmawiamy o Viggo Hansenie – powiedział.

Kobieta wydeła wargi.

– Koniecznie opowiedz pani o tym, jak przyszedł do was latem – zachęcił ją mąż, po czym zwrócił się do Line: – Maren pracuje w bibliotece – wyjaśnił.

– Rozmawiała z nim pani latem? – spytała Line.

Maren Utklev rozpięła guziki płaszcza.

– Był w bibliotece – przytaknęła. – Ale ja go nie rozpoznałam.

– Maren chodziła do klasy niżej – wtrącił Jonas Utklev.

Kobieta wyszła na korytarz i powiesiła płaszcz na wieszaku, wróciła do salonu i zatrzymała się w drzwiach prowadzących do kuchni.

– Wydaje mi się, że on też mnie nie poznał – zaczęła Maren Utklev. – Nie był u nas nigdy wcześniej i nie miał karty

bibliotecznej.

– I niczego nie wypożyczył – wtrącił jej mąż. – Tylko siedział i przeglądał jakieś książki.

– Jakie książki? – zaciekawiała się Line.

– Siedział w czytelni przez wiele godzin i przeglądał różne tytuły z naszego lokalnego księgozbioru – odparła pani Utklev. – *Pamiętki Stavern* i takie tam.

– To taki zbiór zdjęć i krótkich tekstów o Stavern, wydany dziesięć, może piętnaście lat temu – wyjaśnił pan Utklev. – Egzemplarz tej książki stał u nas na półce w naszym starym domu, ale kiedy się tutaj przeprowadziliśmy, nie mogliśmy zabrać ze sobą wszystkich książek. Nie mieliśmy na nie miejsca, a poza tym i tak wszystkie już dawno przeczytaliśmy. Niektóre po kilka razy, więc oddaliśmy je do antykwariatu.

– Czego w niej szukał?

– Nie mam pojęcia – odparła Maren Utklev i zacisnęła usta.

– Viggo wyrwał z książki kilka stron – dodał jej mąż. – Tak po prostu wyrwał i zabrał ze sobą.

– Zauważyłam to dopiero po jego wyjściu – mówiła dalej żona. – Książka została odłożona na półkę w niewłaściwym miejscu i kiedy podeszłam, żeby ją przestawić, zobaczyłam, że brakuje paru stron.

– Pamięta pani, które strony wyrwał?

Maren Utklev wzruszyła ramionami.

– Na pewno wyrwał te, które go interesowały – skwitowała. – Może jakąś stronę ze zdjęciem, na którym był? Naprawdę nie wiem.

– Ale chyba da się to łatwo sprawdzić? – spytała Line.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie mamy już tej książki – odparła. – Musieliśmy ją zniszczyć. Na szczęście w magazynie głównej biblioteki mieli więcej egzemplarzy i udało nam się ją wymienić.

– I nie próbowała pani wyjaśnić z nim tej sytuacji? – zdziwiła się Line. – Zażądać odszkodowania albo odkupienia zniszczonej książki?

– Nie miałam pewności, że to był on – przyznała pani Utklev.

– To mógł być ktoś, kto czytał tę książkę przed nim. Poza tym

wtedy go nie rozpoznałam. Dopiero Gunvor z banku powiedziała mi, kto to był.

Line przekrzywiła głowę, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– No więc Gunvor była w bibliotece w tym samym czasie, co on. Gdy Viggo Hansen wyszedł, a ja odkryłam, że w książce brakuje kilku stron, spytałam ją, czy nie wie, kto to był. Gunvor знаła go z banku. Ja sama nie widziałam go od czasów szkoły.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił trzecią.

– Do której jest otwarta biblioteka? – spytała Line.

– Dzisiaj jest środa – odparł Jonas Utklev. – A w środy jest czynna do czwartej.

Line zapomniała, że nie przyjechała samochodem. Musiała wrócić do domu i dopiero stamtąd pojechała do biblioteki, która znajdowała się w centrum Stavern.

Szła z pochyloną głową, chroniąc się przed wiatrem, i przyglądała się stawianym przez siebie krokom. Zawiewający śnieg kłuł ją w twarz. Nie mogło być mowy o przypadkowej wizycie w miejskiej bibliotece. Viggo Hansen musiał szukać czegoś absolutnie wyjątkowego i wyglądało na to, że udało mu się to znaleźć.

Samochód był zimny i trudno było go uruchomić. W końcu przy trzeciej próbie odkaszlnął i zaskoczył. Line zostawiła go na jałowym biegu, a sama zajęła się zeszkrobывaniem z szyb cienkiej warstwy lodu.

Wsiadła do środka, nie zdejmując rękawiczek. Gdy jechała, jej oddech zamieniał się w cienie jak welon białe obłoki pary, która osiadała na przedniej szybie niczym poranna rosa.

Przed biblioteką było jedno wolne miejsce. Zaparkowała auto i weszła po wytartych stopniach do filii biblioteki mieszczącej się na pierwszym piętrze.

Kobieta za kontuarem uśmiechnęła się i spojrzała na nią znad okularów.

– Dzień dobry – przywitała się Line. – Szukam książki pod tytułem *Pamiętki Stavern*.

– Są trzy – odpowiedziała szybko bibliotekarka. – To znaczy trzy tomy.

Line westchnęła. Ustalenie, czego Viggo Hansen szukał w książce, okazało się jeszcze trudniejsze, niż przypuszczała.

– W takim razie chciałabym wypożyczyć wszystkie trzy.

– Nie można ich wypożyczyć – odparła kobieta. – Należą do lokalnego zbioru i nie można zabierać ich do domu.

– Okej. Mogę je przejrzeć?

Bibliotekarka przytaknęła, oddaliła się i po chwili wróciła z trzema woluminami w kolorowych okładkach.

Portret własny mieszkańców, brzmiał podtytuł.

Line usiadła w kąciku wypoczynkowym i zaczęła przeglądać książki. Wiele zdjęć pochodziło z czasów wojny. Inne były jeszcze starsze i przedstawiały miasto i nabrzeże sto lat temu. Były tam również zdjęcia z niedalekiej przeszłości. Obchody siedemnastego maja i nocy świętojańskiej, letnie koncerty i festiwale. Imprezy taneczne, pchli targ, mecze piłki nożnej i pokazy gimnastyczne. Nie wiedziała, czego dokładnie szuka, ale miała nadzieję, że domyśli się, jak tylko to coś zobaczy.

Odnalazła zdjęcia fabryki krewetek, fabryki konserw i szkoły w Stavern, ale żaden z podpisów pod fotografiami nie wydał jej się interesujący.

Nagle zawibrował jej telefon komórkowy i rozległ się krótki sygnał. Wyjęła komórkę z torebki i odczytała wiadomość.

„Dziś wieczorem?“, było napisane po angielsku. „To samo miejsce? Ta sama godzina? John“.

Esemes pochodził od Amerykanina, którego spotkała poprzedniego wieczoru.

Siedziała wpatrzona w krótkie zaproszenie. Nie знаła go i właśnie dlatego łatwiej jej było zgodzić się na kolejne spotkanie. Całkowicie niezobowiązujące. Nieskomplikowane.

„OK“, odpisała, ale po namyśle skasowała to słowo. „Chętnie“, wystukała na klawiaturze i wysłała wiadomość.

Po chwili podeszła do niej bibliotekarka.

– Za pięć minut zamykamy – oznajmiła.

Line dalej przeglądała książkę. Przerzucała kartki. Nagle zatrzymała się i cofnęła. Kolorowe zdjęcie z 1967 roku przedstawiało czterech nastoletnich chłopców na tle znajomo wyglądającego budynku.

„Szybka interwencja czterech przechodzących w pobliżu chłopców uratowała jesienią 1967 roku fabrykę krewetek Reime'a przed pożarem“, przeczytała podpis pod zdjęciem. „Od lewej: Frank Iversen, Odd Werner Ellefsen, Cato Tangen i Viggo Hansen“.

Za nimi stał wóz strażacki i mężczyzna w uniformie zwijający

węza gaśniczego.

Chłopiec stojący między Ellefsenem a Hansenem wydawał się nieco starszy od pozostałych. Cato Tangen stał przechylony nad kierownicą motoroweru. Miał wąską twarz i długie włosy.

Bibliotekarka pobrzękiwała niecierpliwie kluczami. Line wyjęła aparat i sfotografowała oglądaną stronę, zanim zgasło światło. Nie wiedziała, czy właśnie to zdjęcie wyrwał z książki Viggo Hansen, ale jak dotąd niczego innego nie znalazła.

Gdy Line opuściła bibliotekę, na dworze było już ciemno. W świetle latarni stał jakiś mężczyzna z czarnym psem, poza tym ulice były opustoszałe.

Skręciła w Herman Wildenveys gate. Musiała zwolnić, bo jadące przed nią szare kombi ze statywem na narty zamontowanym na dachu miało problem z podjazdem pod niewielką górę. Na szczęście na wysokości dawnego zbiornika wodnego droga znów robiła się płaska. Line trzymała się nieco z tyłu i po chwili zobaczyła, że samochód zwalnia przed domem Brunvallów, naprzeciwko domu Viggo Hansena. Minęła swój podjazd i zobaczyła, że z kombi wysiada Steinar Brunvall.

Długo nie mogła się zdecydować, żeby do niego zadzwonić, chociaż sama do końca nie rozumiała dlaczego. Czuliła, że to może mieć związek z tym, że Steinar był już żonaty i miał dzieci, podczas gdy ona nie zdążyła jeszcze założyć rodziny.

Według policyjnego raportu ani Steinar Brunvall, ani jego żona nigdy nie mieli do czynienia z Viggo Hansenem i dlatego na początku dziennikarskiego śledztwa Line uznała, że rozmowa z nimi nie jest konieczna. Ale teraz sytuacja zmieniła się diametralnie. Nie chodziło już tylko o udokumentowanie samotnego życia, lecz o znalezienie dowodów na poparcie hipotezy, do której Line zaczęła się przychylić.

Skręciła i zaparkowała za szarym kombi. Steinar Brunvall spojrzął w stronę przedniej szyby, ale oślepiły go światła reflektorów. Nawet gdy Line wyłączyła silnik, miał problemy z rozpoznaniem osoby siedzącej za kierownicą.

Wysiadła i zwróciła się do niego po imieniu.

– Line? – uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Dawno cię nie widziałem. Przyjechałaś do domu na święta?

Zacząła mu tłumaczyć, co ją tu sprowadza, ale zanim

dobrnęła do połowy, przerwał jej i zaprosił ją do środka.

W domu pachniało obiadem. Weszła za nim do kuchni, gdzie została przedstawiona Idzie. Kobieta stała przed kuchenką i mieszała coś w garnku. Z salonu dobiegały głosy dzieci.

– Nie zajmę wam dużo czasu – zapewniła Line i wyjaśniła do końca powód swojego przybycia.

Ida oparła dłoń na biodrze.

– Żaden człowiek nie zasługuje na taką śmierć – powiedziała i wyjęła warzuchew z garnka. – To wstyd, że ludzie wokół niego okazali się tacy nieczuli. I dotyczy to w równym stopniu nas, jak i wszystkich innych.

Mąż Idy był tego samego zdania.

– My i reszta sąsiadów powinniśmy okazać mu więcej zainteresowania.

– Ale teraz tak się żyje – mówiła dalej żona. – Nie mamy czasu dla innych. Zdawałoby się, że w tak małym miasteczku jak Stavern nie da się nikogo pominąć. Ale Viggo Hansen nigdy się niczym nie wyróżniał i w żaden sposób nie zwracał na siebie uwagi.

Steinar Brunvall przytaknął.

– Nikt go nigdy nie odwiedzał, a kiedy od czasu do czasu zjawiał się jakiś sprzedawca losów na loterię albo ktoś inny, Hansen nigdy nie otwierał drzwi.

– Chociaż latem wpuścił kogoś do środka – przypomniała mu żona.

– Tak, to prawda. Był tam jakiś facet. Pracowałem wtedy w ogrodzie i zdziwiłem się na widok samochodu zaparkowanego przed jego domem.

– Bo przed domem Hansena nigdy nie stał żaden samochód – wtrąciła Ida Brunvall.

– To było wynajęte auto – kontynuował Steinar. – Szare audi z nalepką firmy Avis na tylnej szybie. To był tak niezwykły widok, że aż podszedłem do żywopłotu. Wtedy z domu Hansena wyszedł ten mężczyzna.

– Co tam robił? – spytała Line, nie łudząc się, że otrzyma konkretną odpowiedź.

Steinar wzruszył ramionami.

– Gdy wychodził, trzymał w ręce grubą kopertę. Położył ją na tylnym siedzeniu i odjechał.

– Kiedy to było?

– Gdzieś pod koniec lipca. To był jedyny człowiek, którego widziałem przed domem Hansena od wielu, wielu lat.

– Jak wyglądał?

– Był nieco starszy od niego i trochę grubszy. Miał brodę i okulary.

Opis nie pasował do żadnej z osób, z którymi Line rozmawiała do tej pory.

– Dzieci! – zawołała Ida Brunvall w głąb mieszkania. – Za pięć minut obiad! – Potem odwróciła się do Line i powiedziała: – Nigdy się już nie dowiemy, co było przyczyną jego śmierci. Może miał problemy z sercem? W końcu do najmłodszych nie należał. I chociaż wstyd nam za to, że przez cztery miesiące siedział martwy w swoim domu, to i tak niczego nie zmienia. I tak by umarł.

Zamiast przewozić wszystkie szczątki do zakładu anatomii przy Uniwersytecie w Oslo, profesor specjalizujący się w bioantropologii przyjechał do komendy w Larviku, żeby usystematyzować znalezisko i dokonać jego wstępnej oceny.

Na stole w laboratorium kryminalistycznym mieszczącym się na pierwszym piętrze Mortensen rozłożył szary papier. Kości, które wydobyto z dna studni, zostały ułożone na nim w taki sposób, że tworzyły ludzki szkielet. Wyglądało na to, że był kompletny, przynajmniej w ocenie Wistinga.

Na przyległym blacie w podobny sposób rozłożono fragmenty ubrań. Strzępy materiału w paski utworzyły koszulę, natomiast kawałki nieco grubszej tkaniny zostały zestawione ze sobą w krótkie spodenki. Na końcu blatu znajdowało się to, co zostało z pary sandałów.

Julie z Arendal w dniu zaginięcia miała na nogach sandały, ale nosiła buty w rozmiarze trzydziestym ósmym, natomiast Janne z Sarpsborga miała na sobie letnie obuwie, numer czterdziesty pierwszy. Możliwe, że były to sandały.

Obok blatów stał osuszacz ze stali nierdzewnej, na którym umieszczono wszystkie pozostałe przedmioty znalezione w studni. Szlam z dna zebrany w dużych plastikowych baliach przefiltrowano, dzięki czemu większe elementy zatrzymały się na osuszaczu, a muł zmieszany z ziemią został spłukany. Operacja przypominała przesiewanie złota.

Najbardziej interesującym znaleziskiem była moneta pięciokoronowa wybita w 1985 roku. Poza tym zebrano kilka zardzewiałych śrub i gwoździ pochodzących najprawdopodobniej z czasów budowy studni, jeden guzik i coś, co wyglądało na element długopisu.

Profesor nazywał się Mons Holgersen, miał gęste siwe włosy, grudkowaty nos, krzaczaste brwi i okulary na sznurku

zawieszonym wokół szyi.

– A więc tu go mamy – powiedział i nałożył okulary, po czym pochylił się nad szkieletem.

– Go? – powtórzył Wisting.

– O, tak! To mężczyzna.

Holgerson wyjął długopis z górnej kieszeni koszuli i wskazał na kości podbrzusza.

– Miednica jest zbudowana inaczej u obu płci. U kobiet jest bardziej pojemna niż u mężczyzn. Ściany boczne tej miednicy są wyraźnie lejkowate, natomiast u kobiety kanał miednicy jest niemal cylindryczny. Otwór jest większy i bardziej zaokrąglony, a kąt dopasowany tak, aby podczas porodu dziecko możliwie bezboleśnie mogło przecisnąć się przez kanał rodny.

Wokół blatu stało trzech śledczych. Oprócz Wistinga badaniu przyglądali się Nils Hammer i Espen Mortensen. Wszyscy trzej przyjęli informację o płci z wyraźnym powątpiewaniem.

– Zarówno wejście, jak i wyjście są u kobiety szersze – kontynuował profesor, wodząc długopisem wokół otworu w kości miednicy. – Przednia ściana miednicy jest niższa, a odległość między panewkami stawów biodrowych większa. Kość krzyżowa jest nieco szersza i krótsza, i mniej wygięta.

– Jest pan pewny? – dopytywał się Wisting.

– Absolutnie – odparł profesor i przesunął się w stronę klatki piersiowej.

– Budowa żeber jest także uwarunkowana płcią – wyjaśnił. – U kobiet żebra są bardziej zaokrąglone, a miękkie części chrzęstne mostka pozostają nienaruszone aż do podeszłego wieku. U mężczyzn kostnienie następuje wcześniej.

Pozwolili siwemu profesorowi zbadać szkielet, nie zadając mu więcej pytań. Holgerson podnosił niektóre kości, przyglądał im się pod światło i odkładał je z powrotem, zamienił miejscami kilka kręgów lędźwiowych i spoglądając znad okularów, studiował czaszkę pod różnymi kątami.

– Może pan określić, w jakim był wieku? – spytał po chwili Wisting. – Albo od jak dawna nie żyje?

Mons Holgerson zrobił krok do tyłu, zdjął okulary i przyjrzał się całemu szkieletowi.

– Był to z całą pewnością dorosły mężczyzna – skwitował. – W kwiecie wieku.

– Czterdziestoletni?

– Plus minusz dziesięć lat. Trzeba będzie przeprowadzić dodatkowe badanie kardiograficzne, zanim będę mógł powiedzieć coś więcej na temat dojrzałości szkieletu.

– Kiedy doszło do śmierci?

– To pytanie jest jeszcze trudniejsze. Datowanie chronometryczne może nie dostarczyć precyzyjnej odpowiedzi. Macie monetę. Jeśli znajdowała się w kieszeni ofiary, można założyć, że zwłoki wylądowały w studni po 1985. Sądząc po zmianach kostnych, szkielet musiał tam przeleżeć nawet piętnaście lat, więc śmierć nastąpiła po osiemdziesiątym piątym, ale prawdopodobnie przed... powiedzmy rokiem dwutysięcznym.

– Może pan powiedzieć coś więcej? Coś na temat wagi i wzrostu?

Profesor podniósł okulary, które wisiały wokół szyi, i przygryzł oprawki.

– Nic ponad to, że był normalny. Normalnego wzrostu. Wagę trudno określić.

Espen Mortensen podsumował dotychczasowe ustalenia:

– A więc jest to mężczyzna, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, który wylądował w studni, mając od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, i przeleżał tam od piętnastu do dwudziestu pięciu lat?

– To mało precyzyjne parametry – przyznał profesor – ale to wszystko, co nauka ma w tym momencie do zaoferowania.

Profesor wyłączył długopis, którego używał jako wskaźnika, i włożył go z powrotem do kieszeni koszuli.

– Łatwiej wytłumaczyć przyczynę zgonu – powiedział.

– Na co zmarł?

Siwy profesor ponownie nałożył okulary i podniósł czapkę. Obrócił ją dookoła i wskazał złamanie kości potylicznej przypominające pajęczą sieć.

– Jest to złamanie bez wzrostu kości – wyjaśnił. – Nie ma śladu, który świadczyłby o tym, że złamanie się zrasta. To

znaczy, że obrażenie nastąpiło w chwili śmierci.

– Czy mogło do niego dojść wskutek wpadnięcia do studni?
– spytał Hammer.

Profesor odłożył czaszkę na miejsce częścią twarzą do dołu.

– Jeśli nie było w niej wody – odparł, ściągając lateksowe rękawiczki. – Jednak zagęszczenie linii w miejscu złamania świadczy o tym, że mężczyzna został uderzony bardzo twardym narzędziem i to z ogromną siłą. To mógł być żelazny pręt albo coś podobnego.

Wodził wzrokiem po twarzach oficerów śledczych.

– Podejrzewacie, kim był ten człowiek? – spytał.

Wisting potrząsnął głową. Profesor wyjął znowu długopis.

– Tutaj jest coś, co może was zainteresować i pomóc w identyfikacji – powiedział i wskazał na kość lewego przedramienia. – To jest, zdaje się, stare złamanie. Zdjęcie rentgenowskie może to potwierdzić.

Wisting przejechał dłonią przez włosy.

– Okej – powiedział. – Dziękuję bardzo.

Profesor spojrzął na niego znad okularów.

– Coś mi się zdaje, że spodziewaliście się usłyszeć ode mnie coś zupełnie innego.

Po tym, jak szkielet został zapakowany do skrzyń i wywieziony na dalsze szczegółowe badania, śledczy zebrali się w sali konferencyjnej. Maggie Griffin odleciała z powrotem do Stanów, ale jej koledzy z FBI zostali.

John Bantam powiesił na krześle czarną marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

– Mężczyzna? – spytał i wziął do ręki jedno ze zdjęć kości znalezionych w studni.

– Mężczyzna – potwierdził Wisting. Uniósł pokrywkę pudełka z pizzą i poczęstował się zimnym kawałkiem ciasta z czymś, co przypominało bekon. – Chyba musimy przeanalizować wszystko jeszcze raz – powiedział. – Mamy listę kobiet, których zaginięcia, ściśle rzecz biorąc, nie wiążą się z naszą sprawą. Mamy ciało Boba Crabba z odciskami palców amerykańskiego seryjnego mordercy w wewnętrznej kieszeni marynarki i włosami kobiety w zaciśniętej dłoni. Do tego doszły zwłoki mężczyzny w wieku około czterdziestu lat, którego zamordowano mniej więcej dwadzieścia lat temu.

– Znaleźliście Jaskiniowca – stwierdził Donald Baker. – A raczej tego, pod kogo się teraz podszywa.

Wisting czekał, aż agent FBI wyjaśni, co ma na myśli.

– Prawdopodobnie jest to pierwsza ofiara Roberta Godwina w Norwegii. Starannie wybrana: bez rodziny, przyjaciół, kolegów z pracy i znajomych, którym by go brakowało lub którzy zwróciliby uwagę, że ktoś zajął jego miejsce i się pod niego podszywa.

– Jaskiniowiec – przytaknęła Wisting. – A więc to oznacza, że jeśli uda nam się zidentyfikować zwłoki ze studni, odnajdziemy Godwina?

– Jak to jest w ogóle możliwe? – zaprotestował Hammer. – Jak można nie zauważyć, że jedna osoba zajmuje miejsce

innej? Czy w ogóle istnieją aż tak anonimowi ludzie?

– Istnieją – odparł stanowczo Wisting. Pomyślał o Viggo Hansenie, który na pewno nie był jedynym człowiekiem w okolicy żyjącym w całkowitej izolacji, bez pracy i bliskich krewnych. Bez przyjaciół i jakiegokolwiek kontaktu z sąsiadami. Bez nikogo, kto mógłby przyjść z wizytą.

– Wstępna weryfikacja pozwoliła na okrojenie listy do czterdziestu sześciu nazwisk – poinformowała ich Torunn Borg, kładąc dłoń na pliku wydruków komputerowych leżących przed nią na stole. – Żadna z tych osób nie figuruje w rejestrze paszportowym, ale pracuję nad uzyskaniem dostępu do rejestru praw jazdy. Tak czy inaczej niedługo zaczniemy pukać do drzwi.

– Czy któryś z tych czterdziestu sześciu mężczyzn wykorzystuje w pracy chloroform? – spytał Mortensen.

– Z naszych ustaleń wynika, że nie – odparła Borg. – Zresztą większość osób z tej listy nie pracuje.

Christine Thiis odłożyła zdjęcie czaszki z charakterystycznymi pęknięciami przypominającymi pajęczynę.

– Możemy ustalić, kim jest ten człowiek?

– Identyfikacja polega zazwyczaj na potwierdzeniu hipotezy – wyjaśnił Wisting. – Dysponując listą osób, które zaginęły w interesującym nas przedziale czasowym, możemy szukać potwierdzenia przez porównanie uzębienia i DNA albo znaków szczególnych, takich jak tatuaże, blizny i znamiona, o ile ciało jest w dobrym stanie. W naszym przypadku chwilowo nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

– Mamy złamanie kości – przypomniał Mortensen. – Mężczyzna ze studni miał złamaną lewą kość przedramienia.

– I niby gdzie mielibyśmy zacząć szukać? – spytał Hammer. – Zakładając, że gość złamał rękę w dorosłym wieku, mielibyśmy sprawdzić wszystkie przypadki złamania ręki między 1970 a 1990. Wątpię, żeby w szpitalu mieli pod rękę rejestr przyjęć z tamtego okresu, nawet gdybyśmy uzyskali prawo wglądu w dokumentację medyczną.

Wisting przytaknął.

– Zostawmy to na razie – powiedział, wzdychając.

– Co z wątkiem rodzinnym? – dopytywała się Christine Thiis. – Znaleźliśmy jakichś potomków praprapradziadka Godwina?

– Okazuje się, że to nie jest wcale takie proste – odparła Torunn Borg, której zlecono również to zadanie. – Ale oczekuję jakiejś odpowiedzi najpóźniej do jutra.

– Czy ten jego przodek, który wyjechał do Ameryki, nie nazywał się Gustavsen? – chciał się upewnić Hammer. Przyciągnął do siebie kartki z nazwiskami leżące przed nią na stole. – Czyżby żadna z tych samotnych duszyczek nie nazywała się tak samo?

– Nie ma na liście żadnego Gustava ani Gustavsena – uśmiechnęła się Borg. – Jego nazwisko rodowe wygasa już w następnym pokoleniu.

Nieformalne spotkanie dobiegło końca. Wisting wrócił do swojego gabinetu. Odnalazł wstępny protokół z sekcji zwłok Crabba. Na niektórych zdjęciach dołączonych do protokołu zmarły mężczyzna miał ogoloną głowę, skóra z potylicy była odsunięta na bok, a rana wypłukana do czysta. Na czaszce widać było takie same pęknięcia, jak na tej, którą wyciągnięto z dna studni.

Odłożył papiery na bok i postanowił zrobić krok do tyłu. Musiał przemyśleć sprawę i pozwolić, żeby wszystkie szczegóły przeniknęły do świadomości. Zwykle szukał w myślach czegoś, co mogli przeoczyć w toku śledztwa. Tym razem szukał czegoś, co pomogłoby ruszyć sprawę z miejsca.

Najdziwniejsze z tego wszystkiego były włosy znalezione w zaciśniętej pięści Crabba. To odkrycie przeczyło dotychczasowym ustaleniom, a jednak musiało w jakiś sposób wiązać się ze zgromadzonym materiałem. Najprawdopodobniej istniało jakieś logiczne i naturalne wytłumaczenie tego faktu, ale w tym momencie Wistingowi nie przychodziło nic do głowy.

Od pół godziny siedział pogrążony w myślach, gdy nagle zadzwonił telefon. „Morten P., VG”.

W pierwszej chwili postanowił nie odbierać, ale ostatecznie nacisnął przycisk połączenia.

- Coś nowego w sprawie? – zapytał dziennikarz.
- W jakiej sprawie? – Wisting udał zdziwionego, próbując oddramatyzować pytanie.
- Ciało z plantacji choinek. Udało się je zidentyfikować?
- Nie.
- Dlaczego to tak długo trwa?
- O to musi pan zapytać patomorfologów.
- Próbowałem. Nabrali wody w usta.
- Miło to słyszeć.
- Ale naprawdę nie wiecie nic więcej?
- Ściśle rzecz biorąc, nie.

Wisting słyszał, że dziennikarz przegląda jakieś papiery.

– Dostaliśmy informację, że chodzi o Amerykanina, niejakiego Boba Crabba – powiedział. – Podobno latem wynajmował w Stavern mieszkanie, w którym zostawił swój bagaż.

Śledczy zaklął w duchu. Else Britt Gusland musiała zadzwonić pod anonimowy numer telefonu „VG”.

- Może pan to potwierdzić? – dziennikarz się nie poddawał.
- Wiemy o jego pobycie w Norwegii.
- Co tu robił?

– Z naszych ustaleń wynika, że próbował odnaleźć swoich norweskich krewnych – odparł Wisting, posługując się historią, którą sam Bob Crabb traktował jako przykrywkę. – Jego przodkowie wyemigrowali do Ameryki pod koniec dziewiętnastego wieku.

– Czy w gospodarstwie, na którego terenie znaleziono ciało, mieszkała jego rodzina?

- Tego nie wiem.
- Czy rodzina w Stanach zgłosiła jego zaginięcie?
- Crabb nie miał żadnej rodziny.

Wisting słyszał w słuchawce szelest papieru.

- Coś więcej o przyczynie jego zgonu?
- Jest jeszcze za wcześnie, żeby móc powiedzieć coś pewnego.

Dziennikarz zadawał kolejne pytania, wracał do tych, które zadał już wcześniej, drążył temat, ale Wisting wyszedł

z rozmowy bez większych kłamstw na koncie. Nie powiedział też nic, co następnego dnia mógłby przeczytać w nagłówkach.

Gdy tylko zakończył rozmowę, telefon znowu zadzwonił. „Leif Malm, Kripos”.

– Szwedzi mają pięć nazwisk – rzucił krótko tamten. – W Strömstad, Uddevalla, Trollhättan i dwa w Göteborgu. Już połączyli ze sobą te sprawy. Jeden ze śledczych z Rikskrim jest w drodze do Norwegii.

Line wzięła prysznic i znalazła strój, który bardziej nadawał się na randkę w barze w Farris Bad. Właściwie wybrała sukienkę, którą miała zamiar założyć w Wigilię.

Zanim się ubrała, usiadła przed komputerem w majtkach i biustonoszu. Przeniosła nowe zdjęcia z aparatu i wydrukowała stronę ze zdjęciem odnalezionym w bibliotece, przedstawiającym czterech młodych chłopców, którzy w 1967 roku zapobiegli pożarowi fabryki krewetek Reime'a. Potem odszukała stare listy podatkowe, z których korzystała na początku swojego dziennikarskiego śledztwa. Znajdowały się na nich nazwiska wszystkich mieszkańców gminy, którzy byli w tym samym wieku, co Viggo Hansen. Na liście nie figurował żaden Cato Tangen.

W Internecie znalazła wiele osób o tym samym imieniu i nazwisku, ale żadna z nich nie odpowiadała wiekiem mężczyźnie, który przechylał się nad kierownicą starego motoroweru.

Gdy wychodziła, ojca wciąż nie było w domu. W kuchni na stole zostawiła mu kartkę z wiadomością, że może wrócić późno.

Szła na spotkanie, nie oczekując niczego poza tym, że nie będzie miało żadnych konsekwencji. W randce z mężczyzną, którego nie spotka następnego dnia w redakcyjnej stołówce ani nie wpadnie na niego przypadkiem tydzień później w barze kawowym, było coś pociągającego. Czasem tęskniła za stałym związkiem, stabilizacją i poczuciem bezpieczeństwa, które się z nim wiąza. Ale w tamtym momencie czuła się cudownie na myśl o niezobowiązującej przygodzie, randce bez presji i niepotrzebnych komplikacji.

Do tej pory nie miała zbyt wielu partnerów. Najdłużej trwał jej związek z Tommym Kvantem. To, co ją w nim urzekło, to

jego niespożyta energia. Tommy nie potrafił usiedzieć na miejscu, miał w sobie ogromną siłę, czar i charyzmę. Gdy na początku znajomości skierował cały swój entuzjazm na nią, czuła się wspaniale. Zapominała przy nim o wszystkich codziennych problemach i żyła upojona szczęściem. Jednak po kilku miesiącach Tommy skierował swoją energię na inne obiekty. W weekendy uprawiał wspinaczkę wysokogórską i spływy górskimi rzekami. Zawsze tłumaczyła to sobie tym, że Tommy żyje chwilą. Sporty ekstremalne wymagały ogromnej koncentracji uwagi, co sprawiało, że nie mógł myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości. I wyglądało na to, że takie życie najbardziej mu odpowiada.

Wyszła z domu wcześniej, ponieważ po drodze miała zamiar odwiedzić Odda Wenera Ellefsena w Torstrand i stamtąd pojechać do hotelu.

Gdy parkowała samochód, dawny kolega z klasy Viggo Hansena stał przed otwartymi drzwiami do garażu. Właśnie wyciągał z bagażnika dwie torby reklamujące centrum handlowe po drugiej stronie szwedzkiej granicy.

– Witam ponownie – powiedziała go Line. – Był pan na zakupach?

– W Szwecji – odparł mężczyzna, kiwając głową. Postawił reklamówki na ziemi i zatrzasnął pokrywę bagażnika.

Line poczuła, że nie jest odpowiednio ubrana, żeby stać na mrozie i prowadzić rozmowę.

– Chciałabym, żeby rzucił pan okiem na zdjęcie, które przyniosłam – powiedziała, przechodząc od razu do rzeczy.

Odd Werner Ellefsen przekrzywił głowę.

– Próbuję skontaktować się z Cato Tangenem – wyjaśniła i pokazała zdjęcie sprzed uratowanej z pożaru fabryki krewetek.

– Nie potrafię pani pomóc – odparł szybko Ellefsen i zamknął bramę garażową.

– Nie wie pan, gdzie on teraz mieszka?

Skinął głową na zdjęcie, które Line trzymała w dłoniach.

– To było dawno temu – powiedział, podnosząc z ziemi torby z zakupami.

– Zimno – zauważył i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Line patrzyła, jak mężczyzna przekręca klucz w zamku, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Po chwili wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i tak nastawiła ogrzewanie, żeby strumień ciepłego powietrza owiewał jej stopy.

Zaparkowała tuż przy hotelu na parkingu długoterminowym. Było za piętnaście dziewiąta. Co prawda nie umówiła się z Amerykaninem na konkretną godzinę, ale miała wrażenie, że zjawiała się trochę za wcześnie. Siedziała w samochodzie z włączonym silnikiem. Postanowiła odszukać numer telefonu do Annie Nyhus. To ona opowiedziała jej o fabryce krewetek i Franku Iversenie. Wydawało się, że wie wszystko o tym, co działo się w sąsiedztwie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdy Viggo Hansen dorastał.

Starsza pani odebrała po dwóch sygnałach

– Jest coś jeszcze, w czym mogłabym pomóc? – spytała łagodnym tonem, gdy Line się przedstawiła.

– Próbuję odnaleźć mężczyznę o nazwisku Cato Tangen – odparła Line. – Znalazłam stare zdjęcie z 1967 roku, na którym chłopiec o tym nazwisku stoi obok Viggo Hansena na tle uratowanej z pożaru fabryki krewetek.

– Ależ, moja droga! Cato Tangen nie żyje. Zginął w wypadku motocyklowym w sześćdziesiątym ósmym.

Line zmarszczyła czoło i wzięła do ręki zdjęcie leżące na siedzeniu pasażera. To dziwne, że Odd Werner Ellefsen nie wiedział o wypadku.

– Na tym zdjęciu jest jeszcze jeden chłopiec – odezwała się po chwili. – Znała pani Odda Wenera Ellefsena?

– Młodego Ellefsena? Oczywiście. Nora i Peter przygarnęli go w połowie lat pięćdziesiątych. Oboje pracowali w fabryce zapalek w Agnes i nie mieli własnych dzieci.

– To znaczy, że go adoptowali?

– Tak. Matka Odda Wenera zmarła kilka miesięcy po porodzie – paplała dalej Annie Nyhus. – Ojcem był brat Petera. Sigurd, tak miał na imię. Wiercił studnie, ale rozpił się, zaniedbując pracę i dziecko. Nie potrafił zaopiekować się synem, więc Nora i Peter zabrali małego do siebie. To był

dziwny dzieciak, pod każdym względem. Ale nie najlepiej zaczęło mu się życie, co prawda to prawda. To on podpalił tę fabrykę krewetek, chociaż tej sprawy nigdy do końca nie wyjaśniono.

– To on podpalił fabrykę?

– Zrzucili winę na Olego Szwaba, ale to nie był on. Szkody nie były duże, ale gdy cztery lata później ojciec Odda Wenera, Sigurd, zginął w płomieniach, wiele osób pomyślało swoje.

– Co się stało?

– Nikt tego tak naprawdę nie wie. Sigurd mieszkał w Agnes, w jednym z mieszkań pracowniczych, i pewnej nocy zginął w pożarze domu. To było w 1971. Odd Werner miał dwadzieścia jeden lat. Przez te wszystkie lata nie utrzymywał kontaktów z ojcem, ale w wieczór przed pożarem był tam. Sąsiedzi słyszeli, jak się z nim kłócił.

Line odłożyła zdjęcie czterech chłopców. Może nie ma w tym nic dziwnego, pomyślała, że Odd Werner Ellefsen nie był zbyt rozmowny, jeśli to on wzniecił pożar w fabryce.

– Czy Nora i Peter jeszcze żyją?

– Nie. I to też była tragedia. Peter utonął, łowiąc ryby na lodzie w tym samym roku, w którym jego brat zginął w płomieniach. Nora rozchorowała się i zmarła następnego lata.

– Więc Odd Werner został sam?

– Był już wtedy dorosły, ale wydaje mi się, że nigdy nie miał żadnej dziewczyny. W każdym razie dopóki mieszkał w Stavern. Potem przeprowadził się do Larviku. Ale jak już mówiłam: to był dziwny chłopak.

Line podziękowała za rozmowę, wyłączyła silnik i podeszła do parkometru. Wrzuciła do niego trzydzieści koron, wystarczająco dużo, żeby samochód mógł stać na parkingu do za siedem pierwsza w nocy. Jednak zamiast nacisnąć przycisk i wydrukować bilet, pobiegła truchtem do auta i wyjęła wszystkie monety, które leżały w konsoli centralnej. Po wrzuceniu ich do automatu samochód mógł stać do dziewiątej pięćdziesiąt pięć.

John Bantam siedział w tym samym miejscu, co ostatnim razem. Gdy weszła, podniósł się, wziął ją za rękę i przyjrzał się jej dokładnie, a potem przechylił się i pocałował ją lekko w policzek. Poczowała słaby zapach męskich perfum.

– Jadłaś już? – spytał.

Potrząsnęła głową. Nagle dotarło do niej, że rzeczywiście jest bardzo głodna.

Kierownik sali znalazł dla nich stolik przy oknie. John Bantam odsunął jej krzesło i zaczął, aż Line usiądzie wygodnie, i dopiero wtedy zajął miejsce naprzeciwko niej. Line nie pamiętała, kiedy ostatni raz była na randce z równie szarmanckim mężczyzną.

John Bantam otworzył menu.

– Cieszę się, że zgodziłaś się ze mną spotkać – powiedział. – Miło jest móc oderwać się od pracy.

– Na czym polega twoja praca? – spytała.

– Jestem analitykiem – wyjaśnił.

– Co analizujesz?

– Informacje. Zajmuję się głównie pozyskiwaniem danych i informacji dla sektora publicznego. I próbuję je ze sobą powiązać. – Uśmiechnął się. – Ale teraz mam wolne.

Line odwzajemniła uśmiech. Ona również nie miała ochoty rozmawiać o swojej pracy. Rozmowa o wszystkim i o niczym była typowa dla pierwszej randki. Jak rozmowa o pogodzie.

Zaproponował jej pieczoną płastugę jako przystawkę i pierś kaczki jako danie główne.

– Nie będziesz dzisiaj prowadzić? – spytał, spoglądając na kartę win.

Pokręciła głową.

– To dobrze – odpowiedział i zamówił butelkę białego argentyńskiego wina. – Lecią tutaj prawie tak długo, jak ja.

Zabawiał ją rozmową. Poruszał wszystkie możliwe tematy, od muzyki i filmu do amerykańskiej polityki. Opowiadał anegdoty o ludziach, których spotkał, i miejscach, które udało mu się zwiedzić.

Po daniu głównym zamówił dla nich mus czekoladowy i jeszcze jedną butelkę wina.

Dwie godziny później byli w jego pokoju na najwyższym piętrze, którego okna wychodziły na morze. Mroźny krajobraz połyskiwał w świetle księżyca. Na horyzoncie zbierały się ciemne chmury.

– Pogoda się zmienia – powiedział. – Jutro mróz zelżeje.

W jego głosie słyhać było lekkie wahanie, jakby nie czuł się zbyt pewnie.

Podszedł do niej i przytulił twarz do zagłębienia w jej szyi. Objęła go ramionami i przycisnęła do siebie. Nagle odsunął ją od siebie i spojrzał na nią. W jego oczach odbijało się światło księżyca.

– Przyniosę nam jeszcze coś do picia.

To nie było konieczne, ale nie zaprotestowała. Korzystając z okazji, poszła do łazienki, wyjęła z torebki telefon komórkowy i wysłała ojcu krótkiego esemesa. „Coś mnie zatrzymało. Wrócę jutro”. Nie musiała zawiadamiać ojca, ale uznała, że dopóki u niego mieszka, powinna go uprzedzić, że nie wróci na noc. Wiedziała, że ojciec niepokoiłby się o nią, a ostatnio i bez tego miał wystarczająco dużo zmartwień.

Telefon komórkowy odezwał się w chwili, gdy Wisting wjeżdżał na podjazd przed domem. Wyjął kluczyki ze stacyjki i wygrzebał komórkę z kieszeni. To była wiadomość od Line. Uprzedzała, że nie wróci na noc. Odpisał „OK”, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Dookoła panowała cisza. Niebo było usiane gwiazdami, księżyc świecił pełnym blaskiem. Uginające się pod ciężarem śniegu drzewa rzucały na ziemię blade cienie.

Wszedł do pustego domu, powiesił kurtkę, zdjął buty i ruszył prosto do kuchni. Otworzył lodówkę i zaczął szukać czegoś, co zaspokoi głód, ale nie będzie wymagało długiego przygotowania. Skończyło się na jogurcie z otrębami pszennymi i jabłku.

Po jedzeniu poszedł do łazienki, rozebrał się i wziął do ręki szczoteczkę do zębów. Przez chwilę stał i przyglądał się nagiemu ciału, które odbijało się w lustrze. Wciągnął brzuch, żeby zobaczyć, czy znajdzie ślady swojej młodszej i bardziej atletycznej wersji, ale szybko wypuścił powietrze i pozwolił, żeby brzuch wrócił do swojego naturalnego kształtu. Westchnął, wyłączył światło i wskoczył pod kołdrę. Już zasypiał, gdy zadzwonił telefon.

Komórka była podłączona do ładowarki i leżała na nocnym stoliku. Chwycił ją i nacisnął przycisk połączenia, zanim zobaczył, że na wyświetlaczu pojawił się napis: „Morten P., VG”.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – tłumaczył się dziennikarz.

Wisting wychrzakał coś w odpowiedzi.

– Za godzinę dajemy materiał do druku – kontynuował dziennikarz – a pojawiło się coś, co chciałem przedtem z panem omówić. Skontaktowaliśmy się z policją w Minneapolis, skąd pochodził Bob Crabb. Potwierdzili, że to jego zwłoki znaleziono w Halle i że na wniosek norweskiej

policji przeszukali jego mieszkanie w Stanach.

– Tak? – To było wszystko, co Wisting był w stanie z siebie wydusić.

– O co tu chodzi? Informacje, które posiadamy, świadczą o tym, że tej sprawie przyznano najwyższy priorytet i to we wszystkich ogniach: w miejscowej policji, w Kripos, w Interpolu i w trzecim komisariacie policji w Minneapolis. Ale z tego, co udało nam się ustalić, ten cały Bob Crabb był tylko emerytowanym wykładowcą na uniwersytecie w Minnesocie.

– Profesorem – poprawił go Wisting, zadowolony z tego, że dziennikarz na razie nie wie o współpracy z FBI.

– Chodzi mi o to, że uruchomiono potężną machinę, zaangażowano mnóstwo ludzi. Rozumiałbym, gdyby sprawa dotyczyła wysoko postawionego urzędnika albo gwiazdy Hollywood, ale emeryta spędzającego wakacje w Norwegii?

Umysł Wistinga pracował na zwolnionych obrotach. Odbierał już wiele podobnych telefonów od dziennikarzy konfrontujących go z informacjami, których ze względu na dobro śledztwa woleli nie ujawniać. Był przyzwyczajony do improwizowania i udzielania odpowiedzi, które były tak wymijające, że graniczyły z kłamstwem. Ale teraz jego mózg był wyschnięty na wiór i Wisting nie był w stanie wykrzusić z siebie słowa. Zaszleściły kartki.

– Po artykule w dzisiejszej gazecie skontaktowaliśmy się z wykładowcą akademickim o nazwisku Endre Jacobsen. To on i jego syn znaleźli ciało, gdy przyszli wyciąć choinkę. Mężczyzna jest pewny na sto procent, że zwłoki były starannie ukryte pod gałęziami i że zmarły nie mógł sam się tak położyć ani upaść w ten konkretny sposób wskutek nieszczęśliwego wypadku.

– Tak? – powtórzył Wisting.

– Rozumiem, że nie może pan zdradzić żadnych szczegółów – ciągnął dziennikarz – ale czy prowadzicie śledztwo w sprawie o zabójstwo, czy nie?

Wisting oczyścił gardło i otworzył usta, żeby udzielić dziennikarzowi standardowej odpowiedzi, że na tym etapie śledztwa nie wykluczają żadnej możliwości, gdy nagle jego

mózg podjął pracę. Morten P. kontaktował się z amerykańską policją. Z jego pomocą czy bez niej napisze kolejny artykuł na ten temat. Teraz Wisting miał okazję wpłynąć na jego kształt.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie o zabójstwo – potwierdził i pomyślał, że właśnie to może pchnąć śledztwo do przodu. Wszystko, co wiedzieli na temat pobytu Boba Crabba w Norwegii, opierało się na wyjaśnieniach złożonych przez kobietę, która wynajmowała mu mieszkanie. Potrzebowali więcej informacji. Gdzieś musiał się przecież znajdować punkt styczny między amerykańskim profesorem a Robertem Godwinem.

– Ostatni raz był widziany w środę dziesiątego sierpnia w restauracji „Skipperstua” w centrum Stavern, w porze obiadowej – mówił dalej. – To ostatnia pewna obserwacja. Staramy się ustalić, co Bob Crabb robił podczas swojego pobytu w Norwegii.

– Macie już jakieś przypuszczenia dotyczące motywu? – W głosie dziennikarza było słycać napięcie. Musiał wyczuć, że sprawa zrobiła się poważna.

– Nic konkretnego.

– Dlaczego tak długo ukrywaliście tę informację?

– Chcieliśmy mieć pewność, że chodzi o zabójstwo.

– I niczego więcej nie ukrywacie?

– W takiej sprawie jak ta nigdy nie mówimy wszystkiego, ale od popełnienia przestępstwa minęły cztery miesiące, co znacznie komplikuje śledztwo. Zwłaszcza patolodzy i technicy kryminalistyki mają utrudnione zadanie. Dlatego mamy nadzieję, że zgłoszą się świadkowie, którzy pomogą nam ustalić przebieg zdarzenia.

Dziennikarz miał w zanadru więcej pytań, ale nagle zaczął się niecierpliwić i szybko zakończył rozmowę. Prawdopodobnie przypomniał sobie, że musi dostarczyć materiał na czas.

Wisting przez chwilę leżał na plecach i przyglądał się cieniom rzucanym przez światło księżyca, które powoli przesuwały się po ścianie i suficie. Sprawa nabiera tempa, pomyślał. Nagle w pokoju zrobiło się ciemno. Niska granatowa chmura zakryła księżyc.

W nocy zmieniła się pogoda. Mróz złagodniał i kiedy Wisting parkował samochód na tyłach budynku policji, spadły pierwsze płatki śniegu.

Wchodząc do środka, spotkał Christine Thiis, która trzymała w ręce egzemplarz „VG”.

– Chyba powinniśmy o tym porozmawiać? – odezwała się nieco oschłym tonem, unosząc złożoną gazetę.

Thiis odpowiadała za prowadzoną sprawę od strony prawnej. Formalnie rzecz biorąc, wszystkie wystąpienia medialne powinny odbywać się za jej pośrednictwem, a przynajmniej być z nią wcześniej uzgadniane.

Przyznał jej rację i wyjaśnił, że nie miał kiedy jej o tym powiedzieć.

– I tak zrobiliby z tego sprawę – powiedział, otwierając przed nią drzwi. – Z naszą pomocą lub bez niej. Uznałem, że należy spróbować rozegrać to na naszych zasadach.

Thiis przytaknęła. Pracowała na etacie adwokata policyjnego dopiero od dwóch lat i starała się nie krytykować doświadczonych oficerów śledczych. Poza tym nie należała do osób, dla których najważniejsze były formalności i procedury.

Leif Malm uprzedził ich, że zjawi się o dziesiątej razem ze śledczym ze szwedzkiego Rikskrim. Z tego powodu Wisting skrócił poranną odprawę. Najpierw zapoznał kolegów z najnowszymi ustaleniami po szwedzkiej stronie granicy i poprosił Nilsa Hammera i Espena Mortensena, żeby wzięli udział w spotkaniu ze szwedzkim śledczym. Następnie wyjaśnił, jak doszło do opublikowania artykułu w „VG”, w którym zamieszczono zdjęcie profesora Boba Crabba i przytoczono słowa Wistinga dotyczące trwającego dochodzenia w sprawie o zabójstwo.

Młodszy agent FBI nie zjawił się na odprawie, ale z miny

Donalda Bakera Wisting wyczytał, że nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby go spłoszyć – przypomniał Baker, nie kierując bezpośrednio krytyki pod adresem swojego norweskiego kolegi.

– Policja w Minneapolis i tak już potwierdziła większość tych informacji – zauważył Wisting. – A poza tym publikacja artykułu może przynieść nam jakąś wymierną korzyść.

Hammer przyjrzał się zdjęciu Crabba.

– Wątpię, żeby ktoś go sobie przypomniał po czterech miesiącach. W końcu było lato, środek sezonu.

Thiis ucięła dalszą dyskusję.

– Przychyłam się do opinii Williama – oznajmiła. – Nie możemy w nieskończoność wodzić dziennikarzy za nos. Sprawa została załatwiona prawidłowo i być może przyniesie jakiś skutek.

Wisting był wdzięczny za wsparcie, ale wolałby uniknąć rozgłosu. Wiedział, że wkrótce śledztwem zainteresują się kolejne media i nowi dziennikarze. Prawdopodobnie było już tylko kwestią czasu, kiedy obecność agentów FBI wyjdzie na jaw.

– Poproszę rzecznika prasowego, żeby zjawił się u nas – ciągnęła Thiis. – I żeby wziął na siebie dziennikarzy, dawkując im odpowiednio informacje.

– Przed nami dużo pracy – zmienił temat Wisting. – Torunn przygotowała listę czterdziestu sześciu nazwisk. Najwyższy czas przystąpić do bardziej zdecydowanego działania. Proponuję, żebyśmy brali ze sobą zdjęcie Boba Crabba, pukali do drzwi i pytali, czy widziano go latem w okolicy. To będzie wyglądało na rutynową akcję policji, rozpoznanie posesyjne. Chodzi o to, żeby na podstawie rozmowy wysondować, czy można tych ludzi wykluczyć z kręgu podejrzanych, czy należy im się dokładniej przyjrzeć.

Wstał, dając znać, że odprawa dobiegła końca. Część praktyczną pozostawił Torunn Borg.

– I pamiętajcie – dodał – że chodźcie parami. Możecie trafić na tego, którego szukamy.

Po krótkiej naradzie Wisting udał się do swojego gabinetu, w którym przesiadywał ostatnio do późnej nocy, studiując akta dwunastu spraw zaginięć. Nie wystarczyło mu zapoznanie się z protokołami z podjętych czynności dochodzeniowych. Wczytywał się w każdy dokument w poszukiwaniu powtarzających się szczegółów, które mogły tworzyć jakiś schemat działania. Sprawdzał, czy zaobserwowano taki sam rodzaj pojazdu lub czy rysopisy podawane przez świadków pokrywają się ze sobą.

To, co naprowadziło amerykańskich śledczych na trop słynnego seryjnego mordercy, Teda Bundy'ego, to właśnie powtarzające się obserwacje świadków zdarzeń, którzy zwrócili uwagę na młodego mężczyznę z ręką na temblaku. W ten sposób morderca nawiązywał kontakt ze swoimi ofiarami. Pod pretekstem złamanej ręki prosił o pomoc w wykonaniu jakiejś drobnej praktycznej czynności, na przykład włożenia zakupów do samochodu. Poza tym z ręką na temblaku wydawał się całkiem niegroźny.

Wisting odchylił się w fotelu. Tej części policyjnej pracy nie można było powierzyć komputerowi. Chodziło bowiem o to, żeby wchłonąć każdy nawet najmniejszy szczegół i odnaleźć to coś, co sprawi, że wszystkie elementy układanki znajdą się na swoim miejscu. Problem polegał na tym, że nie wiedział, czego szukać. Nie miał nawet pewności, czy taki powtarzający się detal istnieje, a nawet jeśli tak, to nie był pewny, czy od razu go rozpozna. Pocieszał się jednak, że wszystkie informacje, które przyswoi, będą drażyły jego podświadomość i w końcu jedno zdanie, wycytane w którymś z protokołów sprawy, że nagle wszystko stanie się jasne.

Tymczasem jedyną rzeczą, jaką do tej pory odnalazł, przeglądając stosy dokumentów, była duża rozbieżność poczynionych obserwacji. Co prawda wszystkie kobiety zniknęły w drugiej połowie roku, lecz w różne dni tygodnia, o różnej porze i w różnych miejscach. Niektóre wracały z pracy do domu, inne szły do szkoły lub na spotkanie z przyjaciółmi. Jedynym wspólnym mianownikiem było to, że w chwili zaginięcia znajdowały się w pobliżu autostrady, w miejscu

o dużym natężeniu ruchu.

Przeniósł wzrok na mapę z twarzami kobiet. Usunął zdjęcie ciemnowłosej dziewczyny z Oslo, z kolczykiem w brwi, i Diany z Drammen, pozostawiając fotografii dziesięciu blondynek.

Obok wykazu domniemanych ofiar wisiała mapa okręgu policyjnego. Od zachodu graniczył z Telemarkiem, od północy z Lardal i środkową częścią Vestfold, a od wschodu z Andebu i Sandefjord. Nie więcej niż pięćset kilometrów kwadratowych. Około czterdziestu trzech tysięcy mieszkańców.

Wstał i podszedł do mapy. Wziął ze sobą długopis i odszukał gospodarstwo, w którym na dnie studni ujawnili ludzki szkielet. Otoczył to miejsce pętlą. Natomiast tam, gdzie zabezpieczyli dwie puste studnie, postawił krzyżyk.

Czuł, że coś zaczyna mu świtać. W każdym gospodarstwie jest studnia, powiedział Mortensen, zanim zidentyfikowali trzy miejsca sfotografowane przez Boba Crabba. Wisting miał wrażenie, że to zdanie uruchomiło kostki domina. Było jak lampa, która oświetliła zakamarki umysłu.

Wrócił do biurka i odszukał wyjaśnienia złożone przez Pera Hallego, właściciela plantacji choinek, na której znaleziono zwłoki. Wśród danych personalnych znajdujących się we wstępnej części protokołu odnalazł jego numer telefonu. Przedstawił się i powiedział:

– Tylko jedno krótkie pytanie: czy mają państwo studnię?

Mężczyzna po drugiej stronie odpowiedział po chwili wahania.

– Owszem, ale nie jest obecnie używana.

Obudził ją szum wody spod prysznica. Podniosła się na łóżku, przez chwilę kołysała się na wyjątkowo miękkim materacu, po czym opuściła głowę z powrotem na poduszkę. Obudzić się w obcym pokoju hotelowym – to było dla niej nowe doświadczenie, ale nie czuła się z tym źle.

Dźwięki dobiegające z łazienki ucichły. Słyszała za to inne, trudne do zdefiniowania odgłosy, zanim John wszedł do sypialni przepasany ręcznikiem. Z włosów ściekała mu woda.

– Nie śpisz już? – uśmiechnął się.

Usiadła na łóżku i owinęła się kołdrą, chociaż kilka godzin wcześniej nie była aż tak zawstydzona. John podszedł do niej, pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją.

– Przepraszam – powiedział – ale mam ważne spotkanie. Nie gniewasz się?

W odpowiedzi posłała mu uśmiech. To, że musiał wyjechać, właściwie było jej na rękę. Nie miała tu innego ubrania poza tym, w którym zjawiała się poprzedniego wieczoru, i wolała zostać sama, żeby móc spokojnie przygotować się do wyjścia.

– To może być długi dzień – mówił dalej. – Ale mam nadzieję, że wieczorem się spotkamy. Może oprowadzisz mnie po swoim rodzinnym mieście?

– Ja też muszę iść do pracy – odpowiedziała. – Ale wyślij mi esemesa, jeśli wpadniesz na jakiś pomysł.

– Wyślę – zapewnił ją i znowu zniknął w łazience. Pięć minut później miał na sobie białą koszulę, krawat i ciemny garnitur. Podszedł do łóżka i pocałował Line na pożegnanie. Tym razem pachniał pastą do zębów. Idąc do drzwi, zabrał ze sobą zawieszkę na klamkę „Proszę nie przeszkadzać”.

– Leż tak długo, jak masz ochotę – powiedział i wyszedł.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Line odrzuciła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka. Poprzedniego dnia nie zaciągnęli

zasłon. Znowu zaczął padać śnieg. Białe płatki unosiły się w powietrzu, zasłaniając niebo miękkim, matowym welonem.

Podniosła z podłogi majtki i poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Namydliła się, zamknęła oczy i skierowała twarz w stronę ciepłego strumienia. Opierała się plecami o gładkie białe kafelki, pozwalając, żeby woda opłukiwała jej ciało. Nie spieszyła się. Wróciła myślami do poprzedniego wieczoru i nocy. Niczego nie żałowała. Potem przypomniał jej się Viggo Hansen i sprawa, nad którą pracowała.

Zakręciła wodę, znalazła ręcznik i zaczęła się wycierać. Włożyła majtki, przechyliła się nad zlewem i wytarła dłonią parę, która osiadła na lustrze. Zanim pokryła je nowa warstwa, zobaczyła wyraźnie swoją uśmiechniętą twarz.

Obok zlewu stała kosmetyczka Johna Bantama. Jej wzrok padł na legitymację leżącą między tubką pasty do zębów a dezodorantem. Znajdowało się na niej zdjęcie mężczyzny, z którym spędziła noc, ale nie to przykuło jej uwagę, lecz znajdujące się obok litery. FBI.

Wzięła legitymację do ręki i przyjrzała jej się z bliska.

„Agent specjalny John Bantam. Federalne Biuro Śledcze, Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych”.

Zrobiła krok do tyłu, trzymając kurczowo jego legitymację służbową. Czowała, że przechodzi ją zimny dreszcz.

Powiedział, że jest analitykiem. Że jego praca polega na zdobywaniu informacji dla sektora publicznego i na przyglądaniu się im w szerszym kontekście.

Myśli kłębiły jej się w głowie. John Bantam pracował dla FBI. Co robił w Norwegii? Jakie otrzymał zadanie?

Wiele drobnych elementów połączyło się nagle w jedną całość i urosło do gigantycznych rozmiarów. Sprawa, o której ojciec nie chciał rozmawiać. Sandersen, który dzwonił z działu informacyjnego z wiadomością, że lekarzom medycyny sądowej zlecono nadprogramową sekcję zwłok. Ekipa techników kryminalistyki z Kripos, którzy byli w stanie podwyższonej gotowości. W tym wszystkim chodziło o mężczyznę, którego ciało znaleziono na plantacji choinek przy gospodarstwie Halle. Nie wiedziała, co się dzieje, ale czuła, że sprawa jest poważna.

Policja prowadziła śledztwo, w które zaangażowano agenta specjalnego FBI. Wszystko zaczynało łączyć się w logiczną całość.

Poczuła, że serce zamiera jej w piersi. Zrobiło jej się słabo i niedobrze.

Wyszła z łazienki, odszukała torebkę i wyjęła z niej telefon komórkowy. W nocy rozładowała się bateria. Zresztą Line i tak nie wiedziała, do kogo miałyby zadzwonić. Do ojca czy do Sandersena. Najwyraźniej coś było na rzeczy. Jakaś grubsza sprawa. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz FBI udzielało pomocy lub współpracowało z norweską policją. *Krzyk* i *Madonna* znalazły się na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez FBI dzieł sztuki po tym, jak zostały skradzione z Muzeum Muncha, ale Line nie pamiętała, żeby FBI angażowało się w jakiegokolwiek śledztwo prowadzone na terenie Norwegii.

Ubrała się. Wychodząc z hotelu, miała wciąż mokre włosy. Samochód przykrywała warstwa świeżego śniegu. Oczyszczyła przednią szybę, rzuciła torebkę na siedzenie pasażera i usiadła za kierownicą.

Pod maską coś zabrzęczało i zatrzeszczało, zanim silnik zapalił i wyrównał obroty. Z wentylatorów leciało do wnętrza zimne powietrze.

Pochyliła głowę, żeby móc patrzeć przez szczelinę w warstwie lodu u dołu przedniej szyby.

Po kilkuset metrach silnik zaczął się krztusić. Rzęził gorzej niż zwykle. Igła prędkościomierza spadła z sześćdziesięciu do pięćdziesięciu. Wypróbowała stary trik, dociskając maksymalnie pedał gazu. Przez chwilę silnik pracował normalnie, a prędkościomierz wskazywał czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Ale potem silnik znowu zaczął prychać. Kolejny raz wcisnęła pedał gazu w podłogę, ale nic to nie dało. Samochód trząśł się i szarpał nią do przodu i do tyłu. Lampki kontrolne zaczęły migać, prędkość spadła niemal do zera. Tamowała ruch. Cudem udało jej się zjechać do zatoki autobusowej. Gdy podniosła stopę z pedału gazu, żeby zahamować, samochód szarpnął ostatni raz i stanął.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Rozrusznik kręcił się powoli, ale z komory silnika wydobywały się jedynie zgrzyty i piski.

Przekręciła kluczyk, wyjmowała go i wkładała do stacyjki wiele razy, dociskała maksymalnie pedał gazu. Jedyne, co osiągnęła, to to, że wycieraczki samochodowe poruszyły się i zatrzymały w połowie przedniej szyby.

Czuła, jak pot występuje jej na czoło.

– No, dalej! – powiedziała na głos i po raz kolejny przekręciła kluczyk w stacyjce, wciskając jednocześnie pedał gazu, ale bez rezultatu.

Siedziała z rękami na kierownicy i patrzyła przed siebie. Szary ciężki śnieg zaczął osiadać na przedniej szybie.

Nie była odpowiednio ubrana, żeby iść pieszo. Przejrzała zawartość schowka i konsoli w poszukiwaniu ładowarki do telefonu komórkowego, ale jej nie znalazła. W kieszeni na akcesoria leżała jadownie żółta kamizelka odblaskowa, wciąż jeszcze zapakowana w przezroczystą folię. Włożyła ją na siebie i wysiadła z samochodu. Czuła się idiotycznie. Przy odrobinie szczęścia niedługo będzie tędy przejeżdżał ktoś, kto mnie zna i podwiezie mnie do domu, pomyślała.

Stała za samochodem, podniosła pokrywę bagażnika i wyjęła trójkąt ostrzegawczy. Nigdy wcześniej go nie używała i chwilę męczyła się z jego montażem. Gdy odwróciła się, żeby umieścić go na drodze, do zatoki autobusowej zjechał jakiś samochód. Zatrzymał się tuż za jej autem. Ze środka wysiadł kierowca i zapytał:

– Potrzebuje pani pomocy?

W pierwszej chwili ucieszyła się, widząc znajomą twarz. Ale gdy zobaczyła jego mroczne spojrzenie, zrozumiała, że stanie się coś bardzo złego.

Śledczy z Rikskriminalpolisen nazywał się Ingemar Bergquist i był komisarzem kryminalnym, czyli miał jeden z najwyższych tytułów, jakie można uzyskać w szwedzkiej hierarchii policyjnej. Był to poważny mężczyzna koło pięćdziesiątki o falujących, czarnych włosach, które zdaniem Wistinga musiały być tupecikiem. Miał ze sobą pięć grubych teczek z dokumentami, które położył na stole jedną na drugiej.

Poza Wistingiem wokół stołu zajęło miejsce sześć osób. Leif Malm z Kripos siedział obok swojego szwedzkiego kolegi. Poza tym byli tam Christine Thiis, Espen Mortensen, Donald Baker i John Bantam, który chwilę wcześniej wbiegł zdyszany do sali.

Wisting chciał mieć przy boku Nilsa Hammera, ale wysłał go na plantację choinek w Halle, żeby zlokalizował studnię leżącą pięćdziesiąt metrów od miejsca znalezienia zwłok Boba Crabba.

Najpierw Baker zreferował wyniki śledztwa prowadzonego dwadzieścia lat temu przez FBI. Potem Wisting w kilku zdaniach streścił ich własną sprawę. Zaczął od ciała znalezionego między choinkami, potem wspomniał o broszurze z odciskami palców Roberta Godwina, o włosach kobiety w zaciśniętej dłoni denata i o liście zaginionych dziewcząt.

– Włosy kobiety? – spytał szwedzki komisarz. – Jesteście tego absolutnie pewni?

– Przeprowadziliśmy dwie niezależne analizy – wyjaśnił Mortensen. – Wynik jest jednoznaczny.

Ingemar Bergquist potrząsnął głową z niedowierzaniem. Sztywne włosy poruszyły się w nienaturalny sposób.

– Jak to możliwe? – chciał się dowiedzieć.

– Peruka – rzucił Wisting.

Słowo padło z jego ust w tym samym momencie, w którym doznał objawienia.

– Robert Godwin najprawdopodobniej zmienił swój wygląd

– wyjaśnił szybko. – Dotyczy to również jego włosów. Korzysta z peruki albo tupecika. Do ich produkcji używa się naturalnych włosów. Biedne kobiety z Europy Wschodniej i Indii sprzedają je perukarzom.

Mortensen przyglądał mu się z otwartymi ustami, ale po chwili zamknął je i skinął głową.

– To może być wytłumaczenie – zgodził się.

Wisting znowu oddał głos Bakerowi, którzy przedstawił pochodzenie Roberta Godwina oraz teorię, która wyjaśniała, dlaczego zbiegł właśnie do Skandynawii i w jaki sposób podszył się pod inną osobę.

– Jaskiniowiec – skwitował Bergquist, smakując wypowiedziane słowo. – Interesujące.

– Próbujemy prowadzić tę sprawę dwutorowo – ciągnął Wisting. – Po pierwsze staramy się ustalić tożsamość osoby, pod którą podszył się Godwin. Po drugie sądzimy, że wybrał nasz okręg, ponieważ stąd pochodzą jego przodkowie. Tym samym tropem podążał przez lata Bob Crabb. Przypuszczamy, że Godwin mógł wrócić do swoich korzeni, i dlatego sporządzamy listę jego krewnych, którzy zostali w Norwegii, po tym jak jeden z jego przodków wyemigrował do Ameryki.

Szwedzki komisarz policji przez cały czas robił notatki. Po wystąpieniu Wistinga przyszła kolej na niego.

– Dwudziestego siódmego lipca 1996 roku zaginęła Agneta Gunnarson – zaczął i położył na stole zdjęcie młodej kobiety. Jej jasne włosy były związane w koński ogon włochatą gumką.

– Tego dnia przed południem pojechała autobusem do galerii handlowej Torp, oddalonej siedem kilometrów od centrum Uddevalla. Ostatni raz kamery monitoringu zarejestrowały ją przed sklepem H&M o godzinie piętnastej dwadzieścia trzy.

Przedstawił następne zdjęcie. Kolejna młoda blondynka.

– Sonia Thuv – powiedział. – Ostatni raz widziana była w pobliżu kempingu Daftö na przedmieściach Strömstad. Dorabiała w wakacje w tamtejszym kiosku. Wieczorem 4 sierpnia 1990 roku zamknęła kiosk, ale nigdy nie dotarła po pracy do domu.

Trzecia kobieta nazywała się Lisbeth Larsson i pochodziła

z Göteborga.

– Wieczorem 11 czerwca 2002 roku podróżowała autostopem do Kungsbacka. Ostatni raz widziano ją na skrzyżowaniu w pobliżu Mölndal, na południe od Göteborga.

– My też mamy autostopowiczkę – wtrącił Mortensen.

– Wiele spośród ofiar w Minnesocie również podróżowało autostopem – potwierdził Baker.

– Anja Lundgren także próbowała złapać stopa – wyjaśnił Bergquist, pokazując zdjęcie z monitoringu z datą 28 czerwca 2008 roku. – Po raz ostatni widziana przez świadka na stacji Q8 na Hisings Backa na północ od Göteborga.

Szwedzki śledczy odsunął zdjęcia na bok i położył przed sobą plakat ze zdjęciem osoby zaginionej, które przedstawiało krótkowłosą dziewczynę przed dwudziestką, o dużych niebieskich oczach i z pigami na nosie.

– A tego lata zaginęła Kikki Lindén – kontynuował. – Jej rower znaleziono za wiatą autobusową na północ od Trollhättan.

Wisting wziął zdjęcie do ręki.

– A dokładnie kiedy? – spytał.

– Osiemnastego lipca.

– Cztery dni po przybyciu Crabba do Norwegii – wyliczył Mortensen.

– Co sprawiło, że połączyliście ze sobą te sprawy? – spytał Wisting.

– Cholernie uparty glina – odparł komisarz. – Śledczy z posterunku policji w Trollhättan, który prowadził sprawę Kikki Lindén, nie poddał się. Gdy utknęli w martwym punkcie, zaczął wyszukiwać w bazie podobne przypadki zaginięć. Znalazł podobieństwa między tymi pięcioma sprawami. Wszystkie dotyczą młodych blondynek, które zaginęły na ograniczonym geograficznie obszarze. Kobiety nie były chore psychicznie i nie miały skłonności samobójczych. Nie było podstaw, by podejrzewać, że uległy wypadkowi ani że zaginęły z własnej woli. Poza tym te dziewczyny wyróżniały się również pod innym względem: nie należały do grupy podwyższonego ryzyka. Nie były żonami agresywnych mężczyzn, nie

prostytuowały się, nie miały żadnych powiązań ze światem przestępczym ani środowiskiem narkotykowym. Po prostu znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Wisting przytaknął. To podsumowanie w równym stopniu mogło dotyczyć dziewcząt z ich listy.

– Macie jakiś trop? – odezwała się Thiis.

– Nie mamy nic – odparł Bergquist. – Pięć spraw i żadnego konkretnego tropu. – Szwedzki komisarz zebrał zdjęcia. – A co wy macie?

Christine Thiis przekazała pytanie Wistingowi.

– My mamy dziesięć spraw – westchnął. – Co najmniej dziesięć. I również żadnego tropu.

Następnie wyjaśnił, w jakich kierunkach prowadzone jest śledztwo. Jeden polegał na zaciśnięciu pętli wokół Godwina, a drugi na odnalezieniu zwłok jego ofiar.

– Na jakim etapie jest teraz śledztwo? – spytał Bergquist.

Wisting spojrzął na telefon komórkowy leżący przed nim na stole.

– Właśnie otwieramy czwartą studnię – odpowiedział.

– A co z tym amerykańskim seryjnym zabójcą?

– Nie wiemy, czy się zbliżamy. Poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że nie osiągniemy nic poza tym, że go spłoszymy.

– To może być efektywna metoda łowiecka – przytaknął komisarz. – Wystraszyć zwierzynę, żeby złapać ją w pułapkę, gdy będzie uciekać.

– Odnalezienie go to nie wszystko – powiedział Wisting. – Dopiero wtedy tak naprawdę zacznie się praca, kiedy będziemy musieli powiązać go z każdą z ofiar.

– Rozmieszczenie geograficzne może okazać się pomocne – stwierdził szwedzki komisarz. – Musimy zaznaczyć na osi czasu wszystkie poczynania sprawcy i nałożyć ją na oś czasu wyznaczoną przez ofiary, a potem sprawdzić, czy wykresy pokrywają się ze sobą co do miejsca i czasu.

Wisting skinął głową. Szwedzki kolega w taki sam sposób wyobrażał sobie dalsze śledztwo. Powiązanie Roberta Godwina z miejscami zbrodni, do których doszło kilkanaście lub

kilkadziesiąt lat temu, mogłoby okazać się niemożliwe. Ostatni przypadek zaginięcia dziewczyny w Szwecji napawał ich jednak nadzieją. Sprawa sprzed czterech miesięcy była stosunkowo świeża. Gdyby udało im się udowodnić Godwinowi popełnienie jednego przestępstwa, dzięki analizie *modus operandi* powiązałyby go z pozostałymi sprawami, a wtedy cała reszta potoczyłaby się sama jak kostki domina.

– Może dopisze nam szczęście i okaże się, że sprawca włożył wszystkie jaja do jednego koszyka – mówił dalej szwedzki komisarz. – Jedziemy sprawdzić, co znajduje się w czwartej studni?

Donald Baker i szwedzki śledczy jechali samochodem prowadzonym przez Wistinga w stronę gospodarstwa Halle. Tuż za nimi Espen Mortensen wioził Leifa Malma z Kripos i Johna Bantama. Obfite opady śniegu znowu powodowały chaos na drogach. Autobus jadący przed Wistingiem zatrzymał się na przystanku i wysadził jednego pasażera. W zatoce autobusowej stał zasypany śniegiem samochód z ledwo widocznym trójkątem ostrzegawczym na dachu.

Droga do gospodarstwa Halle zajęła im dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj. Znowu uruchomiono sprzedaż choinek, ale punkt otwierano dopiero za cztery godziny.

Wisting zaparkował auto na placu przed stoiskiem. Właśnie odśnieżono nową drogą między drzewami. Na jej końcu stał traktor z pomarańczowym światłem ostrzegawczym na dachu. Kilku mężczyzn zakładało na koła łańcuchy antypoślizgowe.

– A w Sztokholmie świeci słońce – narzekał Ingemar Bergquist, otwierając drzwi samochodu.

Wisting naciągnął czapkę na uszy, zanim wysiadł z auta.

– Ciało Boba Crabba znaleziono tam dalej – oznajmił, wskazując w stronę gęsto rosnących jodeł.

– Dlaczego sprawca nie wrzucił go do studni? Przecież na terenie gospodarstwa jest studnia – zastanawiał się na głos szwedzki śledczy.

Wisting nie odpowiedział. Okrył się szczelniej kurtką i ruszył odśnieżoną drogą. Pozostali śledczy podążyli za nim w milczeniu. Nils Hammer wyszedł im naprzeciw. Włosy miał przysypane śniegiem.

– Studnia jest stara i głęboka – wyjaśnił. Mówiąc, osłaniał oczy dłonią przed płatkami śniegu. – Nie używano jej od lat sześćdziesiątych. Wcześniej leżała na niej tylko pokrywa, ale zeszłej wiosny właściciel gospodarstwa umieścił na niej gład.

Staramy się go odsunąć.

– Aha – odezwał się Szwed, uzyskawszy odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie.

Robert Godwin prawdopodobnie usiłował zaciągnąć swoją ofiarę do studni, domyślili się śledczy. Ale plany pokrzyżował mu blok skalny, którym zastąpiono starą pokrywę studni.

W końcu założono łańcuchy i jeden z mężczyzn dał znać Perowi Hallemu, który siedział za kierownicą traktora, że może ruszać. Gdy traktorzysta uruchomił potężną maszynę, z rury wydechowej zaczęły wydobywać się kłęby gęstego, czarnego dymu. Głaz zatrzeszczał, ocierając się o krawędź studni, po czym zsunął się i został przesunięty kilka metrów dalej. Hammer zatrzymał traktor.

Wisting i pozostali śledczy zbliżyli się do krawędzi i spojrzeli w dół. Niecałe pół metra niżej leżała stara pralka, a pod nią zdezelowany rower i inny złom.

Per Halle wyskoczył z szoferki i podszedł do nich.

– Wrzuciliśmy do niej kilka rzeczy, które zalegały w stodole – wyjaśnił przepaszającym tonem.

– Co jest pod tym żelastwem? – spytał Wisting.

– Woda, a cóżby innego? Nie rozumiem tylko, po co wam...

– Musimy się dostać na dno – wszedł mu w słowo Hammer.

– Mam wysięgnik na ciężarówce – zaofiarował się właściciel gospodarstwa. – Mogę go uruchomić w ciągu kwadransa.

Per Halle nie czekał na odpowiedź. Wsiadł do traktora i odjechał. Zanim wrócił, ludzie Hammera postawili robocze namioty i rozciągnęli brezentowe płachty, które zasłaniały widok. Krajobraz spowity śniegiem zamienił się w centrum dowodzenia, w którym wrzało jak w ulu. Uruchomiono przenośne agregaty prądu i ustawiono reflektory punktowe.

Per Halle podjechał na miejsce. Skierował ramię dźwigu dokładnie nad otwór studni, podczas gdy jeden z policjantów opuścił się na dół z zawieszami pasowymi, które umocował pod pralką. Dźwig uniósł ją powoli i postawił ostrożnie na ziemi. Rower i inne drobne przedmioty wydobyli na powierzchnię policjanci, którzy przechylali się nad krawędzią i odbierali je od kolegi pracującego wewnątrz studni. Do wyciągnięcia

przedmiotów o większych gabarytach, takich jak rama motoroweru czy żeliwny piecyk, musieli użyć dźwigu. Wkrótce miejsce obok studni zamieniło się w składowisko złomu. W końcu dotarli do warstwy lodu, z której wystawały części zawieszenia samochodu. Zamocowali wokół nich zawiesia pasowe, a gdy dźwig uniósł je w górę, oderwał razem z nimi pokrywę lodu.

Do wnętrza studni spuszczone pompę głębinową. Im bardziej obniżał się poziom wody, tym więcej żelastwa wylańało się spod powierzchni. Jeden z wyszkolonych policjantów opuścił się do środka na uprząży i zaczął podpinać poszczególne przedmioty do zawiesi pasowych. Po jakimś czasie zeszli tak nisko, że ramię dźwigu nie było w stanie pracować. Wtedy ustawili wciągarkę, która podnosiła przedmioty podczepione do haka windy.

Wisting stał wewnątrz namiotu w towarzystwie Leifa Malma, szwedzkiego śledczego i dwóch agentów FBI. Dłuższy bok, który wychodził na studnię, był otwarty, dzięki czemu mogli przyglądać się pracy. Wisting rozdał kolegom kubki jednorazowe i nalał im kawy z termosu.

Hammer podszedł do nich, mówiąc:

– Są już pierwsi dziennikarze. Dwóch gości z „VG”. Odgradziliśmy teren od strony lasu, żeby nie mogli się tutaj przedostać.

Wisting skinął głową z aprobatą. Tak długo, jak długo uda się trzymać dziennikarzy z dala od tego miejsca, możemy spokojnie działać, pomyślał. Niech sądzą, że policja prowadzi zakrojone na szeroką skalę działania operacyjne w miejscu, w którym niespełna tydzień temu znaleziono zwłoki Boba Crabba.

Wisting przygryzł brzeg papierowego kubka i spojrzał w niebo zasnuwane chmurami. Gdyby nie opady śniegu, w ciągu dnia latałyby nad nimi wycarterowane helikoptery.

Jeśli w studni znajdowało się to, czego się obawiali, Godwin natychmiast się domyśli, co tutaj robią. Prawdopodobnie w ciągu doby zmieni miejsce zamieszkania i wyniesie się stąd jak najdalej.

Od strony studni rozległo się wołanie. Wisting wyrzucił kubek i wyszedł z namiotu. Z wnętrza studni właśnie wydobyto zwój zardzewiałego drutu kolczastego, do którego był przyczepiony jakiś przedmiot. Damska torebka.

Z drutu, który zwiisał z ramienia dźwigu, ściekała woda. Mortensen podszedł bliżej. Była to mała brązowa torebka z paskiem na ramię. Odczepił ją od drutu i zabrał ze sobą do namiotu.

Przypominała skórzaną torebkę, ale była wykonana z plastiku.

Jesteśmy w domu, pomyślał Wisting. Trafiliśmy w dziesiątkę. Przypomniało mu się zdjęcie poszukiwanej Charlotte Pedersen, która zaginęła w 2009 roku. Zdjęcie zostało zrobione przez kamerę monitoringu na stacji Statoil na przedmieściach Porsgrunn. Kupowała papierosy i gumę do żucia, które włożyła do małej brązowej torebki.

Mortensen położył torebkę na stole. Była pokryta warstwą śliskiego, podobnego do wosku mułu. Otworzył ją. Większość zawartości zamieniła się w błotnistą maź, ale dało się odróżnić pomadkę do ust i mały flakonik perfum. Mortensen włożył torebkę do plastikowej miski, oznaczył ją i odnotował znalezisko w protokole.

Brunatna woda, którą wypompowywano ze studni, znaczyła ślad w świeżym śniegu. Towarzyszył jej ciężki, przenikliwy odór stęchlizny.

– Stop! – zawołał mężczyzna nadzorujący opróżnianie studni.

Silnik pompy ucichł, woda przestała lecieć.

Wisting zbliżył się do krawędzi. W świetle reflektora widać było bezkształtny tłumok, który unosił się na powierzchni ciemnej wody. Jeden z policjantów opuścił się na dół i pociągnął go na próbę, zanim umocował wokół niego zawiesia pasowe.

Prześląknięty wodą worek powoli uniesiono w górę. Dźwięk ściekającej wody odbijał się echem od ścian studni. Gdy pakunek wydobyto na powierzchnię, Wisting przekonał się, że to śpiwór. Część przeznaczona na głowę, do której

przymocowano pasy, była przewiązana resztkami postrzępionej liny.

Śpiwór wisiał, kołysząc się na boki. Mortensen rozłożył na ziemi brezent, a Hammer chwycił śpiwór, przeciągnął go na bok i dał sygnał, że można powoli opuścić go na dół.

Policjanci zebrali się wokół śpiwora, tworząc półkole.

Hilde Janse, pomyślał Wisting. Autostopowiczka z Risør, która latem 2005 roku podróżowała z plecakiem i śpiworem, żeby wziąć udział w Quartfestivalen w Kristiansand.

Hammer odpiął zaczep mocujący i pozostawił resztę Mortensenowi. Ten polecił dwóm policjantom naprężyć materiał, a sam wziął do ręki skalpel i wykonał nacięcie o długości jednego metra.

Ze środka śpiwora wydobywał się odór zgnilizny. Ci, którzy stali najbliżej, cofnęli się odruchowo. Wisting zasłonił nos i usta przedramieniem i zrobił krok do przodu.

Spomiędzy resztek ubrania wystawały drobne kości.

Mortensen powiększył nacięcie i odsunął mokry materiał na boki. Zwłoki leżały z głową w nogach śpiwora. Wykrzywiona twarz z otwartymi ustami. W środku znajdowało się również kilka kamieni, użytych prawdopodobnie po to, żeby łatwiej było zatopić śpiwór.

Technik w milczeniu zasłonił otwór i z pomocą kolegów umieścił śpiwór w worku na zwłoki z białego plastiku. Padający śnieg osiadał bezszelestnie na worku, by w niedługim czasie przykryć go cienką warstwą.

Ponownie uruchomiono pompę, ale zaledwie kilka minut później prace wstrzymano.

Na dnie studni ujawniono kolejne szczątki, już na pierwszy rzut oka starsze i gorzej zachowane. Tym razem policjanci nie ryzykowali użycia dźwigu ze względu na stan znaleziska. Zamiast tego w głąb studni opuszczono nosze, które wsunięto pod zwłoki i wydobyto na powierzchnię, podobnie jak w górach ratuje się rannego alpinistę uwięzionego na półce skalnej.

Gruby koc był obwiązany liną, która otaczała również duży płaski kamień. Sam koc był w stanie daleko posuniętego rozkładu, podobnie jak zgniłe skrawki materiału

przylegającego do mumii.

Mortensen umieścił zwłoki w białym plastikowym worku, nie poddając ich nawet wstępnym oględzinom.

Pompa zasysała coraz więcej gęstego mułu dennego. Technicy, których zadaniem było zabezpieczenie ujawnionych przedmiotów, wkładali małe brązowe kości do przezroczystych woreczków. Wyglądało na to, że były to oderwane paliczki dłoni.

Wisting zbliżył się do krawędzi studni. Była prawie pusta. Mogła mieć w przybliżeniu siedem metrów głębokości. Policjant wiszący w uprzęży podniósł wzrok. Pot zostawił brudne ślady na jego policzkach. Tuż pod nim leżały szczątki ludzkie i splecione ze sobą, trudne do rozpoznania fragmenty kości. Dwie poźółkłe czaszki stykały się ze sobą czołami, jakby prowadziły intymną rozmowę.

Wisting zwrócił się do Leifa Malma.

- Chyba powinieneś ściągnąć tu swoją ekipę – powiedział.
- Już są w drodze – odparł tamten i skinął głową.

W samochodzie Wistinga zrobiło się ciasno, gdy do środka wsiedli Leif Malm, Ingemar Bergquist i obaj agenci FBI. Wracali do komendy. Zobaczyli to, co mieli zobaczyć, i ich dalsza obecność była zbyteczna.

Gdy Wisting odjeżdżał, za taśmą policyjną ustawiało się coraz więcej dziennikarzy. Ci bardziej doświadczeni, którzy wietrzyli sensację, siedzieli w swoich samochodach wzdłuż drogi krajowej. Gdy zobaczyli nadjeżdżających śledczych, wysiedli z aut. Na razie nie wiedzą, co się dzieje, pomyślał Wisting. Ale kiedy prawda wyjdzie na jaw, tłum dziennikarzy będzie rósł z minuty na minutę, jak wirus, który rozprzestrzenia się w rekordowym tempie.

– Wymknie się nam – powiedział Baker, odsuwając od oczu obiektyw aparatu. – Za kilka godzin będzie już poza granicami kraju.

Gdy tylko minęli grupę fotoreporterów, zaczął dzwonić telefon Wistinga. Komisarz wyciągnął go z kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz. „Morten P., VG”.

– I tak jesteśmy bliżej niż wy dwadzieścia lat temu – przypomniał mu Wisting.

Wyjechał na główną drogę i zwiększył prędkość. Jadąca z naprzeciwka ciężarówka wzbijała tumany śniegu, które ograniczały widoczność.

– Mamy listę potencjalnych podejrzanych – dodał, zwalniając. – Możemy zastosować wobec nich zakaz opuszczania kraju. Jak tylko któreś z nazwisk z listy pojawi się na bilecie promowym lub lotniczym, od razu się o tym dowiemy. Facet jest nasz.

– Problem polega na tym, że nie mamy pewności, czy jego nazwisko jest na naszej liście – wtrącił Leif Malm.

W tym czasie Wisting wybrał numer do Torunn Borg, żeby

zlecić jej przesłanie listy nazwisk służbom celnym.

W komendzie czekał już na niego rzecznik prasowy policji. Dochodziła trzynasta. Odbyli krótkie spotkanie w gabinecie Christine Thiis, podczas którego Wisting zapoznał go z najnowszymi ustaleniami.

– Musimy wydać oświadczenie i zwołać konferencję prasową. – Reakcja rzecznika była natychmiastowa. – O której możecie spotkać się z dziennikarzami?

Wisting był już w drodze do wyjścia.

– Spotkamy się z mediami, kiedy Robert Godwin będzie siedział w areszcie – odparł. – A do tego czasu mamy inne sprawy na głowie.

Przez następną godzinę mieli wrażenie, że drepczą w miejscu. Wszystkie wysiłki i działania okazywały się bezowocne. Nie pozostawało nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wypadków.

Po tym jak w „VG” ukazało się zdjęcie Boba Crabba, otrzymali kilkanaście zgłoszeń. Dwóch sąsiadów ze Stavern zgłosiło się do komendy, chociaż nie dysponowali nowymi informacjami w sprawie. Małżeństwo emerytów twierdziło, że widziało go na promie płynącym do Danii, gdzie spędzili letnie wakacje. Jeden z pasażerów, który przyleciał do kraju tym samym samolotem, co Crabb, uznał, że powinien to zgłosić, chociaż na pokładzie nie zwrócił na niego uwagi. Trzy inne osoby twierdziły, że widziały zeszłego lata w Stavern mężczyznę podobnego do tego ze zdjęcia, ale nie były w stanie określić bliżej czasu ani nie poczyniły żadnych znaczących obserwacji.

Z tej perspektywy sprawa, nad którą obecnie pracowali, nie różniła się od pozostałych. Prowadzenie śledztwa przypominało wychodzenie z labiryntu. Płatanina ślepych uliczek, mnóstwo zmarnowanego czasu i niepotrzebnej pracy.

Pierwszy samochód ze szczątkami nadjechał za piętnaście drugą. Tymczasowe składowisko urządzili na policyjnej strzelnicy, znajdującej się w podziemiach budynku komendy. Wisting zszedł na dół, żeby zobaczyć, jak zespół techników z Kripos zorganizował sobie pracę.

Smród zgniłej wody połączony z wonią miedzi ciągnął się od

wejścia i przebił nawet zapach prochu strzelniczego i ołowiu, który osiadł na ścianach.

Strzelnica została wybrana nie tylko dlatego, że było tam najwięcej miejsca, lecz także ze względu na własny system wentylacyjny, który umożliwiał swobodną cyrkulację powietrza i zapobiegał kumulacji toksycznych gazów.

Na podłodze rozciągnięto grubą plastikową ceratę. Mężczyźni w białych kombinezonach robili notatki i wkładali je do teczek na gumkę. Robili zdjęcia, segregowali i rejestrowali. Jednym z nich był Jon Berge, technik kryminalistyki, który brał udział w sekcji zwłok przedstawianej za pomocą wideokonferencji. Pozdrowił Wistinga skinieniem głowy, po czym skupił się na swoich notatkach.

Zwłoki, które były owinięte w koc, leżały tuż przy drzwiach, skąpane w świetle dużych lamp sufitowych. Jeden z techników zrobił zbliżenie mocno zaciśniętego węzła, zanim sznur został rozcięty. Poplamiony koc odsunięto na bok. Przed nimi leżała woskowa figura z zachowanymi zewnętrznymi konturami ciała. Wisting widział już wcześniej podobne deformacje. Tak wyglądały zwłoki wyciągnięte z wody i te, które przez długi czas przebywały w wilgotnym środowisku. Tkanka tłuszczowa przekształcała się w białą, kruchą, napęczniałą masę, która przypominała zastygłą stearynę.

Makabryczne szczątki czyniły identyfikację ciała łatwiejszą niż w wypadku samych kości i stawów. Na podstawie badania tkanki można było określić profil genetyczny, ale już teraz skórzany pasek z zardzewiałą sprzączką w wypłowiałym czerwonym kolorze wskazywał na osobę, do której mógł należeć. Do Silje z Vinstra. Sprawca wiozł jej ciało przez czterysta kilometrów, żeby ostatecznie wrzucić je do studni.

Wisting próbował sobie wyobrazić, co ta dziewczyna musiała przejść, zanim zabójca zawiązał jej ciało w koc i skrępował je sznurem. Na początku Godwin nie zacierał śladów zbrodni, lecz porzucał swoje ofiary w rowach wzdłuż autostrady międzystanowej. Technicy i lekarze medycyny sądowej dysponowali większą ilością materiału do badań. Z ich protokołów wynikało, że niektóre z ofiar były przed śmiercią

więzione przez blisko siedemdziesiąt dwie godziny. W tym czasie były wielokrotnie gwałcone.

– Ciała znajdowały się w różnych stadiach rozkładu – wyjaśnił Jon Berge. – W zależności od tego, jak długo leżały w studni i w co były zawinięte. Nie należy się spodziewać, żeby w wypadku najstarszych szczątków udało nam się ujawnić coś więcej poza kośćmi i stawami.

Wisting podszedł z nim do zwłok zawiniętych w śpiwór. Między zmurszałymi fragmentami ubrań leżały czarne kości z resztkami materiału organicznego, który nie zdążył ulec całkowitemu rozkładowi.

– Aż trudno uwierzyć, że mógł to robić nieprzerwanie przez ponad dwadzieścia lat – ciągnął technik – i nikt się niczego nie domyślił.

Wisting nie odpowiedział.

– Ale oczywiście to jest możliwe – kontynuował biegły. – Wystarczy przyjąć odpowiednią metodę działania i nie być zbyt wyrywным. Co dwa lata znika jedna młoda dziewczyna. Najpierw na zachodzie kraju, potem na wschodzie, a jeszcze później na południu. To mi trochę przypomina faceta, który opracował pierwsze systemy komputerowe dla banków oszczędnościowych. Kwoty wszystkich przelewów musiały być zaokrąglone w dół do pełnych dziesięciu øre. Różnica, czyli raptem kilka øre, za każdym razem trafiała na jego prywatne konto. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że tu i ówdzie brakuje kilku øre, i tym sposobem facet nieźle się obłowił.

Wisting już miał odpowiedzieć, że informatyk został zatrzymany i skazany na trzy lata więzienia za oszustwo, ale przeszkodził mu w tym telefon komórkowy.

Przedstawił się, ale w odpowiedzi usłyszał tylko głucho trzaski. Betonowe ściany podziemnej strzelnicy sprawiały, że w pomieszczeniu był słaby zasięg. Ruszył w stronę drzwi.

– Halo? – próbował ponownie, gdy znalazł się na korytarzu.

– Halo? – odpowiedział głos w słuchawce.

– Przepraszam, mam słaby zasięg – tłumaczył się Wisting. – Z kim rozmawiam?

– Tutaj Steinar Brunvall – wyjaśnił tamten. – Jesteśmy

niemal sąsiadami.

– Jest pan synem Tora i Marianne – domyślił się Wisting, idąc w kierunku schodów. – Czy coś się stało?

– Nic takiego. Właściwie chciałem porozmawiać z Line. Była u nas wczoraj w związku z tym artykułem o Viggo Hansenie. Wspomniałem jej o mężczyźnie, który odwiedził Hansena latem.

– O mężczyźnie? – spytał Wisting, głównie po to, żeby dać znać, że go słucha.

– No tak, a w dzisiejszej gazecie jest jego zdjęcie.

Wisting przystanął.

– Co pan ma na myśli?

– Dzwoniłem do Line wiele razy, ale nie odbiera telefonu. Ida namówiła mnie, żebym zadzwonił do pana. W końcu to wy, to znaczy policja go szuka.

– Do czego pan zmierza? – spytał Wisting, czując, że coś ściska go za serce.

– Line bardzo chciała się dowiedzieć, kto odwiedził Hansena zeszłego lata. Bo poza tym jednym razem nikt go nigdy nie odwiedzał. I właśnie dzisiaj w gazecie wydrukowali jego zdjęcie. Wszystko się zgadza, to, że jeździł wynajętym samochodem, również. Bob Crabb z USA. Profesor, którego ciało znaleziono w zeszłym tygodniu wśród choinek.

Wisting milczał. Powoli docierał do niego sens usłyszanych słów. Poczul się tak, jakby właśnie otworzyły się przed nim zamknięte, sekretne drzwi.

Line obudził chłód. Trzęsa się z zimna. Głowę rozsadał jej pulsujący ból. Nie miała pojęcia, jak długo leżała nieprzytomna. Znajdowała się w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu. Leżała skulona i nie była w stanie się ruszyć. Ręce miała skrępowane z tyłu i związane sznurem razem ze stopami. Usta miała zaklejone taśmą i była czymś przykryta, jakimś kocem albo kawałkiem materiału. Potrząsała głową tak długo, aż udało jej się zsunąć go z twarzy. Wciąż jednak nie potrafiła odgadnąć, gdzie się znajduje.

Oddychała ciężko, przez nos. Powietrze wypełniające ciemne pomieszczenie było stęchłe i przyprawiało ją o mdłości. Gdyby zwymiotowała, konsekwencje mogłyby okazać się fatalne.

Gdy zaczęła się wiercić, poczuła, że podłoże ugina się jak na sprężynach. Zrozumiała, że leży w bagażniku samochodu.

Nasłuchiwała. Wstrzymała oddech, żeby lepiej słyszeć, ale z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Auto musiało stać zaparkowane w jakimś odludnym miejscu. Wewnątrz samochodu również nikogo nie było. W przeciwnym razie coś by zauważyła. Jakiś ruch albo odgłos.

Zastanawiała się, czy powinna spróbować zwrócić na siebie uwagę, ale ze związanymi na plecach rękami i stopami nie była w stanie uderzać ani kopać w pokrywę bagażnika.

Mając bardzo ograniczone pole manewru, zaczęła badać powierzchnię za plecami. Wyściółka bagażnika była prawdopodobnie wykonana z filcu. Chwyciła coś palcami. Pusta butelka. Obok niej leżało kilka gazet i coś, co przypominało w dotyku pędzle malarskie. Po chwili natrafiła na coś jeszcze. Była to cienka metalowa blacha osadzona na trzonku. Zrozumiała, że dotyka szpachli. Używała podobnej podczas remontu mieszkania, gdy wygładzała ściany i uzupełniała ubytki masą szpachlową przed położeniem tapet.

Krawędź narzędzia mogła okazać się wystarczająco ostra, by można nią było przeciąć sznur.

Przyciągnęła szpachlę do siebie i obróciła ją w palcach, żeby uchwycić dobrze trzonek. Ustawiła ostrze w odpowiedniej pozycji i zaczęła przecinać linę, która krępowała jej dłonie i stopy.

Nad górną wargę wystąpiły drobne krople potu. Dmuchnęła na nie, żeby się ich pozbyć, i dalej pocierała szpachlę o sznur. Zamknęła oczy. Bała się, że w każdej sekundzie wieko bagażnika może zostać otwarte.

Pracując, zastanawiała się, jak doszło do tego, że znalazła się we wnętrzu bagażnika. Pamiętała, że jej samochód miał awarię. I to, jak bardzo ucieszyła się, gdy rozpoznała twarz kierowcy, który zatrzymał się, żeby jej pomóc. Nagle przypomniał jej się zapach. Nieprzyjemna woń wydobywająca się z wilgotnej szmaty, którą przyciśnięto jej do nosa i ust. Zapach kleju lub lakieru. Substancja, którą była nasączona szmata, paliła jej wargi i dziurki w nosie, aż nagle wszystko zniknęło. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od tamtego zdarzenia. Zastanawiała się, czy powinna była to przewidzieć, czy w którymś momencie powinna była domyślić się, że za bardzo zbliżyła się do prawdy o Viggo Hansenie.

Sznur pękł zupełnie niespodziewanie. Uwolnione nogi uderzyły w bok bagażnika i szpachla wypadła jej z dłoni.

Leżąc, planowała kolejny krok. Ponownie rozważała, czy spróbować zwrócić na siebie uwagę. Czy jest szansa, że usłyszy ją ktoś poza mężczyzną, który ją uwięził.

Postanowiła zaryzykować. Dłonie i stopy miała wciąż skrępowane, ale udało jej się obrócić tak, że mogła kopać w wieko bagażnika. Odruchowo zaczęła krzyczeć, mimo zaklejonych ust. Z jej gardła wydobyło się kilka stłumionych dźwięków. Zamilkła i nasłuchiwała. Nic. Żadnych kroków. Żadnych przejeżdżających w oddali pojazdów.

Zamarzną na śmierć, jeśli tu zostaną, pomyślała. Musiała spróbować wydostać się z bagażnika, zanim będzie za późno.

Przekręciła się i oparła stopy o oparcie tylnego siedzenia, które oddzielało bagażnik od wnętrza auta. Poczwała, że oparcie

drgnęło. Podciągnęła kolana pod brodę i wyprostowała je gwałtownie. Samochód zakołysał się, a oparcie fotela zatrzęszczało. Kopnęła jeszcze raz, z całej siły. Do środka wpadła strużka szarego światła. A więc na dworze wciąż był dzień.

Przycisnęła plecy do ściany bagażnika, pchając stopami oparcie siedzenia, aż pociemniało jej w oczach. Wciągnęła ze świstem powietrze przez nos. Szczelina, przez którą sączyło się światło, była coraz większa. W Line wstąpiły nowe siły. Po chwili cienka ścianka działowa ustąpiła z trzaskiem.

Telefon komórkowy Line był wyłączony lub znajdował się poza zasięgiem sieci.

W drodze do pracy Wisting próbował się z nią skontaktować trzy razy, dzwoniąc na jej komórkę i telefon stacjonarny, ale bez powodzenia.

Projekt, nad którym pracowała Line, był powiązany z prowadzonym przez niego śledztwem. Tym łącznikiem był Viggo Hansen. Trop pochodził sprzed czterech miesięcy, ale dla nich był nowy. Niektóre wątki przeplatały się ze sobą i dlatego musiał się dowiedzieć, co ustaliła Line.

Agenci FBI krytycznie odnieśli się do pomysłu zamieszczenia informacji o Bobie Crabbie w „VG”. W końcu jednak zgłosił się świadek, który wiedział coś, co mogło popchnąć śledztwo do przodu. Wisting wezwał wszystkich do sali konferencyjnej i zapoznał ich z dotychczasowymi ustaleniami.

– Jedź do świadka – powiedział, wskazując długopisem Benjamina Fjelda. – Wyduś z niego wszystko, co pamięta z tamtej wizyty w lecie.

Młody śledczy zniknął za drzwiami.

– Kto to jest ten Viggo Hansen? – zainteresował się Donald Baker.

– Właściwie można powiedzieć, że to był mój sąsiad – wyjaśnił Wisting i opowiedział o mężczyźnie, którego zwłoki znaleziono dwa tygodnie temu, a który, jak się okazało, siedział martwy w swoim salonie od jedenastego sierpnia.

– I tego mężczyznę odwiedził w lipcu Bob Crabb? – chciał się upewnić agent FBI.

– Tak twierdzi nowy świadek – przytaknął Wisting.

– Co jeszcze o nim wiecie?

Wisting podał z pamięci kilka faktów zawartych w aktach sprawy. Mówiąc, uświadomił sobie, że Viggo Hansen byłby

doskonałą skorupą, za którą mógłby się ukryć Robert Godwin.

To samo przyszło na myśl wszystkim pozostałym.

– Macie jego odciski palców? – spytał Baker.

Wisting potrząsnął głową. Odcisków palców nie udało się ściągnąć ze zmumifikowanego ciała.

– Tylko DNA – odparł.

– Kiedy możemy je dostać?

Leif Malm wyjął swój telefon.

– Poproszę kogoś z działu rejestru, żeby przesłał jego wyniki w to samo miejsce, dokąd wysłaliśmy materiał DNA Boba Crabba – powiedział. – Jak szybko jesteście w stanie je porównać?

– Jak tylko dostaniemy DNA – odparł agent FBI i wyciągnął z kieszeni telefon.

Christine Thiis przeglądała dokumenty.

– Dlaczego nazwisko tego Hansena nie figuruje na naszej liście?

Torunn Borg odchyliła się na krześle.

– Bo szukaliśmy wyłącznie wśród żywych – westchnęła.

Thiis skinęła głową, wzięła do ręki długopis i coś zanotowała.

Wisting przejechał dłonią po włosach. Nie mogli skupiać się tylko na tej jednej hipotezie.

– Jak stoimy z resztą?

– Mamy obstawione przejścia graniczne – odparła Borg. – Złożyliśmy kilka wizyt domowych i udało nam się skreślić parę nazwisk z listy. Śledczy, których ściągnęliśmy z sąsiednich okręgów, prowadzą czynności w terenie.

– Rozmawiałeś z Line? – spytała Thiis.

– Jeszcze nie. Nie wróciła na noc do domu.

– Wiesz, gdzie teraz jest?

Pokręcił głową. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz Line była niedostępna pod telefonem.

– Pojadę do domu – zdecydował nagle. – Prawdopodobnie siedzi przy komputerze pochłonięta pracą.

Zabrał kurtkę i zszedł na dół do samochodu zaparkowanego na tyłach budynku, zmartwiony bardziej, niż chciał się do tego przyznać.

Line była dziennikarką, która niczego się nie bała. Nie chodziło tylko o to, że szła pod prąd i poruszała kontrowersyjne tematy, ale również o metody, jakimi się posługiwała w pracy. Była jak kot, który chadza własnymi ścieżkami. Wisting obawiał się, że tym razem mogła podążyć śladem zabójcy.

Z szarego nieba padał gęsty śnieg. Duże białe płatki wirowały w powietrzu. Wycieraczki samochodowe pracowały z mozolem. Drogi były śliskie.

Świeży śnieg zdążył przysypać ślady kół pozostawione przez jego auto, gdy wyjeżdżał rano do pracy. W czasie jego nieobecności Line nie było w domu, ale i tak postanowił zajrzeć do środka. Widział wcześniej, jak Line pracuje w dawnym gabinecie Ingrid, jak zbiera notatki i wycinki z gazet. Nie podobała mu się myśl, że miałby grzebać w jej papierach, ale być może w notatkach Line znajdowały się jakieś informacje dotycząca Boba Crabba.

Gdy wysiadł z samochodu, zadzwonił telefon. To był Leif Malm.

– Wiesz już coś? – spytał.

Wisting odszukał właściwy klucz.

– Nie ma jej w domu – odparł i otworzył drzwi.

– Jest coś, o czym powinienes wiedzieć – powiedział śledczy z Kripos.

– Co takiego?

– Twoja córka spędziła noc w Farris Bad.

Wisting zatrzymał się w przedpokoju i znieruchomiał.

– W hotelu? Co masz na myśli?

– Ani tobie, ani mnie właściwie nic do tego – zaczął Malm – ale Line spędziła noc w pokoju Johna Bantama.

– Nie bardzo rozumiem...

– Donald Baker przyszedł do mnie z tą sprawą. John Bantam i Line spotkali się wieczorem w barze kilka dni temu. Wczoraj została u niego na noc.

– Jak on mógł, do cholery... Przecież ona jest dziennikarką.

– Bantam nie wiedział, że to twoja córka. To wyszło dopiero podczas spotkania.

– Nieważne, czyją jest córką. To było cholernie nieprofe-

sjonalne.

– Teraz stała się przede wszystkim interesującym świadkiem – stwierdził Malm. – Musimy się dowiedzieć, co ustaliła na temat relacji łączących Boba Crabba z tym całym Viggo Hansenem.

Wisting zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej.

– Może być nadal w jego pokoju? – spytał i wszedł do domu, nie zdejmując butów.

– Właśnie próbują to ustalić – wyjaśnił Malm. – Na razie nikt nie odbiera telefonu, ale Bantam pojechał do hotelu, żeby to sprawdzić.

Wisting wszedł schodami na piętro.

– Daj znać, jeśli Line jest w hotelu – rzucił na zakończenie rozmowy, chociaż tak naprawdę nie wierzył w tę ewentualność. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się to, że redakcja gazety przydzieliła jej sprawę, nad którą on sam pracował.

Otworzył drzwi do pokoju, który za życia Ingrid służył jej za gabinet. Biurko było posprzątane, laptop zamknięty. Dokumenty i wydruki komputerowe leżały ułożone w stosy. Jest taka jak ja, pomyślał. Woli mieć wszystko na papierze, a nie przeglądać elektroniczne dokumenty.

Do dużej korkowej tablicy wiszącej na ścianie były poprzypinane zdjęcia i notatki, tworzące chronologiczny zapis życia Viggo Hansena. Wisting był pod ogromnym wrażeniem tego, jak dokładnie córce udało się sportretować samotnego mężczyznę. Wyglądało na to, że Viggo Hansen wiódł smutne życie. Ojciec, który stawiał elektrownie i był nieobecny przez większą część jego dzieciństwa, a potem przez prawie cztery lata siedział w więzieniu. Matka leczona w szpitalu psychiatrycznym.

„1969”, przeczytał i powiódł palcem wzdłuż linii. „Ojciec wiesz się w piwnicy. Viggo go znajduje”.

„1974 – śmierć matki.

1989 – hospitalizowany w psych.”

Line narysowała również coś na kształt mapy relacji. Na środku dużego arkusza napisała „Viggo Hansen” i otoczyła nazwisko pętlą. Wokół wypisała nazwiska osób, które z tego lub

innego powodu w jakimś momencie życia należały do wąskiego grona jego znajomych. Niektóre z nazwisk Wisting znał. Byli wśród nich rodzice i sąsiedzi Viggo, i artysta malarz Eivind Aske. Line wspominała, że Aske chodził do klasy z Hansenem, przypomniał sobie Wisting. Znajomo brzmiało również jedno z pozostałych nazwisk, chociaż Wisting nie potrafił skojarzyć go z konkretną osobą.

„Odd Werner Ellefsen”.

Wypowiedział nazwisko na głos w nadziei, że wydobędzie z pamięci jakąś informację, z którą kiedyś musiał się zetknąć, ale której jeszcze nie przyswoił. Błądził wzrokiem po zdjęciach i wycinkach prasowych, aż w końcu zatrzymał się na starej fotografii klasowej, na której ponownie pojawiło się dziwnie znajome nazwisko. Odd Werner Ellefsen stał po prawej stronie Viggo Hansena. Wisting przyjrzał się uważnie rysom twarzy sprzed niemal pół wieku, ale nie rozpoznał w nich nikogo.

Zdjął mapę z tablicy i zrolował arkusz. Wtedy sobie przypomniał. Odd Werner Ellefsen był jednym z czterdziestu sześciu mężczyzn, których nazwiska Torunn Borg umieściła na liście potencjalnych jaskiniowców.

Schodząc po schodach, Wisting wybrał numer Torunn Borg. Śnieg, który wniósł na butach do przedpokoju zdążył stopnieć, i utworzył małe kałuże.

– Odd Werner Ellefsen – rzucił krótko. – Ktoś z naszych go sprawdza?

– Poczekaj chwilę.

Śnieg przestał padać.

Wisting zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz.

– Co się dzieje?

Wyjaśnił, w jaki sposób odnalazł punkt styczny między projektem dziennikarskim Line a materiałem, nad którym sami pracowali. Słyszał, jak Torunn Borg przerzuca kartki.

– Te sprawy się łączą – podsumował.

– Facet mieszka w Torstrand – oznajmiła Borg. – Byliśmy tam o trzynastej czterdzieści pięć. Nie zastaliśmy go w domu.

Wisting zaklął.

– Mamy jego zdjęcie?

– Nie.

– Nasi są ciągle w terenie?

– Tak.

– Podeślij zwiadowcę pod ten adres – poprosił. – I dowiedz się jak najwięcej o Ellefsenie.

Rozłączył się i wsiadł do samochodu, po czym zadzwonił do Nilsa Hammera. Wy tłumaczył mu, w jaki sposób te dwie sprawy łączą się ze sobą. Bob Crabb był powiązany z Viggo Hansenem, a ten z kolei z Oddem Wernerem Ellefsenem.

– Ellefsen jest jedną z niewielu osób z listy Torunn Borg, które nie zostały zweryfikowane – wyjaśnił i wyjechał z podwórza. – Będziemy go obserwować, ale chcę, żebyś ściągnął posiłki i przygotował ich do akcji.

Hammer potwierdził, że zajmie się tym, i zakończył

rozmowę, nie zadając więcej pytań.

Wisting wyjechał na główną drogę i zwiększył prędkość. Wiedział, że działa na granicy prawa, i musiał się zastanowić, jak przedstawić sprawę Christine Thiis, zanim do niej zadzwoni. To ona jako policyjny adwokat musiała podjąć decyzję o tym, czy Odd Werner Ellefsen może zostać zatrzymany i czy istnieją podstawy do przeszukania jego domu. Kodeks postępowania karnego wymagał, aby istniało „uzasadnione podejrzenie”, by móc przystąpić do akcji. Zebrany materiał dowodowy musiał przemawiać za tym, że Ellefsen jest tym, kogo szukali. A na razie dysponowali czymś, co równie dobrze mogło stanowić zbieg okoliczności. Wiedział, że kieruje się intuicją, ale chociaż na sali sądowej liczyły się suche fakty i niezbite dowody, ów szósty zmysł był czymś, co zwykle doprowadzało do przełomu w sprawie.

Wybrał jej numer i przedstawił dotychczasowe ustalenia.

– Musimy mieć coś więcej – odparła.

– Pracujemy nad tym – zapewnił ją. – Prowadzimy obserwację i działania wywiadowcze.

Zbyt późno zauważył, że wjeżdża w zakręt z za dużą prędkością. Nacisnął hamulec. Włączył się system ABS. Pedał zaczął wibrować pod jego stopą. Samochód wpadł w poślizg, przez chwilę jechał bokiem i wyglądało na to, że zaraz się obróci. Nabrzmiała chmura śniegu spowijała samochód, utrudniając widoczność. Wisting skrzył kierownicą w przeciwnym kierunku i wyrównał. Opony odzyskały przyczepność i oddały mu kontrolę nad autem.

– Odezwij się, jak tylko będziesz coś miał – podsumowała Thiis. – Chwilowo nie mamy podstaw do zatrzymania. Możecie przywieźć go na komendę, żeby złożył wyjaśnienia, i pobrać od niego odciski palców, jeśli wyrazi na to zgodę. Nic więcej.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Chciał tylko, żeby Thiis była zorientowana w sytuacji i mogła podjąć błyskawicznie decyzję o zatrzymaniu Ellefsena, jak tylko elementy układanki zaczęły się składać w logiczną całość.

W drodze do miasta minął rozświetlony Farris Bad. Hotel przypominał piękny lodowy pałac wzniesiony na plaży

i skąpany w śniegu.

Line nie była w stałym związku od ponad roku. Niewiele wiedział o życiu, które wiodła w Oslo, ale był zaskoczony tym, że spędziła noc w pokoju hotelowym z zupełnie obcym mężczyzną.

Wybrał numer do Leifa Malma.

– Ustaliliście coś? – zapytał.

– W hotelu jej nie ma. Pokój został sprzątnięty o wpół do pierwszej. Do tego czasu musiała go opuścić.

– Okej – odparł Wisting w zamyśleniu. – Ale mam prośbę: niech sprawa z pokojem hotelowym zostanie między nami, dobrze?

– Dlatego właśnie Donald Baker przyszedł z tym do mnie. Nikt z twoich ludzi o tym nie wie.

– Dzięki.

Zapadła chwila ciszy.

– Może powinniśmy podjąć jakieś działania? – zaproponował Malm. – Na przykład namierzyć jej telefon?

– Jeszcze nie – odparł Wisting. – Chyba domyślam się, gdzie Line może teraz być.

Zakończył rozmowę i skręcił na stację Statoil w Torstrand. Dom Odda Wenera Ellefsena znajdował się kilka przecznic dalej.

Przejrzał listę kontaktów w telefonie. W końcu odnalazł „Mortena P., VG”. Dziennikarz odebrał niemal natychmiast.

Wisting przyjrzał się swojemu odbiciu w lusterku samochodowym.

– Tutaj William Wisting – przedstawił się.

– Wiem – odparł tamten. – Pańskie nazwisko pojawiło się na wyświetlaczu.

– Jest pan jeszcze w Larviku? – spytał Wisting i spojrzał na niebo przez przednią szybę. Zaczęło świtać, już niedługo redakcje największych gazet wyślą w powietrze swoje helikoptery.

– Stoję w korku niedaleko Halle – oznajmił Morten P. – Ma pan dla mnie coś nowego?

Śledczy nie odpowiedział.

– Zastanawiam się, czy jest tam z wami moja córka – powiedział. – Line.

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Nie mogę się z nią skontaktować.

– Szczerze mówiąc, ja również próbowałem się do niej dodzwonić. Prawdopodobnie rozładowała jej się komórka.

– Okej, bardzo dziękuję.

– Chwileczkę! – zatrzymał go dziennikarz. – Skoro już rozmawiamy, niech mi pan powie, co się tam naprawdę dzieje? Odgradziliście kawał lasu i ściągnęliście mnóstwo ludzi. Samochody jeżdżą tam i z powrotem, ale niczego nie można się dowiedzieć.

– Musi pan skontaktować się z rzecznikiem prasowym – odparł Wisting. – Najpóźniej wieczorem wydamy oświadczenie dla prasy.

– To znaczy, że nastąpił przełom?

– Mogę dać panu bezpośredni numer.

– Już z nim rozmawiałem, ale on w kółko powtarza to, co sami wiemy. Zawsze był z pana równy gość. Niech mi pan zdradzi, o co w tym wszystkim chodzi.

– Proszę mi wybaczyć – odparł Wisting. – Mam rozmowę na drugiej linii.

Rozłączył się z dziennikarzem i odebrał połączenie od Torunn Borg.

– Odd Werner Ellefsen – powiedziała i zrobiła przerwę, jakby czytała tekst i zatrzymała się na dwukropku. – Wychowało go wujostwo. Zmarli, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Nie założył własnej rodziny, mieszka sam, nikt nigdy nie był u niego zameldowany.

– Żadnych współlokatorów ani konkubin? – Wisting skinął głową.

– W latach dziewięćdziesiątych pracował przez jakiś czas w jednym z zakładów produkcji farb należących do Jotun, ale od dziewięćdziesiątego ósmego jest na rencie.

– Rozpuszczalniki – wszedł jej w słowo Wisting. – Nie wiesz przypadkiem, czy w tym zakładzie używali chloroformu?

Jeśli Ellefsen miał dostęp do tego związku chemicznego,

podejrzenia wobec niego mogły okazać się uzasadnione.

– To da się sprawdzić – odparła Borg.

– Masz coś jeszcze?

– Jeździ srebrną toyotą camry, rocznik dziewięćdziesiąty ósmy.

– Notowany?

– Służby celne ukarały go latem grzywną. Wwiózł do kraju cztery litry wódki ze Szwecji. Poza tym nic.

– Ze Szwecji? – zainteresował się Wisting. – Kiedy to było?

Słyszał, jak Borg przegląda notatki.

– Dziewiętnastego lipca.

– Cholera jasna! – zaklął Wisting. – Kikki Lindén zaginęła w Trollhättan osiemnastego lipca. Kto kieruje grupą zwiadowczą?

– Hammer.

Wisting zakończył rozmowę z Torunn Borg i zadzwonił do Hammera.

– Co ustaliłeś? – spytał.

– Że nie ma go w domu – odparł tamten. – Prawdopodobnie jeździ gdzieś samochodem, bo garaż stoi pusty. Sądząc po śladach na podjeździe, wyjechał z domu tuż po tym, jak zaczął padać śnieg.

– Obstawiliście dokładnie dom?

– Na obu końcach ulicy stoi nasz samochód, poza tym zainstalowaliśmy się w domu naprzeciwko. Jeden z naszych należy do rady rodziców razem z kobietą, która tam mieszka. Właśnie teraz babka piecze im gofry.

– Wie coś o Ellefsenie?

– Nie utrzymują z nim żadnego kontaktu. Nigdy nie widzieli, żeby ktoś go odwiedzał, ale podobno Line była u niego, a w każdym razie podejrzewamy, że to była ona. Około trzydziestki, w szarym golfie. Pierwszy raz była tu w poniedziałek. I wtedy weszła do domu. Wczoraj wieczorem przyjechała tu jeszcze raz.

– Wczoraj wieczorem?

– Tak. Rozmawiałeś z nią o tym?

Wisting potrząsnął głową, jak gdyby Hammer mógł go

zobaczyć.

– Dzwoni do mnie, jak tylko się zjawi – poprosił i rozłączył się.
Potem zadzwonił ponownie do Leifa Malma.

– Tu Wisting – powiedział i odchrząknął. – Jak szybko
możesz namierzyć jej telefon?

Line wierciła się w ciemnym bagażniku. Dłonie miała wciąż związane na plecach. Sznur wrzynał jej się w nadgarstki.

Wyszukała po omacku szpachlę, chwyciła ją za trzonek i przczołgała się nad wyłamanym oparciem fotela. Podciągnęła się na łokciach i tak długo odpychała się stopami, aż dotarła wystarczająco daleko, by móc podnieść głowę i rozejrzeć się dookoła. Samochód tonął w śniegu, który częściowo przypominał gładki dywan, a częściowo zmierzwioną wiatrem ogromną zaspę.

Auto stało przy wjeździe do starej brzozowej alei, na której końcu majaczył czerwony dom. Droga prowadząca do niego nie była odśnieżona. Line zauważyła ślady stóp, ale w pobliżu nikogo nie było.

Doszła do wniosku, że samochód najprawdopodobniej utknął w śniegu. Mieli dojechać do domu na końcu alei, lecz auto ugrzęzło w zaspie.

Przyłożyła szpachlę do sznura związanego wokół nadgarstków i zaczęła piłować. Pocierała nią do przodu i do tyłu. Czowała, jak narzędzie wgryza się we włókna. Nagle szpachla wysliznęła jej się z rąk. Zdażyła ją schwycić, zanim ta spadła na podłogę, ale straciła dużo czasu, szukając po omacku miejsca, w którym zdażyła już zrobić nacięcie.

Jej ciało było napięte jak struna, a oddech wibrował w nozdrzach. Przyciskała szpachlę z większą siłą, chociaż czuła, że częściej przepiłowuje własną skórę niż linę i gdyby nie taśma, którą miała zaklejone usta, wyłaby z bólu. Rozpacz i cierpienie sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu, ale wciąż pracowała miarowo, starając się skupić na tym, co robi, gdy się uwolni. Spojrzała na stacyjkę. W środku nie było kluczyków. Teren wokół niej sprawiał wrażenie opustoszałego, jakby znajdowała się na odludnej wsi. Musiała spróbować się

stamtąd wydostać. Wiedziała, że łatwo będzie wytropić ślady jej stóp na śniegu, ale ucieczka była jej jedyną szansą.

Nie miała czasu dłużej nad tym rozmyślać, ponieważ sznur nagle pękł.

Zerwała taśmę z ust i zrobiła kilka głębokich wdechów. Przez chwilę rozcierała nadgarstki, zanim podciągnęła stopy i zaczęła rozgniatać rogiem szpachli mocno zaciśnięty węzeł. W końcu poluzowała go na tyle, że udało jej się rozwiązać linę. Przeczółgała się na przednie siedzenie auta, uniosła głowę i wyrzała przez okno. Okolica wyglądała na bezludną.

Ostrożnie otworzyła drzwi samochodu. Powietrze było chłodne i niesło ze sobą delikatny zapach wody morskiej. Jestem gdzieś na wybrzeżu, pomyślała.

Gdy wysiadła, jej stopa zapadła się w śniegu. Przez chwilę stała nieruchomo, potem nachyliła się, chwyciła szpachlę i ukucnęła tuż przy tylnym kole. Przycisnęła róg narzędzia do opony i przytrzymała je tak długo, aż usłyszała syk uchodzącego powietrza. Zgięta wpół okrążyła samochód, przedziurawiła kolejne dwie opony i ruszyła przed siebie.

Nie była ubrana na długą wędrówkę. Sukienka, którą wybrała poprzedniego wieczoru, sięgała jej do połowy uda. Co prawda długie kozaki osłaniały trochę nogi, ale powyżej miała na sobie tylko cienkie rajstopy, w których było pełno dziur.

Odległość między nią a samochodem rosła z każdą chwilą. Zaczęła biec. Wokół niej jak okiem sięgnąć rozpościerał się biały zimowy krajobraz.

Wisting zaparkował przed komendą. Minął szatnię i wszedł do toalety, odkręcił kran, pochylił głowę i opłukał twarz zimną wodą. Potem wytarł się papierowym ręcznikiem, przyglądając się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Zobaczył siebie takiego, jakiego widzieli go inni. Twarz wyrażała spokój i powagę, ale on wiedział, że to tylko pozory. Przez jego ciało przetaczała się fala niepokoju. Sytuacja sprawiała, że mdliło go i kręciło mu się w głowie.

Zadzwoił telefon komórkowy.

Wyłowił go z kieszeni i zobaczył, że dzwoni kolega Line, dziennikarz Morten P.

– Tak? – spytał, z trudem łapiąc oddech.

– Jakiś komentarz?

– Do czego?

– Do zdjęcia, które panu wysłałem.

– Jakiego zdjęcia?

– Przed chwilą przesłałem panu na komórkę. Nie dostał go pan?

Wisting odsunął telefon od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Miał jedną nieodebraną wiadomość. Musiała nadejść wtedy, gdy opłukiwał twarz, bo nie usłyszał sygnału.

Otworzył ememesa i mrużąc oczy, przyjrzał się zdjęciu. Nawet na małym wyświetlaczu widać było, że są to białe worki na zwłoki. Jeden wnoszono do samochodu, dwa inne leżały na ziemi.

Stał z telefonem w dłoni. Mimowolnie zaczął łapać powietrze ustami.

– Redakcja chce umieścić w nagłówku informację, że policja wciąż odnajduje nowe zwłoki – odezwał się dziennikarz. – Ma pan okazję to zdementować.

Wisting oczyścił gardło.

– Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie – powiedział i ruszył w kierunku schodów. – Nie teraz.

Dziennikarz zaczął go przekonywać, ale Wisting przerwał rozmowę.

Fotograf musiał przedrzeć się przez policyjną blokadę. Wisting wiedział, że publikacja zdjęcia wywoła w mediach prawdziwe trzęsienie ziemi. Gazety będą się o tym rozpisywać całymi tygodniami.

Zdjęcie musiało postawić na nogi całą redakcję „VG”. Rzecznik prasowy wyszedł z gabinetu Christine Thiis. Jego twarz i szyja były pokryte czerwonymi plamami.

– Już wiedzą – powiedział, zanim Wisting zbliżył się do niego. – „VG” ma zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok.

– Wiem – potwierdził Wisting.

Publikacja zdjęć była jedynie kwestią czasu. A oni nie byli na to przygotowani.

– Musimy sformułować oświadczenie dla prasy – stwierdził rzecznik, wskazując na notes, który trzymał w dłoni. – Nie możemy dłużej milczeć.

Wisting odwrócił się, ruszył w stronę swojego gabinetu i przywołał Benjamina Fjelda. Jego pokój znajdował się na końcu korytarza, ale młodszy kolega na pewno go usłyszał.

Rzecznik wszedł za nim do gabinetu.

– I tak zbyt długo zwlekaliśmy – powiedział.

W drzwiach stanął Fjeld. Wisting przerzucił papiery na biurku, aż w końcu znalazł listę dziesięciu zaginionych kobiet.

– Skontaktuj się ze śledczymi, którzy prowadzili te sprawy – zwrócił się do Fjelda, podając mu listę. – Zorientuj ich w sytuacji i poproś, żeby zawiadomili rodziny i krewnych tych kobiet.

Po chwili zjawiała się Christine Thiis. Skinęła głową z aprobatą.

– Rodzice muszą się dowiedzieć, że znaleźliśmy ich córki, zanim gazety zaczną spekulować na ten temat – kontynuował Wisting.

Fjeld wziął dokument i odpowiedział szybkim skinieniem głowy.

Wisting zwrócił się do rzecznika prasowego.

– Napiszesz tak – zaczął. – Policja przeprowadziła dalsze czynności śledcze na miejscu, w którym w piątek, dziewiątego grudnia, odnaleziono ciało sześćdziesięciosiedmioletniego Boba Crabba, obywatela Stanów Zjednoczonych. Na miejscu dokonano odkrycia, któremu będzie poświęcona konferencja prasowa – Zerknął na zegarek. Zbliżało się wpół do trzeciej. Sprawy nabierały tempa. – ...Zaplanowana na godzinę osiemną – dokończył i spojrzał na Christine Thiis. Przytaknęła. – Do tego czasu policja nie będzie odpowiadała na pytania dziennikarzy.

Rzecznik zanotował oświadczenie i opuścił gabinet, nie mówiąc nic więcej. Wisting usiadł.

– Będziesz mi tam potrzebny – odezwała się Thiis.

– Wszyscy musimy tam siedzieć, cała ekipa – przytaknęła Wisting. – Porozmawiasz z Donaldem Bakerem?

Skinęła głową i wyszła, mijając się w drzwiach z Mortensenem.

– Coś nowego? – spytał Wisting.

– Kiedy się tam zjawiłem, wydobyto właśnie ósme ciało – odparł technik kryminalistyki. – Ale nie dotarliśmy jeszcze na samo dno. Zwłok może być więcej.

Stał przed mapą ze zdjęciami dziesięciu twarzy.

– Słyszałem, że Odd Werner Ellefsen może być tym, którego szukamy. Rozmawiałaś z Line?

Wisting pokręcił głową, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo się niepokoi.

– Nie mogę się z nią skontaktować – odparł i wyjął z szuflady krótkofalówkę. Włączył ją i nastawił na kanał roboczy zwiadowców.

Mortensen usiadł naprzeciwko niego.

– Mamy jakieś pojęcie, gdzie Ellefsen może teraz przebywać?

– Ślady opon prowadzące z jego garażu przysypał śnieg – wyjaśnił Wisting. – A to oznacza, że wyjechał z domu przed południem. Mógł odjechać daleko.

– Od jak dawna podejrzewałeś, że to była peruka? – zainteresował się Mortensen. – Że włosy w dłoni Boba Crabba

pochodzą z peruki?

– Właśnie w tamtym momencie przyszło mi to do głowy. Ale czy to możliwe? Tak czysto technicznie?

– Jak najbardziej.

Zatrzeszczała krótkofalówka.

– Nadchodzi jakiś mężczyzna – zameldował jeden ze zwiadowców. – Mija skrzyżowanie przy Huitfeldts gate.

Wisting podkreślił dźwięk. Policjanci zainstalowani w domu naprzeciwko posesji Ellefsena informowali dalej:

– Idzie Bugges gate. Szybkim krokiem. Odwraca się za siebie.

Wisting chwycił radio i zameldował się, podając nazwisko.

– Czy to on? – spytał, wiedząc dobrze, że taka informacja padłaby, gdyby zwiadowcy go zidentyfikowali.

– Problem polega na tym, że nie wiemy, jak on wygląda – zameldował zwiadowca. – Nie dysponujemy jego zdjęciem.

– Nie mamy nawet rysopisu?

– Sześćdziesiąt lat, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, normalna budowa ciała, tak opisał go sąsiad – wtrącił Hammer. – Siwa broda, proste włosy koloru ciemny blond.

– Wzrost i budowa ciała się zgadzają – zameldował zwiadowca. – Wiek również, sądząc po chodzie, ale twarzy nie widać, bo głowę ukrywa w połach płaszcza.

– Jesteście pewni, że jego samochód nie stoi w garażu? – spytał Wisting.

– Tak – padła krótka odpowiedź.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Hammer zameldował, że widzą zbliżającego się mężczyznę. Dom Ellefsena był przedostatni, a ulica kończyła się ogrodzonym terenem przemysłowym. Im dalej szedł obserwowany mężczyzna, tym większa była szansa, że to może być on.

– Fox zero pięć – wywołał oficera koordynującego pracę zwiadowców. – Masz ludzi, którzy mogliby go zatrzymać, zanim wejdzie do środka?

– Odmowa. Wycofaliśmy sprzęt i właśnie wyjeżdżamy za bramę.

Wisting wstał, podszedł do okna i zobaczył, jak patrol znika za rogiem.

– To on – zameldował Hammer. – Właśnie otwiera drzwi do domu.

Wisting był zbyt podekscytowany, by móc usiedzieć na miejscu.

– Idziesz ze mną? – spytał, biorąc do ręki krótkofalówkę.

Mortensen potrząsnął głową.

– Zostanę tutaj, żeby jak najszybciej porównać odciski palców – odparł. – Jeśli go zatrzymacie, już po kilku minutach będziemy wiedzieli, czy jest tym, za kogo się podaje.

Wisting zatrzymał samochód przecnicę dalej, tuż za wozem jednostki szybkiego reagowania. Niepewność, co dzieje się z Line, przepełniała go lękiem. Czuł się tak, jakby zjadł coś nieświeżego. Strach i złe przeczucia sprawiały, że żołądek podchodził mu do gardła. Czuł suchość w ustach, nie był w stanie przełknąć śliny i pocily mu się dłonie.

Towarzyszył mu Donald Baker. Pochylił się do przodu w fotelu pasażera i spojrział w stronę domu znajdującego się na samym końcu ulicy. Funkcjonariusze policji drogowej zajmowali właśnie pozycje, tak aby móc obserwować dom Ellefsena ze wszystkich stron.

– Gdzie je przetrzymywał? – spytał Wisting.

– Co masz na myśli?

– W jednym z raportów było napisane, że pierwsze ofiary Godwina żyły przez maksymalnie siedemdziesiąt dwie godziny, zanim zostały zabite – wyjaśnił Wisting. – Gdzie je przetrzymywał?

– W baraku na obrzeżach farmy swojego wujka – odpowiedział Baker. – Kilka lat później barak został dokładnie przeszukany, ale nie udało się zabezpieczyć żadnych śladów, ponieważ całe pomieszczenie zostało gruntownie wyczyszczone.

– Trzy zero Alfa na pozycji – rozległ się głos w krótkofalówce.

– Wszystkie zasłony są zaciągnięte.

– Przyjąłem – odparł kierujący akcją. – Czekać na dalsze rozkazy.

W samochodzie stojącym przed Wistingiem i Bakerem otworzyły się drzwi od strony pasażera. Dowodzący jednostką szybkiego reagowania wysiadł, przeszedł wzdłuż wozu i zajął miejsce na tylnym siedzeniu w aucie Wistinga.

– Co robimy? – spytał.

– Pójdę tam i zadzwonię do drzwi – odparł Wisting.

Oficer spojrział na niego.

– Okej, powiedzmy, że takie rozwiązanie również można nazwać planem. Wiesz, że mam tutaj dziesięciu uzbrojonych ludzi?

– Nie mamy podstaw prawnych, żeby dokonać zatrzymania – wytłumaczył mu Wisting. – Problem polega na tym, że nie wiemy, czy to jego szukamy. Musimy go najpierw sprawdzić, więc chyba najlepiej zrobić to cicho i dyskretnie.

Oficer odchylił się do tyłu.

– Okej – powiedział. – To twoje show, ale nie możesz iść sam.

– Pójdę z Hammerem.

– Poinformuję ludzi.

Pięć minut później Wisting stał na schodach razem z Nilsem Hammerem i stukał w chropowate okno w drzwiach.

Za szybą pojawił się cień i blady jak ściana męczyzna otworzył drzwi.

– Mister Godwin? – zaryzykował Wisting.

Męczyzna uniósł brwi, nie kryjąc zdziwienia. I chociaż większą część jego twarzy zakrywała broda, Wisting nie dostrzegł w jego rysach żadnego podobieństwa ze zdjęciem poszukiwanego Roberta Godwina sprzed ponad dwudziestu lat. Włosy sprawiały wrażenie prawdziwych. Przypominały szczecinę i wyglądały tak, jakby męczyzna sam się strzygł.

– Mister Robert Godwin? – spróbował ponownie Wisting.

– Ellefsen – odezwał się męczyzna stojący w drzwiach. – Zaszła jakaś pomyłka. Nazywam się Ellefsen. Odd Werner Ellefsen.

Już miał zamknąć drzwi, ale Wisting je przytrzymał.

– Jestem z policji – wyjaśnił i podał swoje nazwisko. – Gdzie jest pański samochód?

– Mój samochód?

– Gdzie on jest?

– Zabrała go pomoc drogowa. Wyrzuciło mnie na pobocze, więc wzięli mnie na hol.

– Proszę posłuchać – zabrał głos Hammer. – Prowadzimy śledztwo i potrzebujemy pańskich odcisków palców, żeby

wykluczyć pana udział w sprawie.

– Rozumiem.

Odd Werner Ellefsen sprawiał wrażenie człowieka łagodnego i uległego, który nie ma w zwyczaju bronić swoich racji. Jeśli ukrywał się w nim seryjny morderca, należało oczekiwać jednej z dwóch możliwych reakcji: ataku lub ucieczki. Musiał liczyć się z tym, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym przeszłość upomni się o niego, i raczej nie zamierzał przyglądać się bezczynnie, jak go aresztują. Nie spodziewał się chyba jednak tego, że przeszłość przyśle po niego starszego policjanta w cywilu.

– Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami do komendy – mówił dalej Wisting i przedstawił sprawę tak, jakby stojący przed nimi mężczyzna nie miał żadnego wyboru.

– Teraz?

– Tak. To nie zajmie dużo czasu.

Ellefsen skinął głową i zdjął z wieszaka płaszcz. Wyglądał tak, jakby kłębiło się w nim mnóstwo pytań, których nie ma śmiałości ani zwyczaju zadawać.

– Odwiedziła pana pewna dziennikarka – zwrócił się do niego Wisting, gdy wsiedli do samochodu. – Czego od pana chciała?

– Porozmawiać o starych dziejach.

– Na przykład?

– O ludziach, których znałem dawno temu.

– A dokładniej?

– O Viggo Hansenie. I Cato Tangenie. Obaj nie żyją. Nie ma o czym mówić. Nie ma o czym pisać.

– Była u pana dwa razy, prawda? – nie odpuszczał Wisting.

– Wróciła tu wczoraj – potwierdził Ellefsen.

– Po co?

– Miała jeszcze jakieś pytania. O to samo.

Samochód zatrzymał się przed grupką dzieci, które ciągnęły przez ulicę plastikowe sanki.

– A co z Bobem Crabbem? – spytał Wisting, gdy ruszyli dalej. – Mówi coś panu to nazwisko?

– Czytałem o nim w gazecie – odparł lakonicznie tamten.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. W komendzie przekazali

Ellefsena Mortensenowi, który miał już przygotowany czytnik linii papilarnych. Idąc do swojego gabinetu, Wisting minął drzwi do pokoju Torunn Borg, która odłożyła słuchawkę i spojrzała na niego.

– W Jotun nie używają chloroformu – oznajmiła.

– Tak czy inaczej myślę, że to nie on – powiedział, opierając się o framugę drzwi. – Przywieźliśmy go tutaj, ale człowiek, który siedzi teraz u Mortensena, prawdopodobnie nie zrobił nikomu żadnej krzywdy.

– Poza tym wątek chloroformu wcale nie musi zaprowadzić nas do sprawcy. To tylko takie filmowe *cliché* – dodała Borg. – Sprawca mógł użyć innego środka znieczulającego, choćby pierwszego lepszego rozpuszczalnika. Wdychając opary toluenu lub rozcieńczalnika, ryzykujesz, że zwali cię z nóg. Nastolatki dla zabawy wdychają klej i gaz do zapalniczek, dopóki nie zemdleją.

– Toluen i rozcieńczalnik... Kto tego używa?

– Między innymi malarze. Używają tego do rozcieńczania farb, czyszczenia pędzli i innych narzędzi.

– Ustaliłaś coś jeszcze?

– Wątek przodków Godwina okazał się ślepą uliczką.

– Ale przecież miał norweskich krewnych?

– Ludziom z archiwum państwowego udało się odnaleźć żyjącego krewnego Godwina: kuzyna w trzeciej linii. Mieszka w Danii. Mają wspólnego praprapradziadka.

W dole korytarza pojawił się Leif Malm i ruchem głowy przywołał Wistinga, który podniósł dłoń, dając Torunn Borg sygnał, że później wysłucha reszty. Ruszył za Malmem do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem.

– Nie udało się namierzyć jej komórki – wyjaśnił śledczy z Kripos. – Ostatni raz telefon logował się wczoraj wieczorem w Farris Bad. W nocy prawdopodobnie rozładowała jej się bateria.

– A więc ostatnie logowanie miało miejsce w hotelu?

Malm przytaknął.

– Zdobyliśmy nagranie z kamer. Line opuściła hotel dziś rano o dziewiątej trzydzieści trzy.

– Da się zrobić coś więcej? – spytał Wisting.

– Już zrobiliśmy więcej. Jej komputer nie był dzisiaj używany, w każdym razie nie był podłączony do Internetu. Line nie sprawdzała dziś poczty, ani na swoim własnym laptopie, ani z telefonu komórkowego, ani z obcego komputera. Zwykle sprawdza pocztę często i dosyć regularnie, ale ostatni raz zrobiła to wczoraj o dwudziestej pierwszej piętnaście.

Wisting uniósł brwi.

– Sprawdziliście jej pocztę? Możecie to zrobić?

– Nie możemy odczytać treści maili, ale widzimy, kiedy jej adres loguje się i jest w kontakcie z serwerem.

– Co z punktami poboru opłat drogowych i fotoradarami? – podsunął Wisting. – Może tam coś znajdziecie?

– Sprawdziliśmy sieć monitoringu i pięć minut temu wyskoczyło nam to.

Malm wręczył mu wydruk komputerowy z policyjnego dziennika operacyjnego, w którym odnotowywano wszystkie zgłoszenia. Jakiś samochód porzucony w zatoczce autobusowej na Stavernsveien został odholowany po interwencji zakładu komunikacji miejskiej. Właściciel mógł odebrać pojazd po zapłaceniu kary. Zgłoszenie zawierało numer rejestracyjny oraz nazwisko właściciela. Samochód należał do Line.

– Skontaktowaliśmy się z firmą odholującą auta – kontynuował Malm. – Samochód nie był zamknięty, a na fotelu pasażera leżała damska torebka. W środku znajdowała się jej komórka.

Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej.

– Dwóch techników, którzy zostali przydzieleni do kompletowania szkieleatów ze studni, wysłałem na Stavernsveien, żeby sprawdzili okolicę zatoczki autobusowej. Może coś znajdą. Znowu zamilkł, a potem dodał:

– Biorąc pod uwagę wszystko, co wiemy na ten temat, obawiam się, że są powody do niepokoju.

Wisting zamrugał gwałtownie oczami, wiele razy. Próbował znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało. Coś, co pomogłoby mu zamknąć przebieg wydarzeń w bezpiecznej kapsule, lecz myśli podsuwały mu inny scenariusz.

Było jej zimno. Mroźne powietrze zamieniało jej oddech w kryształki lodu. Mróz szczypał ją w uda, ale najbardziej marzły jej palce u rąk. Schowała je do kieszeni kurtki, ale i tak czuła, że chłód przenika całe jej ciało, od opuszków palców do stóp, które zaczynały przypominać bryły lodu.

Czuła się obco i nieswojo. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Szła przed siebie wzdłuż odśnieżonej drogi, którą po obu stronach porastały wysokie sosny. Droga musiała być mało uczęszczana, bo warstwa świeżego śniegu zalegała na jezdni i widać było ślady kół tylko jednego pojazdu. Gdy odwróciła się za siebie, zobaczyła, że jej ślady nie pozostawiały cienia wątpliwości, w którą stronę poszła.

Wąska droga wiała się przez las. Line zastanawiała się, czy nie powinna była pójść w przeciwnym kierunku, ale po namyśle doszła do wniosku, że podjęła słuszną decyzję. Szła w stronę, z której przyjechała, i musiała w końcu dojść do drogi o większym natężeniu ruchu. Nie była tylko pewna, czy idąc wzdłuż jezdni w nadziei, że nadjedzie jakiś samochód, za bardzo nie ryzykuje. Może powinna raczej poszukać jakiegoś schronienia – przed mrozem i mężczyzną, który może podążyć jej śladem.

Na szczycie wzgórza stała przy drodze stara drewniana szopa z namalowanym na szyldzie napisem „Vremmen”, który z niczym jej się nie kojarzył. Była to dawna platforma, na której stawiano kanki z mlekiem. Część dachu zapadła się ze starości, a między szarymi deskami rosły drzewa liściaste.

Obok szopy biegła wąska, zasypana śniegiem droga, a około pięćdziesięciu metrów dalej stało kilka budynków ukrytych między drzewami. Przewód elektryczny ciągnął się między kilkoma przekrzywionymi słupami. Miejsce było wykorzystywane prawdopodobnie wyłącznie latem, ale przy

odrobinie szczęścia mogło okazać się, że prąd był podłączony na stałe.

Błyskawicznie podjęła decyzję. Postanowiła nie przejmować się śladami, które zostawi na śniegu. Musiała gdzieś się schronić, bo jeszcze chwila, a zupełnie straci czucie w stopach.

Zrobiła krok przed siebie i zapadła się po kolana. Po paru metrach w kozakach miała pełno śniegu. Brnęła dalej, chociaż zaczęło ogarniać ją zniechęcenie. Dom był doszczętnie spalony. Nie było drzwi, okien ani ścian. Ocalały jedynie murowany podest z kominem i palenisko.

Stodoła była cała, ale nadgryziona zębem czasu. Poszarzała od słońca i wiatru stała przechylona do przodu najprawdopodobniej wskutek uszkodzenia części dachu.

Drzwi były zamknięte i zaryglowane. Podniosła zasuwę i pociągnęła drzwi do siebie, ściskając śnieg, który zalegał wokół stodoły. W końcu szczelina poszerzyła się na tyle, że Line zdołała wśliznąć się do środka.

Podłoga zatrzeszczała pod jej stopami. W pomieszczeniu unosił się zapach starego zmuśzalego drewna i zalegającego kurzu. Nie miała żadnego planu ani pomysłu, co robić dalej. Wiedziała tylko, że musi się ogrzać. Pomyślała, że mogłaby trochę odpocząć i zaczekać, aż się ściemni. Po zmierzchu bezpieczniej będzie poruszać się w otwartym terenie.

Przez kilka otworów pod dachem i przez szczeliny między deskami ścian sączyło się słabe światło, ale i tak trwało dobrą chwilę, zanim oczy przyzwyczajone do światła odbijającego się od białego śniegu oswoiły się z ciemnością panującą w pomieszczeniu. Stała tam taczka, za którą zwisało suche siano, przewieszane przez drewniane przepierzenie oddzielające strych na siano od reszty stodoły. Na środku stało kilka starych skrzyń i kufrów poszarzałych ze starości. Pod ścianą wały się narzędzia gospodarskie. Widły, metalowy drąg i kilka łopat.

Nieco dalej znajdowała się ściana z drzwiami. Podeszła bliżej, otworzyła je i weszła do środka. W powietrzu unosiła się woń pleśni i stęchlizny. Przez okno umieszczone wysoko na ścianie wpadało światło. Ściany były otynkowane na biało, ale czarne

plamy pleśni wżerały się w nie od podłogi. Wypłowiwały plakat ze zdjęciem pin-up girl wisiał przyczepiony gwoździem do ściany. Znajdowały się tam również stół i dwa krzesła, a na stole warsztatowym leżały porzucane części maszyn. Na półce stały małe pudełka, plastikowe puszki, słoiki po dżemach pełne gwoździ i śrubek, i fajka oparta o brzeg popielniczki.

W rogu leżała sterta jutowych worków. Line podeszła i wzięła do ręki kilka z nich. Ze środka wysypały się mysie odchody. Worki były pogryzione przez gryzonie, ale za to miały odpowiednią grubość i mogły chronić przed zimnem. Podniosła jeszcze kilka, położyła się i nakryła pięcioma, sześcioma z nich. Nie mogła zostać tam długo, ale musiała się ogrzać i wymyślić, co robić dalej.

– Pasuje do profilu ofiary – stwierdził Leif Malm.

Wisting potrząsnął głową, ale czuł, że jest zbyt oszołomiony i przerażony, by myśleć racjonalnie.

– Line jest za stara – odparł. – Ma dwadzieścia osiem lat.

– Ale znalazła się w sytuacji podwyższonego ryzyka – stwierdził Malm. – Zbierając materiał do artykułu, musiała wpaść na trop Godwina.

Ktoś zapukał do drzwi. Wisting rzadko zamykał się w gabinecie. Tym razem zrobił to, ponieważ nie chciał, żeby koledzy dowiedzieli się o Line. A tymczasem wszystko wskazywało na to, że wkrótce będzie musiał poinformować współpracowników, że Line jest zamieszana w sprawę, nad którą pracują.

– Proszę! – zawołał.

To był Mortensen.

– Można go wykluczyć – oznajmił. – Linie papilarne się nie zgadzają. Ellefsen ma wzór łukowy, a Godwin pętlicowy.

Technik usiadł na wolnym krześle dla gości i spojrzał na nich, jakby wyczuł, że stało się coś złego.

– Co jest? – spytał, gdy tamci uparcie milczeli.

Wisting naświetlił mu sytuację. Widział, że Mortensen zastanawia się i wyciąga wnioski. Jako śledczy zawsze brali pod uwagę najgorszy możliwy scenariusz.

– Mogła na coś wpaść – powiedział po namyśle Mortensen i odchylił głowę do tyłu.

– Mogła odnaleźć Jaskiniowca – przytaknął Wisting.

Technik był tego samego zdania.

– Rozmawiając z ludźmi o Viggo Hansenie, mogła nawiązać kontakt z Godwinem. A to oznacza również, że śmierć Hansena być może nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– To ty badałeś miejsce popełnienia przestępstwa –

przypomniał mu Wisting.

– Miejsce znalezienia ciała – poprawił go Mortensen. – Nic nie wskazywało na to, żeby jego śmierć była skutkiem przestępstwa, ale możliwe, że ulegliśmy zbiorowej sugestii. Może zmyliło nas to, że nie było motywu i że w jego otoczeniu nie było nikogo, kto mógłby życzyć mu śmierci. Ale teraz wiemy, że latem odwiedził go Bob Crabb. Hansen mógł się w coś zaplątać.

Technik wyprostował się i oparł dłonie o kolana.

– Gdzie jest jej komputer? – spytał.

– W domu – odparł Wisting.

Wychodził z założenia, że laptop córki jest zabezpieczony hasłem, ale teraz żałował, że nie zabrał go ze sobą. Miał tu na miejscu ludzi, którzy potrafili obejść podobne zabezpieczenia. Wyrzucał sobie również, że nie przejrzał dokładnie jej notatek. Mapa relacji była jedyną rzeczą, którą zabrał z jej pokoju.

– Czego my wciąż nie widzimy? – zastanawiał się na głos Malm. – Bob Crabb znalazł coś, co przywiodło go do nas. Line wpadła prawdopodobnie na ten sam trop.

– Crabb podążył śladem norweskich przodków Godwina – skomentował Wisting. – Według naszej teorii Godwin wybrał Larvik właśnie z powodu swoich norweskich korzeni. Jego przodkowie pochodzili z tych stron. Crabb najwyraźniej postanowił to zbadać.

Gdy tylko Wisting to powiedział, przyszła mu do głowy pewna myśl. Wśród papierów leżących na biurku odnalazł listę ze zgłoszeniami, które wpłynęły po ukazaniu się w prasie zdjęcia Crabba. Potem wybrał na interkomie numer pokoju Torunn Borg.

– Mówiłaś, że Robert Godwin nie ma w Norwegii żadnych żyjących krewnych? – upewnił się.

– Tak. Ostatni z tych, którzy tu mieszkali, nazywał się Iversen. W latach sześćdziesiątych przeprowadził się do Langesund, a potem do Danii.

Wisting pokazał kolegom zgłoszenie przyjęte od pary emerytów, którzy twierdzili, że widzieli Boba Crabba na promie płynącym do Danii. A potem położył przed sobą mapę relacji,

którą sporządziła Line.

– Nazywał się Frank Iversen? – spytał i zauważył, że głos mu się łamie.

– Tak, obecnie mieszka w Hirtshals. Przeprowadził się tam w 1990. Nie ma żadnej innej rodziny.

Wisting odwrócił się do Malma.

– Musimy dowiedzieć się o nim jak najwięcej – powiedział. – Nie mamy ani chwili do stracenia.

Wszystko inne odsunięto na bok. Wykorzystano każde dostępne źródło informacji i już po kilku minutach zaczął wyłaniać się obraz Franka Iversena.

– Mieszka na Fyrrevænget pod numerem szesnastym – zameldowała Torunn Borg. – Zabudowa szeregową. Według informacji uzyskanych z duńskiego urzędu do spraw ewidencji ludności mieszka sam. Nigdy nie był żonaty. Nie ma dzieci.

– Nie figuruje w norweskim rejestrze skazanych – oznajmił Espen Mortensen.

– W Danii też nie był notowany – dodał Leif Malm, który ściągał informacje na swój laptop za pośrednictwem sekcji dochodzeniowej w Kripos. – Z danych, które otrzymałem, wynika, że Iversen jest zatrudniony w firmie Aqua Consulting – raportował dalej.

Wisting wpisał nazwę firmy do przeglądarki. Mieli swoją stronę internetową i zajmowali się doradztwem i działalnością konsultingową w zakresie akwakultury. Odnalazł Franka Iversena na liście pracowników. Nie było tam jego zdjęcia, tylko numer telefonu komórkowego.

Wisting skierował ekran w stronę Malma.

– Możesz coś z tym zrobić? – spytał.

– Już nad tym pracujemy – odparł tamten i skinął głową.

Wisting odwrócił monitor do siebie i zaczął klikać na inne, przypadkowo wybrane banery.

– Tutaj coś mamy – powiedział po chwili i ustawił ekran tak, żeby koledzy mogli rzucić okiem na stronę.

Jednym z projektów, którymi zajmowała się firma Franka Iversena, była hodowla omułka jadalnego w pobliżu Stavern.

Wisting podniósł słuchawkę służbowego telefonu. Był tak zaprogramowany, żeby numer, z którego dzwono, nie wyświetlał się.

Wybrał numer do Aqua Consulting w Danii, przełączył na tryb głośnomówiący i gdy usłyszał kobiecy głos, poprosił o połączenie z Frankiem Iversenem.

– Jest w podróży – poinformował go głos w słuchawce. – Mogę panu podać jego numer komórkowy.

– Jest w Norwegii? – spytał Wisting.

– Owszem, zgadza się.

– Na terenie hodowli omułka jadalnego w Stavern?

– Tak, wraca do pracy w poniedziałek. Chce pan numer jego komórki?

– Chętnie.

Wisting zanotował numer tylko po to, żeby sprawdzić, czy jest to ten sam numer, który znajdował się na stronie internetowej firmy.

– Jest tutaj – powiedział, gdy odłożył słuchawkę.

Mortensen skierował swój laptop w jego stronę i pokazał mu wynik jednego z wyszukiwań w Internecie. Dwa hasła „omułek” i „chloroform” dały prawie dwieście trafień. Jedno z nich dotyczyło firmy Aqua Consulting, a dokładniej analizy trujących substancji zawartych w muszlach.

– Wygląda na to, że używają chloroformu do kontroli toksycznych alg w omułkach – powiedział i przeczytał na głos:

– „Trujące substancje zawarte w omułkach ekstrahuje się chloroformem i poddaje analizie w naszym nowoczesnym laboratorium”.

Wisting nie był w stanie usiedzieć na miejscu. Wstał i podszedł do okna. Pogoda poprawiła się nieco. Lecący na fiordem helikopter kierował się w stronę miejsca znalezienia zwłok w Halle. Okolice gospodarstwa były prawdopodobnie obleżone przez dziennikarzy.

– To nasi ludzie – wyjaśnił Malm. – Kazałem im być w gotowości. Możemy ich potrzebować.

Wisting skinął głową. Stojąc przy oknie, słyszał, jak koledzy pracują za jego plecami. Jego gabinet zamienił się w centrum dowodzenia. Słyszał stukanie w klawisze i szum rozmów. Śledczy wchodzili i wychodzili.

– Do dzisiaj mieszkał w Farris Bad – poinformował go

Mortensen. – Wymeldował się o ósmej pięćdziesiąt trzy.

– Posprząтали pokój?

– Posprząтали, ale nikomu go nie wynajęli. Poprosiłem, żeby nikogo do niego nie wpuszczali.

Wisting odwrócił się od okna. Baker stał zwrócony plecami do ściany i w milczeniu śledził wzrokiem pozostałych. Rozmowy toczyły się teraz po norwesku, ale nawet bez znajomości języka nietrudno było się domyślić, że nastąpił przełom w śledztwie. W większości spraw chodziło o to, żeby znaleźć winnego. Tym razem niemal od samego początku wiedzieli, kto jest sprawcą, ale nie byli w stanie go znaleźć. Błądzili po omacku. Jeden mocny punkt zaczepienia wystarczył, żeby elementy układanki zaczęły układać się w całość.

W drzwiach stanęła Torunn Borg.

– Sprawdziłam listy pasażerów Color Line. Iversen przyłynął tu w poniedziałek i ma wykupiony bilet powrotny na prom, który odpływa dzisiaj o siedemnastej trzydzieści – oznajmiła. – Z karty pokładowej wynika, że porusza się opłem vectrą o numerze rejestracyjnym XM43251. Prawdopodobnie stoi teraz w kolejce i czeka na wjazd na prom.

W jednej chwili gabinet opustoszał. Tylko Leif Malm i Torunn Borg zostali na miejscu. Policjanci, którzy mieli zatrzymać Odda Wernera Ellefsena, zostali wysłani na akcję.

– Mają tam historię jego przepraw promowych? – chciał się dowiedzieć Malm. – Wiadomo, kiedy Iversen był ostatnio w Norwegii?

– Sprawdzę to – Borg skinęła głową.

Pierwszy meldunek zawierał informację o tym, że opel vectra należący do Franka Iversena stoi w czwartym rzędzie i czeka na wjazd na prom.

Wisting wciąż stał przy oknie w swoim gabinecie. Powoli zapadał zimowy ołowianoszary zmierzch. Helikopter zawisł w powietrzu tuż nad fiordem. Słysząc było, jak policjanci podają swoje pozycje, po czym poproszono o ciszę w eterze.

W gabinecie panował zaduch, który utrudniał oddychanie. Sekundy wlokły się niemiłosiernie. Powoli zamieniały się

w minuty. Wisting słyszał przyspieszony oddech Malma i starał się zwalczyć własny niepokój.

Po chwili Torunn Borg była z powrotem.

– Latem Frank Iversen był w Norwegii dwukrotnie – powiedziała i podniosła wzrok znad kartki z logo przewoźnika.

– Pierwszy raz od czternastego do dwudziestego pierwszego lipca, a drugi raz od poniedziałku ósmego sierpnia do niedzieli czternastego.

– Czyli był w tym tygodniu, w którym zamordowano Crabba – skwitował Malm.

– Osiemnastego lipca Kikki Lindén zaginęła w Trollhättan – przypomniał im Wisting.

Chwilę później zatrzeszczała krótkofalówka:

– Mężczyzna zatrzymany.

Inny głos potwierdził odbiór meldunku i znowu zapadła cisza. Było po wszystkim.

Wisting zacisnął dłonie w pięści. Czuł palącą potrzebę zajęcia się czymś. Podszedł do ściany, na której wisiało zdjęcie poszukiwanego Roberta Godwina oraz fotografie zaginionych kobiet. Przez chwilę wpatrywał się w jego ciemne oczy. Wydawało mu się, że dostrzega w nich łagodną formę obłędu. Potem odwrócił się i zaczął chodzić tam i z powrotem przed swoim biurkiem. To było zbyt proste, pomyślał. Coś za łatwo udało nam się poskładać wszystkie elementy i spokojnie, bez najmniejszych komplikacji zgarnąć seryjnego mordercę z kolejki na prom.

W drzwiach pojawił się Hammer.

– Zatrzymali go.

Wisting skinął głową na krótkofalówkę leżącą na biurku, jakby chciał dać znak, że usłyszeli o zatrzymaniu.

– Był sam – dodał Hammer, wchodząc do gabinetu. – Wiozą go do nas, żebyśmy mogli jak najszybciej go przesłuchać.

– Dobrze.

– Ale znalazłem to – dodał Hammer i położył na biurku kserokopię zdjęcia legitymacyjnego.

Wisting pochylił się nad fotografią. Siwy mężczyzna z lekko skrzywionym nosem i zapadniętymi oczami.

– Kto to jest? – spytał Malm.

– To jest zdjęcie paszportowe Franka Iversena.

Wisting wyprostował się i zrobił krok do tyłu. Mężczyzna na fotografii nie był nawet w najmniejszym stopniu podobny do poszukiwanego seryjnego mordercy.

Wisting stał przed ekranem telewizyjnym w pomieszczeniu, do którego transmitowano obraz z pokoju przesłuchań. Nils Hammer siedział przy stole naprzeciwko Franka Iversena. Nikt już nie wierzył w to, że zatrzymali Roberta Godwina, i tylko minuty dzieliły ich od chwili, w której wynik analizy jego odcisków palców miał potwierdzić, że aresztowali niewłaściwego mężczyznę. Z czysto praktycznych względów skonstruowali akt oskarżenia, w którym przedstawili mu zarzuty fałszerstwa dokumentów i posługiwania się fałszywym dowodem tożsamości. Podstawy do oskarżenia były słabe, ale umożliwiały im jego zatrzymanie i przesłuchanie.

Hammer przeprowadził niezbędne formalności, po czym Frank Iversen złożył wyjaśnienia. Zeznał, że urodził się w Norwegii w 1949 roku, dorastał w Stavern, a następnie z całą rodziną przeprowadził się do Langesund, gdy ojciec został zatrudniony jako kontroler żeglugi morskiej w sąsiednim okręgu. Oboje rodzice zmarli przedwcześnie. Iversen zdobył wyższe wykształcenie, został biologiem morskim. Podczas jednego z projektów naukowych poznał w Danii kobietę, dla której postanowił się tam przenieść. Związek co prawda nie przetrwał próby czasu, ale Iversen otrzymał pracę w Aqua Consulting i został w Danii na stałe.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał.

Hammer wyjął z teczki leżącej na stole zdjęcie Boba Crabba i przesunął je w stronę mężczyzny siedzącego naprzeciwko.

– Chodzi o tego człowieka – odparł.

– O Amerykanina? – zdziwił się Iversen, biorąc do ręki zdjęcie.

– Znasz go?

– Nie znam go, ale on był u mnie latem.

Wisting zrobił krok w stronę ekranu. Widział, jak Hammer

wyprostował się na krześle.

– Był u ciebie w domu? – upewnił się Hammer. – W Danii?

– Tak. To było zresztą trochę dziwne. Zrobił coś złego?

Hammer nie odpowiedział.

– Czego chciał?

– Porozmawiać o latach spędzonych w Stavern.

– Po co?

– Szukał dawnego przyjaciela, z którym stracił kontakt – wyjaśnił Iversen. – Odpowiedziałem na jego pytania najlepiej, jak umiałem, ale nie pamiętam zbyt wiele z okresu dzieciństwa.

– Czy ktoś lub coś interesowało go w sposób szczególny?

Iversen zamyślił się na chwilę, po czym skinął głową.

– Najbardziej interesował go Ole Linge.

– Kto to jest Ole Linge?

– Ktoś, kogo znałem, gdy mieszkałem w Stavern. Amerykanin wypytywał o niego, a ja odpowiadałem, tak jak umiałem.

Wisting opuścił pokój. Szybkim krokiem udał się do swojego gabinetu i zabrał z niego mapę relacji, którą zrobiła Line. Potem ruszył z powrotem.

Gdy otworzył drzwi do pokoju przesłuchań, obaj mężczyźni siedzący przy stole przed kamerą wideo odwrócili się w jego stronę.

– Ole Linge – powiedział Wisting. – Czy to na niego wołali Ole Szwab?

Iversen spojrzał zaskoczony na Hammera. Ten skinął głową, jakby prosił go o udzielenie odpowiedzi.

– Mówiono, że jego ojcem był Niemiec – wyjaśnił Iversen. – Ole był o kilka lat starszy od nas, urodził się tuż po wojnie.

Wisting spojrzał na mapę, na której Line użyła przezwiska, a następnie przeniósł wzrok na mężczyznę siedzącego na miejscu osoby przesłuchiwanej.

– Co o nim wiesz?

– Właściwie nic. Właśnie to próbowałem wytłumaczyć Amerykaninowi, gdy wypytywał mnie o jego rodzinę. Wiem tylko, że Ole mieszkał z matką.

Wisting podziękował skinieniem głowy i opuścił pokój

przesłuchań. W pomieszczeniu z wideo Torunn Borg już pracowała przy komputerze.

– Ole Linge – odczytała z ekranu. – Urodzony w 1946. Matka zmarła w 1972, nie ma żadnej innej rodziny. Ostatni raz zatrudniony w 1984. Obecnie na rencie. Zamieszkały przy Brunlanesveien pięćset pięćdziesiąt.

– To tylko kilka kilometrów od gospodarstwa w Halle – stwierdził Mortensen. – Czyżby wyrzucał zwłoki na własne podwórko?

– Dlaczego nie pojawił się na naszej liście? – dopytywał się Malm.

– Bo nie spełnia kryterium wieku – wyjaśniła Borg. – Jest o cztery lata starszy od Roberta Godwina, a ustaliliśmy, że sprawdzamy mężczyzn w jego wieku plus minusz trzy lata.

Rzecznik prasowy wszedł do pokoju.

– Za kwadrans rozpoczyna się konferencja prasowa – przypomniał.

Wisting zignorował go.

– Mamy jego zdjęcie? – spytał.

Borg znowu odwróciła się w stronę komputera. Kilka kliknięć później ekran wypełniło zdjęcie paszportowe Olego Linge. Nie potrzebowali żadnego specjalnego programu, żeby dostrzec jego podobieństwo do Roberta Godwina.

– To on! – zawołał Baker. – Znaleźliśmy go!

Z ekranu komputera spoglądały na nich ciemne oczy w wąskiej twarzy, ukryte za okularami w grubych oprawkach. Nie było żadnych wątpliwości. To był on.

Wisting oblał się potem. Poczul suchość w ustach i drżenie jednego z nerwów na twarzy.

– Ruszajmy – poprosił.

Po raz trzeci radiowóz z policjantami z jednostki specjalnej wyjechał z garażu. Tym razem Wisting siedział na miejscu pasażera.

Z punktu widzenia taktyki policyjnej położenie obiektu było niekorzystne: u stóp wzgórza, na otwartym terenie. Poszukiwany mógł zobaczyć, że nadjeżdżają. W normalnych warunkach policjanci zakradliby się do budynku od tyłu, pod osłoną roślinności, ale dowodzący akcją postanowił uderzyć bezzwłocznie. Mieli podjechać radiowozem pod drzwi domu, tak żeby funkcjonariusze mogli szturmem zająć budynek. W tym samym czasie policyjny śmigłowiec miał oświetlić dom z powietrza i dać znać, gdyby ktoś próbował uciec tylnym wyjściem.

– Podejrzany porusza się szarym mercedesem E220, rocznik dziewięćdziesiąty trzeci, o numerze rejestracyjnym AX81212 – usłyszeli przez krótkofalówkę, gdy zbliżali się na miejsce. Dowodzący akcją przechylił się i wziął do ręki mikrofon.

– Przyjąłem – odparł. – Będziemy za minutę. Przeprowadzamy natychmiastową akcję.

Chwilę później kierowca zwolnił. Skręcili z głównej drogi w boczną, wąską i wyboistą. Wisting trzymał się mocno uchwyty nad drzwiami. W oknach na piętrze było zapalone światło, ale w dużych oknach panoramicznych nie pojawił się nikt, kto chciałby przyjrzeć się z bliska nadjeżdżającemu pojazdowi.

Na podwórzu nie stał żaden samochód, na terenie posesji nie było również garażu, tylko zadaszenie na auto, pod którym zimą składowano meble ogrodowe.

Duży samochód dostawczy zatrzymał się kilka metrów od drzwi wejściowych. Boczne drzwi rozsunęły się i grupa uzbrojonych funkcjonariuszy wyskoczyła z pojazdu, wykonując dokładnie wyćwiczony manewr. Dwóch niosło łom, a trzeci trzymał młot. Łom został wepchnięty między drzwi

a ościeżnicę. Uderzenie młotem wystarczyło, żeby posypały się drzazgi i drzwi dały się wyważyć.

Policjanci wtargnęli do środka jeden za drugim. Padały krótkie komendy, które rozbrzmiewały echem. Wisting wiedział, że ci, którzy znajdowali się na przedzie, rozbiegną się w prawo i lewo, żeby obstawić drzwi i pokoje na parterze, natomiast ci, którzy szli z tyłu, wejdą w głąb domu i sprawdzą wyższe kondygnacje. W oknach widział penetrujące światło latarek i wiązki czerwonego światła laserowego, emitowane przez wskaźniki celu zamontowane do pistoletów maszynowych. Nad nimi zawisł policyjny śmigłowiec. Oświetlał teren reflektorem punktowym, zataczając nim duże kręgi.

– Czysto!

Wiadomość nie była żadnym zaskoczeniem. Dom był pusty.

Za nimi zatrzymały się dwa samochody. Z jednego wysiedli Nils Hammer i szwedzki śledczy, a z drugiego Leif Malm i dwaj agenci FBI.

– W ciągu dziesięciu minut będziemy wiedzieli, gdzie się loguje jego telefon – oznajmił Malm.

Wisting skinął głową i skierował się w stronę domu. Chciał zobaczyć, jak mieszka seryjny morderca.

Gdy wszedł do salonu urządzonego w piwnicy, poczuł zapach farby. Można było odnieść wrażenie, że pokój jest akurat w remoncie. Dom został zbudowany w latach siedemdziesiątych i od tego czasu niewiele się w nim zmieniło. Wyposażenie stanowiły meble z lakierowanego palisandru i plastikowe krzesła z poliwęglanu. Odporne na zniszczenie i łatwe w utrzymaniu. Na tapecie i dywanach powtarzał się ten sam żółto-brązowy miks kolorów.

Policjanci przeszukiwali mieszkanie. Zaglądali pod łóżka, sprawdzali szafy i schowki.

Wisting stanął na środku salonu i rozejrzał się wokół. Meble ustawiono wzdłuż ściany, dzięki czemu pokój wydawał się większy, niż był w rzeczywistości.

Regał ugiął się pod ciężarem książek. Lata pracy nauczyły Wistinga, że księgozbiór może odzwierciedlać wnętrze człowieka. Tytuły i autorzy zdradzają charakter i osobowość

właściciela.

Podszedł do półki i zobaczył, że większość książek stanowiły powieści amerykańskich pisarzy: Ernesta Hemingwaya, Francisa Scotta Fitzgeralda, Sinclaira Lewisa, Eugene'a O'Neilla i Williama Faulknera. Niektóre z tytułów występowały w dwóch wydaniach, w oryginalnym języku i w tłumaczeniu na norweski.

Poza książkami w domu nie było nic, co nadawałoby wnętrzu osobisty, indywidualny charakter. Żadnych ozdób, bibelotów ani zdjęć.

Zadzwoił telefon komórkowy. To była Torunn Borg.

– Tak? – odezwał się i przeszedł do kuchni.

– Jeszcze raz przesłuchałam Ellefsena – wyjaśniła. – Okazuje się, że latem odwiedził go również Bob Crabb. Wypytywał o Olego Linge.

Wisting skinął głową. Crabb postępował jak prawdziwy śledczy. Rozmawiał ze świadkami i zbierał dowody, takie jak folder z „M/S Elida” z odciskami palców Roberta Godwina. Robił zdjęcia i prowadził dokumentację. Prawdopodobnie pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy skontaktowałby się z policją, gdyby Godwin nie zorientował się, że Crabb jest na jego tropie.

Leif Malm przywołał Wistinga do jednego z pokoi w głębi mieszkania. Ten zakończył rozmowę z Borg i udał się w stronę, skąd dochodził głos. Było to pomieszczenie urządzone na wzór gabinetu, z mnóstwem książek, segregatorów i czasopism leżących na półkach. Na biurku stał laptop, a obok niego leżał aparat fotograficzny z teleobiektywem. Malm trzymał w ręce niebieski paszport United States of America. Pokazał go Wistingowi. „Bob Crabb”. Były tam paszport i pozostałe dokumenty należące do amerykańskiego profesora.

– Musiał się tu czuć wyjątkowo bezpiecznie – stwierdził Malm. – Albo uznał, że paszport Crabba może mu się jeszcze do czegoś przydać.

Wisting wziął do ręki aparat fotograficzny i odszukał przycisk on/off, ale nie udało mu się go uruchomić. Najwidoczniej rozładowały się baterie. Odkładając aparat na biurko, myślał

o człowieku, który tu kiedyś mieszkał, o prawdziwym Ole Linge, prawdopodobnie od dwudziestu lat spoczywającym na dnie studni razem z dwoma węgorzami. Przez te wszystkie lata Godwin udawał Olego Linge aż do czasu, gdy zjawił się Bob Crabb. Emerytowany profesor dotarł do tych samych ludzi, z którymi Line rozmawiała na temat Viggo Hansena. I przyplacił to życiem.

Dzwonek telefonu komórkowego Leifa Malma wyrwał Wistinga z rozmyślań. Śledczy z Kripos odpowiadał monosylabami, po czym zakończył rozmowę.

– Telefon Olego Linge loguje się w Szwecji – oznajmił. – Rikskrim współpracuje z Telią, żeby go zlokalizować.

– W Szwecji? – zdziwił się Wisting. – Co Godwin robi w Szwecji?

– Realizuje plan ucieczki. Prawdopodobnie będzie próbował przedostać się do Danii przez most nad Sundem albo wsiądzie na któryś z promów przepływających przez Bałtyk.

Ingemar Bergquist wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Za nim podążał Nils Hammer.

– Jest w Szwecji – oznajmił Malm.

– Wiem – odparł szwedzki śledczy. – Sprawdziliśmy jego nazwisko w naszych bazach danych i okazało się, że obywatel Norwegii, Ole Linge, jest właścicielem małego gospodarstwa w gminie Tanum. Odziedziczył je po swoim ojcu w 1982.

– Jego ojciec był Niemcem – zauważył Wisting. – Przynajmniej takie krążyły pogłoski.

– Według naszych informacji jego ojciec nazywał się Olle Fredriksson i pochodził z niewielkiej miejscowości o nazwie Vremmen.

– Gdzie to jest?

– W Västra Götaland.

Wisting wyobraził sobie mapę z zaznaczonym regionem Szwecji i przebieg trasy E6 od granicy norwesko-szwedzkiej do Göteborga. Potem spojrział przez duże panoramiczne okno na śmigłowiec, który wciąż unosił się w powietrzu.

– Możesz ściągnąć go na dół? – spytał, odwracając się w stronę Hammera.

Line musiała zasnąć. Przykryta kilkoma warstwami jutowych worków w końcu przestała drżeć z zimna. Zrobiła się śpiąca i oczy same jej się zamknęły. Gdy znowu je otworzyła, na dworze zdążył zapaść zmrok. Światło księżyca wpadało do środka przez wąskie okienko umieszczone w ścianie, dzięki czemu Line była w stanie dostrzec kontury pomieszczenia, w którym się znajdowała.

Leżała nieruchomo, próbując zebrać myśli. Była zmarznięta i przemoczona, i nie miała pojęcia, gdzie jest. Wiedziała tylko, że okolica jest opustoszała i że gdzieś tam czai się człowiek, który zabił Viggo Hansena. Nie potrafiła odgadnąć, z jakiego powodu, ale czuła, że jej przypuszczenia są słuszne. Przez cały czas zastanawiała się, co takiego zrobiła lub które pytanie przez nią zadane sprawiło, że znalazła się w tej sytuacji.

Wstała. Nagle dotarło do niej, że z drzemki wyrwał ją znajomy dźwięk docierający z zewnątrz. Znowu go usłyszała. Był to odgłos samochodu przejeżdżającego autostradą. Chwilę później przemknęło kolejne auto.

Odrzuciła worki na bok i podbiegła do drzwi. Najpierw próbowała je popchnąć, a kiedy to nic nie dało, pociągnęła je do siebie. Bezskutecznie.

Szarpała klamką w górę i w dół, a potem przyłożyła ramię do płyciny drzwi i naciskała z całej siły, ale drzwi nawet nie drgnęły. Zrobiła kilka kroków do tyłu i z całym impetem rzuciła się do przodu. Nic. Znowu wzięła rozbieg. Zawiasy poruszyły się, ale nie ustąpiły.

Zrozumiała, że zabójca musiał ją odnaleźć. Nietrudno było wytropić jej ślady na śniegu. Musiał iść za nią i odnalazł ją, gdy spała. Wtedy zabarykadował drzwi od zewnątrz, odcinając jej drogę ucieczki.

Okno było wąskie i znajdowało się wysoko na ścianie, ale

gdyby udało jej się na nie wspiąć, przecisnęłaby się przez nie i wydostała z pułapki.

Wdrapała się na stół warsztatowy, kucnęła pod dachem, żeby wyjrzeć na zewnątrz, i zamarła z przerażenia. On tam był. Zaledwie kilka metrów dalej Ole Linge odgarniał śnieg.

Oświetlając miejsce pracy latarką o dużej mocy, odśnieżył kwadrat o wielkości dwa na dwa metry. Wykonał jeszcze kilka ruchów łopatą, po czym wyprostował plecy i wbił szufłę w zasępę. Podniósł z ziemi latarkę i skierował snop światła na małe wzniesienie, na którym stał. W końcu mogła zobaczyć, co odśnieżył. Pod śniegiem leżały ukryte drewniane drzwi.

Mężczyzna mocował się przez chwilę z zasuwą, aż w końcu odsunął drewnianą pokrywę na bok. Wtedy zrozumiała, na co patrzy: na starą studnię.

Załogę helikoptera stanowili pilot i operator systemu. Za nimi siedzieli ścisnięci Wisting, Hammer i Bergquist. Wisting chciał zabrać Leifa Malma, ale w helikopterze były tylko trzy miejsca dla pasażerów, a ponieważ mieli lecieć nad terytorium Szwecji, postanowił, że polecą Bergquist.

Przecieli zewnętrzną część Oslofjorden i wlecieli w szwedzką strefę powietrzną na południe od Strömstad. Trzymając się linii brzegowej, lecieli w dalszym ciągu w kierunku południowym. Widzieli pod sobą światła terenów gęsto zabudowanych, zanim helikopter gwałtownie zmienił kurs. Wisting zrozumiał, że zbliżają się do celu. Cała podróż zajęła im niecałe trzydzieści minut. Jadąc samochodem, Godwin był w stanie pokonać tę samą odległość w trzy i pół godziny.

– Na dole – odezwał się pilot, pokazując ręką i odchylając się jednocześnie do tyłu. W słuchawkach jego słowa wydawały się dziwnie odległe, mimo że mężczyzna siedział tuż przed nimi.

Śmigłowiec zatoczył koło i zawisł w powietrzu nad starym gospodarstwem, które Ole Linge odziedziczył po swoim ojcu. Na dole stało kilka szwedzkich radiowozów. Kilkunastu policjantów przedarło się przez zasy i otoczyło pomalowany na czerwono dom. Część z nich spoglądała w górę na warczący helikopter.

Operator systemu zmienił kanał i wezwał siły na lądzie. Wymieniono kilka krótkich komend, których treści Wisting nie dosłyszał. Po chwili w słuchawkach rozległ się głos pilota.

– Byli w środku – wyjaśnił. – Dom jest pusty.

Pilot skierował reflektor punktowy na drogę. Na brzegu jezdnii, przy wjeździe na teren posesji stał cywilny samochód. Zataczając koło, zniżali się coraz bardziej, aż mogli upewnić się, że chodzi o stary model mercedesa. Auto utknęło w zaspie.

Wisting nacisnął przycisk nadawania.

– Przecież musi tu gdzieś być – upierał się. – Skoro jego samochód tu stoi.

Pilot wskazał dłonią na ekran kamery termowizyjnej. Policjanci stojący na dole zamienili się w czerwone świecące punkty. Helikopter zataczał coraz większe koła, podczas gdy kamera zamontowana pod kadłubem przeczesywała teren w poszukiwaniu ciał fizycznych emitujących ciepło. Wszystko, co widzieli na termogramie, miało odcień szarości.

– Zostało nam paliwa na mniej niż czterdzieści minut lotu – zameldował pilot przez interkom. – Wkrótce będziemy musieli polecieć do Rygge, żeby zatankować. Chcecie, żebym was tutaj wysadził, czy lecicie z nami z powrotem?

Wisting spojrział w ciemność, na szare połacie bezkresnego, tonącego w śniegu lasu.

– Łądujemy – poprosił.

Mężczyzna oświetlał latarką dno studni. Długo stał nieruchomo i patrzył w dół. Potem wyłączył latarkę, odwrócił się i ruszył w stronę stodoły.

Line czuła narastającą panikę. Miała wrażenie, że się dusi. Przełknęła ślinę, żeby się uspokoić. Musiała zachować zimną krew. Wiedziała, że jeśli nie zacznie trzeźwo myśleć, nie wyjdzie z tego cało.

Maciała ręką wzdłuż krawędzi okna, szukając haczyków, ale szybko zrozumiała, że nie ma żadnych haczyków ani zawiasów. Okna nie można było otworzyć.

Podpierając się jedną dłonią o sufit, drugą szukała na półce jakiegoś narzędzia, którym mogłaby wybić szybę. Wtedy zauważyła, że deski w suficie są obluzowane.

Przyłożyła obie dłonie do jednej z nich i bez większego wysiłku uniosła ją do góry. Gdy przesunęła ją na bok, chłodne powietrze owiało jej twarz.

Półki wiszące na ścianie posłużyły jej za drabinę. Wspinając się po nich, strącała nogami jakieś przedmioty, ale nie przejmowała się, że robi hałas. Szukała wzrokiem czegoś, czym mogłaby się obronić. Jakiegoś żelaznego pręta, noża, łańcucha, czegokolwiek. Na najwyższej półce leżała siekiera i pudełko zapalek. Zostawiła siekiere, ale chwyciła zapalki i podciągnęła się do góry. Usłyszała za sobą łoskot zatraskiwanych drzwi stodoły i jakiś inny, bliżej nieokreślony dźwięk. Dźwięk dobiegający z oddali, trudny do zlokalizowania.

Uklękła, przesunęła deskę z powrotem na miejsce i spróbowała rozejrzeć się wokół siebie. Znajdowała się mniej więcej na środku stodoły, nad dużym pomieszczeniem, do którego weszła. Drzwi stodoły były uchylone, przez szparę wpadało słabe światło księżyca. Na podłodze leżały plamy śniegu, które wiatr wwiał do środka. Słyszała, jak kilka metrów

dalej Ole Linge przesuwa przedmioty, którymi zabarykadował drzwi. Światło latarki omiatało ściany pomieszczenia. Jakiś kufer lub skrzynia szurały po podłodze. Nagle odgłosy ucichły, jakby mężczyzna zatrzymał się w pół kroku. Snop światła znieruchomiał, po czym został skierowany na sufit. Ole Linge nasłuchiwał.

Nieokreślony dźwięk, który wcześniej słyszała, przybrał na sile. Teraz go rozpoznała. Grzechotanie łopat wirnika w helikopterze.

Wstała i cofnęła się w głąb stodoły, w stronę strychu na siano. Tuż pod dachem znajdowało się kilka otworów. Balansując na belce ciągnącej się wzdłuż ściany, podeszła do najbliższego z nich. Był wystarczająco szeroki, by mogła się przez niego przecisnąć.

Wetknęła głowę do otworu i spojrzała w dół. Dzieliły ją od ziemi mniej więcej trzy metry, ale liczyła na to, że głęboki śnieg zamortyzuje upadek.

Skierowała wzrok w stronę miejsca, z którego przyszła. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Penetrujące światło latarki nagle zniknęło.

Głupio zrobiłam, że nie zabrałam siekiery, pomyślała. Mogłaby zostawić deskę sufitową odsuniętą, tak żeby zrozumiał, którędy się wydostała. Zaczekałaby, aż Ole Linge ruszy jej śladem i wystawi głowę na zewnątrz, a wtedy uderzyłaby go trzonkiem siekiery. Ale teraz było już za późno. Poza tym miała gotowy plan.

Przełożyła jedną nogę przez otwór w dachu i odszukała pudełko zapalek. Otworzyła je, wyjęła jedną i potarła główką o chropowatą draskę. Zapalka zaiskrzyła, ale nie zapaliła się. Spróbowała jeszcze raz, ale zdarła tylko odrobinę siarki.

Zapalki były stare i dopiero czwarta próba zakończyła się powodzeniem. Osłoniła wąty płomień dłonią, a potem wyciągnęła płonąca zapalkę przed siebie i rzuciła ją w stronę siana.

Nic się nie wydarzyło. Zapalka musiała zgasnąć.

Zamierzała podpalić stodołę. Na tym polegał jej plan. Chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę i wezwać pomoc. A do

tego czasu zamierzała ukryć się w lesie. To, że w pobliżu krążył śmigłowiec, mogło być przypadkiem, ale mogło również oznaczać, że ktoś jej szukał.

Wyjęła nową zapalną, ale ta także nie chciała się zapalić. Nagle w ciemności rozbłysło światło latarki. Ole Linge musiał odnaleźć jedyną możliwą drogę wydostania się z pokoju.

Snop światła zupełnie ją oślepił. Znowu spanikowała. Za oczami czuła pulsujące tętno. Po omacku wyjęła kolejną zapalną, która pękła, gdy tylko Line potarła główką o draskę.

Ole Linge właśnie podciągał się przez otwór w dachu. Line wygrzebała nową zapalną i wyczuła palcami, że w pudełku zostały już tylko dwie, najwyżej trzy sztuki. Jednak tym razem zapalnik niemal natychmiast zapłonęła jasnym płomieniem.

Odrzuciła ją ostrożnie od siebie. W ciągu kilku sekund suche siano zajęło się ogniem i rozległy się trzaski. Pożar szybko się rozprzestrzenił. Już po chwili kłęby dymu sięgały dachu stodoły. Line wyciągnęła drugą nogę przez otwór w dachu i opuściła się w dół. Przez moment zwisała na rękach, po czym rozluźniła uchwyt.

To miał być ich ostatni przelot. Pilot podniósł śmigłowiec nosem w kierunku wschodnim. Światło reflektora zostało skierowane na drogę, która prowadziła w głąb zalesionego obszaru Szwecji. Pod nimi kołysały się korony drzew, a z gałęzi sypał się śnieg.

Na ekranie kamery analizującej promieniowanie podczerwone pojawiły się dwie czerwone plamy. Przez chwilę stały nieruchomo, a potem zerwały się do ucieczki.

– Łosie – wyjaśnił operator systemu.

Wisting widział, jak plamy znikają z monitora. Chwilę później skierował wzrok w stronę wąskiej drogi oświetlonej szperaczem. Kilkaset metrów dalej po lewej stronie pojawiły się jakieś zabudowania. Dom, stodoła i kilka innych budynków gospodarskich. Na termogramie okna i drzwi były zaznaczone jako żółte czworokąty o zielonych krawędziach.

Ktoś wyszedł na schody, za nim w drzwiach ukazała się jeszcze jedna osoba. Wisting przyjrzał im się. Mężczyzna zasłaniał ręką oczy, chroniąc je przed intensywnym światłem. Za nim stała kobieta w spódnicy. Jakiś pies wyskoczył za nimi na podwórze i zaczął ujadać.

Pilot przechylił śmigłowiec i zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni. Minęli czerwony dom, przy którym wciąż pracowali szwedzcy policjanci. Potem zwiększyli wysokość, żeby ominąć bezpiecznie kilka słupów energetycznych.

Operator systemu pierwszy zauważył płomienie.

– Obiekt na godzinie pierwszej – zameldował przez interkom, wskazując równocześnie kierunek ręką.

Przed nimi między drzewami unosiła się pomarańczowa luna. Pilot odsunął drążek sterowy, obniżył nos śmigłowca i zwiększył moc silnika.

W dole płonął budynek stodoły. Czerwone, pomarańczowe,

żółte, a nawet białe języki ognia wiły się do wysokości dachu. Ze środka wydobywał się czarny dym.

Operator systemu wezwał załogę na lądzie i zorientował ich w sytuacji. Pilot oświetlił reflektorem punktowym teren przed płonącym budynkiem. Na śniegu widać było ślady stóp prowadzące aż do drzwi stodoły.

– Ląduj! – zawołał Wisting, odpinając pasy bezpieczeństwa.
– Posadź nas na ziemi!

Pilot podniósł śmigłowiec, wykonał manewr zawracania i odszukał prosty odcinek drogi. Włączył światła lądowania i zszedł na wysokość pięćdziesięciu stóp. Po obu stronach wznosiły się wysokie jodły. Strumień powietrza porwał w górę masy sypkiego śniegu. Wylądowali z głuchym łoskotem. Drzwi zostały odsunięte. Wisting skoczył w środek zaspy, przeszedł pod łopatami wirnika i pobiegł w kierunku płonącej stodoły.

Line źle wylądowała. Gdy dotknęła ziemi, jej lewą nogę przeszył ostry ból. Musiała upaść na kamień lub coś twardego, co leżało tuż pod śniegiem.

Położyła się na plecach i zaczęła czołgać do tyłu, ciągnąc nogę po ziemi. Słyszała odgłosy pożaru dobiegające z wnętrza stodoły. Ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie.

Gdy zbliżyła się do skrajku lasu, stanęła na nogi i kulejąc, próbowała iść, ale śnieg okazał się zbyt głęboki. Pośliznęła się i upadła. Znowu się podniosła i powłócząc nogą, ruszyła dalej. Ból przeszywał całe jej ciało za każdym razem, gdy przenosiła ciężar na złamaną stopę.

Oparła się o najbliższy pień drzewa i spojrzała za siebie. Języki ognia trawiły otwory w ścianie stodoły. Już miała się odwrócić, gdy nagle go zobaczyła.

Brnął przez śnieg, oświetlając sobie drogę latarką. Snop światła padał na ślady jej stóp. Za jego plecami płomienie sięgały już dachu stodoły.

Strach wyostrzył jej zmysły. Znów usłyszała odgłos helikoptera. Zbliżał się. Wiedziała, że pożar wzbudzi zainteresowanie pilota. Pytanie brzmiało tylko, czy pomoc nie nadejdzie za późno.

Mężczyzna szedł prosto na nią. Ich oczy spotkały się. Miał ponad sześćdziesiąt lat, ale był od niej większy i silniejszy.

Zrobiła kilka kroków do tyłu. Pośliznęła się i upadła na plecy, ale szybko się podniosła. Ogarnęło ją przerażenie. Wyciągnęła rękę przed siebie. Z jej gardła wydobyło się kilka niezrozumiałych słów.

– Nie! – błagała. – Nie!

Uderzył ją latarką w bok głowy. Cios sparaliżował ją. Osunęła się na kolana. Poczula smak krwi w ustach. Próbowwała wstać, ale on był silniejszy. Jedną dłoń zacisnął wokół jej gardła,

a drugą starał się przytrzymać jej nogi, którymi wierzgała.

Wymachując rękami, poczuła, że trafiła na jego nogę. Złapała go za stopę i pociągnęła z całej siły. Mężczyzna stracił równowagę i upadł, a wtedy oboje potoczyli się po śniegu.

Próbowała kopnąć go w pachwinę, ale uniemożliwiła jej to złamana stopa. Ole Linge złapał ją za nadgarstek, drugą ręką chwycił ją za włosy i zaczął wlec za sobą po śniegu. Usiłowała się człgać, bo ból wyrrywanych włosów był nie do wytrzymania.

Kątem oka zobaczyła, że płomienie trawią ścianę stodoły, a języki ognia wpełzają pod sam dach.

Ciągnął ją w kierunku studni, którą wcześniej odsnieżył. Zrozumiała, co miał zamiar zrobić. Wierzgając i szamocząc się, czuła, jak kępki włosów odrywają się od skóry głowy. Żar bijący od pożaru stawał się coraz intensywniejszy.

Gdy znaleźli się tuż przy krawędzi studni, Line zarzuciła ciałem i wbiła zęby w wierzch jego dłoni. Zwolnił uścisk. Próbowała dosięgnąć łopaty, która stała wbita w zaspę, ale mężczyzna rzucił się na nią i znowu zaczęli toczyć się po śniegu. Wpiła się palcami w jego twarz. Wcisnęła kciuk w jego gałkę oczną. Napastnik zawył z bólu i odskoczył do tyłu, ale podniósł się natychmiast i wymierzył jej kopniaka. Trafił ją w szczękę, przez co omal nie straciła przytomności. W końcu złapał ją za stopy i pociągnął w stronę otworu studni.

Wisting biegł pokrytą śniegiem drogą. Tętno wzrosło mu tak bardzo, że aż pociemniało mu przed oczami. Ślizgał się na śniegu, tracił równowagę i wpadał w zasy, ale szybko podnosił się i brnął dalej.

Przy starej platformie na mleko znalazł ślady stóp, które prowadziły w głąb lasu. Pożar przybierał na sile. Płomienie trawiły dach stodoły, a kłęby szarego gryzącego dymu zbliżały się w jego stronę.

Zatrzymał się w odległości pięciu metrów od stodoły i podniósł dłoń, żeby osłonić oczy przed intensywnym światłem. Pożar był najgwałtowniejszy po drugiej stronie budynku, tam, gdzie dach stał już cały w płomieniach.

Spojrzał do tyłu przez ramię, a potem podbiegł i otworzył drzwi. Wydobywający się ze środka dym sprawił, że oczy zaczęły go szczypać i łzawić.

Zawołał, ale w odpowiedzi usłyszał tylko syk płomieni. Zasłonił usta i nos przedramieniem i wszedł do środka.

Zawłókł ją do otworu studni. Próbowwała znaleźć coś, czego mogłaby się chwycić. Zanurzyła dłonie w sypkim śniegu w nadziei, że trafi na coś palcami. Szamotała się i wierzgała nogami. W końcu udało jej się ucześcić pokrywy studni, która była odsunięta na bok. Kopnął ją, żeby zwolniła uścisk. Drzazgi wbiły się w jej palce. Już miała puścić pokrywę, gdy nagle nastąpił wybuch.

Wewnątrz stodoły doszło do eksplozji. Cała ściana wyleciała w powietrze. Płonące fragmenty drewna fruwały we wszystkich kierunkach. Iskry wystrzeliwały w stronę nieba nad oceanem niebiesko-pomarańczowych płomieni.

Line leżała nieruchomo, patrząc, jak języki ognia trawią resztki dachu. To, co z niego zostało, przypominało czarny, kruchy szkielet. Jedna z krokwi opartych na belce wiązarowej ustąpiła powoli pod naporem ognia, zsunęła się i znikła w płomieniach. Potem nastąpiła seria mniejszych eksplozji, zanim kolejna deska obluzowała się, zakołysała kilka razy i podążyła śladem poprzedniej. Chwilę później zawalił się dach, a potem tylna ściana zatrzęsała się i runęła z hukiem.

Dopiero gdy zobaczyła niebieskie światła na drodze i sylwetki mężczyzn biegnących w jej kierunku, odwróciła się i zauważyła, że Ole Linge zniknął.

Podniosła się na kolana, przeczołgała na czworakach do krawędzi studni i spojrzała w dół. Płomienie oświetlały studnię, ale dno było zbyt ciemne i głębokie, żeby mogła coś zobaczyć.

Żar bijący od pożaru był zbyt intensywny. Zataczając się, Wisting opuścił stodołę i okrążył budynek. Zdążył zobaczyć Line leżącą na plecach kilka metrów dalej, przyciśniętą do ziemi przez Roberta Godwina, gdy nagle rozległ się huk eksplozji. Fala uderzeniowa zdmuchnęła napastnika. Wisting widział, jak siła wybuchu uniosła zabójcę w górę i cisnęła nim o ziemię. Godwin zniknął w deszczu płonących odłamków, które przeszły powietrze niczym grad ognia.

Gwałtowna eksplozja sprawiła, że również Wisting stracił równowagę i upadł. Coś twardego i ciężkiego wbiło mu się między łopatki. Gdy się podnosił, usłyszał za sobą huk walącego się budynku.

Czym prędzej podbiegł do córki. Z rany nad jej okiem płynęła krew. Objął ją. W jej wilgotnych, zaczerwienionych oczach odbijały się słupy ognia.

Przez długą chwilę trzymał ją kurczowo w objęciach, zanim Line delikatnie wyswobodziła się z uścisku.

– Wpadł – powiedziała. – Wpadł do studni.

Szwedzcy policjanci podbiegli z bronią i latarkami. Wisting kazał im sprawdzić studnię i razem z Line, która wspierała się na jego ramieniu, zbliżyli się do krawędzi.

Ze środka wydobywał się odór zgnilizny. Białe światło trzech latarek zostało skierowane do wnętrza studni, która, jak się okazało, była wyschnięta. Robert Godwin leżał na stosie szarych jutowych worków na głębokości sześciu, siedmiu metrów.

Jedną nogę miał nienaturalnie wykręconą pod kolanem, ale przeżył upadek. Widzieli, jak przyciska się do ściany studni, wykrzywiając twarz z bólu. Po chwili odchylił głowę do tyłu i spojrzął na nich. Mroczny blask zgasł w jego oczach.

Dopiero w łóżku szpitalnym w Göteborgu Line zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co tak naprawdę się wydarzyło. Ojciec spał na krześle tuż obok niej. W telewizji przez całą noc nadawano specjalne serwisy informacyjne. Bez przerwy puszczano fragmenty konferencji prasowej zorganizowanej w Norwegii, w której wzięli udział również przedstawiciele szwedzkiej i amerykańskiej policji. Z informacji podawanej na pasku w dole ekranu wynikało, że sześćdziesięcioletni Robert Godwin z Minnesoty był podejrzewany o dokonanie dwudziestu trzech zabójstw na terenie USA, dziesięciu w Norwegii i pięciu w Szwecji.

Dziennikarze zebrani w studiu łączyli się z wysłanniczką telewizji, która relacjonowała wydarzenia na żywo z lasu na przedmieściach Hamburgsund. Strażacy właśnie zwijali węże gaśnicze. Reporterka informowała, że z terenu posiadłości znajdującej się za jej plecami wydobyto wiele ciał. Małomówny policjant odpowiedział na pytania i potwierdził, że wspólna akcja policji, w której uczestniczyli również norwescy śledczy, doprowadziła do zatrzymania poszukiwanego listem gończym Amerykanina.

Ojciec poruszył się na krześle. Zmieniła kanał. Sprawdziła CNN i Sky News. Na obu aresztowanie w Szwecji było sprawą numer jeden. Na amerykańskim kanale prezentowano zdjęcia archiwalne ze śledztwa toczącego się ponad dwadzieścia lat temu, w którym sprawcę nazywano Międzystanowym Dusiciem.

W Szwecji do studia zaproszono grubego kryminologa i pisarza. Dziennikarz prowadzący rozmowę chciał się dowiedzieć, jak komuś takiemu jak Robert Godwin udało się przez kilkadziesiąt lat wodzić policję za nos. Ekspert przesunął okulary na czoło i umocował je na siwej czuprynie, zanim

zaczął długą wypowiedź. Szacuje się, że w Szwecji przebywa nielegalnie ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Kim są, tego władze nie potrafią ustalić. Jedyne, co wiadomo, to że nielegalni imigranci utrzymują się z działalności przestępczej.

Line wyłączyła telewizor. Na razie nie wspomniano o niej w serwisie informacyjnym, ale liczyła się z tym, że ta chwila prawdopodobnie nadejdzie. Odsunęła kołdrę i przyjrzała się zagipsowanej kostce u nogi. Potem sięgnęła po ołówek i kartki papieru, które przyniosła jej jedna z pielęgniarek.

Dwadzieścia lat temu Viggo Hansena uznano za niepoczytalnego i umieszczono w szpitalu, ponieważ twierdził, że jeden z jego nielicznych przyjaciół nie jest tym, za kogo się podaje. Teraz mówiono o nim we wszystkich serwisach na świecie. Nie zmieniało to jednak faktu, że przez całe życie był samotny.

„Nigdy tak naprawdę nie dowiemy się, jak żył”, napisała, „tak jak nigdy nie ustalimy wszystkich okoliczności jego śmierci. Wiemy tylko, że był sam. Sam ze wszystkim”.

Reportaż Line o Viggo Hansenie ukazał się dwudziestego siódmego grudnia. Tego dnia Wisting wyspał się, poszedł do sklepu, kupił dwie świeże bułki i gazetę.

W domu było pusto. Line wróciła do Oslo.

Włączył radio. Gdy przygotowywał filiżankę kawy, towarzystwa dotrzymywał mu prowadzący audycję poranną. Wisting przekroił bułki. Na dwie połówki nałożył plastry świątecznego salcesonu, a na trzecią filety śledziowe. Czwartą połówkę rozdrobnił, otworzył okno w kuchni i wyspał okruchy do karmnika.

Sprawa Roberta Godwina wciąż nie schodziła z pierwszych stron gazet. Dziennikarze z „VG” polecili do Stanów i przeprowadzili wywiady z rodzinami amerykańskich ofiar. Ich bliscy dziękowali norweskiej i szwedzkiej policji za to, że zabójca w końcu został ujęty i że życie mogło toczyć się dalej.

Godwin został wypisany ze szpitala i umieszczony w zakładzie karnym o zaostrozonym rygorze w Tidaholm. Gazety donosiły, że zabójca wyraża chęć złożenia zeznań przed szwedzką policją w zamian za gwarancję, że nie zostanie wydany Amerykanom.

Na wiele pytań wciąż nie uzyskali odpowiedzi. Wisting liczył się z tym, że nigdy nie dowiedzą się wszystkiego. Zawsze tak było. W każdym dochodzeniu pewne szczegóły na zawsze pozostawały zagadką.

Za oknem pojawiły się dwa ptaki z jasnoczerwonymi brzuchami, czarnymi czapczkami i niebieskawo-popielatymi piórami na grzbiecie. Przylatywały codziennie od pierwszego dnia świąt i częstowały się okruchami wsypywanymi do karmnika.

Reportaż Line przeczytał dwa razy. Kanwą artykułu była historia samotnego człowieka, ale wydźwięk i treść były inne,

niż można się było spodziewać. Line nakreśliła portret człowieka, za którym nikt nie tęsknił, a który mimo to miał swoje miejsce na ziemi.

Wisting podszedł do okna i spojrzał na pusty dom w dole ulicy. Spełniły się ostrzeżenia meteorologów: znów zaczął sypać śnieg. Duże płatki spadały z nieba, ograniczając widoczność, aż w końcu między Wistingiem i światem za oknem wyrosła szara ściana.

Wrócił do kuchni, opłukał talerz i oparł go na ociekaczu do naczyń. Potem zabrał gazetę i poszedł do salonu. Na ostatnich stronach znajdował się program telewizyjny. Wziął do ręki pilot i odszukał film o chłopcu, który został sam w domu i musiał rozprawić się z włamywaczami.

Odchylił się wygodnie w fotelu i po dziesięciu minutach zasnął. Na dworze wzmógł się wiatr, który porywał z ziemi tumany śniegu i zasypywał wszystkie ślady.

Tytuł oryginału: *Hulemannen*

Copyright © 2013 Gyldendal Norsk Forlag AS

All rights reserved.

Copyright © 2014 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Milena Skoczko

This translation has been published with the financial support of NORLA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajaska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny książki: Agnieszka Karmolińska

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcie na okładce: © istockphoto.com / Shaun Lowe Photographic

ISBN 978-83-62122-81-3



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4

81-781 Sopot

tel./fax 58 551 01 98

Szukaj nas także na:



Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa:



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

lesiojot

Najlepszy norweski kryminał 2012

VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

JASKINIOWIEC

smak
słowa

lesiojot